

CZYTELNIĄ

WYPISY POLSKIE

UŁOŻYŁ

ADOLF DYGASIŃSKI.

CZEŚĆ ŚREDNIA.

(dla Klasy II-éj i III-éj).

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni Lesmana i Świszczowskiego,

14. ulica Mazowiecka 14.

1882.

CZYTELNIA



884-8 104513

Дозволено Цензурою,
Варшава, 30 Июля 1882 г.

Warszawa.—W Drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

Spis rzeczy.

I. P R O Z A.

A. Nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo.

	Str.		Str.
1. Wydra — z Brehma, W. Niewiadomski	1	18. Rośliny pożywne stref gorących	60
2. Wal, czyli wieloryb grenlandzki—M. Nowicki	3	19. Uprawa roli	64
3. Przegląd ssaków — M. Nowicki	4	20. W jaki sposób skały, ziemską skorupę składające, dzieje ziemi opowiadają	68
4. Podział zwierząt ssących	5	21. Zorza północna—E. Feilińska	74
5. Zimorodek—M. Nowicki	7	22. Podział czasu—Dr. Jan Stella-Sawicki	77
6. Ptaki—podł. Brehma	8	23. Rosa	80
7. Grobarz—podł. Brehma	18	24. Szron	82
8. Przegląd owadów — M. Nowicki	21	25. Mgła	—
9. Ostryga jadalna — M. Nowicki	23	26. Obłoki	—
0. Perły	24	27. Deszcz	83
1. Zwierzęta u nas i w prowincjach ościennych—Ł. Tatomir	25	28. Grad	84
2. Puszcza litewska — W. Pol	30	29. Śnieg	85
3. Wspomnienie z łowów na dziki—K. hr. Wodzicki	39	30. Siły wody, powietrza i ognia na ziemi—J. Sniadecki	86
4. Polowanie na lwa — Wł. L. Anczyc	46	31. Co może robić siła pary J. I. Boguski	88
5. Walki zwierząt w Indyjach Wschodnich—Wł. L. Anczyc	51	32. Elektryczność—J. I. Boguski	92
6. Ptaki podbieg unowe — Ł. Tatomir	56	33. Kompas—Wł. L. Anczyc	95
7. O częściach roślin—Wł. L. Anczyc	59	33. Opis wioski — J. I. Kraśzewski	98
		35. Podróż morzem — H. Sienkiewicz	103

B. Historyja i Biblija.

	Str.		Str.
1. Mieszko I-szy — M. Bo- brzyński	111	16. Bajard rycerz—podł. Smi- lesa—A. D.	195
2. Kmiecie w Polsce za Pia- stów—Ł. Tatomir	114	17. Galileusz	202
3. Wesele w pogańskiej Polsce—J. I. Kraszew- ski	116	18. Bitwa pod Lipskiem	207
4. O Krzyżakach i Litwi- nach	120	19. O bogach w starożytno- ści — podł. Petyskusa, A. Dzieduszycka	209
5. Rzut oka na panowanie Jagiellonów w Polsce— L. Siemieński	124	20. Koń Aleksandra Mace- dońskiego—J. Chęciń- ski	212
6. Henryk Walezyjusz— L. Siemieński	129	21. Miecz Damoklesa — J. Chęciński	215
7. Obóz pod Sokalem—Dr. L. Kubala	137	22. Niegodziwość Karakali— J. Chęciński	217
8. Kopija husarska — K. Szajnocha	151	23. Horacyjusz i Kuryjacy- jusz—J. Chęciński	219
9. Klasztor Surlański—H. Rzewuski	160	24. Jezus w kościele między doktorami — K. Bro- dziński	222
10. Głonka—K. W. Wójcicki	166	25. Jezus zdradzony przez Judasza—K. Brodziń- ski	225
11. Pawlik—H. Rzewuski	170	26. Lud izraelski w Egipcie, K. Brodziński	228
12. Adam Mickiewicz — J. Bartoszewicz	184	27. Matka Machabeuszów stała w swój wierze — K. Brodziński	231
13. Ruś i Bułgarzy—M. Bo- brzyński	188		
14. Chrześcijaństwo	190		
15. Początek wojen kryżo- wych—T. Korzon	192		

C. Moralność i obyczaje.

1. Praca jest najpiękniej- szym skarbem	234	Z. Krasieński	246
2. Praca odkładana—Klem. z Tańskich Hoffman.	236	7. Potęga muzyki — K. Li- belt	248
3. Niema złego, któreby na dobre nie wyszło — St. Jachowicz	239	8. Kamień świadkiem	252
4. Pastuszek — Luc. Sie- mieński	241	9. Kot łakomy i kot pyszny	255
5. Wierzba i Dąb—J. Chę- ciński	244	10. Omyłka, błąd i fałsz	257
6. O godności człowieka —		11. Ojciec i trzej synowie	259
		12. Przysłowia i maksymy	266
		13. Gra w piłkę — Ł. Gole- biowski	270
		14. Latarnik — H. Sienkie- wicz	274

II. P O E Z Y J A.

A. Poezyja nauczająca.

	Str.		Str.
Kolój żelazna—F. Morawski	98	Motyl i ślimak—J. U. Niem- cewicz	247
Ballada, jakich wiele—J. N. Jaśkowski	101	Nocni stróże—I. Krasicki	248
Nadziei nie trzeba tracić— J. Kochanowski	234	Lis i kozieł—A. Mickiewicz	251
Zając i żaba—A. Mickiewicz	235	Konwersacyja—I. Krasicki	—
Dziadek—K. Brodziński	237	Szuflada i głowa—J. I. Kra- szewski	253
Ptaki i osieł—Ig. Krasicki	239	Małpy—I. Krasicki	254
Kolaska—K. Węgierski	240	Lew i osieł—A. Gorecki	256
Gęsi—Ig. Krasicki	241	Osieł—F. Morawski	259
Rozmowa z Michałem — S. Witwicki	242	Pies i wilk—A. Mickiewicz	265
Bekas i kuropatwa—A. Go- recki	244	Dwa konie—A. Gorecki	269
Jaś—I. Krasicki	245	Lew chory—I. Krasicki	273
Fijolek i słonecznik—I. Kra- sicki	246	Żrebiec i koń stary—I. Kra- sicki	290
		Koń i wielbłąd—I. Krasicki	290

B. Poezyja opisująca przyrodę i czyny człowieka.

Noc na wsi—T. Lenartowicz	6	Niemcewicz	123
Poranek na wsi — A. Mic- kiewicz	17	Błogosławiony Sadoch — W. Syrokomla	134
Jesień—W. Pol.	22	Baszyna—Ks. I. Hołowiński	144
Dzionek na wsi—T. Lenarto- wicz	30	Chleb—A. Gorczyński	159
Prostak wiejski—S. Witwicki	38	Piotr Pszonka Jasieńczyk— S. Goszczyński	163
Kościół wiejski—J. Słowacki	55	W zbrojowni—W. Pajgert	187
Wschód słońca—A. Mickie- wicz	80	Natarcie konnicy na konnicę S. Garczyński	194
Zmrok—A. Mickiewicz	85	Opowiadanie pana podkomo- rzego—A. Mickiewicz	200
Kazimierz Wielki — J. U.			

C. Pieśni religijne i świeckie.

O pogodę—Fr. Karpiński	64	Modlitwa o deszcz — J. Ko- chanowski	84
Ś-ty Izydor—F. Morawski	66	Wyjazd bez powrotu—Bohd. Zaleski	109
Pieśń żniwiarska — K. Ga- szyński	73	Dumka — T. Lenartowicz	110
Rozmowa ze słowikiem—St. Jachowicz	76		

A. NAUKI PRZYRODNICZE I ZIEMIOZNAWSTWO.

1. Wydra.

Wydra znana już była Grekom i Rzymianom. Długość jej ciała przechodzi 3 stopy polskie, oczy przymyka za pomocą błony. Zamieszkuje Europę oraz większą część Azji północnej i środkowej; pospolita zwłaszcza we Francyi, Hiszpanii, Włoszech, Grecyi, Niemczech, Anglii, na półwyspie Skandynawskim, w Rosyi, w stepach Azyjatyckich, na południu Syberyi, w Altaju, Turanie, Mongolii, Persyi i Mezopotamii. Przebywa wyłącznie w bliskości wód słodkich. Otwór, do jej nory prowadzący, zwykle mieści się w odległości 2 stóp pol. pod poziomem wody, tuż za nim znajduje się korytarz, w górę skośnie idący, a dalej właściwa nora wyłożona suchemi roślinami.

Drugi wąski korytarz ciągnie się w kierunku powierzchni pobraża, służąc do wentylacji pomieszkania. Wydra kopie też nory wpośród miejsc gęsto krzakami porośłych, niekiedy zajmuje jamy borsucze albo lisie, w bliskości wody napotkane.

Zwierzę to, znienawidzone przez rybaków, zajęło żywo uwagę naturalistów; jego życie, obyczaje, uczucia i inteligencja, zaiste godne są badań obserwatora.

Woda jest żywiołem wydry, zręcznego pływaka i łowca na ryby. W zimie, gdy lód rzekę zetnie, szuka ona miejsca niezamarzłego, w którym się nurza. Słuch ma delikatny, wzrok bystry, o kilkaset kroków rozpoznaje człowieka, psa i natychmiast kryje się pod wodę. Łowy uczyniły ją baczna,

ostrożną i przebiegłą. Rozgniewana wydaje krzyk ostry; głos zgłodniałej wydry podobny jest do powtarzanych dźwięków: girk! girk! Poluje zwykle przy blasku księżyca, a nawet w czasie dnia, jeżeli nie jest niepokojoną. Uderza ogonem o powierzchnię wody, aby wystraszyć ryby, ukryte w głębi pod kamieniami, gdzie je też wytrapia i łowi. Czasem wypatruje zdobycz, czatując na wybrzeżu lub drzewie, skacze wówczas w daną chwilę do wody, porywa rybę i na brzeg wynosi. Wieśniacy angielscy nie przeszkadzają w łowach wydry, ale przychodzą co rano na brzegi przez nią nawiedzane i zbierają ryby zwykle niewiele przez zwierzę to uszkodzone.

Wydra żywi się też żabami, rakami, szczurami wodnymi i ptakami. Względem swych dzieci okazuje miłość najczulszą, daje się raczej ubić niż zechce je opuścić. Biegnie za człowiekiem, który jej zabrał małe, skarżąc się głosem żalosnym, wzruszającym do głębi. Wydrzeta odpowiada rozżaloną matkę głosem przypominającym płacz niemowlęcia.

Profesor Steler zabrał jedną wydry młode. Po upływie ośmiu dni, wróciwszy w to miejsce, znalazł samice leżącą nad rzeką w postawie rozpaczliwej. Zabił ją z łatwością, gdyż nie broniła się wcale, ani usiłowała uciekać. Zdzierając skórę, nielitościwy naturalista ujrzał, iż biedne zwierzę straszliwie wychudło.

Prawdopodobnie, po stracie dzieci nieszczęśliwa matka nie przyjmowała całkiem pożywienia.

Z trudnością przychodzi wydre upolować, gdyż przed człowiekiem się kryje, a wysledzona uchodzi do innej nory, w której sobie pomieszkano obiera.

Wydrzeta łatwo oswajać można, karmić je należy z początku chlebem i mlekiem, później rybami, zresztą dorosłe same potrafią się zaopatrywać w żywność, składając przytem swemu panu dań z połowu rybnego.

Pasek w swoich pamiętnikach opisał obyczaje ułaskawionej wydry, którą później ofiarował królowi Janowi III.

Wydra pojmuję człowieka jak pies, posłuszna na każde skinienie pana, łowi dla niego ryby i okazuje mu pewne przy-

wiązanie; żyje też w przyjaźni ze zwierzętami domowymi. Futro jej dość cenione, za skórę płać 12 — 20 rubli, używane bywa na czapki, kołnierze, mufki damskie i t. p.

Niemniej użyteczne jest futro wydry morskiej *).

(Życie i obyczaje zwierząt Brehma, przekład

W. Niewiadomskiego).

2. Wal czyli wieloryb grenlandzki.

Bywa najwięcej około 50 łokci długi, z czego jedna trzecia przypada na ogromną głowę. Obwód jego tułowia wynosi, jak u olbrotnika, od 22 do 30 łokci. Przód głowy ma zeszczuplony i spadzisty, na ciemieniu dwie rozgrozdzone pryskawki podłużne, oczy mało co większe od wolich i tak, jak niewidoczne otwory uszne, umieszczone blisko kąta gębnego, ma pletwę ogonową niespełna 5 łokci długą a przeszło 20 łokci szeroką, grzbiet bez pletwy, spód cały gładki, skórę nagą, na wierzchu śniadą, marmurkową, pod brzuchem białawą. Zamiast zębów ma w szczęcie górnej przy podniebieniu dwa szeregi płyt rogowych, zwanych rogowcami. Przy zamkniętej paszczy szczeka dolna obejmuje dolną część górnej.

Olbrzymi ten ssak, przychodzący na świat już około 14 łokci długi, żyje samotnie lub gromadnie obecnie już tylko w krajach podbiegunowych, północnych. Żywi się małymi zwierzętami morskimi: rakami, ślimakami, polipami, które krociami naraz pożywa. Większych zwierząt nie pożera, nie posiada bowiem zębów, a przelyk pomimo ogromnej paszczy ma mało co większy od dwóch pięści razem złożonych.

W paszczy jego, do 7 łokci wysokości, a przeszło 13 łokci długości, mogłaby się zmieścić łódka z kilku osobami. Dostarczając tranu i rogowców czyli fiszbinu, z których ludzie już od XII wieku znaczne ciągną korzyści, wystawiony jest wal na ciągle prześladowania z ich strony i staje się coraz rzadszy.

*) Zastosować do wydry cechy ssaków (str. 4, Nr. 3). Niech uczeń odpowiada na pytania: Jaką krew ma wydra? Jak wydra oddycha? Jaka jest budowa serca wydry? i t. d. Pytania takie, podyktowane przez nauczyciela, mogą służyć za temat do piśmiennego wypracowania.

Rogowce uszykowane są w liczbie trzechset do tysiąca jedno za drugimi. Tłuszcz, tworzący pod skórą warstwę do $1\frac{1}{2}$ łokcia grubą, wydaje po przetopieniu do 120 beczek tranu, sam język do 14 łokci długi wydaje kilka beczek. Wal waży od 100,000 do 190,000 funtów, sam tłuszcz zaś do 100,000 funtów, język około 560 funtów, a około 140 funtów fiszbin. Wala średniej wielkości cenią na 3,000 do 15,000 marek. Na połów jego wypływa jeszcze teraz rok rocznie do 3,000 okrętów. Skoro tylko łowcy spostrzegą wala, zbliżają się w łodziach ostrożnie ku niemu i rzucają nań osękę (harpun). Chociaż wal, gdy został trafiony, zanurza się zwykle, musi przecież wypłynąć dla oddechu na powierzchnię, i to już w minut 5 do 10, najdalej zaś w 30. Skoro się pokaże, ciskają nań znowu osękami, później zaś kołają go dzidami tak długo, dopóki biedne zwierzę w skutek upływu krwi nie zginie. Łowy te wszakże są niebezpieczne z powodu wielkości wala, tudzież nadzwyczajnej jego siły i szybkości poruszeń; jednym bowiem uderzeniem potężnego ogona jest w stanie przewrócić łódź, napelnioną ludźmi; nadto raniony pogrąża się tak nagle w głębinę, iż niechybnie pociąga za sobą kółło pod wodę, jeżeli zwinięty powróż, do którego przymocowana jest osęka, niedość szybko się odwija. Wal przepływa przeszło 30 wiorst na godzinę. Na skórze jego do 10 cali grubiej pasorzytuja rozmaite drobne zwierzęta, nade wszystko mięczaki.

M. Nowicki.

3. Przegląd ssaków.

Ssaki są ze wszystkich zwierząt najdoskonalsze, wydają żywe młode, które przez pewien czas karmią się mlekiem. Ciało mają pokryte zazwyczaj włosami rozmaitej własności, rzadko kolcami, lub też opancerzone albo nagie; odnoża zakończone są zwykle nogami, rzadziej rękami lub płetwami; palców u nóg od 5 do 1; szczęki opatrzone są rozmaitą ilością zębów. Oddychają płucami, krew mają czerwoną, ciepłą, a serce o dwóch sionkach i komorach, jak ptaki; narządy zmysłowe są zwykle dobrze wykształcone. Według jakości odnóży dzielą się ssaki na: pazurowce, kopytowce i pletwowce. Pierw-

sze mają palce wolne, ruchome i okryte na końcach pazurami lub paznokciami; pletwowce mają palce także wolne, ale mało ruchome, spięte błoną, uzdolniającą do pływania, nogi przeto są niby w płetwy zamienione. Pazurowce dzielą się podług ukształtowania odnóży, uzębienia i innych właściwości na: małpy, nietoperze, owadożerce, gryzonie, małpiatki, mięsożerce, szczerbaki, torbacze i stekowce *); kopytowce zaś są: parzystokopytne, nieparzystokopytne (trąbowce, damany lub po dawnemu gruboskórce czyli wielokopytne), przeżuwacze czyli dwukopytne, raciczne i jednokopytne; pletwowce dzielą się na cztero- i dwupletwowe. Budowa ciała u ssaków lądowych jest doskonalsza, niż u wodnych; u torbaczów i stekowców jest ona pod pewnym względem najmniej doskonałą. Ssaki przynoszą człowiekowi wiele pożytków, zaspakajając pierwsze potrzeby jego. Oprócz tego niektóre z nich posiadają przymioty, dla których mogą się stać pomocnikami ludzi w rolnictwie oraz przemyśle, towarzyszącymi a nawet przyjaciółmi i dobrodziejami, jak np. pies i koń.

M. Nowicki.

4. Podział zwierząt ssących **).

Do zwierząt ssących należą: koń, wół, owca, koza, pies, kot, wielbłąd, ren, słoń, muł, osiel, wiewiórka, zając, sarna, jeleń, lis, wilk, dzik, ryś, niedźwiedź, nadto—nietopérsz, mysz, szczur, pies morski i wiele innych. Wszystkie lęgną się żywo, ssą w dzieciństwie mleko matek, od czego téż ssacemi się zowią; mają one czerwoną, ciepłą krew i prawie wszystkie pokryte są sierścią. Ssące lub ssaki stanowią wprawdzie jedną gromadę, jednak ze względu na różnice, jakie między niemi zachodzą, podzielono je na następujące rzędy:

1. Zwierzęta czwororęczne, do których małpy należą.

*) Tu należą zwierzęta, mające usta dziobowate, przedłużone, jak: kolczatka, dziobak. Inaczej zowią się one jednootworowemi.

**) Uczniowie powinni porównać ten podział ssaków z innym podziałem, wskazanym pod numerem 3-im, który jest tylko na budowie odnóży oparty.

2. Zwierzęta skrzydlate, jak nietopérz, który jednak nie ma skrzydeł tylko błony lotne, rozciągnięte od przednich do tylnych nóg.

3. Zwierzęta drapieżne, do których się liczą: wszystkie koty, a więc lwy i tygrysy; wszystkie psy, a więc lisy i wilki; dalej niedźwiedzie, kuny, wydry, krety i jeże.

4. Zwierzęta workowate. Żyją najwięcej w Nowej Holandyi, a odznaczają się tém, że pod brzuchem mają fałdę do worka podobną, w której noszą swoje młode tak długo, dopóki te nie wyrosną.

5. Zwierzęta szczurowate albo gryzy. Do nich należą: myszy, szczury, zające, wiewiórki, świszcze i bobry.

6. Zwierzęta bezzębne, to jest takie, które klów wcale nie mają, — dwa przednie zęby tylko, a trzonowych wiele. Żyją w krajach gorących; do nich należy: leniwiec, mrówkojad i inne.

7. Zwierzęta jednokopytowe, jak koń, osieł i muł.

8. Zwierzęta przeżuwające, do których należą: krowa, owca, koza, jeleń, sarna, wielbłąd.

9. Zwierzęta wielokopytowe, do których się liczą: świnie, słonie, nosorożce.

10. Zwierzęta pletwonogie, z których najwięcej znany jest pies morski.

11. Zwierzęta pletwowe albo wieloryby, do których należą: wieloryb, delfin i inne.

Główne znamiona pojedynczych rzędów zawarte już są w ich nazwisku, dlatego trzeba należycie zwrócić uwagę na te nazwy rzędów.

(Przyjaciel dzieci Łukaszeńskiego).

Noc na wsi.

Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.
Srebrzy się pole,

Śpią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.
Tam brzoza biała
Włosy rozwiała.

Tu olchy błotne,
Rosą wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.
Tam bębnią bąki
Z zielonej łąki.

Z jezior głębokich,
Rybka zaświeci.
Z niebios wysokich
Gwiazdka przeleci.
Noc wonna miła
Wszystkich uspiła.

T. Lenartowicz.

5. Zimorodek.

Zimorodek jest około sześciu cali długi i pysznie ubarwiony, grzbiet bowiem ma zielono modrawy, głowę i pokrywy skrzydłowe lazuruwo cętkowane; wzdłuż grzbietu smugę świetnie lazuruwo błękitną, seledynowo mieniącą się; pasek przez oczy i boki szyi z przodu rdzawy, na tyle biały; gardziołek biały, zresztą spód ciała rdzawy. Ciało i szyję ma grube, krótkie; głowę ma stosunkowo wielką; dziób dłuższy, silny, prosty, kończysty, czworograniasty; język krótki, strzałkowaty; skrzydła krótkie i dosyć tępe; odnóża małe, wątłe, chodne, palec zewnętrzny zrosnięty z średnim po staw drugi, wewnętrzny znacznie krótszy — po staw pierwszy; ogon króciutki.

Należy do ptaków osiadłych i prowadzi, jak kordusek *), szczególnie sposób życia, przebywając samotnie nad zarosłymi strumieniami i rzeczkami, nawet młynówkami. Zwykle można go spostrzedz tylko wtedy, gdy leci nisko ponad wodą, zresztą bowiem kryje się w miejscach ustronnych, trzyma się ich nawet stale, gdy może się wyżywić. Lata nisko w prostej linii, zawsze w równej wysokości nad wodą, którą w ogóle niechętnie opuszcza. Dla właściwej budowy nóg rzadko kiedy chodzi; zwyczajnie siedzi nieruchomy na jednym i tém samym miejscu nisko nad wodą, zawsze cichy, z wzrokiem ku wodzie spuszczonej, oczekujący spokojnie zdobyczy. Czasem wśród tego nagle wyciąga szyję, nachyla się cały w dół i jakby strzala rzuca się w wodę, znika zazwyczaj zupełnie pod nią, wnet atoli kilkakrotnym poruszeniem skrzydeł znowu się wynurza i wlatuje na miejsce, gdzie przedtém siedział, strząsa z siebie

*) Mały ptaszek, należący do rzędu wróblowatych.

wodę, układa pierze i przybiera dawniejszą postawę rozpatrującą. Żywi się wodnymi owadami, zwłaszcza ważkowatymi, którymi też młode wykarmia, głównie zaś małemi rybkami, jak strzeblami *), kielbikami, na które, niby kot na mysz, cierpliwie czatuje na gałęzce drzewa nadbrzeżnego. Dłuższa słota sprawia go o głód, w mętnej bowiem naonczas wodzie trudno mu dojrzeć i chwycić łup. Zimą musi poprzestawać na oparzeliskach, wodospadach i innych od lodu wolnych miejscach. Niestrawione ości, łuski i inne twarde części w kłęb zbite wyrzuca z siebie, jak ptaki drapieżne. Pisklęta wylęga w końcu marca lub na początku kwietnia, w razie zaś spóźnionej wiosny lub wylewów wód—później. Gniazdo zakłada w norze, wygrzebaną w urwistym brzegu, po którym szczur lub łasica nie mogłyby się wspinać **).

M. Nowicki.

6. Ptaki.

Ptaki są ulubieńcami przyrody. Obdarzyła je ona prześlicznym barwnym upierzeniem, melodyjnym głosem i swobodą. Wznoszą się w górne warstwy powietrza nad lasy, jary, ponad wyniosłe garby górskie, gdzie żadne ze zwierząt lądowych szkodzić im nie może.

Ptaki budową zbliżają się najwięcej do ssących, w szkielecie ich znajdujemy tenże sam ustrój kostny, zmieniony tylko odpowiednio do nowych warunków bytu, zastosowany do lotu powietrznego.

W tej klasie zwierząt obieg krwi jest podwójny, serce złożone z dwóch połówek: prawej i lewej, krew ich krąży żywiej, gdyż zasilana jest większą ilością powietrza. Skrzydła same nie wystarczyłyby ptakom do utrzymania się w atmosferze.

*) Rybka, należąca do karpiowatych zwana też strzewęga (*phoxinus rivularis*).

**) Niech uczniowie zastosują do zimorodka ogólne cechy ptaków podług Nr. 6 p. n. „Ptaki.“ W tym celu nauczyciel układa szereg pytań, dotyczących ustroju kostnego, budowy serca, krążenia krwi, słowem wszystkiego, co znamionuje pojęcie *ptaka*, a co przy opisie zimorodka, jako osobnika, pominięte zostało.

rze, lot też ich wspiera podwójne oddychanie, nadając ciału lekkość i ogrzewając je tlenem, dlatego przebywać one mogą w najzimniejszych klimatach.

Ptaki są przedstawicielami wszystkich stopni organizacji;—jedne z nich latają w powietrzu, drugie chodzą po ziemi, inne wreszcie pływają w wodzie. Odpowiednio do rodzaju życia zmienia się budowa ptaków.

Mają one wszystkie zmysły wybornie rozwinięte, wzrok ich jednak jest najdzielniejszy. Oprócz dwóch powiek zwykłych, górnej i dolnej, oczy ptaków zaopatrzone są jeszcze trzecią, tworzącą fałd przezroczysty, osłaniający je niby roleta od zbyt silnego wpływu światła słonecznego. Podpowiekowa ta błonka zasuwalna pozwala orłu patrzeć prosto w słońce; cały zresztą przyrząd wzrokowy ma przedziwną budowę. Sępy i jastrzębie dostrzegają zdobycz w nizinach z powietrznych wyżyn, wśród których wydają się nam zaledwie, jak maleńkie czarne punkciki. Spadają też na dół z szybkością błyskawicy. Jaskółka w locie chwytając owady, a doświadczenia Spalanzaniego okazały, że dostrzega ona przedmioty, pięć tylko linii mające, w odległości 300 stóp.

Cóż mamy powiedzieć o szybkości lotu ptaków? Zwierzęta ssące najwięcej raczej przebiegają w godzinie 5—6 mil francuskich; niektóre zaś ptaki w tymże czasie mogą przebyć mil dwadzieścia. Kania, albo orzeł, mający wielkości 3 stopy, po upływie trzech minut znikają nam z oczu, wznosząc się w powietrze z szybkością 4228 stóp na minutę, czyli przelatując 86 mil francuskich w godzinę według obliczenia Devain'a.

Piotr Dell Valle podaje, że w Persyi gołąb wędrowny przelata w ciągu dnia drogę, której pieszy posłaniec nie mógłby odbyć w dniach sześciu. Sokół Henryka II, króla Francyi w pościgu za dropiem, wypuszczony z Fontainebleau, schwytany został nazajutrz na wyspie Malcie. Inny znowu sokół, wysłany z wysp Kanaryjskich do ks. Lerme w Hiszpanii, po upływie szesnastu godzin powrócił z Andaluzji na cypl Tentyf; przebiegł więc drogę 250 mil francuskich. Cały ustrój ptaka lot mu ułatwia. Oprócz piór, pokrywających wszędzie

ciało, wydrażone jego kości przedstawiają obszerne torebki, wypełnione powietrzem.

Ptaszę wyraża swe uczucia śpiewem, którym stara się uprzyjemnić sobie życie i zwrócić uwagę słuchaczy. Śpiew zmienia się odpowiednio do pór roku. Z wiosną zachwyca my się melodyją chórów skrzydlatych. Cóż jest miłszego nad świegot piegży, rozpoczynającój koncert przy wschodzie słońca, lub nad harmonijne spadki tonów słowika, zawieszonego na gałązce? Bez tych dźwięków przyroda byłaby smutna; ptastwo ożywia pola, przerywa ciszę lasów, rozwesela każdą samotnię. Gdy w noc milczącą natura zdaje się drzemać, zapadać w jakąś martwość, nagle z gęstwiny liści płyną w atmosferę tony miękkie, pieszczące, przerywające ciszę. Tu odzywa się krzyk żałosny, przejmujący, niby skarga, tam głuche westchnienie, owdzie świegotanie ciągle, podobne do szczebiotu dziecięcego. Gdzieindziej znowu dolatuje nas pieśń pełna marzeń i tęsknoty lub śpiew żywy, namiętny, który roznoszą echa.

Wszakże całe chóry tych śpiewaków rozpoczynają rzeczywisty koncert dopiero wówczas, gdy cienie nocne rozpraszają się, ustępując pierwszemu brzaskom światła słonecznego. Wszystko się wtedy przeistacza, ożywia, wszystko odradza, co przed chwilą było uśpione.

Wielkie ptaki wznoszą się pod obłoki, mniejsze przerzucają z jednej gałęzi na drugą, igrają wśród zieleni, udzielając przyrodzie coś ze swego wesela. Jakaż to rozmaitość w ubarwieniu ich piórek! Jakiż czar tych żywych, latających kwiatów, połyskujących złotem, srebrem i blaskami wszelkich barw oraz odcieni! Jakież tu życie i ruch nieustanny! Tu spostrzegasz sikorę, na gałęzi krzewu zawieszoną; dalej muchołówkę szarą, zawsze na wierzchołku drzew świegocącą; wyżej jeszcze skowronka, wzbijającego się pod obłoki, wdzięcznie zakręślającego koła; a tu niżej w trawce widzisz kosa, ścigającego muszki latające i tropiącego robaczki w ziemi ukryte.

Ptaki umieją porozumiewać się z sobą, jakby posiadały mowę. W niebezpieczeństwie wydają one tony odpowiednie,

wyraźnie ostrzegające. Obecność ptaka drapieżnego zdradza kos krzykiem ostrym, ucinanym; wszystko wówczas się kryje, następuje cisza w miejsce chóralnej muzyki.

Ptaki drapieżne gnieźdzą się na wyżynach górskich, na urwiskach skał samotnych, aby sąsiedztwem swém nie płoszyć legu ptasząt, służących im za pożywienie.

Trudno nam określić stopień inteligencji ptaków.

Zwierzęta ssące, których organizacja najwięcej się zbliża do naszego ustroju, wyrażają swe potrzeby, żądze, rozkosz, boleść ruchem i głosem, których znaczenie pojmujemy.

Umysłowość ptaków pozostaje dla nas tajemnicą. Aby sobie wyjaśnić ich logiczne czynności, wynaleźliśmy wyraz instynkt i przezeń tłumaczmy wygodnie wszelkie zjawiska inteligencji, dostrzegalne w tym świecie skrzydlatym.

Czułość matki dla piskląt, sztukę rozwiniętą w budownictwie gniazda, pamięć ptaszka, która prowadzi go do tego pomieszkania, strategikę jego w łowieniu owadów i w obrobie własnej zachowaną, szyk jego w odlocie do krajów cieplejszych, wszystko to uważamy za objawy bezwiednego instynktu, za popędy bezmyślne. Należy jednak raz przyznać, że ów zagadkowy instynkt dziwnie jest zgodny z ludzką inteligencją. W całym życiu ptastwa, równie jak w obyczajach ssących, napotykamy świadectwo pracy umysłowej tych stworów, jakkolwiek jój rozwój jest dość ograniczonym. Z pomiędzy wszystkich jestestw przyrody ptak odznacza się szczególnym przywiązaniem dla swój towarzyszek wybranych; zobopólna miłość tej pary kończy się dopiero ze śmiercią jednego osobnika.

W czasie wysiadywania jaj samica zmienia swe przywyknienia, dogląda jajek, nie oddalając się od gniazda, nawet wtedy gdy cierpi głód i pragnienie, gdy jój życiu zagraża niebezpieczeństwo. Spełnia ona swe obowiązki sumiennie, dopóki ciepło nie wywoła cudownej przemiany jajka w pisklę.

Czułość zresztą ptaków dla potomstwa objawia się w troskliwości ich o wygodę dzieci, w przezorności, z jaką wyszukują miejsc odpowiednich na gniazda, które budują z nie-

pospolitą sztuką. Czułość jednak ta znika, gdy ptaszę nie potrzebuje już opieki rodzicielskiej.

Na wiosnę ptastwo zaczyna zbierać materyjały do budowy pomieszkania, znosi w dziobku żdźbła mchu, słomy, trawy; ptaki większe z pokrzyżowanych gałęzi robią gniazdo mocne i bezpieczne dla młodego pokolenia, mniejsze lepia je z roślin, wyściełając wełną, włosem, puchem, przyczem samiec jak i samica pracują wspólnie i starają się tak urządzić budowlę, aby pisklęta miały łożo miękkie i ciepłe.

Matka używa rozmaitych sposobów celem ukrycia znieśionych jajek przed niedyskretnym okiem, wybiera ona na kryjówkę miejsca ustronne, krzaki, gałęzie widelkowate, dziuple drzew, kominy i poddasza.

Gniazda ptaków jednego gatunku są zawsze jednakowo budowane.

Podziwiać musimy przewidującą architekturę tych gniazd ptasich; rozpatrując się w niej, zdaje się nam, jakby ptaki uczyły się mularstwa, ciesielstwa, górnictwa, tkactwa, koszykarstwa. Wilga z pomocą kilku żdziebeł korzeni roślinnych zawiesza gniazdko na końcu giętkiej gałązki poziomej, aby je zabezpieczyć od czworonożnego zwierza. Podobne ono jest do koszyczka. Sroka w tymże celu wydrąża pnie starych drzew; gniazda jaskółek, zwanych *salanganami jawańskimi*, z najdelikatniejszych roślin morszczynowatych usłane, są wielce poszukiwane przez smakoszów Wschodu.

Im gatunek jest drobniejszy, tém większą ilość znosi jajek.

Orlica składa dwa. Sikora piętnaście do osmnastu.

Zbliża się wreszcie dla samicy pora wysiadywania, czas to pracy ciężkiej i długiej. Samiec krąży w pobliżu gniazda, aby je bronić w razie napadu nieprzyjacielskiego, nie lęka się wtedy walczyć nawet ze zwierzętami daleko od siebie silniejszymi; miłość rodzinna dodaje mu sił i odwagi. Samica nie oddala się wcale od gniazda, lub tylko na chwilę, gdy chodzi o wyszukanie żywności; w pierwszym razie samiec przy-

nosi jej pokarm, w drugim zastępuje w gnieździe swą towarzyszkę.

Ptaki drapieżne, drobne zwierzęta ssące, węże i psotne wiejskie dzieciaki są głównymi niszczycielami jaj ptasich. Lud nasz nie pojmuje wcale korzyści, jakie przynosi ptastwo i dopuszcza się występków z ciemnoty. Niszczyć ptastwo jest toż samo, co pozbawiać plony rolne naturalnych obrońców, tępiących milijonowe armije owadów żarłocznych, pustoszących zbiory; niszczyć ptastwo, jest to obdzierać przyrodę z wesela, unicestwiać ochoczość życia, popełniać ciężkie barbarzyństwo.

Pisklęta wreszcie wykluwają się, istoty to jeszcze niedołężne, słabe, bez piórek, z oczyma zamkniętymi. Rodzice karmią je, dopóki się dzieci nie opierzą, nie uczą używać skrzydeł i wyszukiwać sobie pożywienia. Matka uczy je tego wszystkiego, broni w potrzebie zapalczywie i często pada ofiarą swego poświęcenia.

Ileż to razy słyszymy żaloszny głos biednej jaskółki, gdy gniazdo jej mieści się pod gzemsem domu, objętego pożarem. Przebiega ona wśród płomieni, aby uratować dzieci lub wraz z nimi zginąć.

Kuropatwa, wypatrzona przez myśliwego, oddala się od gniazda umyślnie i na strzał naraża, aby tylko odprowadzić od dzieci nieprzyjaciela.

Niewdzięczne! oto dorosły i opuszczają bez żalu rodzinne gniazdo, lecą w przestrzeń powietrzną, nie troszcząc się o pozostawionych w smutku rodziców. Nie zmniejsza to jednak wcale czułości ptaków dla nowego potomstwa. Z równym staraniem lepia one nowe gniazda. Przyroda bowiem jest niewyczerpanym źródłem miłości.

Wiele gatunków ptastwa odbywa wędrówki peryjodyczne. Z przylotu i odlotu tych stworzeń wróżyminy sobie bliską wiosnę lub zimę. Przebywając w górnych warstwach atmosfery, ptaki lepiej od nas oceniać mogą zmiany, zachodzące w temperaturze powietrza.

Cóż je zagnało do podróży w odległe kraje?

Oto potrzeba cieplejszego klimatu, więc odpowiedniego ich życiu, gdy na rodzinną ziemi nastaje ostrzejsze już pod jesień powietrze. W tej porze wędrują w strony południowe, gdzie spotykają dobroczynne ciepło. Odwrotnie znowu, w czasie skwarnych upałów ptastwo szuka schronienia w strefach umiarkowanych. Niektóre gatunki nie odlatują wcale, gdyż mogą dosyć dobrze znosić rozmaite wpływy klimatyczne. Wędrowki są albo coroczne, peryjodyczne, albo też przypadkowe, spowodowane zaburzeniami atmosferycznymi.

Wielkie stada tych skrzydlatych wędrowców, prowadzonych przez doświadczonego wodza wyprawy, przebywają lądy i morza z szybkością zadziwiającą. Odlatują w jesieni, w chwili przyjaznego wiatru, przyjmując kierunek południowo-zachodni, na wiosnę zaś przylatują od strony północno-wschodniej. W Ameryce ptastwo zwraca się ku południo-wschodowi.

Ptaki wędrowne wracają z wycieczek do tychże samych znanych im okolic, niekiedy nawet do gniazd, które opuściły, co dowodzi ich pamięci, objawu zatem władzy umysłowej.

Jak mogą te wątłe, drobne istoty odbywać tak dalekie podróże, zatrzymując się tylko w pewnych miejscowościach dla posiłku? Jak może na przykład przepiórka odważać się na dwukrotne w ciągu roku przebywanie morza, z Afryki przelatywać do Prowancyi lub Langwedocy? Są to pytania, które—pomimo rozmaitych przypuszczeń—dotąd ostatecznie wyjaśnionymi nie zostały.

Długoletniości życia ptaków prawie nie znamy; papugi dochodzą podobno stu lat życia, szczygły, zięby, słowiki, w klatkachzymane—24 lat. Czapla, którą chowałem, powiada Girardin, liczyła 52 lat, gdy wypadkiem od postrzału zginęła. Obserwowano też bocianów, zajmujących w ciągu lat 40-u jedno gniazdo. Wszystko to stwierdza, że ptaki żyją nie różnie dłużej od zwierząt ssących.

Ptaki drapieżne obdarzone są większą od innych siłą żywotną i trwalszą budową fizyczną.

Ptaki przenoszą się z jednych okolic w drugie, w klimaty najrozmaitsze, dla tego trudno jest stałe miejsca ich pobytu ozna-

czyć; ale także wiele gatunków nie opuszcza wcale stron rodzinnych. Kolibry przebywają tylko w dość ograniczonym paśmie; słowika nie napotykamy w Szkocyi, chociaż utrzymuje on się w Szwecyi, kraju nierównie zimniejszym; tukan zamieszkuje wyłącznie Amerykę południową. Jaskółka mogłaby równie łatwo dostać się do Ameryki, jak do Afryki, a jednak nigdy nie nawiedza nowego lądu.

Oprócz tego spostrzegamy, że każda strefa ziemi posiada odpowiednie sobie gatunki ptaków. W Afryce znajdujemy *strusia*; w Australii *kiwi*; Azyją zamieszkuje *kazuar*, Amerykę *kondor*, typ siły i *kolibr*, przedstawiciel wdzięku.

Nie idzie zatem, aby ptaki aklimatyzować się nie dały; jeżeli znachodzą one warunki odpowiednie ich ziemi ojczystej, utrzymują się dość dobrze w obczyźnie.

Największą różnaitość barw i kształtów przedstawiają ptaki właściwe Azyi, Afryce i Ameryce.

Ptak nie tylko rozwesela naszą myśl, zachwycia ucho śpiewem, wzrok barwnym upierzeniem, ale nadto dostarcza delikatnego pożywienia, puchu i ozdób, do jakich należą np. pióra marabuta, pawia i ptaka rajskiego, używane zwykle do strojów kobiecych.

Wszystkie te przecież korzyści są niczem w porównaniu z usługami, jakie nam oddaje ptastwo, niszcząc miliony owadów, poczwerek, gąsienic szkodliwych. Bez jego pomocy roje robactwa pożarłyby do szczytu plony ziemi.

Nie tak dawno jeszcze uważano wróbla za wielkiego szkodnika. W Prusiech tępiono go więc bez litości; za każdą główkę tego ptaszka rząd płacił tam pewne wynagrodzenie. Był to przesąd i nieogłędność, które sprowadziły oplakane następstwa. Niezliczone bowiem armije żarłocznych owadów gospodarzyły sobie w polach, niszcząc zbiory. Potrzeba było znowu płacić, ale już tym razem za każdego żywego wróbla. Dostarczycieli nie brakło i zachwiana równowaga w przyrodzie wkrótce przywróconą została. W rzeczy samej ptaszyna ta, przynosząc nam więcej pożytku niż szkody, tém bardziej na oszczędzanie zasługuje.

Sępy i bociany znowu rzucają się na wszelką padlinę, powstrzymując zabójcze rozkłady ciała, gniciem zagrożonych, a w tém dziele wspiera je liczna armija owadów pożytecznych, chroniących atmosferę od zepsucia. Jedne i drugie tworzą tu przeto stróżami zdrowia publicznego.

W Persyi dziś, jak niegdyś w Europie, używają sokoła do polowania; w Chinach i Japonii—kormorana i pelikana do połowu ryb; w Europie i Azji—gołębia do przesyłania listów. W Ameryce wreszcie ptak, zwany *agami*, strzeże trzody, swojej pieczy powierzonych i z równą sumiennością, jak pies, spełnia ten obowiązek. W Kajenie tenże ptak wyprowadza w pole zrana indyki, kaczki i w ogóle drób domowy, baczy pilnie, aby żadna sztuka nie oddalała się od stada i wieczorem wraca do domu z tą rzeszą, utrzymywaną w karności oraz wzorowym porządku. Niekiedy oddają mu pod nadzór owce, objawia wtedy żywe zadowolenie radosnym krzykiem, odbierając w nagrodę swój gorliwości pieczy pana.

Ptaki odznaczają się pierzem różnobarwnym, szczęki mają bezzębne, pokryte natomiast rogowym dziobem, nozdrza parzyste, zewnętrzny otwór ucha bez konchy, szyję zwykle długą, mózg stosunkowo wielki, piersi bardzo silnie rozwinięte. Długa ich dysza, często pozaginana, przyjmując wiele powietrza, jest tém samém uzdolnioną do wydawania najrozmaitszych tonów. Krew ptaków jest gorąca, dochodzi 40° R., a zatem jest cieplejszą od krwi ssących. Szkielet ich jest lekki, kości, wydrążone i wypełnione powietrzem, lot im ułatwiają. Mostek mają szeroki z grzbietem wystającym, obojczyk widełkowaty. Pod pierzem ptaka mieści się puch delikatny, a wierzchnie pióra tłustawe nie przepuszczają wilgoci. Pierzenie się ptaków ma miejsce w lecie; ptak zrzuca wtedy z siebie dawną sukienkę i przyodziewa się w nowe szaty.

Samice znoszą od 1—20 jaj, powleczonej wapienną skorupą; wysiadywanie ich trwa około trzech tygodni. Pożywienie tej klasy zwierząt bywa tak roślinne jak zwierzęce. Nogi ptaków opatrzone są co najwięcej 4 palcami, kości stopy mają podługne i zrosłe zjedną, zwaną *tarsem*, której staw z ko-

ścią goleniową tworzy tak zwany *przegub*. U niektórych ptaków dziób przy nasadzie bywa pokryty skórą, której nadano nazwę *woskówki*, z powodu żółtego jej ubarwienia.

Liczymy 9 rzędów ptaków, a mianowicie: *)

- | | | |
|---------------|----------------|---------------|
| 1. Drapieżne. | 4. Śpiewające. | 7. Brodzące. |
| 2. Łażące. | 5. Grzebiące. | 8. Pływające. |
| 3. Krzyczące. | 6. Biegające. | 9. Gołębie. |

TREŚĆ:

Cechy ptaków.—Szybkość lotu.—Przyroda i twory skrzydlate. — Miłość rodzinna.—Inteligencja.—Wędrowki.—Długoletniość życia.—Jakie użytki ptastwo nam przynosi?—Prześladowany wróbel. Usługi gołębia, sokoła, agami.—Fizyczny ustrój ptaków.—Podział.

Życie i obyczaje zwierząt Brehm'a.

Poranek na wsi.

Nieznacznie, z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwo jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu,
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tedy ma zstąpić na ziemię;
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drżemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdrybało zające przy późnym śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtanu:
Dziś, okryte tumanem, te mokrzyce **) chrupią,
Te, jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolnym powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.
I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa;

*) Ogólniej można podzielić ptaki na: *gniazdowniki*, których pisklęta pozostają jakiś czas w rodzicielskim gnieździe i *zagniazdowniki*, których młode opuszczają gniazdo, skoro się tylko wylęgą. Które ptaki należą do pierwszych a które do drugich?

**) Do roślin *mokrzycowatych* (Alsineae) należą: szporek, gwiazdnica, rogownica i mokrzyca.



Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów, kałuży,
Klekce bocian. Na kobach siedzą wrony zmokłe;
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe;
Obrzydłe gospodarzom, jako wróży sloty,
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.
Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żelaza i w takt kuja w młotki.
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku na snopie zboża Ekonom usiadłszy,
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,
Kędy działa się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Adam Mickiewicz.

(Wyjętek z Pana Tadeusza).

7. Grobarz.

Do owadów najużyteczniejszych dla człowieka należy *grobarz*. Kiedy śmierć zrywa węzły pomiędzy materjami składającymi ciało zwierzęcia, gdy te materjały rozdzielają się skutkiem rozkładu, wówczas związki gazowe, w nich wytworzone, ulatniają się w powietrze, związki zaś stałe pozostają na ziemi. Owoż, gromadzenie się w atmosferze gazów (w których skład wchodzi: wodór, fosfor, siarka), pochodzących z gnicia zwłok zwierzęcych, wywarłoby — pomimo roślin, pochłaniających zaraźliwe wylęwy — wpływ niezmiernie szkodliwy na powietrze, którym oddychamy, gdyby przyroda temu nie zaradzała. Wiele też ludzkich chorób powstaje z ukąszenia owada, który przedtém na gnijącej padlinie spoczywał.

Od tych to niebezpieczeństw oswobadza nas grobarz, słu-
ga bezpłatny i pracowity, któremu należałoby się od nas opie-

ka, zamiast prześladowania i pogardy. Jeżeli w czasie pięknej pogody, używając przechadzki, spotkasz czytelniku zwłoki zwierzęcia, zatrzymaj się ukryty gdzie za krzakiem, a to, co ujrzysz, nagrodzi twą cierpliwość i ciekawość nasyci. Po jakimś bowiem czasie wyczekiwania usłyszysz głuchy szmer, dolatujący cię z górnych warstw powietrza, — szmer szczególny, zagadkowy, który stawać się będzie coraz wyraźniejszym. Któż go sprawia? Oto wielki żuk *tęgopokrywowy*, — *grobarz*.

Długość jego ciała dochodzi 9—15 linii, głowę ma wielką, trójkątną, uzbrojoną silnymi szczękami i opatrzoną dwiema mackami, odsuniętymi od siebie i zakończonemi paleczkami, czyli rożkami bulwiastymi. Pancerz grobarza jest wypukły, mocny, prawie kwadratowy, pokrywy, krótsze od grubego kończastego odwłoka, przykryte są długimi skrzydełkami. Sześć silnych, długich nóg kończy się haczykowato. Barwa żuka jest czarna, pręga pomarańczowa przechodzi przez środek jego głowy; pancerz i pokrywy mają brzegi tegoż koloru. Przypatrzwszy mu się bliżej, dostrzeżliśmy, że ciało jego pokrywają drobne owady pasorzytne, zwane *żukowcami*. Zbliżywszy się więc ku niemu, a uczujemy mocną woń piżma zatęchłego, woń nieprzyjemną, charakterystyczną.

Poznajomieni już cokolwiek z fizjognomiją tego owadu, zbadajmy teraz jego działalność. Oto spada na zwłoki zwierzęcia martwego, krąży koło nich i wkrótce potem odlatuje, aby przyzwać towarzyszy. W rzeczy samej, po chwili zbiera się zwykle pięciu, a najwięcej siedmiu grobarzy, które okrażają zwłoki dookoła. Potém następuje, jakby narada za pomocą macków, któremi owady te dotykają się wzajemnie i w ten sposób porozumiewają się z sobą. Po wymianie myśli następuje czyn. Grobarze wciskają się pod ciało zwierzątka i zaczynają kopać dołek z pomocą swych nóg, silnie zbudowanych.

Przedniemi nogami rozkopują one ziemię, tylnymi odrzucają ją na bok. W czasie téj roboty żukowce złażą z grobarzy i wchodzi na zwłoki. Gdy grób ma już odpowiednią głębokość, czyli, gdy pomieszcza w sobie nieboszczyka, gro-

barze wychodzą z dołu, gromadzą się na wierzchu ciała i grzebią je. Mogiła przyjmuje postać wzgórka. Jak tylko pierwsze cząstki ziemi na tę mogiłę padać poczęły, żukowce, pozostające na zwłokach, spieszą znów zająć miejsce na ciele grobarzy, które przyjmują tych gości, jak dobrych znajomych, niewiele ważąc sobie ów narzucony ciężar. Wkrótce potem żuki wznoszą się w powietrze.

To pierwszy akt widowiska.

Jeżeli świadek scen przez nas opisanych ma dość czasu, chęci i cierpliwości, aby się przyjrzeć drugiemu aktowi, niech jeszcze odwiedza świeżą mogiłę przez kilka dni następnych, a w ciągu tygodnia dostrzeże naszych grobarzy powracających w toż samo miejsce. Żuki wykopują wówczas otwór okrągły i wsuwają weń swój odwłok. Są to samice, przychodzące złożyć jajka w ciele zwierzątka pogrzebionego. Po kilku dniach możemy być widzami aktu trzeciego. Ciepło, wywiązane z rozkładu materij zwierzęcych, wpływa na wyklucie się z jajek potomstwa.

Młode poczwarki są kształtu podłużnego, na kończynach ich ciała mieszczą się kolce. Barwa nowozrodzonych poczwarek jest biała z żółtymi plamami. Żarłoczność zaś tych istotek przechodzi wszelkie granice, pożerają one chciwie wszystkie materije rozkładowe zwierzęcia, służącego im przedtem za kolebkę, nie wyłączając ścięgn i drobnych kosteczek. Następnie przechodzą różne stany przeobrażeń, aż w końcu stają się grobarzami. Wychodzą wtedy ze swego schronienia, niepokryte jeszcze żukowcami, jak ich rodzice, łączą się z towarzyszami i uczestniczą we wszystkich wyprawach pogrzebowych.

Wypada nam tu jednak nadmienić, że czynność grzebania zwłok ma miejsce jedynie w czasie, kiedy chodzi grobarzom o odrodzenie się w potomstwie. W zwyczajnych warunkach bytu poprzestają one na pożeraniu padliny, na jaką narażą i to z żarłocznością nieporównaną.

Juliusz Bénoit, zajmujący się oddawna studyjowaniem obyczajów owadów, powiada, iż widział jednego dnia kuro-

patwę nieżywą, z której nazajutrz rano już ani jedna cząsteczka mięsa nie pozostała na szkielecie; wszystko do kości objadły grobarze.

Podobną biesiadę żuki wyprawiają sobie na kretach; ucztę zaś takie nie trwają długo, a tém samém powietrze prędko oczyszczone zostaje.

Z powyższego opisu osądzić można, o ile grobarze są dla nas użytecznymi i czy wstręt do tego owadu jest uzasadnionym.

Grobarz broni nas od rozszerzania się miazmatów, zarażających atmosferę, zabezpiecza od ukąszeń much zjadliwych a nawet prawdopodobnie niszczy muchę niebieską, czyli tak zwaną *ścierwnicę*, która w czasie lata składa na mięsie tysiące jajek, przekształcających się w krótkim czasie w robactwo.

Wprawdzie grobarz nie jest bynajmniej stworzeniem powabnym, przyznać jednak trzeba, że uwalnia nas od wielu wcale niemiłych i przykrych rzeczy. (Podług Brehm'a).

8. Przegląd owadów.

Są to członkonogi mające ciało wyraźnie podzielone na głowę, tułów i kałdun. Głowa opatrzona jest parą rożków, 2-ma parami szczęk, parą wielkich oczu siatkowanych, często także kilku przyoczkami. Tułów złożony jest z 3-ch obrączek, opatrzonej 3 parami nóg członkowanych, różnie urządzonych i zwykle téż 2 parami skrzydeł jednakich lub odmiennych, usposabiających owady do latania. Kałdun obrączkowany, beznożny. Owady oddychają tchawkami, które się po bokach ciała przetchlinkami na zewnątrz otwierają. Pokarm biorą zwierzęcy lub roślinny i to stały lub ciekły, stosownie do czego narzędzia pyszczkowe są urządzone u jednych do gryzienia, u drugich zaś do ssania lub lizania. Owady ulegają przeobrażeniu, częścią zupełnemu, częścią niezupełnemu. Rozsiedlone są na całej ziemi, a ilością gatunków przewyższają wszystkie inne zwierzęta, razem wzięte.

M. Nowicki.

J e s i e ń.

Coraz ciszej—Wrzesień! Wrzesień!
Słońce rzuca blask zukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa;
Ha! i jesień, polska jesień!

O! jesieni złota nasza,
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci,
I kojącej pełna treści.

W pożegnanie grają lasy,
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łaki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą,
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.

Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory;
Pajęczyny srebrnym dzianym,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk odsłonić na raz oku,
To się wznosi, to opada—
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W płataninie tęczy i gazy;
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzega,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku,
Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane.

Aż gdy cicho złote słońce,
Z dobrą wieścią wyśle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,

I po czarach lży się żalą,
Za wzgórkami gdzieś niebios
Jarzębatą płyną falą.
W blasku słońca perli rosa;
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha,
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota,
Nigdzie głosu, nikt nie śpiewa;
A po duszy się rozlewa
Jakiś smutek czy tęsknota.
Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żóraw rzuca strażę,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora,
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona,
Przysporzyła i oddaje;
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone, całe staje;
A ta srebrna pół tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku,
Gdy liść zwiedły się przegania,
Ziemia, zda się, wówczas marzy
Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze,
I żywotem swoim waży
Wielkie myśli zmartwychwstania.

Jest we Włoszech piękna wiosna,
Włoskich wieszczów ukochanie,
I czarowna i radosna,
Że słów ledwo dla niej stanie!
I jest starych bogów lato
Gdzieś tam greckie, co bogato
I rokosznie duszę poi.

Lecz jest także w ziemi twojej,

Starych bogów upominek;
Miasto mirtu, jest barwinek;
Miasto lauru, dąb w jesieni!

Jesień, jako święta ksieni,
W ziemi Piastów gospodarzy;
I jak pani miłościwa,
Tak łaskawą, szczodłą bywa,
Że już tylko wszystkich darzy.

Wincenty Pol.

9. Ostryga jadalna.

Ostryga jadalna ma skorupy krągławo jajowate, zwężone przy zawiasie bezzębną, grube, z licznych warstw złożone, przytęp nierówne, t. j. spodnią wklęsłą i większą od górnej, która tworzy płaską pokrywę. Na wewnętrznej stronie każdej skorupy prawie w samym środku ma po jednym mięśniu do zamykania skorup. Płaszcz dokoła rozcięty z strzępiastym brzegiem.

Jest to małż, obok perłopława, pod względem ekonomicznym ze wszystkich najważniejszy. Żyje przy wybrzeżach mórz europejskich, z wyjątkiem Bałtyckiego, w niewielkiej głębokości. Mając nogę zmarniałą, siedzi na miejscu przytwierdzonej powierzchnią dolnej skorupy do skał i innych przedmiotów w tak wielkiej ilości, iż tworzy tak zwane ławice czyli łożyska ostrygowe. Żywi się istotami organicznymi, które woda donosi między skorupy nieco otwarte. Rozmnaża się przy okolicznościach sprzyjających łatwo i prędko. Młode poruszają się wolno i dopiero później osadzają się stale. Ostryga była już od najdawniejszych czasów ulubionym pokarmem mieszkańców nadmorskich, jest nim i dziś jeszcze, dlatego łowią jej corocznie po kilkanaście milionów i jedzą żywe, polane sokiem cytrynowym. Mnóstwo ostryg rozsyłają kolejami lub statkami w chłodnych miesiącach także do większych miast Europy środkowej. Złowione ostrygi zamykają się szczególnie w swych skorupach, przyczem w nie tyle wody mor-

skiej nabierają, iż przez jakiś czas mogą oddychać i utrzymać się przy życiu; aby więc, przeznaczone do rozsyłki, nie mogły się otworzyć i tej wody wypuścić, pakuje je zbito w beczulki i tak rozsyłają.

Ponieważ przyrodzone ławice ostryg nie starczą potrzebie, więc nadmorscy mieszkańcy Włoch, Anglii, Francji, hodują je w sztucznych zasiębach morskich, co tę korzyść przynosi, że ich mniej marnieje, niż żyjących w morzu, narażonych na różne przypadłości.

M. Nowicki.

10. Perły.

Przenieśmy się na wyspę Cejlon, gdzie najpiękniejsze poławiają perły.

Na brzegu mnóstwo ciekawych widzów, na morzu mnóstwo szerokich i długich łodzi, a w każdej z nich kilkunastu, do dwudziestu ludzi, z tych zawsze połowa nurków, połowa ich pomocników; prócz tego na każdym prawie statku stoi dziwnie przybrany mężczyzna, chlubiący się tytułem czarodzieja lub wróżbity, który tajemniczymi słowy, dziwnym wykrzykiwaniem rąk zaklina morskie bałwany, rekiny i inne potwory, aby nie szkodziły nurkom i udziela im amulety, mające zapewniać obfity połów i wszelkie bezpieczeństwo. Każdy nurek opasuje się mocnym powrozem, którego jeden koniec dźwiga kilkudziesięciopuntowy kamień, drugi zaś umocowany jest w łodzi pod strażą jednego z pomocników.

Otrzymawszy mniemane błogosławieństwo czarodzieja, nurek przyczepia do pasa długi siatkowy worek, jedną ręką chwytając nóż, drugą zatyka sobie nos i usta, aby dłużej pozostać pod wodą i rzuca się w fale. Już wszyscy zatopili się w głębinie; milczenie oczekiwania i niepewności panuje między widzami, gdy nagle poruszyła się lina umocowana przy jednej z łódek, ciągną ją szybko za pomocą kołowrotu i szczęśliwy nurek wypływa z pełną torbą perłowych ostryg (perły mieszczą się wśród ślimaków bardzo do ostryg podobnych) i wysy-

pawszy je na łodzi, spocząwszy nieco, znów się na dalszy zapuszcza połów. Ale nie wszystkim tak szczęśliwie się udaje, nie każdy znajdzie obfitość perłowych muszli w miejscu, gdzie na dnie morza stanie, a posuwać się pieszko nie może, gdyż kamień, który mu pomaga do oparcia się sile wody, nie pozwala swobodnej przechadzki. Nieraz też zdarza się, że za gwałtownym szarpnięciem liny, pomimo pośpiechu wyciągną nurka na pół uduszonego lub zbroczonego krwią, która ze zbyt dużego wysilenia rzuca mu się nosem, uszami, a czasem i ustami. Czasem też zdarza się, że nurek, zaskoczony przez jakiego morskiego potwora, za całą broń mając nóż, służący do odrzynania muszli od skał podwodnych, musi walczyć słabym orężem ze strasznym nieprzyjacielem, a walczyć rozpaczliwie, przytomnie, choć w obcym sobie żywiole, bo tu idzie o uniknięcie straszliwej, przerażającej śmierci.

Jakież uczucie musi ogarniać patrzących i domysławiających się okropnego pod falami działania po poruszeniach liny i wody, po zakrwawionych bałwanach, a przecież nikt dopomódz nie może i nie śmie, bo pociągnięcie liny mogłoby walczącemu wytrącić z rąk zwycięstwo. Po długim dopiero niepokojem danym znakiem wyciągają nurka, a za nim bez życia wypływa srogi napastnik; ale też często i zwycięzca pokaleczony, wysilony, życiem tę walkę przypłaca. Dodajmy do tego, że nie zawsze jeszcze zwycięża, że czasem poszarpany pod wodą umiera, nie mogąc nawet spojrzeniem pożegnać ziemi, rodziny i słońca, które mu przez życie świeciło.

(Wzory prozy Rymarkiewicza).

11. Zwierzęta u nas i w prowincjach ościennych.

Fauna polska liczy przeszło 50 gatunków zwierząt ssących z rzędów rękoskrzydłych, drapieżnych, skrobogryzów, wielokopytnych, jednokopytnych i przeżuwających. Pomiedzy temi jest kilka gatunków takich, które w zachodniej Europie zupełnie już zostały wytępione, jak np. żubr, łos i ryś.

Znajdujemy tu sto kilkadziesiąt gatunków ptaków morskich, lądowych i wodnych, w których przedstawione są wszystkie rzędy gromady ptaków. Polska odznacza się szczególnie wielką liczbą ptaków śpiewających, ale upierzenie ptactwa naszej grupy zoologicznej nie jest bardzo świetne. Najpiękniej upierzone ze wszystkich ptaków naszych są: żółna pospolita, dudek pospolity, kraska pospolita i wilga pospolita, które w corocznych wędrówkach z południa nadlatują do krain polskich.

Jest tu i wiele gatunków ryb, najwięcej z rzędu miękkopłetwych: łosoś, pstrąg, lipień, szczupak, karp, lin, śliz, sum; dalej: miętuz, węgorz, okoń, sandacz; na koniec kilka gatunków jesiotrów w dolnej Wiśle i dolnym Dnieprze, oraz Dniestrze.

Co do płazów, zwierząt zestawnych i brzuchowców, jest nasza grupa zoologiczna uboższą od południowej.

Z gromady płazów są u nas jednakże wszystkie rzędy. Rząd żółwi reprezentuje tylko żółw błotny europejski. Rząd jaszczurek przedstawiają trzy gatunki jaszczurek właściwych: korbasa z rodziny scynków, zwanego na Ukrainie żółtopuzem, i padalca. Z rzędu węży, pomiędzy którymi największy położ ukraiński, żyjący nad dolnym Dnieprem i Dniestrem, najliczniejsze jest skupienie niejadowitych, do którego należą najpospolitsze u nas węże gładkie i wodne. Z jadowitych znany jest u nas jeden tylko gatunek z rodziny rurkozębnych, t. j. żmija, zwana pospolicie gadziną. Rząd skrzeków liczy u nas kilka gatunków żab i ropuch, salamandrę i dwa gatunki trytonów.

Zwierzęta zestawne reprezentowane są przez wiele gatunków z gromady owadów, z których najważniejsze są pszczoły i bardzo mało u nas rozpowszechnione jedwabniki; dalej—przez kilka gatunków z gromady pajaków, do której należy niedźwiadek; z gromady raków obrączkowych i na koniec z gromady robaków.

Z brzuchowców są u nas głównie mięczaki, do których należy kilka gatunków ślimaków i gładyszek, pospolitych w wodach stojących o dnie mulistém.

Co do rozdzielenia zwierząt na różne okolice i krainy, to

prawie wszystkie gatunki zwierząt ssących i ptaków naszej fauny są zarówno rozpowszechnione na całym obszarze ziem polskich. Szczególnie ptaki drapieżne nie trzymają się pewnej dzielnicy, gdyż, ścigając inne ptactwo, unoszą się za ich wędrównymi gromadami od wybrzeży Bałtyku i szczytów Karpat, aż na obszary stepowe nad morzem Czarném. Podobnie zwierzęta, żyjące roślinami lub ziarnem, jak np. zające, wiewiórki, myszy, dalej niektóre gatunki łasic, jak tchórze i kuny,—owadożernych, jak krety i jeże, na koniec wilk i lis są pospolite we wszystkich prawie okolicach naszych, od najdalszych kończyn północnych do kresów południowych. Również i chów wszystkich naszych zwierząt domowych, z małymi bardzo wyjątkami, nie jest ograniczony na pewne tylko krainy, lecz obejmuje cały obszar dawniej Polski, jakkolwiek w różnych okolicach przeważa w gospodarstwie hodowanie różnych zwierząt.

Wszelako niektóre gatunki zwierząt naszej fauny odpowiadają głównie pewnym dzielnicom roślinnym i są cechującymi dla pewnych krain oraz okolic.

I tak, leśna kraina gór jest siedliskiem niedźwiedzia, dzika, jelenia, głuszcza, cietrzewia i jarząbka. Lecz na górnej granicy pasu leśnego, gdzie się poczynają połoniny, gnieździ się już ptactwo drapieżne, a innej zwierzyny brak, bo ją stamtąd wypłaszają górale, wypasający latem swoje trzody na wierzchowinie.

W krainie hal i turni tatrzańskich żyją dzikie kozy, świstaki i mała ptaszyna siwarnik, gnieźdząca się w szczelinach skał a zaroślach kosodrzewu.

Zresztą, roją się tak hale jak i wszystkie łąki na połoninach mnóstwem bydła, które spędzają tutaj letnią porą nawet z równin na paszę. Ale owce i kozy najlepiej się chowają w Beskidzie Szerokim, gdyż tamtejsze suche góry odpowiadają im więcej, niż mokrzejsze zachodnie, to też tylko na stoczyści czarnomorskiej Karpat prowadzi się chów owiec na większe rozmiary. Najpiękniejszy zawód bydła rogatego znajduje się w górach Stryjskich powyżej Skolego, a najlepsze

konie odmienną rasy, pochodzenia tureckiego, zwane huculkami, chowają w górach Kołomyjskich.

Jak pod względem botanicznym różnią się cieplejsze okolice międzygórskie od właściwych górskich uprawą jęczmienia i pszenicy, tak pod względem zoologicznym cechują je głównie gniazda bocianie, gdyż bocian nie zapuszcza się wgłąb gór, a linia jego ogranicza najdokładniej właściwą górską krainę. Razem z bocianem pozostaje w dolinach podgórskich i słowik, gnieźdząc się na wiosnę w zaroślach wiklin, gdzie jesienną porą zasiadają niezliczone stada szpaków.

W polistych obszarach na stoku bałtyckim tylko drobniejsza trzyma się zwierzyna. Oprócz zajęcy, żyje tu lizka, w niektórych okolicach borsuk, w większych lasach sarna, a miejscami daniel. W polach gnieździ się przepiórka i kuropatwa, a po łąkach derkacz i kszyk.

W czasie wezbrania wód zalatuje tu od północy morskie ptastwo, brzegi rzek obsiadają morskie wrony i rybitwy. Właściwą dzielnicą ptastwa lądowo-wodnego są jednak krainy stepowe, gdzie po stawach, wśród ciepłych jarów gnieździ się ich i wywodzi niezliczone mnóstwo, ożywiając całe okolice ruchem swoim po zwierciadłach wód i przelotem na żerowiska.

Krainy stepowe są także właściwą dzielnicą czapli, żórawia, dropia i pardwy. Na krańcu południowym jawią się po rzekach pelikany i łabędzie, które, ciągnąc stamtąd ku północy na stawy, zapuszczają się czasami aż na Podole.

Grubszy zwierz, okrom wilka, rzadszym jest na stepowych obszarach, dla których są cechującymi susły i chomiki. Lizka i borsuk żyją w norach tylko po zboczach jarów, nad stawami trzyma się wydra, a dzik znajduje się jedynie w błotnistych, zarosłych oczeretami kotlinach nadrzecznych w pobliżu lasów.

Chowają też tam szczególnie dorodną rasę bydła siwego, z którą pospół w południowych okolicach wypasają stada bawołów. Chów koni na większe rozmiary ogranicza się także głównie do stepowych krain.

Najobfitszą w zwierzta grubszego jest kraina puszczy.

Oprócz zwierząt leśnej krainy górskiej, cechują jeszcze faunę tamtejszą: żubr, łos, ryś i żbik. Żubr jest jednak i tam bardzo już rzadkim i zostaje pod opieką straży rządowej. Łos pospolity zapuszcza się czasem ku południowi aż w bory Ohladowskie. Niedźwiedź czarny jawi się tylko zrzadka w pogranicznych borach na górnych gałęziach Dźwiny i Dniepru.

Nad jeziorami i rzekami w głuchych ostępach puszczy żyje bóbr, którego żeremie niegdyś bardzo zagęszczone, szczególnie na stoku bałtyckim, dziś wszędzie już wyginęły, okrom Litwy i Polesia, gdzie się tylko szczątki dawnych wielkich żeremi zachowały.

Puszcze odpowiadają odmiennemu sarnowatemu zawodowi bydła, mniej okazałemu niż stepowe, ale krowy żuławskie nad dolnym Niemnem i Wisłą nie ustępują podolskim i ukraińskim.

Na Pojezierzu nadlatują całe stada ptastwa morskiego które, krążąc po nad jeziorami i rozlaniami szeroko rzekami tej krainy, nadają wyraz właściwy fizjonomii jej okolic, podobnie jak mnogość ptastwa lądowo-wodnego okolicom stepowym.

Sokoły właściwe trzymają się także przeważnie północnej krawędzi kraju; do Prus w czasie tęgiej zimy przybywa niekiedy z północy sokół islandzki czyli białozor.

Dzielnica puszczy jest nakoniec właściwą krainą pszczoł, rojących się tutaj w samorodnych barciach leśnych. Przez pasiecznictwo rozpowszechnił się stamtąd ten miodonośny owad po całym obszarze kraju i pasieki równie się zagęściły po jarach, przy futorach ukraińskich, jak na Litwie i Polesiu, gdzie je ustawiają po konarach sosen dla zabezpieczenia przed niedźwiedziem.

Lucyjan Tatomir.

Dzionek na wsi.

Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaszków śpiewania,
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.

Każdy przy swój robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa.

Przyśpiewują na głosy,
To wywilgi, to kosy;
I człek myśli, że w raju,
A on w kraju, oj! w kraju.

Na zachodzie pogoda,
W jasnym niebie wesele.
Dał Bóg ludziom, oj! wiele,
Może jeszcze co doda.

Chłopak pędzi a krzyka,

Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu, dylu od ucha!
Kto ma uszy niech słucha.

Szumia lasy, hej lasy,
A w karczemce grzmia basy:
Kiedy skakać, to skaczą,
A jak płakać, to płaczą.

Ot i dzwoni już dzwonek,
Na wieśniaczym kościele:
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,

I za wszystko co miłe,
I za wszystko co boli;
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

T. L.

12. Puszcza litewska.

Są ludzie, których widok puszczy w natchnienie wprawia,
i w istocie, może to natchnąć umysł ożywiony.

Rozkrywa tu przyrodzenie przed człowiekiem, jakoby
wnętrze swoje, i świat jest tam mniej powabnym, ale głębszym
i prawdziwszym, a myśl idzie tam jakoby dnem życia.

Ow tajemniczy mrok i ta wpółsenna cisza natury, która
owiała sklepienia olbrzymich drzew, zdaje się zapowiadać, że
tutaj przyrodzenie gotuje się do czegoś innego; — z głębi
puszcz, z poza cienistych łomów i przysłonionych gałęzi prze-
gląda oczekiwanie i brak czegoś widocznie... wichru!

Wichru!... bo on tylko zdoła puszcę ożywić dla człowieka.

Wichru! bo on wprowadza dramat w naturę przysłonioną
urokiem.

Kiedy wichur silniej dmie, czuć go i na dole pod sklepie-
niem puszczy, i paproć się skłania, i wrzos wylega, i wody się
marszczą... ale najczęściej powiewa tylko wierzchem drzew,
mocniej i słabiej naprzemian, w sposób fal olbrzymich, z któ-
rych jedna po drugiej bije, lub wstrzymuje się na chwilę, cze-
kając zanim poprzednia odpłynie...

Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w ja-
kieś dziwne zadumanie.

W tym poświście milionów zielonych igieł, które w po-
wietrzu grają, kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wą-
tek dziwnej pieśni, dzikiej i rzewnej, a osobliwym jest widok
takięj puszczy, w czasie gdy ona szumi... Dla patrzącego
z wierzchu wysokiej sosny, rozściela się ona jak ciemna, równa
tarcza, dokoła nakryta szarym kielichem niebios...

Zda się, że nic nie widać, jak nic nie widać na morzu,
wierzchołki drzew się mącą i płyną, i biją jak łany kłosów, jak
fale morza, a po nich duch puszczy się pławi i owiewa skronie
jędrnym oddechem tej dzicy.

Tylko czasami przeciera się wierzchem zielony strop
puszczy i widać szybko przemykające chmurki, jak szare płat-
ki po ciemnym sklepieniu. Na dole nieład przedwiecznego la-
su, zawały, złomiska porośnię skorupami mchów, owiane lekkie-
mi kitkami paproci...

Czasami wywali wiatr sosnę lub jodłę, która, na pował
szmat lasu druzgocąc, postawi korzenie kilku, a nawet kilku-
nastu drzew wraz z ziemią, niby ścianą napoprzek puszczy,

Zpomiedzy korzeni opuszcza się młody porost leśny na
piętrze, niby ze ściany wyrosły, i wysycha, gdy mu tam na ży-
cie zabraknie. Jeżeli się te złomy nie pokryją mchem, wów-
czas wypłukują deszcze i śniegi resztę ziemi, a tak leżą i ster-
czą napoprzek puszczy stare i młode szkielety drzew, jak
kłęby węzów, korzeniami z sobą poplątane.

Daleko nieraz taki zawał obchodzić potrzeba. Czasami
zwali się w jedno miejsce kilka podobnych złomisk różnemi
latami, a gdy się pokryją podsłaniem roślinnym, sterczą jak
twierdza, do której tylko zwierz zna drogę.

Tego rodzaju są całe puszcze, nieprzystępne i nieznane, gdzie jeszcze ludzka nie powstała noga.

Takie to najeżone łomy i zawały drzew, jeżeli opodal od pasiek i siedzib leśnych w głębiach puszczy leżą, nazywają myśliwi gawrą niedźwiedzią albo matecznikiem. Zamęt tej roślinności lasów litewskich byłby daleko większy, gdyby tu nie był prawie zupełny brak wijących się roślin, które w innych strefach, pnąc się po krzewach i drzewach, zmieniają widok puszczy w majowe ściany i nieprzebite sklepienia; lecz wijących się roślin brak tu zupełnie, i to nadaje puszczy w ogólności ów chłodny i trzeźwy wyraz roślinności północnej w okolicach, kędy nie są młodem drzewem lub krzewami podszyte.

Płytko pod powierzchnią piasku wszędzie prawie z łatwością dobyć można wodę; po niższych stanowiskach puszczy wystarcza już kilkakrotne uderzenie nogą w jedno miejsce na to, żeby wystąpiła woda. Miejscami kraj jest tak niskim, iż nie zdoła utrzymać wód i zatapia je w bagnie; brzegi bowiem są na znacznej bardzo przestrzeni podmokłe i nieprzystępne, a rzeki płyną tak wolno, iż zaledwo płynąć się zdają, iż długo patrzeć na nie wypada, aby poznać kędy wagę wzięły.

Zaledwo uwierzyć częstokroć można, że się nad brzegami spławnej rzeki stoi, tak mało wzniesione, tak niepozorne są brzegi tych rzek, wzdłuż rozciekłej puszczy płynących, a wody ich są miękkie, rude, kawowe, niekiedy zupełnie czarne, tchnące żywicią sosny.

W ogólności rzecz można, iż, wyjąwszy wyżyny Pojezierza litewskiego, pochyłość kraju ku rzekom jest tak małą miejscami i tak bardzo przerwana, że cała masa wód z puszczy litewskich nie zdoła się zebrać w sobie i odlać rzekami. Powstają tedy zbiory wód spartych lub stojących, które, przerywając w części lub zupełnie roślinność puszczy, nadają pewną rozmaitość widokom kraju.

Miejscami napotyka się na rojsty. Są to duże, dzikie, dymiące się błota, ostrowami mchu rudego i kępami skrzypiu porośle.

Po suchszych nieco miejscach przerzucają się osoczyste

trawy. Gdziekolwiek wykrzywia się po tych ostrowach karłowata błotna brzoźka, lub bajrakowata sosienka, oczepiona papuzimi liszajcami lub ostrém oplecioną zielskiem. Z kępy na kępę skacząc, a spoczywając niekiedy na większym ostrowie, przebywa przez rojst myśliwy... Pomiędzy kępami drzy pod jego nogą bezdenne trzęsawisko, a niema ścianą otaczają puszcze w znacznym oddaleniu dokoła rojstowate bagno. Miejscami zdarzy się wśród wielkich odkrytych błot mała splazina, na której porośle gaik brzoźowy lub kilka samotnie w górę wystrzelających sosen, nadają zupełnie inny wyraz całej okolicy, niby samotna oaza w pustyni błotnej.

Jeżeli się wody leśne na twardszym dnie zbierają i cieką węższymi pasmami wzdłuż puszczy, wówczas powstają tak zwane brody, które, nie mając spadku, wzbierają pod dżdżystą porę a podsychają na pogodę. Dno brodów twarde, nieobrosłe, a wody ich czyste, przejrzyste, stoją miało na piasku. Stąd też prowadzi często droga na te brody i przeprawa lżejszą bywa wzdłuż nich, niż po głębokich piaskach lub po ługach bagnistych.

Niekiedy bród takowy obiega obszar puszczy znacznie wyniesionej dokoła, i to nazywają ostępem.

Myśliwym służą takie ostępy za oddzielne knieje, dogodnie tam bowiem sieć rzucić, naręcznie psami podkładać i łatwo rozstawić myśliwych na stanowiskach.

Roślinność zwykle na ostępach bujniejsza, wrzos obfitszy, drzewa większe, lubo w ogólności można powiedzieć, iż nigdzie nie dochodzą w Europie drzewa iglaste tej wysokości i grubości, co w tej okolicy. Ośm do dziesięciu sążni wysokości mają nieraz drzewa po gonnym zapustach nowo-poroślej puszczy, a przytém są tak cienkie, iż zaledwo by się użyć dały na tyki, łaty lub na drobne krokwie. W podobnych gonnym drzewach czyni wiatr wielkie spustoszenia.

Często napotyka się na drzewo, które kilku chłopów objąć zaledwo zdoła u spodu, i niema piły któraby sięgnęła przez całą grubość masztowej sosny.

Lubo każda puszcza oddzielną nosi nazwę, dodaje jej lud

przymiotniki, które zarazem oznaczają jej właściwość. I tak na przykład powiadają: „To starodawna puszcza, czarna, zawalna, sucha, zapadła, młoda, głucha, biała lub zielona puszcza, a w każdej z nich z mniejszemi lub większemi odmianami, też same rojsty, ostępy i brody, też same sosny i okrajne brzeziny, też same rodzaje jagód, grzybów, kopce odwiecznych mrowisk, też same łomy pokrywają ziemię.

Miejscami wśród lasów rozświeca się puszcza i widać wyżej niebo, gdy rozednieje pod zielonem sklepieniem, a niżej wody błyszczące, szeroko rozlane. Sąto jeziora Litwy, szklane i blade, jak niebo litewskie.

Tutaj zbiega się w większych masach runiony skandynawski granit kulistego kształtu, którym wieki potaczały po dnie morskiem, a którym kraj cały jest zasiany.

Brzegi tych jezior, niekiedy zwolna przysposobione i wyniesione nieznacznie, niekiedy, niewiedzieć skąd, nagle wznoszące się z równiny i skaliste, niekiedy równe zupełnie, nikną mielizną, i w porostach szuwaru zaledwo widoczne są na piasku.

Patrząc od strony jeziora, widzisz dokoła bór niemy, dołem do olbrzymiego często koła podobien, a niby zacierniony u góry choiną całej puszczy.

Dziwna, tęskna spokojność towarzyszy okolicom takim!

Cicho stoją wody na piaszczystém dnie... Tu i owdzie sterczą z wód bryły granitu dziwaczного kształtu, do małych wysp podobne.

Wody czyste, przejrzyste, dno jeziora twarde, a na wodach ptastwo północne w niespłoszoném stadzie, a po granicach mchy odwieczne....

Gdzieniegdzie rzuci się wielka ryba i drobna fala zatoczy kręgi po jeziorze. Chłód lekki powiewa od wód; środkiem jeziora nie ujrzyć nigdzie trzciny lub szuwaru, a na pogodę zbiera się pod ciepłą mielizną wesoły narybek i po cichszych zatokach jeziora rozwięwa dziewiczy swój kielich wodna lilija, niby samotna nimfa tych północnych jezior....

Lecz całego uroku nabiera dopiero wówczas ten widok,

gdy rumiana zorza obleje jezioro, gdy blask słońca pali ukośnym promieniem lekko zmarszczoną powierzchnię, a przeciwległe cienie puszczy padną daleko na wody....

Po przejrzystych toniach widać już zdaleka, cicho chodzące ryby i każdą kulę oślizłego granitu, leżącą od wieków na dnie—i slychać każdy odgłos dzikiego ptastwa od przeciwnej strony.... Z chat lub z łązni leśników nad brzegami jezior wznoszą się wysmukłym słupem błękitne dymy, lub ścielą pary rannego ogniska, a lubo zupełna cisza w powietrzu panuje, śmiały jednak ruchami bałwani się mgła i przewala białymi kłębami środkiem jeziora, lub zawiesza wieńcem lekkich chmurek pod ścianą puszczy i po cichszych zatokach... Jaskółczym lotem przecina ją z wrzaskiem morska rybitwa, a zpod niej wysuwa się łódź drobna od brzegu, znacząc za sobą na wodzie długą, lekko namarszczoną ścieżkę....

Innym zupełnie jest ten widok, kiedy się wichur zerwie i gdy się niebo zasępi, kiedy szum wichru, szum puszczy i szum fali zmieszają się i pokłócą z sobą; wówczas biją wysokie, czarne fale ku brzegom gwałtowniej i puszcza od nich jeszcze czarniejsza, a niebo nad nią nisko zawieszone, szare. Wszystko groźne i ponure, wszystkie ciche głosy natury niemieją, i slychać tylko wrzask czapeli, które się trwożliwie zrywają z gniazd, gęsto usłanych na szczytach sosen po krańcach puszczy.

Ileż to takich jezior większych i mniejszych, z wyspami i bez wysp, przy osadach lub w głębi lasu leżących! A kiedy się brzegi takiego jeziora pominie, zaszuwa się znowu puszcza ponad głową i dawna powraca ponurość....

Miejscami kraj wznosi się nieco wśród starodrzewnych lasów, i wały się ciągną, i nagle powstają jakieś wzgórza i kopce, niby sztuką usypane. Sąto odwieczne wydmy, w wielkich falach do poziomu złożone i nasypy lotnych niegdyś piasków, które się z wiekami ustaliły i borem porosły.

Miejscami zalegają ogromne obszary, gołe wydmy, kędy wiatry z piaskami grę swoją mają i które całą okolicę niekiedy zamieniają w piaszczystą pustynię.

W czasie ostatniej wycieczki naszej, widzieliśmy rzecz osobliwszą.

Podobne wyniosłe kopce, staremi sosnami porośłe, wznoszące się nagle z równiny, uderzyły nas już zdaleka. Gdyśmy przyjechali nad wzgórek, ujrzeliśmy jeden z nich z jednej strony oberwany do połowy przez rzekę, która go podebrała, a w tej odkrytej mogile piasków stojące sosny, skamieniałe na pniu, na których szczycie nowe, kto wie już które, wzrastało pokolenie drzew. To przypomniało nam karawany pustyni— a myśl Farysa, walczącego z uraganem, nie była wówczas bez znaczenia.

Bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłoczyć na niej piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska.

Naprzód gospodarzy wicher i roznosi nasiona przyszłego życia; w ślad jego kroczy zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiero podejmuje człowiek walkę z potężnym życiem roślinności pierwotnej, jako dzikie dziecko natury.

Czując się za słabym do tej walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy po wichrze roślina na ziemi, a po niej ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały leśnie góry lasów czyli pożary puszczy.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące niekiedy błota lub stawiska, tak tu są zwykłym zjawiskiem gorejące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wichrem rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne.

Z trzaskiem czepia się pożar naprzód krzewów wrzosiwin, mchów wyschlęj trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęgłając wszystko pod piaskiem, czego się

tylko uchwyci; potem zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmala w jednej chwili wszystkę choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się żywicy.... Powoli zbiega z niego płomień tej olbrzymiej głowni w przelocie, gdy wiatr silniej zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzwszy w piekielne ognisko!...

Widziałem pożar taki. Z rana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wąską, błękitną, smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdawało się, że ognisko;—gorąco nie dozwalało przystąpić, i cała puszcza drżała w ogrzanym powietrzu. W południe rozesłał się dym po ziemi i nic nie można było widzieć. W nocy stał ogień ogromnym słupem wśród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały... i wielka luna świeciła na niebie.

Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszciami łuny takie, a co noc w tej samej stronie, a co noc szerzej, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.

Przykrym jest widok puszczy zgorzałej i wystygłej; bo nie zaraz odżywia się roślinność na podobnym spalenisku, zwłaszcza tam, gdzie roślinność północna zwolna się tylko dorabia swego istnienia, gdzie ze zniszczeniem lasu znika zarazem na długo, na bardzo długo, całe podslanie roślinności drobnej, które jest koniecznym warunkiem roślinnego życia w wyższych jego potęgach.

Widziałem jak się raz wyniósł ogień wąskim oszyjkiem torfów z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciągu jednej nocy w palący trzon. Nurtując po wyschlém torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki dzielącej się na drobne ramiona, aż całą postać ogarnął.... Następnie zbliżały się pociągami wiatru te ogniste rzeki ku sobie i, tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdawało się być całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalane; potem opadł płomień, a czarne dymy skłębiły się w wielkich kłębach ku niebu.... Gdy je wiatr odniósł,

poczerniało znowu całe bagno i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy po każdej wyniosłej kępinie. Paląca się puszcza podobna była do gorejącego miasta, a palące się torfowiska po kępach—do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem....

Jeżeli podobny widok jest okropnym, osobliwym będzie widok puszczy wśród ciemnej, cichej nocy, odwiecznym próchnem świecącój.

Miejscami wśród zawałnych lasów leżą całe pokolenia drzew obok siebie, pokrywając pokładem swym tak gęsto ziemię, że noga nie dotyka piasku.

Na pozór czerstwe pnie i zwaliska rozsypują się za stąpieniem jak purchawka, i noga tonie w nich aż do dna.

Mchem porośłe i nietknięte kłody czernieją pośród nocy, lub są niewidzialne wcale, lecz stąpieniem potarte i rozrzucone próchno rozświeca się mdlém fosforycznym światłem i idący nocą zostawia po sobie niby gorejące ślady upiora.... Ryś tropi tak sarnę, myśliwy—zwierza wszelkiego, a nocne tropy wśród puszczy zawałnych znane są w języku łowieckim na Litwie.

Wincenty Pol.

Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepić komu,
Każdy panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swój roli.
Nie ciekawym co tam poda,
Zagranicznym miastom moda!
Sieję sobie swe zagony.

Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Ktoś przez mądre tam mozoły,
Myśli, że świat przeinaczy;

Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt za hurt—wolę ja stare:
Ojców seree, ojców wiare,
Żyć dla dzieci i dla żony.

Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jaki zysk w tém zoczy:
Górnościami, czułościami,
Jako może, mydli oczy.
U mnie—znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach;
Do prostotym wzwyczajony.
Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Niech tam sobie łakną drudzy,
Chwały, sławy i tam dalej....
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mnie w wiosce kmięć pochwali;
Gdy pochwałą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz przy spowiedzi:
Tom już całkiem nasycony.
Niech Bóg będzie pochwalony!

Stefan Witwicki.

13. Wspomnienie z łowów na dziki.

Podziwienią godne jest przywiązanie samury do warchłat, jej troskliwość i czułość oraz odwaga w obronie swego potomstwa. W miarę posuwającego się wieku i rozrastania ciała, wzmacnia się to przywiązanie i potęguje męstwo do szaleństwa, bo z narażeniem własnego życia. Ta świnią, pogardliwie zajmującą miejsce w rzędzie ssaków, posiada znakomite cnoty

i zalety matki, o czém się niejednokrotnie przekonałem i twierdzić muszę, że jedna niedźwiedzica stoi z nią na równi co do macierzyńskości, a inne łowcze zwierzęta w uczuciu nawet się do niej nie zbliżają.

Z jakąż niezmordowaną pracą wyje ona za żerem i wskazuje go warchlakom, jak im ściele ciepły, miękki i wygodny barłóg, to z choiny, to z traw suchych i mchów leśnych, a w braku tych materyjałów znosi liście do barłogu *). Czy instynktem wiedzioną, czy uczuciem, zawsze miejsce dniowania zasłania od wiatru i wyszukuje zacisze, gdy zaś w bliskości go znaleźć nie może, zasłania ścianą od wiatru. Chodząc do barłogów z psami przez lat kilkanaście, napatrzyłem się téj architektury i podziwiałem budowniczych. Niejeden barłóg troskliwiej i z większym wysileniem zbudowany, niż gawra **) niedźwiedzica; niedźwiedź bowiem częstokroć wchodzi do dziupli, i tam zimuje, lub téż wciska się pod grube łomy; przeciwnie samura z wielką pracą przygotowuje łożę dla rodziny. Przypominam sobie dwa barłogi, których wierne wizerunki przechowała pamięć moja. Jeden oparty o łomy i kłody, był okolony ściętymi przez samurę gałązkami jedliny, pietrzycami się na kilka metrów wysokości, a tak spojenymi, że się ten budynek trzymał w całości pomimo zawiei i ciężaru śniegu. Drugi nad ścianą w gąszczu szpilkowym, przedstawiał dokładnie zbudowaną altankę. Polując przez lat jedenaście w Medynieckim państwie, wśród łóz, trzciny, szuwarów, chmielów dzikich, chwastów tropikalnych rozmiarów, napotykałem barłogi, przypominające gumna nieporządnym gospodarzy, gdzie ekonom wychowuje świnię, a gumienny w stertach wygrzewa prosięta. Otóż tam znosiły samury te suche słańskie, wyrrywając je ryjem, wyścielały posłanie, wokoło zaś barłogu wytwarzały chroniący od wiatru wał tak wysoki, że często przeskakujących dzików nie można było strzelać z powodu téj zasła-

*) Legowisko dzika.

**) Legowisko niedźwiedzica.

niającej barykady. Zaznaczyć tu muszę odwagę i przywiązanie, wykształcające się stopniowo z wiekiem oraz troskliwość i zabiegliwość, zdobytą doświadczeniem. Gdy młoda samurka porzuca swe nieliczne potomstwo i ucieka co tchu, czyni istne *sauve qui pent*, nie troszcząc się o dzieci; stara to dopiero je broni, szereguje i zabezpiecza.

Możnaby mi uczynić zarzut marzyciela, a jednak wyrażam tu głębokie moje przekonanie, oparte na doświadczeniu, że ssaki, gromadnie żyjące i ptaki rozmawiają między sobą, ostrzegają się wzajemnie, dają sobie rady i wskazówki, w końcu wspierają się wzajemną pomocą. Kto przez długie lata polował na dziki, jelenie i sarny, ten podzieli wyrażone tu zdanie. W téj mowie często bez głosu są nieomyślne ruchy, zabezpieczające życie, to znowu piski, mruczenia, świsty ostrzegające. Nie jest to temat, nad którym mógłbym się rozwodzić, należy on bowiem do najciekawszej nauki—fizjologii zwierząt, głębokiej, dotąd niedosyć zbadanej a dla myśliwych nader zajmującej i pożytecznej; więcéj nawet powiem, bez znajomości obcowania ze sobą zwierząt, myśliwy nie jest tyle wykształcony, ile tego sztuka łowiecka wymaga.

Dwa razy w życiu widziałem niedźwiedzice, rozmawiające z piastunami *); raz matka wzięła piastuna w łapę, pomruczała do niego i posadziła na konarze, gdzie siedział do chwili, w której chłopcy z naganki go zdjeli, drugi piastun od rana do wieczora siedział biedaczysko na drzewie, widocznie w skutek surowego nakazu spokojnego zachowania się aż do powrotu matki. Jakie owe ruchy i gestykulacje zwierząt mają znaczenie, niezawsze odgadnąć umiemy, a badania w téj mierze są nader zajmujące. Gdy łania z podniesionymi uszama idzie, słucha i rekognoskuje, wówczas całe stado ma w nią oczy utkwione i nie ruszy się z miejsca; również, gdy zadem nieco przysiadła, wyciąga niezwykle szyję, uszama strzyże, i schyla się ku ziemi, ostrzegając stado powierzone jéj opiece. Ileż to

*) Młody niedźwiadek.

razy idzie ona naprzód, a stado stoi, cofa się, lub ucieka, pomimo, że przykładu mu do tego nie dała. Nieraz z podniesioną na chwilę nogą ostrzega towarzyszków, to znowu ku nim się zwraca, jak gdyby ich wzywała do dalszego pochodu. A ów jelen, stojący na warcie z bystrością i poświęceniem, nie chylący się nawet po trawkę w czasie swęj służby, ruchami daje wskazówki spoczywającej rzeszy! A jak się te zwierzęta wzajemnie ruchami ostrzegają, zachęcają, jak się z sobą porozumiewają! A jakże wielkie, jest owo poświęcenie matki rodu, nadstawiającej się psom, dającą się gonić jedynie w celu ratowania swęj rodziny! Najłatwiejsze badanie mowy zwierząt jest u sarn. Różnobraźnymi głosami wyrażają one swe myśli oraz uczucia i widocznie z łatwością się z sobą porozumiewają, a oprócz tego wzajemne ruchy są dla nich zrozumiałe.

Kwilenie sarny—to przyzywanie do siebie; cichy lament—to ostrzeżenie i niepewność; kilkakrotne tupnięcie racicą—to upomnienie do bacności. Gdy sarna schyla ciało ku ziemi, zginając swe stalowe nogi i wyciągając szyję, wtedy z pewnością żadna za nią nie pójdzie, czyni ona to, gdy wiatr powzięła, a jednak nie niebezpiecznego zoczyć nie może. Tak sarny jak jelenie ostrzegają się, zwracając uwagę przewodniczącej na przedmiot przez nią niedostrzeżony. Często ze złorzeczeniem widziałem dziki, posuwające się z tyłu ku przodownikom, potrącające ich i widocznie wskazujące myśliwych.

Z miłością dotknąwszy mego ulubionego tematu, powracam do dzików.

Samura rechtaniem daje rozkazy, ryjem szereguje młodzież, której albo mężnie broni wobec człowieka, psa i wilka, lub też nakazuje jęj chronić się w gęszczu i pozostawać w nim w zupełnej nieruchomości, czasem téż nakazuje ucieczkę w przeciwną stronę. Grubą księgę spisałbym, wyliczając dowody mowy i porozumiewania się zwierząt, nie chcę wszakże nadużywać cierpliwości czytelników, zwrócę więc tylko uwagę na spostrzeżenia, przez wszystkich myśliwych czynione, że dziki w stadzie wskazują sobie przed rozproszeniem miejsce

późniejszego zboru, że samura, zabezpieczywszy warchlaki, naznacza im *rendez-vous*. To już nie instynkt; to rozum, pamięć i doświadczenie pożyteczne, bo przecież niezawsze idą dziki w jednym kierunku, niezawsze odbywają marsze w jednę odległości, a w końcu stwierdzają moje doświadczenia tu przytoczone, liczne pojedyncze sztuki, zabłąkane i nie mogące trafić do stada, więc oczywiście nie zrozumiały one, nie dosłyszały lub nie otrzymały rozkazu. Mam na to twierdzenie liczne dowody, i tak nieraz gonilem dziki z lichymi i niebierczymi psami w przeciwnych kierunkach, a czasem w kilkumilowych odległościach te same stada bez zastrzelenia żadnego. Wiem, że się czasem gromadziły dopiero drugiego dnia po mozolnem, wzajemnem szukaniu się, a bywały sztuki, nie mogące już wcale odszukać towarzyszków swoich, przyłączające się do innych stad, lub żyjące nadal w odosobnieniu, mimo, że miejsce zboru naznaczone było niewątpliwie.

Działo się to w naszych górach, a dzień wypadku, głęboko wryty w męj pamięci. Leśni miejscowi twierdzili, że na uboczy stożkowatęj góry bawił niedźwiedź, że nie wyszedł, bo go na każdej ponowie śledzili, a zatem niezawodnie tam gawruje *). Była to wyprawa zaiste królewska, w kilkanaście koni, z 24-ma ludźmi do naganki, z kartoflami, mąką kukurydzaną i różnymi wiktualiami oraz z burkami i futrami. Gdyśmy na miejscu wskazanem stanęli, było blisko południa. Po krótkim odpoczynku poszli chłopci gonić ubocz rozległości Księstwa Sigmaringen, a my stanęliśmy na stanowiskach u grzbietu góry śród masztowych jodeł. Nakaz surowy był dany nagance trąbić, krzyczeć, ile sił, celem obudzenia i wypłoszenia niedźwiedzia. Już dochodziła godzina druga, gdyśmy głosy naganiaczy usłyszeli w tak wielkiem oddaleniu, jakby gdzieś poza lasem, a trwało to do godziny czwartęj bez żadnej odmiany dekoracyj, bez ruchu i życia w kniei. Słońce jeszcze raz rzuciło promienie na nas i chylić się poczęło za góry,

*) Wylega się.

ośnieżone jodły zolbrzymiały i żałobną pokryły się barwą, tło zaś lasu stało się ciemne i ponure, jakby zimowy grób leśny. Naraz słyszę rechtanie dzików i ów znany dobrze myśliwym szmer, pobudzający serce do żywszego bicia, wywołujący kurczowe ściśnienie gardła i drzenie nóg; wreszcie pojawiła się w znaczném oddaleniu czarna plama na białej powłoce śniegu. Wiele było dzików, policzyć nie mogłem, lecz widocznie szły dwa stada, jedno za drugim. Kiedy się ta czerń zbliżyła do mnie na 100 do 120 kroków, a na 30 do mego sąsiada, padł jego strzał, poczem usłyszałem kwik warchlaka.

Wszczał się straszny zamęt w tej czarnej rzeszy i głośnie rechtanie z świstem oraz szumem, jakby zbliżającej się burzy. Stara samura, fuknąwszy, rzuciła się na dym strzału, wciągając głośnie nozdrzami powietrze, a niedostrzegłszy zabójcy swego dziecka, galopem obiegała drzewo, fukając nieustannie. Obiegała siedm lub ośm razy; poczem podeszła do zabitego warchlaka, trąciła go i podniosła ryjem, jakby go do objawu życia pobudzić chciała, i powróciła do tej jodły, o którą był oparty, czyli raczej do niej przylepiony mój sąsiad, którego później pytałem, czyli też w drzewie nie zostawił odcisku swjej postaci. Na szczęście jego, była to samura dziwnie pozbawiona wiatru, w przeciwnym razie byłaby go niezawodnie w szmaty rozszarpała, tak strasznie była rozjuszona. Do dzisiejszego dnia pojąć nie mogę, z jakiej przyczyny nie zwietrzyła mego towarzysza. Z początku obiegała z wściekłością jodłę, później zaś wolnym krokiem okrążała drzewo, stawiała, wietrzyła, fukała, a nie szła do innej jodły.

W tej reprezentacji i to było ciekawe, że druga olbrzymia samura szeregowała warchlaki swoje i swojej towarzyszki, pędząc je za siebie i postępując przed nimi, jak komenderujący oficer. Zmrok nie dozwolił mi strzelić, rozpoznawałem wprawdzie dwa ogromne dziki i rój mniejszych, lecz ledwie dostrzegłem zarysy zwierząt. Scena opisana trwała najmnij przez 10 minut, dla nas pełnych wzruszeń, dla mego sąsiada trwogi i przerażenia. Wreszcie powróciła samura do stada i po dosyć długiej rozmowie zebrały się już wszystkie dziki, przeszły przez

liniję myśliwych i skryły się w czarnych ciemnościach lasu. W jakim stanie był zabójca warchlaka, nie potrzebuję opisywać, jeden rys tylko scharakteryzuje dostatecznie jego ówczesny nastrój duszy. Gdyśmy się zbliżyli do siebie, rzekł do mnie: „Ani pięciu minut byłbym już dłużej nie wytrzymał, nogi mi się trzęsły i uginały, byłbym padł na ziemię i stał się pastwą rozjuszonych bestyi.“

W jednej chwili piętrzyć się poczęły ścięte choiny, bo góral zawsze ma przy sobie toporek, naganiacze poczęli dla nas budować altany (koliby), usłano wkoło miękkie, zielone posłanie, a w środku rozniecono ognisko. Mielśmy spory zapas *aquae vitae*, herbaty, bigosu i wędliny, humor wyborny, pogadankę zajmującą, wyobraźnię podrażnioną i nieco gorączkową, a przylatkiem próżnię w żołądkach niezwykłą.

Do tej chwili był to istny raj przy dosyć chłodnej temperaturze, lecz z każdą godziną usposobienie nasze pogorszało się, a niebawem cierpkie narzekanie wszystkie te rozkosze przytłumiło. Piekielna noc, nigdy nie będzie zapomniana! Obraz cudowny, zachwycający, w głębi pamięci mocno wryty!

Sklepienie niebios gwiazdziste, blaskiem promieniejące, nad nami świecący księżyc blady, jakby rekonwalescent po ciężkiej chorobie, przed nami stos gorejącego drzewa i płomień, rwący się ku gałęziom jodeł, liżące i zapalające je, w powietrzu pryskające iskry, wokoło noc ciemna, cicha, jakby noc duchów. Przedemną żar piekła, za mną mróz lodów podbiegunowych, ścinający szpik w kościach, sprawiający bóle torturowe. Zadrzałem febrycznie, wstałem i odwróciłem się do ognia, i znowu gorąco piekłem z tyłu, zimno ziębiło dotkliwie z przodu. Wyjmuję zegarek i z przestrachem widzę dziewiątą zaledwie godzinę, ciarki po mnie przebiegły, gdy obrachowałem, że wśród tych dwu ostateczności ognia i mrozu przebyć muszę jeszcze dziesięć godzin. Przeszedłem do drugiej koliby, a tam zupełnie inny przedstawił mi się obraz: leśni i naganiacze leżą w posłaniu z choiny gęsto, jak śledzie w beczce i śpią spokojnie snem sprawiedliwych, trzymając w zębach krótkie fajeczki. Na głowie czapki z lisów, naszywane, kożuszki do

kolan, szarawary z płótna i krypcie na nogach. Tak spali jak zabici! Jak owe lalki u fryzyjerów i modystek, tak ja kręciłem się przez całą noc, a gdym się zdrzémnał na kilkanaście minut, wnet budził mnie mróz lub skwar. Wreszcie z czarnej ciemnoty wynurzać się poczęły jodły coraz gęstsze i widoczniejsze, brzask oświecił nas, niebo się ukazało z błędnymi gwiazdami, więc chórem zawołaliśmy: „Chwała Ci Panie!“ A było wtedy przy zupełnie cichém powietrzu 17^o mrozu. W naszej kolibie cisza, w drugiej wrzawa, gwarzenie i krzatanie się koło ognia, bo góral zawsze głodny. Mróz trzaskający towarzyszył polowaniu. Koło południa zginęła waleczna samura, niebo się poczęło chmurzyć i huculi oświadczali, że jeżeli nas zachwyciśnieżyca, wszyscy poginiemy, więc, zwinawszy nasz obóz, dobiliśmy się późno w nocy do wsi.

Kazimierz hr. Wodzicki.

14. Polowanie na lwa.

Spaliśmy w najlepsze nad brzegami niewielkiego jeziora; kilku tylko naszych Hotentotów czuwało, przyrzucając gałęzi do ognisk, zabezpieczających koczowisko od niespodzianej napaści dzikich zwierząt. Na godzinę przed świtem, jeden z czuwających obudził naczelnika wyprawy, donosząc, że w północnej stronie słychać wyraźny ryk lwa.

Zapalony pogromca lwów zerwał się natychmiast na nogi, obudził wszystkich, rozkazał nabić i opatrzyć broń, poczem, przyrzekłszy ślepe posłuszeństwo, wyruszyliśmy w pochód.

Orszak myśliwych skierował się ku laskowi, odległemu o ćwierć mili, gdzie, jak utrzymywał nasz dowódca, lew niezawodnie miał swe legowisko. Skoro przybliżyliśmy się na dwieście kroków ku zaroślom, naczelnik nakazał Hotentotom obejść lasek i wrzaskiem oraz uderzaniem w talerze mosiężne zmusić lwa, aby, opuściwszy kryjówkę, wyszedł na równinę; następnie dowodzący rzekł do nas:

— Przyrzekliście mi ślepe posłuszeństwo, pamiętajcie

wypełniać każdy rozkaz jaknajściślej, jeżeli wam życie mile; lew jest blisko, a z nim żartów niema.

Ustawiono wozy w narożnik, przy którym staliśmy z bronią palną; poza nami Hotentoci mieli podawać świeżo nabite strzelby w miejsce wypalonych; za krajowcami zupełnie w tyle umieszczono bawoły. Przewodnik wyprawy stał o dwa lub trzy kroki przed nami, a gdy już wszystko było gotowe, odwrócił się ku nam i zawołał:

— Łokieć do łokcia, nie rozrywać szeregu, inaczej zginiemy wszyscy! Chociażbym nawet był w niebezpieczeństwie, nie ruszać się. Otóż i ryk.... zbliża się.... baczność!....

Wtém dało się słyszeć drugie ryczenie, daleko bliższe. Dowódca zatarł ręce z radości i zawołał wesoło:

— Panicz jest dobrze wychowany, nie odrzucił naszego zaproszenia, choć z królewskiego rodu pochodzi; trzeba go przyjąć gościnnie, ale coś bardzo szybko bieży, ciągnął dalej, usłyszawszy trzeci ryk przeciągły.... musi być stary i silny: baczność! Otóż i on! Witamy!

Wtém ogromny lew, sadząc wielkimi skokami, wypadł z gęstwiny; lecz skoro nas ujrział, zwolnił kroku, zbliżył się wolno i położył o sto kroków na trawie.

— Chytra sztuczka i niepospolicie biegły strategik,— mówił z ogniem nasz myśliwiec, widać, że już nieraz strzelcom w oczy zaglądał. Manewr taki wcale mi się nie podoba; nie chce nadstawić piersi, trzeba go poprosić, aby był względniejszym. Pójdźmyż do niego, tylko jeden przy drugim, a Hotentoci z tyłu. Uwaga!

Lew, widząc, żeśmy ruszyli ku niemu, podniósł się na nogi.

— Celujcież dobrze, w oczy i pod łopatkę, zawołał wódz, przyklękając na jedno kolano, a gdy zawołał: pal! od razu dawać ognia. No, teraz baczność: raz, dwa, trzy.... pal!....

Grzmot strzałów rozległ się po okolicy. W mgnieniu oka oddaliśmy wypaloną broń Hotentotom, biorąc od nich karabiny już nabite. Lew ugodzony kilku kulami podskoczył w górę z okropnym rykiem, a pęki kudłów rozleciały się wkoło.

— A to uparty zwierz!—krzyknął dowódzca,—myślałem, że od razu rozciągnie się jak długi.

Lew wydawał ryk urywany, pomieszany z jękiem. Walił się w boki ogonem z całej siły, rozwierał paszczę, wywalał jęzor i krwawymi oczami spoglądał na swych wrogów. Pomimo, że nas było dwudziestu pięciu, żaden nie śmiał otworzyć ust wobec groźnego potwora.

— A cóż, straszny, nieprawdaż? boicie się... serce uderza silniej; no, odwagi! zimnej krwi więcej, a damy mu radę... Dalej; mierzyć w łeb lub koło łba jak najbliżej,—ognia naraz! Baczność!

Wtém jednemu z mierzących upadł karabin, nachylił się, aby go podnieść, i tym sposobem odsłonił nagiego Hotentota stojącego za sobą. Ujrzawszy to lew, podniósł się, rozwarł szeroko nozdrza i przysiadł na tylnych łapach, gotując się do skoku.

— Zginałem!—zawołał Hotentot.

W téj chwili zwierz jak piorun spadł na nas, a obaliwszy kilku, pochwycił Hotentota i uniósł o kilkanaście kroków dalej.

Przez chwilę nic mu nie robił złego.

— Ognia!—zakomenderował wódz.

Od uderzenia kul lew padł, ale w mgnieniu oka zerwał się znowu i zaczął przeskakiwać przez swą ofiarę. Wtedy myśliwiec zbliżył się odważnie ku potworowi, a zawoławszy na Hotentota, żeby się nie ruszał, wypalił z obu pistoletów—w sam łeb lwa. Zwierz ryknął, rozwarł paszczę i ostatniem wysileniem zgruchotał kłami pierś swój ofiary. W kilka minut potem kat i ofiara, oboje leżeli bez życia.

— Okropnie!—zawołałem.

— Owszem bardzo szczęśliwie,—rzekł mi nasz dowódzca, jednego tylko straciliśmy człowieka. Przeraziłeś się, nic dziwnego, ale też to lew niepospolity i niezmiernie trudny do ubicia; mogliśmy okupić zwycięstwo daleko drożej.

— Zapewne,—odpowiedziałem, lecz to także dość kosztowna ofiara: życie człowieka, za życie lwa.

— Tak ci się wydaje, odparł nieustraszony myśliwiec. Wam, świeżo przybyłym z Europy, a nawykłym polować na zające, jelenie lub co najwięcej na dziki, wydaje się poświęcenie człowieka na pastwę lwu ciężką ofiarą; lecz gdybyś wiedział ile te obrzydłe potwory corocznie zabijają ludzi, poświęciłbyś i trzech dla ocalenia czterdziestu.

— Nie sądziłem jednak, ażeby niebezpieczeństwo było tak wielkie, a polowanie na lwy równie groźnem.

— To, co widziałeś mój przyjacielu, można nazwać żartem w porównaniu do daleko gorszych wypadków, w jakich nieraz się znajdowałem, odpowiedział strzelec.

— Więc to, co powiedział Bufon, że lew jest wspaniałym nieprzyjacielem, mija się z prawdą.

— Owszem, niezupełnie: lew jest wspaniałym dla Europejczyków, ale nigdy dla Hotentotów.

— Żartujesz pan!—zagadnąłem zdziwiony.

— Wcale nie żartuję, jest to pewnik, ale łatwo zrozumieć dlaczego. Europejczyk nosi suknie, dziki zaś przedstawia mu nagie ciało, a nadto wydaje wyziew potu, który, rozchodząc się bardzo daleko, podnieca apetyt zwierzęcia. Lew gardzi białymi i nierównie mniej ich pożera, niż Hotentotów, Kafrów, Malgaszów i Buszmanów. Jeżeli tylko ujrzy nagą pierś dzikiego, niezawodnie ją rozszarpie.

Przed kilku laty szedłem skalistém wybrzeżem morskiem, uzbrojony, jak zwykle, w rusznicę nabitą dwiema żelaznemi kulami, w parę pistoletów i trójząb żelazny, przewieszony przez plecy. Blisko już od godziny nie napotkałem żywej duszy; wtém z pobliza doleciał mych uszu ryk lwa; pochwyciłem broń, ażeby być w pogotowiu do strzału.

Nagle na zakręcie skały ogromny lew stanął przedemną. Do licha, pomyślałem sobie, trudna z nim będzie sprawa; lew zatrzymał się chwilę bez ruchu, a potem się cofnął. Widząc to, nawróciłem, zwierz puścił się za mną wolnym krokiem; stanąłem i on przystanął, poczem ryknawszy przeciągle, uderzył się kilka razy ogonem po bokach i znów zniknął pomiędzy zakrętami skał. Myślałem, że już się nie zobaczymy, lecz w trzy

minuty później znowu pokazał się przedemną. Cóż znowu? Jak widzę, szukamy się nawzajem... to się źle skończy. Cofam się... lecz tym razem potwór zniecierpliwiony zaczyna podsuwać się ku mnie jak mały piesek, kiedy igrać zamyśla. Odpiąłem pas od oszczepu, oparłem go o ramię i przygotowałem strzelbę, oczekując napadu; ale król pustyni nie chciał, jak się zdaje, być stroną zaczepiającą, i znowu obiegłszy skały, zagroził mi drogę po raz trzeci.

Przyklęknałem, położyłem oszczep przed sobą, a pistolety odwiedzione tuż pod ręką. Sześć kroków zaledwie oddzielało nas od siebie.

Lew najeżył grzywę.... zaczął przedniemi łapami szarpać ziemię, rozwarł paszczę i zaryczał, jakby wołał na mnie: Strzelaj!

Nie głupim, pomyślałem, czyń co chcesz, ja nie zacznę pierwszy.

Tak upłynęła blisko godzina w śmiertelném oczekiwaniu.

Co chwila spodziewałem się skoku. Z wytężenia już siły począłem tracić, gdy wtém straszliwy zwierz, ryknąwszy przeraźliwie, puścił się pędem strzały i znikł w pustyni.

— Musiałeś pan jednak umierać z trwogi podczas tego okropnego spotkania?

— Bynajmniej, odpowiedział strzelec, myślałem sobie podówczas, jak się zadziwią moi przyjaciele, gdy im opowiem tę przygodę.

Innym razem polowaliśmy na lwy w towarzystwie kilkudziesięciu Hotentotów. Miałem przy sobie odważnego Szkota nazwiskiem Mac-Kilmore, który błagał mię na wszystko, ażeby go do pierwszego strzału dopuścić. Za pierwszym rykiem nasi oliwkowi sprzymierzeńcy zniknęli jak kamfora. Weszliśmy w krzewinę, gdzie się lew ukrywał, idąc wolno i bardzo ostrożnie. Leżał pod krzewem kolczastej zamei. Ostrzegałem Szkota, aby nie strzelał, aż go doprowadzę w stosowne miejsce i dam hasło; ale gorąca krew góralska nie dała mu wytrzymać cierpliwie, nie czekając więc znaku, zmierzyl i wystrzelił: kula zadrasnęła czoło lwa. W mgnieniu oka zwierz

jednym uderzeniem powalił mego towarzysza na ziemię, a oparłszy mu łapę na plecach, spoglądał na mnie wyzywająco.

Znając naturę lwa, poszedłem śmiało ku niemu; kiedym się o kilka kroków znajdował, zwierz opuścił swą ofiarę i, wysunąwszy się naprzód, przysiadł na ziemi, ażeby z większym zamachem rzucić się na mnie; nim jednak zdołał to uczynić, wpakowałem mu w ucho dwie kule; łotr powalił się jak długi, mój zaś odważny Szkot, który podczas wystrzału umknął w krzaki, wyszedł z téj walki prawie bez szwanku. Wprawdzie potwór zgniótł mu nieco piersi, jednakże silna budowa niedopuszczała, aby mu żebra pogruchotały. Przygoda ta atoli na długi czas odebrała mu już chętkę do polowania na lwy.

Wł. Lud. Anczyc.

15. Walki zwierząt w Indyjach Wschodnich.

Nabob Myssory *), pragnąc uczcić poselstwo angielskie, wyprawił dla niego walkę dzikich zwierząt wedle indyjskiego zwyczaju.

Na przestrzeni, otoczonej drewnianymi słupami, które łączyła sieć z grubych powrozów spleciona, znajdowały się dwa piękne lamparty, przykute lancuchami do pali. Zwierzęta te dopiero w wigilią dnia igrzysk schwytano, nie straciły więc nic jeszcze ani z swój dzikości, ani powierzchowności pięknej. Naprzeciw lampartów, jakby dla sprzeczności, umieszczono dwa osły. Każdy z nich miał uwiązany u ogona wór znacznej wielkości, zrobiony z twardej skóry, w którym znajdowały się drobne kamyczki i groch, sprawiające mocny szelest za każdym poruszeniem biednego klapoucha. Na drugim końcu cyrku stały dwie ludzkie postacie, wyróżnione z desek i pomalo-

*) Myssora (Majssur), państwo niegdyś potężne na wyżynach Dekanu, to jest w środku południowej części Indyj, dziś bardzo zmniejszone, holduje anglikom.

wane jaskrawemi barwami, oparte na słupkach drewnianych, zatkniętych w ziemię.

Sultan i członkowie poselstwa zasiedli na podwyższoném miejscu, tuż naprzeciw lampartów.

Cokolwiek z boku znajdowała się klatka z mocnych drewnianych sztab zrobiona, w której rozciągał się przepyszny tygrys. Na znak dany przez sultana podniesiono wysuwane drzwi klatki, lecz pomimo to straszliwy zwierz nie myślał wcale opuszczać swego legowiska. Być może, że go przeraziły krzyki mnóstwa nagromadzonych widzów, dźwięk trąb i rogów, łoskot bębnow, ryk słoni i rżenie koni, dosyć, że ani drażnienie, ani nawet uderzania dozorców nie zdołały skłonić mieszkańca puszczy do opuszczenia ciasnego więzienia. Nakoniec zarządzający igrzyskami dał rozkaz, aby na tygrysa wypuścić kilkanaście szmermeli. W chwili wybuchu zwierz wydał ryk straszliwy i jednym olbrzymim skokiem dosięgnąwszy prawie środka placu, toczył dokoła zakrwawionym okiem, jakby upatrując, na kogo naprzód się rzucić.

Po kilku minutach leniwiec zwrócił się napowrót ku klatce, lecz, nalazłszy drzwi zasunięte, poskoczył gwałtownie ku sieci i, gdyby powrozy były słabsze, rozdarłby je niezawodnie. W miejsce jednak odzyskania swobody, zaplątał się w oka sieci, co go do ostatniej wściekłości doprowadziło; rycząc straszliwie, bił ogonem po lędźwiach i szarpał się tak długo, dopóki nareszcie nie wydobył się ze splotów sieci.

Natychmiast z szybkością błyskawicy przebiegł cyrk wzdłuż i, rzuciwszy się na jedną z drewnianych figur, strząsał jęj głowę; wydając przytém tak straszne mruczenie, że krew w żyłach lodowaciała. Wściekłość tygrysa wzrosła jeszcze bardziej, kiedy poznał, że go oszukano; mszcząc się za zawód, w jednej chwili potężnymi kłami pogruchotał całą figurę, a potem znowu rzucił się ku zaporze, próbując wydostać się z matni.

Tym razem o mało nie wydarzyło się wielkie nieszczęście. Tygrys zrobił skok tak potężny, że wydostał się na wierzch klatki, a stąd za jednym susem dosięgnął górnego brzegu sie-

ci i już, okropny łeb wystawiwszy nad niego, zdawał się upatrywać gdzie najgęstsze tłumy ludu, gdzie będzie mógł najwięcej krwi wytoczyć; już najbliżsi widzowie, zapominając o broni, rzucili się na prawo i lewo, unikając paszczy tygrysa; już krzyk trwogi wydobył się z tysiąca ust, gdy młode, dwunastoletnie chłopię grubym kijem ugodziło tak silnie w łeb potwora, że ogłuszony spadł napowrót w piasek. Niezmierne oklaski rozległy się po całym cyrku, nagradzając odwagę i przytomność chłopca, który najspokojniej pozostał na swém siedzeniu, jak gdyby najzwyczajniejszej rzeczy dokonał.

Zawiedziony tygrys rzucił się na drugą figurę i zdruzgotał ją w trzaski. Tym razem zdawał się być zawstydzonym, że się dał po raz drugi oszukać. Przez chwilę stał spokojnie ze spuszczonego ogonem, poruszając głową w lewo i w prawo, nakoniec legł na ziemi.

Sultan skinął, a do cyrku wpuszczono tuzin psów myśliwskich. Na widok tygrysa wstrzymały się one i zaprzestały szczeleć, poprzestając na przypatrywaniu mu się zdaleka; jeden tylko chart, śmielszy od swych towarzyszy, przybliżył się nieco, lecz, nie odważając się zaczepić straszego przeciwnika, ujadął ze wszystkich sił. Tygrys pomimo to leżał spokojnie, a chart, nabrawszy otuchy, przebiegł mu kilkakrotnie pod samym nosem, tak iż drapieżny zwierz nie potrzebował jak tylko łapę wyciągnąć, aby go rozszarpać na polu.

Tymczasem psy rzuciły się na jednego z przykutych lampartów, była to dla nich wcale niezaszczytna potyczka walczyć z uwięzionym nieprzyjacielem; lecz gdy jeden dostał porządnie po grzbiecie, pierzchła cała zgraja w nieładzie, a chcąc powetować klęskę, z hałaśliwym szczeniem pogoniła za biednymi osłami.

Prerażone szelestem worków przywiązanych do ogona i szczeniem psów zajadłych, biedne oślika uciekały ze wszystkich sił, ale w końcu musiały uleść rozżartej zgrai. Psiarnia, ucieszona tak łatwym zwycięstwem, rzuciła się na lampartów, lecz napad, jak za pierwszym razem, spełził na niczém i teraz.

Niedoleżność dotychczasowych zapasów znudziła sułtana, dał więc rozkaz jednemu z swych dworzan, aby wystąpił do walki z łukiem i strzałami. Oficer, przybliżywszy się do zagrody siatkowej, wypuścił strzałę i ugodził tygrysa w łopatkę. Rozjuszony boleścią zwierz, sążnistym krokiem sunął naprzeciw wroga i otrzymał w bok drugi pocisk; widząc jednak, że nieprzebyta zaporą przeszkadzała mu dosięgnąć nieprzyjaciela, cofnął się i legł spokojnie na ziemi.

Dworak nie przestawał strzelać, a wkrótce biedny tygrys wyglądał jak jeź najeżony kolcami. Ile razy ugodziła go strzała, chwycił ją w zęby i strzaskał drzewce, pozostawiając grot w ranie. Okrucieństwo to oburzyło anglików i jeden z członków poselstwa prosił sułtana, aby mu dozwolono zabić tygrysa, a po otrzymaniu pozwolenia, celnym wystrzałem zakończył jego męki.

Następnie otworzono klatkę, w której znajdowała się tygrysica. Do walki z nią wystąpił Indyjanin, napoły nagi, w czerwonym fezie, uzbrojony krótkim lecz nader ostrym mieczem i tarczą. Pochylony, zasłonięty tarczą Indyjanin zbliżał się zwolna, pełzając raczej niż idąc, a przenikliwie oczy zatoпивszy w nieprzyjaciela, starał się ich potęgą zwalczyć odwagą groźnego wroga.

Tygrysica na widok wroga wydała ryk straszliwy, oczy jej zzieleniały z rozjuszenia, a ogonem waliła się w boki, lecz mimo to znać było jakieś wahanie, jak gdyby lękała się rozpocząć walkę. Tymczasem zapaśnik podsuwał się coraz bliżej z nieustraszoną odwagą. Zwierz poznał, że nadeszła stanowcza chwila nieuniknionej walki, z każdym krokiem przeciwnika rosła więc jego wściekłość. Tygrysica wygięła się jak kot, gotując się do skoku. Indyjanin przystanął. Tygrysica zatrzymała się także w miejscu, lecz wkrótce z wściekłym rykiem rzuciła się na wroga. Szermierz przygiął się z szybkością błyskawicy, a odparłszy puklerzem pazury zwierza, zadał mu cios głęboki w brzuch, tak iż całe wnętrzności wypadły; poczem wsunął się pod tygrysicę, która go całą brzmieniem cielska przygniotła. Zanim jednak zwierz opamiętał

się, hindus ów, cały krwią oblany, wysliznął się zpod niego i zadał drugi cios potężny w gardło, przeciąwszy tchawicę, poczem odskoczył w mgnieniu oka o kilkanaście kroków.

Śmiertelnie zraniony zwierz napróżno starał się zebrać siły, aby dosięgnąć zwinnego wroga; posunął się jeszcze trzy lub cztery kroki naprzód, lecz zaraz runął i w kilku chwilach zakończył życie, wijąc się z boleści.

Na zakończenie walki wpuszczono do zagrody słonia, który, uderzywszy na lampartów, po krótkim oporze zadał im śmiertelne rany olbrzymim kłębem, a potem cielska roztratawał ciężkimi stopami.

Wł. Lud. Anczyk.

Kościół wiejski.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny;
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola,
Był to święto, było dzień niedzielny:
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmią młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Ksiądz tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świegocą wróble, i pod szczytem wieży,
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Julijusz Słowacki.

16. Ptaki podbiegunowe.

Skrzydłata fauna podbiegunowego świata nie odznacza się różnaitością gatunków, ale zdumiewa liczbą osobników. W skład jęj wchodzą prawie wyłącznie ptaki brodzące i pływające, którym morze dostarcza pożywienia: siewki, burzyki, rybołówki, mewy, wydrzyki pasorzytne, petrele, różne gatunki gęsi i kaczek, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje erdredonka, nury rdzawoszyjne, alki i nurzyki, — a tylko kilka gatunków ptaków lądowych, których liczba zmniejsza się z wzrastającą odległością od wybrzeży stałego lądu. Wyjawszy pardwę śnieżną i białą sowę polarną, wszystkie inne są wędrowne, zamieszkują przez zimę wybrzeża cieplejszej strefy, a dopiero na lato ciągną gnieździć się na północ, pewne, że na tych odludnych lądach znajdą spokój, a w oblewających je wodach żeru obfitość.

Ale niewszystkie one gnieźdzą się na wszystkich bez różnicy wybrzeżach. Jedne, jak gęsi, przenoszą wybrzeża stałego lądu, drugie, jak erdredonki i mewy, wolą małe, niskie, kałużami wody zalane wysepki, ale największa część chroni się na skały, sterczące wprost morza. Lecz i na tych nie mieszają się ze sobą różne gatunki w bezładzie, lecz gnieźdzą się w pewnym stałym porządku, każdy osobną zajmując galeryję. Na jednych górach ptasich panują petrele, najśmielsze ze wszystkich ptaków morskich, na innych burzyki lub mewy; Malmgrén widział pod 80° 24' sz. płn. taką górę, na której dolne galeryje zajmowały nurzyki, środkowe burzyki, a dopiero pod samym szczytem na wysokości 250 metrów gnieździły się mewy srebrzyste.

Na tych prostopadłych ścianach są one bezpieczne przed najzaciętszym nieprzyjacielem swoim, marmurkiem równie chciwym jaj, jak i tępicielem wysiadających je samice. Ma się przed nim na baczności i nisko gnieźdzące się ptastwo. Erdredonka nie gnieździ się nigdy na wysepkach połączonych lodem z lądem, lecz tylko na takich, które ze wszech stron

oblane są wodą. Uchodzą one tym sposobem zębów marmurków, ale ani skały, ani wody nie są w stanie zabezpieczyć ich przed człowiekiem. Eskimosi, Czukeze, Lapończycy i inni ich pobratymcy północni wdrapują się za nimi na najniebezpieczniejsze ściany skał, wybierają samice razem z jajami, a samce łowią w locie siatkami, osadzonemi na długich żerdziach, jak ryby w wodzie. Gdybyśmy w naszym towarzystwie mieli Eskimosa, dostarczyłby on nam w przeciągu kilku godzin wiele tuzinów ptaków.

Europejscy mieszkańcy podbiegunowych lądów względniejsi są przynajmniej dla erdredonek. Kaczka ta wygrzebuje sobie gniazdo w piasku i wyściela je puchem, wyskubanym z własnej piersi, który jest kosztownym artykułem handlu.

Wszystkie wysepki wzdłuż wybrzeży Norwegii i Islandyi, na których erdredonki wysiadają swoje pisklęta, są drogą własnością i zostają pod strażą nadzorców. Ci wybierają dwa razy puch z gniazda, ale gęły samiczka po raz trzeci je wyściela, pozwalają jęj już wysiedzieć młode w spokoju, wiedząc, że na przyszły rok przybędzie na to samo miejsce i nowy zapłaci im haracz. Finsch zwiedził kilka takich wysepek u wybrzeży norweskich. Ptastwo, czując się bezpiecznym, gdyż pod karą pieniężną zabroniono jest strzelać je tam, gnieździło się tuż pod progiem domu nadzorcy, a samiczki pozwalały się nawet głaskać na gniazdach. Na jednej z tych wysepek, która kosztowała właściciela 800 talarów, wybierano rocznie z 30 gniazd 6 kilogramów puchu, co przynosiło 48 tal. dochodu.

Ale na tych oddalonych od wszelkich osad ludzkich skałach, nikt nas nie obłoży grzywną, jeżeli kilku strzałami przedrzemy ich skrzydlatych mieszkańców. Wsiadamy do łodzi, ażeby podplłynąć bliżej pod ptasią górę. W miarę zbliżania, wzmagają się wrzawa, niespokój, krzyk, kwakanie i świst, którymi tysiące ptaków rozmaitej wielkości i barwy przepełniają powietrze. Całe chmury samców wirują dokoła skały, to wzlatują w górę, to znowu opadają, muskają fale i zanurzają się w nich, aby pochwycić rybkę lub skorupiaka i zanieść je

siedzącym na gnieździe samiczkom; burzyki biegają po wodzie, trzepocąc skrzydłami i wylapują drobne zwierzątka morskie, a na wzlatujące ze zdobyczą mewy i burzyki napadają wydrzyki pasorzytne, zmuszają je do opuszczenia zdobyczy i chwytają ją w powietrzu. Stoimy oszołomieni, nie wiedząc, gdzie mierzyć w ten wir żyjący, strzelamy наконец na chybił trafił w pierwszą lepszą chmurę.

Powstaje straszniejsza jeszcze wrzawa; stada ptaków, które dotąd siedziały na skałach, biegały lub pływały po morzu, zrywają się z krzykiem ogłuszającym i łączą z latającymi. Ale óma ta zamiast się rozproszyć, zbija się w tém gęstsze kłęby, wiruje dokoła naszych głów, uderza nas skrzydłami po twarzy, piszczy i krzyczy tuż nad uszema, jakoby czyniąc nam wyrzuty, żeśmy przyszli aż na tę samotną wyspę wśród lodowatego oceanu, aby zamącić ich spokój i szerzyć dzieło zniszczenia. Tylko samiczki, miłością macierzyńską przykute, siedzą nieruchome na jajach, wtórując żalosnym głosem skargom samców; nie opuszczają one gniazda, które kryje nadzieje i pociechę rodziny, chyba przemocą z niego wydarte, albo śmiertelnym ugodzone strzałem.

Żądni świeżego mięsa, które jest niezrównanym dla podróżujących długo po morzach przysmakiem, możebyśmy, nieczuli na te żalosne skargi ptaków, większe w ich osadzie wyrządzili szkody, gdyby jój sama przyroda, od nas litościwsza, nie zasłoniła przed naszą morderczą bronią. Nagle z wody wzbiła się mgła, ta straszna nieprzyjaciółka podbiegunowych marynarzy, która ich często długie dni prześladowuje i na największe naraża niebezpieczeństwa — i w oka mgnieniu owiały nas jój gęste tumany. Wystrzał działowy ze statku, tysięcznym echem odbity o skały, wzywa nas do szybkiego powrotu i wskazuje, w którą stronę mamy wiosłować.

Z niemalym strachem, żeby nie zbłądzić, odszukujemy szczęśliwie statku. I wyspa, i jój strome przyłaski, i wrzaskliwe chmury ptastwa, wszystko znikło w powodzi mgły, jakoby jakąś czarodziejską siłą zagrzebane w toniach oceanu.

Lucyjan Tatomir.

17. O częściach roślin.

Każda prawie roślina, a przynajmniej wszystkie doskonałe składają się z korzeni, łodyg, liści, kwiatów i owoców. Korzeń służy do utrwalenia rośliny w ziemi i do wyciągania z niej soków oraz cieczy, roślinie potrzebnych. Ssanie cieczy odbywa się całą powierzchnią korzeni; zapuszczają się one w ziemię coraz głębiej, aby w większej przestrzeni czerpać mogły to, co do życia roślinie jest potrzebne. Korzenie zawsze prawie ukryte są w ziemi i rzadko które ukazują się nad jój powierzchnią, czepiają się drzew, jak np. pasorzyty i jemioły, albo pływają w wodzie.

Łodyga wyrasta z korzenia i wypuszcza z siebie gałązki, na których rosną liście. U drzew ta część rośliny nazywa się pniem, a u zbóż i traw — źdźbłem. Soki, wyssane przez korzenie, przebiegają wzdłuż łodygę i, idąc coraz wyżej, dosięgają kończyn gałęzi oraz listków.

Liście, wyrastające z gałązek, albo umocowane są na ogonku, albo téż wcale ogonka nie mają. Liść składa się z blaszki spłaszczonej, często bardzo cienkiej, czasem grubszej i soczystej, zawierającej mnóstwo niedojrzałych szpar i otworów, w które łatwo wnika powietrze, obciążone parą wodną i gazami. Kształt i utkanie liści bywają nadzwyczaj rozmaite; powierzchnia blaszki bywa gładka, falista, pomarszczona, pofałdowana; brzegi — w różny sposób wycinane, ząbkowane, piłkowane, a czasem znowu zupełnie równe. Niekiedy brzegi liścia są zakończone ostrymi drzewiastymi kolcami, jak np. w ostrokrzewie — lub téż cieńszymi a kolącymi, jak to ma miejsce w ostach i kaktusach; czasem cała powierzchnia liścia jest pokryta włoskami, a włoski te w niektórych roślinach, jak np. w pokrzywie, zawierają ciecz jadowitą.

Kiedy roślina dochodzi do zupełnego swego rozwoju, natowczas okrywa się kwieciami. Kwiat ten składa się z kilku części, wyraźnie odróżnić się dających; ma on kielich, zwykle

zielony, dalej z kielicha wyrasta korona, którą stanowi kilka, kilkanaście a nawet kilkadziesiąt listeczków, pięknie ubarwionych, zwanych płatkami; w środku korony wyrasta słupek, zakończony znamieniem, a ten otaczają pręciki, dźwigające pęcherzykowate główki, w których znajduje się pyłek.

Niektóre rośliny nie kwitną, jak np. mchy, paprocie i t. p. W kwiatach znajdują się jeszcze miodniki, zawierające ciecz słodką, z której pszczoły miód wyrabiają.

Owoce roślin bywają najrozmaitsze, zwykle są to ziarna pojedyncze, umieszczone w różnych osłonach. Ziarna zbożowe mieszczą się w plewach kłosa, jak np. pszenica, żyto, owies i t. p.; inne zamyka strączek, jak w grochu, soczewicy, wyce, akacyi; inne znów obejmuje soczysta miazga, jak to ma miejsce u pomarańczy i cytryny, albo znowu tkanina mięsista, jak w jabłku, gruszcze, dyni i ogórku; czasem owoce otacza twarda łupina, jak w orzechu; niekiedy zaś mnóstwo nasion znajduje się w zamkniętej komorze, np. w maku; czasem mieszczą się też owoce w szyszkach; — słowem, panuje tu nieprzebrana różnorodność, ale przeznaczenie owocu wszędzie jest wspólne: utrzymanie gatunku rośliny i wydawanie nowych w miejsce zmarłych.

Wł. Lud. Anczyc.

18. Rośliny pożywne stref gorących.

Przeważna ilość ludzi, szczególnie w gorącej strefie, zawdzięcza swe główne wyżywienie roślinom. Nasze rośliny pożywne, na które człowiek ciężko i w pocie czoła pracować musi, są ogólnie znane, gdyż ich uprawę zajmują się rolnicy, a chociaż ich drogość w czasie nieurodzaju daje się daleko więcej uczuć uboższymi niż majątnym, to przecież na wszystkich oddziaływa ona przygnębiająco. Rośliny stref gorących dostarczają o wiele łatwiej i obficie pożywienia, w wybór, w jakość i dobroć smaku tak bogatego, że niejeden człowiek, poznawszy te skarby przyrody, zdumiewa się i zazdrości mieszkańcom tamtejszym ich rajy ziemskiego. Człowiek potrze-

buje tam mało rąk przykładac do uprawy, a jeżeli troszkę jest pracowity, to opływa we wszystko, jak to zwykle zdarza się Europejczykom tam osiadłym, gdyż krajowcy są z natury swę ociążali, wiedząc, że ziemia i bez uprawy wyda tyle, ile na wyżywienie potrzebują. To też człowiek pracowity, mający niewielki kawał ziemi, żyje w znacznych dostatkach i wysyła duże zasoby swę pracy Europie, którą wskutek nędzy i niedostatku opuścił. Pierwszemi i bardzo ważnemi roślinami pożywnemi są: ryż, proso olbrzymie, kukurydza i trzcina cukrowa, dostarczające milionom ludzi polenty, kaszy i legumin, araku, wódki i cukru. Uprawa tych roślin, jako trawowatych, jest wszędzie z ciężką pracą połączona, chów niektórych, zwłaszcza tych, które rosną na bagnach, naraża nawet człowieka na liczne choroby. Pochrzym skrzydlaty, uprawiany jak ziemniak, ma bulwy 15 kg. wążące, surowe, gorzkie i odurzające, lecz po ugotowaniu smaczne i bardzo pożywne; udaje się zaś już o wiele łatwiej i bez wielkiej pracy. Strzelna amerykańska dostarcza napoju wyskokowego, kwaskowatego i chłodzącego, który pijają, jak u nas piwo lub wino, rdzeń ję liścia dostarcza smacznej jarzyny, a włókna pięknych i trwałych tkanin oraz papieru. Pokrewny ananas pielęgnowany w cieplarniach podobny daje użytek. Te rośliny rosną nawet na bardzo jałowych gruntach, a zatem uprawa ich w ojczyźnie niewiele sprawia trudu. Banan rajski, roślina zielna, mająca owoce ogórkowate do 10 cm. długie, a do 8 cm. grube, o smaku figowym, dostarcza bez przerwy pożywienia milionom ludzi, a mały ogródek zasadzony bananami, może wyżywić bez pracy liczną rodzinę, tak że z kawałka roli, z którego u nas jeden człowiek zaledwie wyżywić się zdoła, tam z uprawionego banana-
mi ma dostateczne utrzymanie 17 osób.

Pochutnik wonny ma owoce szyszkowate, używane podobnie jak chlebowiec na pożywienie. Palmy dostarczają mieszkańcom pożywienia bez trudu i mozół z pączka wierzchołkowego kapusty palmowej, a główka ję waży niekiedy 10 kg. Z młodych kłódzin lub kolb kwiatowych nawierconych otrzymuje się sok słodki, z którego robią cukier i arak palmowy, a przez kiśnie-

nie—wino palmowe. Owoce palmowe, kokosowe i daktylowe wieloraki dają pokarm i napój. Owoce kokosowe niedojrzałe dostarczają mléczka chłodzącego i smacznego, dojrzałe zaś bywają surowo jadane i w rozmaity sposób przyprawiane. Olejku kokosowego używa się na mydelka. Kokos zaś masłowaty dostarcza masła kokosowego. Daktyle, znane i u nas, służą mieszkańcom, jako owoce świeże, suszone i w rozmaity sposób przyprawiane za pożywienie.

Pestkami karmią wielbłądy. Z owoców wyrabiają miód daktylowy i napój pośredni między winem a miodem. Olejnik gwinejski dostarcza masła pachnącego fijołkami. Maurycya winodajna i igliszcza dostarczają wybornego wina.

Sagowce dają mąkę i krupy sagowe bardzo pożywne. Kopernikówka woskowa wydaje wosk płynny, ciekący z kłodziny i z liści. Dodawszy do tego i tę okoliczność, że włókna liści palmowych dają bardzo trwałe tkaniny i powrozy, wnieść łatwo możemy, że sam gaj palmowy jest jakby rajem dla człowieka, w którym on żyć może bez troski o jutro.

Drzewo chlebowe, czyli chlebowiec właściwy, drzewo do 16 m. wysokie, wydaje owoce wielkości melona do 2 kg. wążące, a zawierające wewnątrz skrobię i takie nasiona, których w uprawianych roślinach brak,—dostarcza przez 8 lub 9 miesięcy bez przerwy pożywienia zdrowego i najtańszego; 3 zaś lub 4 drzewa wystarczają na wyżywienie jednego człowieka. Owoce zbiera się przed zupełnym dojrzaniem, obiera ze skóry, kraje w krążki i wypieka się chléb smaczny, a zdrowy jak z pszenicy.

Na czas kwartalnej przerwy w owocowaniu chlebowca przygotowują zabiegliwsi zapasy mąki i przez rok cały posiadają niewyczerpany jój zasób. Gdy się murzynowi dziecko urodzi, zaszczerpia on lub zasadza 3 albo 4 drzewa chlebowe, a nim malec dorośnie, jest już zabezpieczony od głodu, gdyż drzewa jego wydają pożywienie obfite. Pokrewne drzewo mlékowe, jest także rzadkiem zjawiskiem świata roślinnego, gdyż dostarcza soku, którym pień w pewnych porach roku jest przepełniony. Sok ten gęsty, jak gęste mléko krowie, ma woń

miłą i smak przyjemny, tylko trochę jest lepki, gdyż zawiera nieco kauczuku, jest jednak bardzo pożywny i nie kwaśnieje. Gotowany osadza na dnie naczynia wosk, z którego robią świece. Mléko to jest ulubionym pokarmem krajowców, którzy nawiercają drzewo, zbierają ciecz do naczyń, a potem dziurę zatykają kołkiem, ażeby się sok daremnie nie sączył. Drzewo to największe wrażenie wywarło na Humboldta i wprowało go w podziw, równający się osłupieniu. Kawa, która dostarcza tak rozpowszechnionego pożywienia, uprawianą jest obecnie we wszystkich gorących krajach. Z powojowatych bywa tam uprawiany: pałat bulwiasty, wydający kłęb wielogłowy, wielki, mączny, jadalny i nader pożywny. Flaszowce, drzewa do 10 m. wysokie, mają owoce podobne do pomarańczy, lecz wonne i bardzo smaczne, powszechnie w gorących krajach jadane. Adansonija czyli chléb małpi ma duże owoce 50 cm. długości, zewnątrz drzewne, ale wewnątrz mąką wypełnione. Murzyni zwykle żywią się chlebem wypiekany z mąki tego owocu. Nawet liście tego drzewa suszą, rozcierają i wypiekają z nich pożywienie „lalo“ zwane. Niedojrzałe owoce mają smak przyjemny, kwaskowy, a namoczone w wodzie, dają wyborną limoniadę. Nie możemy pominąć wreszcie i téj własności roślin zwrotnikowych, że pokarmy z nich otrzymywane są zwykle wonne i smaku korzennego, z tych to bowiem okolic pochodzą wszelkie korzenie, służące do przypraw naszych pokarmów. Nadto bogactwo włókien wszelkiego rodzaju na różne, nawet bardzo pyszne tkaniny, czyni rośliny te dla człowieka daleko korzystniejszymi, niż uprawiane u nas z tylu trudami, a często bez należytego skutku. Ziemia zwrotnikowa wydaje plony tak obfite przy pracy stosunkowo małej, że każdy europejczyk zdumiewać się musi bujnością roślin i tą mnogością owoców; bardziej go jednak zadziwia niedbałość i lenistwo krajowców, nie umiejących korzystać z tych skarbów i bogatych spichrzów, które im ziemia sama wszędzie gromadzi. Żyją oni w raju ziemskim, więc wolno im żyć bez trudu pracy, ale dla nas w naszym klimacie nie pozostaje nic innego, jak tylko usilna i wytrwała praca, gdyż ta jedynie zape-

wnić nam może być, chociaż skromny i wytrzymałość na trudy w zawodach raz obranych.

Z Wypisów Polskich W. Seredyńskiego i A. Dzieduszyckiej.

O pogodę.

Dosyć, Boże, deszcze lały;
Twoje się dzieci zebrały,
Proszą od Ciebie pogody,
Błyszni słońcem, spłyną wody!

Spojrzyj na niwy zgubione,
Na sługi Twoje strwożone,
Wróć plon, który nas posili,
Ażebyśmy Ci służyli.

Fr. Karpiński.

19. Uprawa roli.

Rolnicy przed siewem orzą i bronią rolę, już to dlatego, że w pulchnej ziemi rośliny łatwiej korzonki zapuszczają, już też, że do poranej ziemi powietrze łatwiej się dostaje; dalej dlatego, że w taką ziemię deszcz głębiej i mocniej przesiąka, a słoneczne promienie lepiej ją ogrzewają.

Orka na dobrej ziemi im jest głębsza, tym lepsza. Rzecz to prosta i jasna, ponieważ ziemia spodnia, jeżeli się jej nie poruszy, nie ma dosyć siły dożywienia zasiewu, a tym samym żadnego prawie nie przynosi mu pożytku.

Rolę trzeba mierzwić; mierzwa bowiem jest niejako pożywieniem roślin, oddając ziemi to, co z niej sprzęt poprzedni wyciągnął. Najpospolitszą i najdawniejszą mierzwą jest gnoj, składający się z odchodów ludzkich i zwierzęcych, pomieszany z odpadkami wszelkiego rodzaju, jakie się w domu i gospodarstwie znajdują. Jasną jest rzeczą, że w mierzwie muszą się znajdować wszelkie organiczne i mineralne pierwiastki, któreśmy z plonem zebrali, a z gnojem znowu wracamy ziemi. Wielką wartość ma gnojówka jako mierzwa, ponieważ obfituje szczególnie w sole, które dla roślin są nieodzowne. Prócz odchodów zwierzęcych inne jeszcze materje mogą służyć jako nawóz. Nie każda też gleba jednej i tej samej mierzwy wymaga. Dlatego, aby odpowiednią wyszukać, należy wprzód

ziemię swoją dokładnie poznać. Dodać jej trzeba tego, czego ona nie ma, a często kilku workami odpowiednich materj więcej zrobić można, niż wielu wozami niewłaściwej mierzwy. To też niektóre materje okazały się bardzo korzystnymi i powiększającymi płodność ziemi, chociaż się ich używa w niewielkiej ilości. Do takich liczą: gips, mielone kości i guano. Działanie gipsu jest znaczne. Benjamin Franklin, obywatel amerykański, troskliwy o dobro swych ziomków, chciał ich skłonić do używania gipsu jako mierzwy. Zrazu nie chcieli go słuchać, wielki stawiając mu opór. Wtedy Franklin wybrał pole, na pochyłości góry leżące, obsiał koniczyną i wysypał gipsem w ogromnych rozmiarach następne wyrazy: „Tu wysypano gipsem.“ Niezwykła bujność koniczyzny na tych miejscach zwróciła uwagę przechodzących, tak, że się owego napisu doczytali. Odtąd rolnicy w północnej Ameryce powszechnie używają gipsu jako mierzwy.

Kości mielone również przyczyniają się do obfitego plonu pszenicy, i to tym więcej, im drobniej są zmielone. Wielka szkoda, że u nas wartość kości jako mierzwy tak późno poznano; wiele bowiem tysięcy centnarów tego materjału nieocenionego w rolnictwie wywieziono do Holandii i Anglii, gdzie się płodność ziemi w skutek tego w dwójnasób powiększyła.

Guano jest brunatne, podobne do gliny. Daje się łatwo rozcierać na proszek, a zapach ma nieprzyjemny. Przywozi się ono z niektórych wysp południowej Ameryki, gdzie od kilku tysięcy lat nagromadził się gnoj ptaków morskich, które w niezliczonych stadach okolice te zamieszkują.

Przemysłny gospodarz z lichego pola dobre zrobić umie. Pole zaś wtenczas jest najgorsze, gdy jest pokryte czystym piaskiem; taką niwę poprawia się gliną. Lecz przeciwnie, jeżeli pole ma tylko czystą glinę, trzeba posypać je piaskiem. Pola piaszczyste użyźniają się też przez częste obsiewanie łubinem. Mokre pola są niedobre, trzeba je osuszyć przez kopanie rowów, a lepiej jeszcze przez drenowanie albo obsączanie.

Rozumny rolnik słusznie trzyma się płodozmianu; różne rośliny bowiem różnej wymagają żywności. Jedne potrzebują więcej potażu, drugie więcej wapna, inne znowu więcej krzemionki, która jest w piasku krzemionkowatym. Pszenica np. wyciąga dużo soli, buraki niewiele; trzy sprzęty buraków tyle tylko potrzebują soli, co jeden sprzęt pszenicy. Z tego wynika, że jeżeli pole dla jednej rośliny jest już za słabe, dla innej jednak może tyle mieć żywności, że prawie z pewnością na dobry plon rachować można.

Jakie powinno być następstwo płodów, szczegółowo nie można tego oznaczyć, bo płodozmian stosować się powinien do każdej miejscowości. Dobrze urządzony płodozmian daje z pola, raz dobrze wymierzzonego, najmniej pięć sprzętów—bez ugoru. Rolnicy mają u nas zwykle płodozmian następujący. W pierwszym roku sadzą ziemniaki lub buraki, to jest roślinę potażową; w drugim sięją pszenicę—roślinę krzemionkową; w trzecim koniczynę—roślinę wapienną; w czwartym pszenicę i rzepe—rośliny krzemionkowe i potażowe; w piątym owies, żyto albo jęczmień—rośliny krzemionkowe i wapienne.

Nazwy te: roślina potażowa, krzemionkowa, wapienna, pochodzą od żywności, której płody owe najwięcej wymagają.

W ogóle roślina nagradza stokrotnie każde około niej staranie. Dzikie ziemniaki nie są większe od grochu, nasze są wielkie jak pięść; dzika marchew ma korzeń grubości gęsiego pióra,—nasza ogrodowa jest niekiedy grubą jak ramię. Nawet kwaśne jabłka i cierpkie dzikie gruszki stają się smaczniemi, oraz wynagradzają nam sownie troskliwą pracę.

Święty Izydor.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnój-góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,

A lud wierny swojej wierze,
Za półciwy grosz nabywał. —
I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozповідаł:

„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawniej tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach,
trudzie,
Zył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem,
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do tacek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;

Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały,
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi,
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia,
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed
świtem,
Zaprzął wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wry-
tém,

I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze,
Wprzód do Boga się odnosił,

U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej chylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Złakł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swój niedoli;
Gdy w tém w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty,
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicia rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołym,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopiek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięczniemi.

Gdy w tém anioł promienisty,
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samém miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem wielkie mnóstwo ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora,
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście,
Włada, rządzi, rozkazywa,
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.“

Franciszek Morawski.

20. W jaki sposób skały, ziemską skorupę składające, dzieje ziemi opowiadają.

Każdy dziejopisarz, gdy przedsięwzięcie skreślenie dziejów jakiego kraju, przedewszystkiém stara się poznać ze wszystkimi dokumentami, mogącymi rozjaśnić sprawy narodu, o którym pisać zamierza. Przegląda więc rękopisma w publicznych archiwach i bibliotekach, robi stosowne wyciągi z ksiąg drukowanych, a nawet może podróżuje po obcych krajach, szukając współczesnych kronik, mogących mu wyjaśnić to, co mu się w miejscowych niejasnym lub niedokładnym wydaje. Dopiero po dłuższej takiej pracy może on zebrać razem wszystko, czego się dowiedział i wysnuć z niego swego opowiadania. W przebiegu poszukiwań swoich znajdzie niewątpliwie pewne okresy historyczne, lepiej od innych wyjaśnione przez współczesne dokumenta, kiedy przeciwnie o niektórych zaledwie coś zadawalniającego dowiedzieć się może, bo piśmiennicze zabytki, mogące mu dostarczyć stosownych danych, albo zaginęły, albo skutkiem czasu zniszczone zostały. Nie wszystkie więc ustępy dziejów, przez niego skreślonych, odznaczać się będą równą dokładnością. Mogą się nawet w pracy jego znaleźć pewne szczyrby, których pomimo najstaranniejszych usiłowań wypełnić nie będzie w możności.

Otóż co się może przytrafić dziejopisowi, toż samo i geologa spotyka.

Ziemia ma również swe dzieje, jak narody, powierzchnię jej zamieszkującą. Geologa dziejopisem ziemi nazwać można. Głównym jego bowiem zadaniem jest zebranie wszelkich pozostałych dowodów, dotyczących przemian, jakie na powierzchni

ziemi zachodziły, i ułożenie ich w porządku następstwa, aby tym sposobem wykazać szereg wydarzeń, jakim nasza planeta od początku swego aż do obecnej chwili ulegała.

Czém są kroniki i napisy, monety i książki dla dziejopisa, tém skały ziemskiej skorupy dla geologa. Zawierają one w sobie wszelkie istotne dowody, którymi on rozporządzać może. Co o nich na jednym miejscu zebrać potrafi, to musi porównywać z tém, co mu się w inném miejscu nasyca. Musi on robić dalekie i szerokie wycieczki celem poszukiwania faktów, których u siebie znaleźć nie może. Muszą się tu znaleźć nieuchronne braki, których wieloletnia nawet praca i pracowitość wypełnić nie zdołają. Skały ulegają zaburzeniom, w swoim rodzaju tak samo niszczącym, jak i owe przewroty, które zburzyły archiwa miast i narodów. I z tego to względu geolog w najlepszym razie niedokładną tylko może nakreślić kronikę. Wszelako ma ona zawsze niezmiernie dla nas wszystkich znaczenie, boć jest historią naszej planety, jej lądów i oceanów, gór i dolin, rzek i jezior, całych pokoleń roślinnych i zwierzęcych, zamieszkujących powierzchnię ziemi; jest to wreszcie historia pojawienia się i rozwoju samego człowieka. Bezpośredniego wyjaśnienia pierwszych dziejowych okresów ziemi skały obecne dostarczyć nam nie mogą. Kiedy ziemia oddzieliła się od pokrewnego sobie słońca, musiała być masą niezmiernie rozpaloną, taką, jaką dziś jeszcze jest słońce. Po bardzo długim dopiero czasie, skały, jakie obecnie widzimy, wytworzyć się mogły. Więc, jakkolwiek skały przenoszą myśl naszą w niezmiernie odległą przeszłość, wszelako nie sięgają do początku dziejów ziemi, kiedy ona oddzielną planetą się stała. O tym pierwotnym jej stanie wnioskować można jedynie z innych, przeważnie astronomicznych spostrzeżeń.

Każda skała podaje nam drobny ułamek dziejów ziemi. W skałach np. prostego kamieniolołu można wykryć położenie dawnego dna morskiego i pewne szczątki jestestw morskich, jakie niegdyś na dnie tém żyły. Torfowisko może nam wykazać granice dawno znikłego jeziora, na którego wody nasi arcydawni przodkowie spuszczały swoje dębowe czołna. Skały

znowu kopalni węglowej stanowią pomniki dawnych lasów, które jeden po drugim bujnie na powierzchni ziemi wzrastały, a następnie, zapadając kolejno w jej łono, dziś leżą głęboko zagrzebane.

Przez takie-to i tym podobne fakta, każdy pokład skalny ujawnia nam swoje dzieje, stanowiące część tylko ogólnej historii ziemi. Im staranniej gromadzić będziemy te częściowe oddzielne ustępy, tém zupełniejszą będzie całkowita kronika ziemi, stanowiąca zadanie geologii.

Wedle prawa stopniowego układania się pokładów jednych na drugie, skały najniżej znajdujące się, są najstarszemi. Ale w łono ziemi niebardzo głęboko sięgać możemy. Najgłębsze kopalnie zstępują zaledwie na parę tysięcy stóp wgłąb. Gdyby więc pokłady zachowały niezmiennie pierwotne swoje poziome położenie, jakie przy tworzeniu się miały, to moglibyśmy tylko poznać bliższe warstwy powierzchni ziemi.

Ale skutkiem zaburzeń skały zostały powyginane i połamane, podniesione do góry i w dół opuszczone. Z tego więc powodu dziś widzieć możemy, nie tylko wierzchnie ich pokłady, ale nawet niektóre z najdawniejszych. Zamiast w poziomym, — znajdujemy je w łonie ziemi mniej lub więcej w ukośnym położeniu, a na powierzchni stąpamy po podniesionych ich bocznych krawędziach, niby po grzbietach szeregiem ułożonych książek. Jakkolwiek więc dawne skały zwykle leżą pogrzebane pod tysiąco-stopowemi masami skał późniejszego utworu, wszelako dość często znajdujemy je i na szczytach wysokich górskich łańcuchów. Okoliczność ta oszczędza geologowi kłopotu robienia otworów świdrowych i szybów, gdy idzie o wykrycie porządku pokładów w głębi ziemi ukrytych. Przez staranne badanie przecięć, jakie na powierzchni ziemi można widzieć, oznacza on ów porządek z wielką dokładnością i dowiadyuje się, które pokłady do najdawniejszych, a które do najnowszych zaliczyć wypada.

Skorupa ziemi o tyle przynajmniej, o ile ją badać możemy, składa się głównie ze skał osadowych i organicznych. W tych zatem skałach należy szukać przeważnie faktów, do-

tyczących historii ziemi. Gdybyśmy mogli ułożyć pokłady tych skał jeden nad drugim w porządku ich powstawania, utworzyłyby one masę prawdopodobnie przeszło na ośmnaście wiorst grubą. Otóż masa ta stanowi bibliotekę, w której dzieje ziemi zebrane być muszą.

Oprócz kolejnego następstwa pokładów, geolog posiada inny jeszcze środek porównania względnego wieku skał. Porównywając rozmaite ich pokłady dochodzi on do przekonania, że skamieniałości czyli szczątki roślinne i zwierzęce jednego pokładu są odmienne od skamieniałości drugiego.

Jeżeli będziemy porównywali dzisiejsze rośliny i zwierzęta ze szczątkami ich znajdowanymi w dawnych i coraz dawniejszych pokładach, przekonamy się, że w ogóle są one coraz mniej podobne do obecnie żyjących. Każda wielka grupa pokładów posiada właściwe sobie charakterystyczne skamieniałości. Oprócz więc kolejnego następstwa, czyli stopniowego układania się pokładów jednych na drugie, możemy je odróżniać jeszcze po skamieniałościach.

Przy pomocy tych metod klasyfikacyi, obszerną, a złożoną masę skał osadowych można podzielić na kilka grup wielkich; te znowu na mniejsze poddziały, poddziały na piętra, a ostatecznie na oddzielne pokłady, tak, że każda nowo odkryta warstwa może być odniesiona do właściwego sobie miejsca w całym obszernym szeregu pokładów. Metoda ta jest niezbędną ze względu na dokładność; zupełnie tak samo, jak każde historyczne dzieło dzielone bywa na tomy, a te znowu na oddzielne ustępy i rozdziały, wreszcie na stronnice oraz wiersze.

Korzystając zatem z wszelkich wskazówek dostarczonych przez skały, geolog snuje wątek swój opowieści o dziejach ziemi. Wykazuje on nam, jak ląd i morze często swe miejsca zmieniały, jak od czasu do czasu wulkany ogniem we wszystkich częściach świata zionęły, jak się lądy jeden po drugim wznosiły, jak kolejno tworzyły się łańcuchy gór, jak doliny, parowy i jeziora wyżłobione zostały, jak klimaty stopniowo się zmieniały, począwszy od zwrotnikowego gorąca do mrozów

podbiegunowych. Wśród wszystkich tych wstrząśnień, jakim ulegała stała powłoka ziemi, znajduje on, że współcześnie zachodziły ważne także zmiany w państwie roślinném i zwierzęcém, zamieszkującym powierzchnię ziemi. Może on nam opowiedzieć, jak życie, zjawiwszy się w najodleglejszej przeszłości pod postacią najprostszych organizmów, stopniowo przez długie wieki rozwijało się w coraz doskonalej uorganizowanych postaciach, aż do obecnych czasów. Może zaznaczyć, jak gromada po gromadzie: mięczaki, ryby, gady wywoływane były do bytu, żyły przez długie okresy, następnie powolnie znikaly, ustępując miejsca nowym zwierzęcym pokoleniom, dopóki wreszcie na zakończenie dziejów nie pojawił się człowiek na widowni tego świata.

Tym sposobem więc geologija dostarcza nam mnóstwa faktów, mających niezmiernie dla umysłu naszego znaczenie, bo zaznajamiających nas z wielką starożytnością naszej planety i z cudownym szeregiem przemian, w skutek których dzisiejszy porządek rzeczy nastąpił. Uczy nas ona, że góry i doliny nie zostały nagle takimi, jakimi je obecnie widzimy, ale tworzyły się stopniowo w szeregu procesów podobnych do tych, jakie dziś również zachodzą. Przekonywamy się dalej, że każda cząstka lądu, pod stopami naszymi leżąca, opowie nam swe dzieje, jeżeli tylko badać ją potrafimy. A najdziwniejszém jest to przeświadczenie, że obecne pokolenia roślin i zwierząt, zaludniających lądy i morza, nie są bynajmniej pierwszemi czyli pierwotnemi, ale, że przed niemi istniały inne, a te znowu przed innemi jeszcze, zupełnie odmiennemi. Żywe więc jestestwa, podobnie jak martwa materja, mają również swe własne dzieje. W ich zaraniu napotykamy ślady jedynie niższych postaci, podobnych do dzisiejszych foraminiferów, czyli otwornic ze szlamu oceanu Atlantyckiego. Nakoniec twarzą w twarz spotykamy się z człowiekiem—z tym myślącym, pracującym, niezmordowanym człowiekiem, walczącym bezustannie z siłami przyrody i przemagającym je stopniowo, w miarę jak prawa rządzące nią poznaje.

Pieśń żniwiarska.

Jak las wysokie żyto się udało;
Oj będzie za to pieniędzy niemało!
A pszenica na zagonie,
Złocistemi kłosa płonie.

Jęczmień i owies błyska barwą świetną;
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną,
A pracowne nasze woły,
Wszystko zwiozą do stodoły.

Potém wymłócim, a czeladka pańska,
W galerach z szyprem powiezie do Gdańska:
Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniędzy niemało.

Więc chłopcy, dziewczki, żywo z sierpem, żywo,
Skończmy coprędzej rozpoczęte żniwo;
Gdy skończymy rażni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.

Dziewoja, która przodowała w żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,
I wianek z kłosów pleciony,
Wstążeczkami ukraszony,

Strojny kaliną i polnymi głogi,
Złoży z podarunkiem przed pańskimi progi;
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywą.

Będziemy hulać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana.

K. Gaszyński.

21. Zorza północna.

O godzinie dziesiątej wieczór dał się słyszeć szum wielki w powietrzu. Jakiś huk oddalony, jakiś łoskot dziwny zdawał się być prologiem do następującej sceny i zapowiadać dziwne widowisko, mające się oczom naszym objawić.

Mieszkańcy Berezowa zrozumieli, co ten huk znaczy; jakoż, światło cudowne zaalał naraz cały widnokrąg. Mój gospodarz, Kozłów, wszedł do pokoju, wzywając mnie na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro oddać nie potrafi wzniosłej sceny, która się rozwinęła przed memi oczyma.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobieliał ziemię, budynki i wszystkie przedmioty. Rzuciwszy okiem wkoło siebie, byłam w zachwyceniu!

Przy dziwnej natury blasku, odbitym od białości śniegowej, okrywającej kościoły, drzewa, budynki, które się rysowały jak czarodziejskie gmachy w czarodziejskim świetle, Berezow już mi się nie wydał małą miejsciną jak zwykle: była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu zdawały się stanowić jeden gmach, jedną całość, a ten gmach był otoczony ścianami w płomieniu i takąż kopuła, strzelająca wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziej zachwycającą była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, której nie można porównać z żadnym światłem, znanym w przyrodzie. Było to jakby zlanie się ogni bengalskich ze srebrzystą jasnością, odbitą od księżyca w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka, nie już jak zwykle, kształt kopułowy, ale jak głowy cukru. Horyzont został zamknięty w ciśniejszych ścianach, ale wierzchołek tego ostrosłupa, ginał w tak niezwykłej wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek, przebiwszy zwykłe sklepienie, zrobił otwór do nieba i pozwolił w tę godzinę nadzwyczajnej uroczystości, zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego pa-

dołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub że duchy wyższej natury usunęły przez ciekawość przegrodę, dzielącą ich od śmiertelnych, aby się przypatrywać zjawisku niezwyktemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa utworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych, jasności srebrzystej, które, wijąc się w kłęby jakby dym lekki, rzucały światło, o którym mówiłam. Obłoczki te, niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa, jakby wychodząc z pod ziemi i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrac zawsze kłębami światła do góry, gdzie znikwały u wspólnego wierzchołka tak szybko, że oko nie mogło nadażyć w ślad za nimi. To znikanie nie rodziło jednak żadnej przerwy w ogólnych ruchach, bo coraz nowe kłęby światła, podnosząc się od podstawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za pierwszymi i znikwały jak tamte, zostawiając miejsce innym, które goniliły za nimi.

Poza temi ruchomemi ścianami nie było widać błękitnego sklepienia, usianego gwiazdami. Może też gwiazdy zbladły wobec tak dziwnego światła. Jednym słowem, stanął świat inny wobec świata codziennego.

Ten dziwny taniec mas światła, pehniętych w ruch siłą niewidomą, odbywał się przy majestatycznym huku muzyki, brzmiejącej w powietrzu.

Ten powietrzny huk, łoskot, miłe światło, nie mają w sobie równego, kształt niezwykle widnokregu, gra dziwnie ożywiona różnokształtnych obłoczków, które, pędząc, ścierając się i znikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u jednego wierzchołka, — wszystko to dziwnie nastrojało wyobraźnię i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów.

Człowiek chce zbadać prawa przyrody, wykraść tajemnice sił, pędzących w ruch światy; pragnie wiedzę przynajmniej, jeśli nie potęgą czynu, zmierzyć się ze swym Twórcą! Na każdym kroku spotyka atoli nowe dziwy, nowe siły nieznane, nowe tajnie przyrody, nowe dowody nieobjętej wszechmocności, a jednak nie leczy się z pychy, z zarozumienia. Szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy ten, co w zachwyceniu duszy

upadłszy na kolana, umieć czuć sercem dziwy przyrody i w niemém uwielbieniu, w całej pokorze ducha oddaje hołd niedościgłej Wszechmocności.

To nadzwyczajne zjawisko trwało godzin kilka, poczem ruch zaczął się zmniejszać, światło gasnąć częściowo, a o godzinie drugiej z północy wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zaślone, czy też zaćmione, zaświeciły nanow, księżyc zaczął nanowo odbywać chód wolny po czystym nieba błękit, i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nie było; została tylko pamięć niezwykłego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Ewa Felińska.

Rozmowa ze słowikiem.

Powiedz słowiczku, powiedz mój mały,
 Błagam na wszystko w świecie,
 O czém ty śpiewasz przez wieczór cały,
 W naszym ogródku, w lecie?
 Czy opowiadasz swoje przygody,
 W miłym rozgłosnym śpiewie?
 Jakeś przeleciał wonne ogrody?
 Na jakim spoczął drzewie?
 Czy jak się kryjesz w liście zielone,
 Gdy skwarne słońce pali?
 Jak rankiem strącasz piórka zroszone
 W cichéj powietrza fali?
 Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącój,
 Na lazurów niebie?
 Czy o téj wodzie zwolna ciekącój?
 Powiedz mi, proszę ciebie.
 —O! ja ci powiem, śliczna pastuszek:
 Śpiewam piosenkę twoją,
 Kiedy ci za czém tęskni serduszek,
 I oczy we łzach stoją.
 I kiedy znika twój uśmiech słodki,
 I patrzysz smętna i blada,
 A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
 Kwiatek po kwiatku spada.

St. Jachowicz.

22. Podział czasu.

Starożytni dzielili czas według ruchu najjaśniejszych ciał niebieskich, jakimi są słońce i księżyc.

Zmiana ciągła światła i ciemności, pochodząca od obrotu ziemi naokoło osi, oznaczyła długość tego czasu, który nazwano *dniem*.

Pozorny ruch słońca naokoło ziemi w ciągu 365 i ćwierć dni, nazwano *rokiem*.

Ruch księżyca naokoło ziemi oznaczył długość miesiąca, który jest prawie dwunastą częścią roku.

Podział *tygodnia* na *siedm dni* datuje się od początku świata. Narody starożytne, mające wiele bóstw, dały imiona ich siedmiu planetom znanym w tym czasie i poświęciły: poniedziałek księżycowi czyli Dyjanie, wtorek Marsowi, środę Merkuremu, czwartek Jowiszowi, piątek Wenerze, sobotę Saturnowi, a niedzielę Słońcu.

Tablica, na której naznaczono podział czasu na dni, tygodnie, miesiące i lata, nazwaną została kalendarzem, od słowa *kalendae*, święta, które u Rzymian przypadało pierwszego dnia każdego miesiąca. Forma i podział kalendarza nie były jednakowe u wszystkich starożytnych ludów, co właśnie utrudnia naukę starożytnej chronologii i historii.

U Egipcjan rok miał 365 dni; tym sposobem co rok odrzucali oni 5 godzin 48 minut i 51 sekund, to jest prawie ćwierć dnia, tak, że początek ich roku wracał wcześniej nim ziemia ukończyła swój obrót około słońca, a wskutek tego rok zaczynał się w różne pory. Chaldejczycy zwrócili uwagę na te ćwierć dnia, i żeby rok zaczynał się zawsze w jednym czasie, po trzech latach mających 365 dni, rachowali w czwartym 366. Tym sposobem Egipcjanie po 4 razy 365, czyli po 1460 latach, tracąc po dniu jednym w cztery lata słoneczne, wyprzedzili o 365 dni, czyli o rok jeden Chaldejczyków, i liczyli 1461 wtedy, gdy pierwsi rachowali tylko 1460 rok.

Okolo 776 r. przed Nar. Chr., Grecy zaczęli rachować według Olimpijad, to jest peryjodu czterech lat, po których zwyczaj odbywały się gry Olimpijskie.

U Rzymian, za Romulusa, rok składał się z dziesięciu miesięcy, z których marzec był pierwszym, wrzesień siódmym, październik ósmym, listopad dziewiątym, a grudzień dziesiątym; (*september, october, november, december*, od słów: *septem, octo, novem, decem*). Wkrótce potem Numa dodał jeszcze dwa miesiące: styczeń i luty, czyli: *Januarius* i *Februarius*.

Od tego czasu aż do Julijusza Cezara, kalendarz rzymski tak się pomieszał, iż ten wielki bojownik postanowił go poprawić. Astronom Sozigenes wezwany z Egiptu, urządził nowy kalendarz w 45-ym r. przed Nar. Chr., nazwany kalendarzem Julijańskim.

Postanowiono było jak u Chaldejczyków wstawiać dzień jeden co cztery lata i umieszczać go po szóstym dniu przed kalendami marcowemi, tym sposobem w lutym był drugi szósty dzień, *bis sexta dies*, skąd poszło nazwanie: *bissextile* u Francuzów; u nas zaś, rok mający dzień jeden więcej od poprzednich, nazywa się rokiem przestępnym.

Poprawka ta z czasem stała się niedostateczną, bo licząc rok 365 dni i ćwierć, robiono go dłuższym o 11 minut i 9 sekund. Ta różnica prawie nieznaczna w początku, w przeciągu niedługiego czasu, t. j. w 134 lat utworzyła prawie dzień jeden, tak że w 1582 r. wiosenne porównanie dnia z nocą, które powinno było przypaść 20 marca, przypadło 10-go.

Papież Grzegorz XIII, żeby znów postawić porównanie dnia z nocą na właściwe miejsce, rozkazał odrzucić dziesięć dni i nazajutrz po 4-ym października 1582 r. rachować 15-go. Postanowiono także odrzucić trzy stuletnie przestępne dni, w ciągu 400 lat, tak że lata 1700 i 1800 nie były przestępnymi, 1900 także nie będzie, ale rok 2000-ny będzie przestępny. Reforma kalendarza przez Grzegorza obmyślana, z czasem była wszędzie przyjętą, oprócz przez Rosyjan i Greków, którzy dotychczas trzymają się kalendarza Julijańskiego, tak że ich rok

jest dziś o 12 dni poza naszym rokiem. Kiedy koresponduje się z tymi krajami, stawia się dwie daty, i tak: 8/20 lipca, oznacza: 20-go lipca naszego, a 8-go lipca według kalendarza Julijańskiego.

Nie ma nic trudnego w ułożeniu kalendarza, dla tego, iż tu chodzi głównie o znalezienie daty dnia, w który przypada wielkanoc. Jak tylko ten dzień zostanie znaleziony, święta ruchome ustawią się w porządku.

Nicejski sobór rozkazał w 325 roku święcić wielkanoc w pierwszą niedzielę po pełni następującej po wiosennym porównaniu dnia z nocą, t. j. przypadającej 21 marca lub później. Żeby znaleźć tę niedzielę, należy szukać za pomocą epakt, którego dnia przypadnie nów marcowego księżyca, potem dodać 14 dni do daty, na którą przypada, żeby wiedzieć dzień pełni.

Jeżeli dzień ten przypadnie na 21-y marca lub później, wielkanoc jest w następną niedzielę; lecz jeżeli pełnia przypadnie przed 21-ym marca, to tylko w niedzielę po następnej pełni nastąpi to święto.

Dla tego też wielkanoc może być w peryjodzie od 22-go marca, jak to było w 1818 r., aż do 25-go kwietnia, jak to będzie w 1886 r.

Skoro dzień wielkanocny raz znaleziony, święta ruchome znajdą natychmiast swoje miejsce i kalendarz będzie urządzony bez wielkiej pracy.

Starożytni nazywali *Wielkim rokiem* bardzo długi peryjod, po którym wszystkie planetarne zjawiska powinny się powtórzyć w tymże samym porządku i w téż same epoki. Długość jego oznaczała się według tych zjawisk, które każdy z astronomów uważał za najważniejsze. Wielki rok wywarł bardzo korzystny wpływ na astronomię, gdyż przymusił tych, którzy chcieli dowiedzieć się o jego długości, obliczać ruch planet, a zatem posuwać naukę naprzód, która z nowymi odkryciami niszczyła astrologiczne przepowiednie i przesady ludzkie.

Dr. Jan Stella Sawicki

Wschód słońca.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
 Kwietniój; pogoda była prześliczna, czas ranny,
 Niebo czyste w koło ziemi obciągnięte,
 Jako morze wiszące, ciche, wklęsło—wgięte;
 Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
 Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
 Podlatuje i skrzydła w błękiecie zanurza,
 Podobne do niknących piór Anioła-Stróża,
 Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
 Spóźnił się, spieszy wracać między współniebiany.
 Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
 Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
 Prawą skronią złożone na węzłowie cieni
 Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
 A dalej okrąg jakby powieka szeroka
 Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
 Widać tęczę, żrenicę—już promień wytrysnął,
 Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
 I w białej chmurce jako biały grot zawisnął.
 Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
 Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
 A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne
 Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
 Siedmią barw błyszczy razem; szafirowe razem,
 Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
 Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
 Potém jako brylant światło, nakoniec ogniste,
 Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
 Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

Adam Mickiewicz.

23. R o s a.

Wskutek działania ciepła zamienia się woda morska, rzek,
 jezior i w ogóle wszelka wilgoć na powierzchni ziemi w ciało
 lotne przezroczyste, gazem wodnym zwane, i to tém bardziej,
 im wyższa temperatura i im większy powiew powietrza, który

w miejsce warstw, gazem tym nasyconych, naprowadza znów
 warstwy suche. Skoro się atmosfera oziębia, zamienia się gaz
 wodny w delikatne nieprzezroczyste bąbelki wodne, które two-
 rzą parę. Wskutek swój nieprzezroczystości czyni para atmo-
 sferę mniej przezroczystą i osiada w kroplach na zimniejszych
 od téjże ciałach, tworząc tym sposobem rosę. Powstawanie
 rosy najlepiej spostrzedz można na zimnej szklance wody, któ-
 ra, wniesiona z zimnego do ciepłego pokoju, natychmiast
 okrywa się jakoby powłoką mglistą, tracąc przez to swą prze-
 zroczystość. Powłoka ta, jest to gaz wodny, który przez zi-
 mno szklanki zgęszczony i na niej osiadły zamienia się w parę,
 a następnie w kropelki rosy. Ze sposobu powstawania rosy
 wynika, że im większa i naglejsza zmiana temperatury tém do-
 godniejsza dla tworzenia się rosy. Dla tego téż wiosną i w jesie-
 ni największe panują rosy, gdyż natenczas zaraz po zachodzie
 słońca powietrze nagle się oziębia, stając się przez to niezda-
 tném do przyjmowania wyziewów ziemi, szczególnie podczas
 pogodnych i spokojnych nocy, w których dla braku przewiewu
 powietrza, cieplejsze tegoż warstwy w miejsce oziębionych na-
 stępować nie mogą.

Upowszechnioném jest zdanie, że gdy rosa opada, nastę-
 puje pogoda, gdy zaś rosy niema — ślota. Przepowiednia ta
 zasadza się na tém, że przez opadanie rosy traci powietrze swą
 wilgoć, która w niém pozostając, sprawia zwykle dżdżyste po-
 powietrze. Jak dobroczynném zjawiskiem jest rosa, przekony-
 wamy się podczas naszych upałów letnich. Często dla braku
 deszczu, musiałyby latem wszystkie rośliny uschnąć, gdyby
 nie błogi wpływ rosy, która im potrzebnej do życia i wzrostu
 udziela wilgoci.

Niekiedy napotykamy na roślinach wilgoć lepka i słodka-
 wą, za którą się pszczoły uganiają i którą nazywamy dla tego
 rosą miodową. Pochodzi ona z wyziewów roślinnych, które,
 osiadłszy na liściach i tamże zaschnąwszy, zgubny nader wy-
 wierają wpływ na wzrost roślin. Są także i owady drobne
 czyli mszyce, które wydają ze siebie podobną do rosy miodo-
 wój wilgoć.

Równie szkodliwą jest rosa mączna, znana pod nazwiskiem zarazy. Różne w powietrzu znajdujące się wyziewy, opadając z rosą na rośliny i na nich się zsycając, stają się przyczyną, że szczególnie młode liście, tą zarazą dotknięte, żółkną i usychają.

24. Szron.

Szron niczem innem nie jest, jak rosą, która osiada i zamarza na ciałach, mających przynajmniej temperaturę topniejącego lodu. I tak szronem zachodzą okna zimą w pomieszkaniach naszych, gdyż znajdująca się w nich wilgoć zamienia się na szybach w rosę, która wskutek mrozu zewnętrznego na tychże zamarza. Tak samo zimą, gdy naraz zawieje wiatr ciepły i odwilż nastaje, drzewa, mury i budynki okrywają się szronem. Jestto wilgoć powietrzna zamieniona w rosę, która osiada i zamarza na przedmiotach, powoli ciepło przyjmujących, czyli złych przewodnikach ciepła, gdyż takowe o wiele niższą mają temperaturę od temperatury powietrza. Zjawisko to nazywamy powszechnie szronieniem ścian, budynków i t. d.

25. Mgła.

Mgła także powstaje przez to, iż znajdujący się w powietrzu gaz wodny w skutek oziębienia zgęszcza się w parę. Mgłą także jest oddech nasz, który, wychodząc z płuc, ma wiele wyższą temperaturę od otaczającego powietrza i dla tego natychmiast się zgęszcza, a nareszcie przy większym jeszcze mrozie zamienia się w szron, osiadający na sukniach i włosach naszych.

26. Obłoki.

Obłoki mają ten sam początek, co mgła i niczem też innem nie są, jak mgłami, które w wyższych warstwach atmosfery powstały, lub też tam wiatrami zapędzone zostały.

Im bardziej para, tworząca obłoki zgęszcza się wskutek zimna, tém ciemniejszą przybierają one barwę, a skoro się o tyle zgęszcza, iż stają się cięższymi, aniżeli powietrze, nad którym się unoszą, natychmiast na dół opadają; skoro zaś napotykają warstwy cieplejszego powietrza, znów ogrzane wznoszą się wyżej. Zwykle powstają obłoki tym sposobem, iż ogrzane w niższych warstwach powietrze unosi się do góry wskutek swjej lżejszej wagi, zabierając ze sobą gaz wodny, który w wyższych i zimniejszych warstwach powietrza zgęszcza się i przybiera postać mgły, natenczas nazywaną obłokiem.

27. Deszcz.

Gdy para i wyziewy wilgotne, znajdujące się w powietrzu i tworzące obłoki wskutek oziębienia zgęszcza się do tego stopnia, iż stają się cięższymi od powietrza, natenczas bąbelki, tworzące też parę, skupiają się w kropelki i opadają na dół. Tym sposobem powstaje deszcz. Podczas spadania łączą się kropelki deszczu ze sobą i zabierają skutkiem swjej niższej temperatury ze sobą wilgoć powietrzną, przez co stają się coraz większemi. Im wyżej zatem obłok taki, zwany też chmurą deszczową, stoi i im więcej w powietrzu wilgoci, tém większe też padają krople deszczu. Dla tego to w krajach zwrotnikowych największe padają krople deszczu, gdyż dla większego ogrzania atmosfery, chmury o wiele większej dosięgają tam wysokości, aniżeli w strefach umiarkowanych. W pośród lata zdarza się niekiedy w krajach naszych deszcz gwałtowny, który nazywamy oberwaniem się chmur. Nie trzeba sobie wyobrażać, jakoby chmura się rozdarła i deszcz otworem z niej potokami płynął, ale inna jest przyczyna tego zjawiska. Gdy warstwy atmosfery najniższe przepełnione są wilgocią, a ponad niemi stoi chmura deszczowa, natenczas wyziewy wilgotne razem z deszczem, stojącej nad nimi chmury, nagle zamieniając się w wodę, spływają w wielkiej ilości na ziemię. I to zjawisko nazywamy oberwaniem się chmury. Wydaje się wtedy, jakoby chmura wielka z wyższych warstw powietrza sięgała aż do

ziemi. Szczęściem ulewy takowe małą tylko stosunkowo zajmują przestrzeń i nie często się zdarzają, gdyż inaczej kraje nasze nieobliczone ponosiłyby szkody. Kto nie widział okropnych skutków takiej ulewy, trudno je sobie wyobrazić. Woda z nieba płynąca, jakoby ogromnym potokiem rozdziera pola, obala mury i budynki, zabiera ogromne kamienie ze sobą i zalewa całe okolice, przynosząc ludziom i zwierzętom ogólną zagładę. Biada mieszkańcom kraju nisko położonego nad rzeką! Niepodobna się oprzeć rozhukanemu żywiołowi; szczęśliwy, kto choćby uratował życie swoje i drogich mu istot! Widzimy stąd, jak wielka ilość wody w małej stosunkowo przestrzeni atmosfery pomieścić się może.

Modlitwa o deszcz.

Wszego dobrego dawco i szafarzu wierny,
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny
Modli się dżdżu i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów zboża upragnione.
Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją
Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywěj wody dodawasz rzekom niespokojnym,
Ty przepaści nasycasz i łakome morze,
Stąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy chcesz, wszystek świat powodzią zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia, jako pióro spłonie.

Jan Kochanowski.

28. G r a d.

Jeśli spadające krople deszczu marzną w powietrzu, zamieniają się w ziarenka lodu, które nazywamy gradem. Ziarenka te powiększają się w spadaniu przez to, iż gaz wodny na nich osiada jako na ciałach zimniejszych, a niekiedy łączą się ze sobą i tworzą kawały lodu wielkości włoskiego orzecha.

W tej postaci grad często wielkie zrzadza szkody w zbożach, a nawet zabija ptastwo i mniejszą zwierzynę. Doświadczenie uczy, że tylko latem grad pada i to tylko we dnie, rzadko w nocy, przedewszystkiém zaś w sferach umiarkowanych. Jeszcze dotąd nie wyjaśniono, jakim sposobem tak nagła zmiana w powietrznój temperaturze powstaje, iż z deszczu grad tworzyć się morze.

29. S n i é g.

Śnieg powstaje tym sposobem, iż delikatne bąbelki wodne, znajdujące się w obłokach zamarzają wprzód, nim w krople zamienić się mogą i następnie zmarzłe jedne do drugich się przyczepiają. Tworzyłyby one zawsze drobnieutkie regularne kryształki najróżnorodniejszych kształtów, gdyby powiew powietrza nie mieszał ich szyku i nie skupiał w płatki, w których zwykle spadają na ziemię. Śnieg zwykle pada podczas dni niezbyt mroźnych, gdy atmosfera nasycona jest wilgocią, a jeśli podczas mroźnych wiatrów północnych śnieżna powstaje zamieć, to tylko tym sposobem, iż delikatne igiełki śnieżne z ziemi wiatrem uniesione, niezliczoną swą mnogością zapełniają powietrze. Wtenczas też powstają zawieje śnieżne, które zapełniają rowy i wąwozy i tamują bieg pociągów dróg żelaznych.

Z m r o k.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypacz łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją,
I lękając raz poraz jak w bębunki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszeciej wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy,
Jako zakłęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.

Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
 Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
 Drugi staw z dnem błotnistém i gardzielem mętym,
 Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
 W obu stawach piał żab niezliczone hordy,
 Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
 Ten fortissimo zabrział, tamten nóci z cicha,
 Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;
 Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
 Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał; tylko w gaju i około rzeczki,
 W łożach błyskały wilcze oczy jako świeczki,
 A dalej u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
 Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
 Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
 Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.

Adam Mickiewicz.

30. Siły wody, powietrza i ognia na ziemi.

Wody morskie swém ciągłym poruszeniem i częstemi nawałnościami burzone, tłuką bezprzestannie i gwałtownie krańce lądu: obrywają i wydrążają jedne, a wyścielają i podnoszą drugie jego brzegi. Wody ze śniegów i lodów w szpary i otwory gór się wlewające, a zimnem zmrożone, mogą te skały i góry łupać, targać i rozrywać, ulewy deszczowe ziemię na wierzchołkach i grzbietach gór obmywać i znosić. Rzeki przez swój bieg wymulają spody gór i skał, które podkopane w swoich fundamentach mogą się pochylać i zwalać jedne na drugie, zapychać, zwracać i odmieniać koryta rzek. W nagłych i obfitych wylewach rosnące tychże rzek masy i szybkość, mogą wywracać budynki, zatapiać wsie, pola i miasta, znosić pagórki, wydrążać doły, wyścielać mułem i podnosić jedne miejsca, a wybierać, zagłębiać i zniżać drugie. Otchłanie i pieczary podziemne wodą napełnione, mogą pękać w swoich sklepieniach i albo góry na sobie stojące trzaskać i rozwalać, albo ląd chłonać i topić, lasy, wsie i miasta pożerać i niszczyć. Przydajmy do tego siłę, rozpuszczającą wody względem wielu ciał,

które może rozmiękczać, psuć i przerabiać, a wszystko razem uczy nas, że woda jest jedną z najdzielniejszych sił przyrodzenia wywartą na odmianę powierzchni ziemskiej.

Powietrze znowu uważane jako zbiór wszystkich par i gazów, swą siłą rozpuszczającą i ciągłym ję wywieraniem może psuć, rozrabiać, w proszek zamieniać i rozpraszać wiele ciał; w gwałtownych poruszeniach i burzach skały obruszać i wywracać, góry piaszczyste znosić, najżyźniejsze grunta piaskiem zasypywać i obracać w stepy i pustynie, wypełniając w postaci gazów jamy i lochy podziemne, a w nich zaparte, masą i wytężoną swą sprężystością, może też lochy rozrywać, wstrząsać gwałtownie rozległe obszary wody i lądu, a posiłkowane ciepłem i ogniem wulkanicznym, sprowadzać te wszystkie spustoszenia, które zostawiają po sobie trzęsienie ziemi.

Z tego więc krótkiego rzutu oka na zewnętrzną budowę ziemi, poznajemy, że ziemia w swoim, że tak powiem, rodzie, zawiera targające ją siły, z których najogromniejsze: *wody, ognia i powietrza*, ciągle pracują na przemianę ję zewnętrznąj budowy. Peryjody i koleje tęj przemiany odbywają się w krociach i tysiącach wieków; tych się w żadnych pismach i pamiętkach ludzkich doczytać nie podobna; bo życie ludzi i narodów jest tylko krótką chwilą w przepaści czasu, który wielkie roboty natury mierzy i oznacza. Zostawia jednak przyrodzenie niezatarte tęj przemiany ślady w swych tworach i stworzeniach, okrywających i składających powłokę ziemską. Uwaga tych tworów i stworzeń zrodziła cały szereg nauk fizycznych. Ziemia więc stała się zatrudnieniem i najmocniejszych namiętności i najdzielniejszych sił umysłowych człowieka. Pierwsze są najczęściej matką nieszczęść, klęsk i cierpienia, a świadectwem drobnosci ludzkiej; ale rozum i głęboka dzieł natury rozważa, są skarbem pożytków i roskoszy umysłowych, a źródłem prawdziwej człowieka chwały i wielkości.

Ziemia, jako bryła okrągła, z różnych ciał złożona, i różnymi płynami oblana, wystawiona jest na działanie sił sobie, że tak powiem, przyrodnych, z których najgwałtowniejsze

są: woda, ogień i powietrze, dążące do przerobienia i odmiany jej budowy zewnętrznej. Człowiek może ciągle i pracowicie te odmiany śledzić, ale ich biegu podobno nigdy ani wyrachować, ani objąć nie potrafi.

Jan Sniadecki.

31. Co może robić siła pary.

Niema już dziś prawdopodobnie nikogo ani w Warszawie, ani w jakimkolwiek większym mieście, ktoby niejechał choć raz w swém życiu albo koleją żelazną, albo statkiem parowym. Codziennie setki tysięcy podróżnych i olbrzymie ilości towarów, przenoszone są z miejsca na miejsce po tych żelaznych paskach, które każdy z pewnością widział, a które noszą nazwę relsów, albo szyn. Kilkanaście lub kilkadziesiąt wielkich pociągów, zwanych wagonami, przesuwa po relsach z wielką szybkością maszyna, stokroć silniejsza od każdego żywego stworzenia,—w maszynie zaś tej działa siła pary.

Kto chce zrozumieć, w jaki to sposób działa para, ten niech idzie do kuchni, w której na blasze znajduje się naczynie z wrzącą wodą i niechaj naczynie to postara się silnie nakryć pokrywką lub denkiem. Po zrobieniu tego, każdy może być pewnym, że dostrzeże bardzo ciekawe zjawisko: oto pokrywka podniesie się na jednym brzegu, przez szparę wyrwie się na zewnątrz naczynia kłęb pary, poczem pokrywka znów opadnie i szczelnie zamknie naczynie; następnie zaś znów się podniesie, znowu opadnie i tak dalej dopóty, dopóki tylko woda w naczyniu wrzeć będzie. Kto zechce uważnie przypatrzeć się tym ruchom pokrywki, ten łatwo zauważy, iż będzie ona podskakiwać tém częściej i wyżej, im większe kłęby pary będą się wydobywały, im woda gwałtowniej wrzeć będzie, t. j. im większy pod naczynie podłożymy ogień.

Jeżeli, będąc w posiadaniu mocnego bardzo garnka, położymy na pokrywkę duży ciężar, to przekonamy się, że para nie tak często będzie ją podrzucać do góry, ale za to podskoki te będą gwałtowniejsze, będą się one odbywać z tak wielką

siłą, iż łatwo można przewidzieć, że jest ona w stanie podnieść bardzo nawet ciężką pokrywę.

Powiadają, że wynalazca maszyn parowych, anglik Watt w dzieciństwie swoim przypatrywał się ruchom pokrywki na czajniku z wrzącą wodą, i że następnie długo myślał nad tém, aby za pomocą pary poruszać nie małą pokrywę, lecz jakąkolwiek dużą maszynę. Ponieważ myśl Watta była słuszną, on zaś sam dużo nad tém rozmyślał, jakby to parą można poruszać maszyny i bardzo wiele pracował nad próbami w tym celu—nie więc dziwnego, że wreszcie zdołał zbudować bardzo mocną i pożyteczną maszynę parową, w której silnie ogrzana para porusza wszystkie jej części.

W maszynie Watta już nie lekką pokrywę, lecz duży, żelazny stempel para pcha to w jedną, to w drugą stronę, ponieważ zaś stempel ten porusza się z ogromną siłą, więc można za jego pomocą wykonywać rozmaite prace: pompować wodę, piłować drzewo i tym podobne wykonywać czynności.

Para może poruszać stempel tylko tam i napowrót po linii prostej, ale Watt taki zrobił na końcu stempla mechanizm, że może on obracać dokoła duży krąg żelazny, tokarnię lub kamień młyński. Mechanizm ten jest bardzo dowcipny, ale zrozumieć go można tylko na rysunku, lub na modelu ze stali lub z drzewa. Tym, którzy dojdą do klasy szóstej, cały ten mechanizm, nazwany na cześć wynalazcy „równoległobokiem Watta“, opiszą bardzo dokładnie nauczyciele fizyki i mechaniki. Nie trzeba jednak zapominać, że do porządnego zrozumienia tego mechanizmu, należy dobrze umieć matematykę; każdy więc, kto chce zarazem poznać maszynę parową, powinien przedewszystkiem przykładać się starannie do matematyki, która mu przyda się później we wszystkich ścisłych naukach.

Wkrótce po Wacie, angielski mechanik Stephenson, począł rozmyślać nad tém, że jeżeli za pomocą pary można obracać kamień młyński, to można także wynaleźć mechanizm, któryby poruszał koła dużego wozu. Zaczął więc Stephenson

robić próby i nareszcie udało mu się zbudować duży wóz parowy, który nosi nazwę lokomotywy. Kto na stacyi kolei przyjrzy się uważnie, jak lokomotywa rusza z miejsca, ten spostrzeże z pewnością poniżej komina duży stempel stalowy, który porusza się tam i napowrót po linii prostej i za pomocą bardzo dowcipnego mechanizmu obraca koła.

Relsy, po których lokomotywa ciągnie cały pociąg, są dane dla tego, żeby ciężkie wagony i jeszcze cięższy parowóz nie zagłębiały się w ziemię. Gdyby wszystkie koła pociągu wryły się w ziemię, wtedy lokomotywa nie zdołałaby go z miejsca poruszyć i albo koła jej obracałyby się w miejscu, albo też słabsze jej części popękałyby i połamały się. Po gładkich zaś i twardych relsach pociąg posuwa się daleko łatwiej, tak samo jak tramwaje, które po relsach jeden koń ciągnie; — po zwykłym zaś bruku i dwa byłoby za mało, gdyby wreszcie tramwaj z pasażerami na piaszczystej postawić drodze, wówczas i cztery konie ledwo by go z miejsca ruszyły.

Siła pary zamkniętej w kotle jest olbrzymia i dla tego należy być z nią bardzo ostrożnym; jeśli bowiem niesumienny maszynista za dużo pod kocioł położy ognia i nie pozwoli wychodzić zeń parze na zewnątrz, wtedy może się zdarzyć, iż para rozsadzi kocioł i odrzuci jego kawały na wszystkie strony, szczątki kotła łamią i gruchoczą wszystko, co im staje na drodze. W zeszłym roku para wysadziła kocioł w fabryce mebli na ulicy Smolnej. Kocioł ten olbrzymi, wielkości czterech lub pięciu pieców pokojowych, cały z żelaza, para za mocno ogrzana i zadługo więziona, wyrzuciła w górę tak wysoko, że przeleciał jak piłka przez trzypiętrową kamienicę, upadł aż w alei Jerozolimskiej i zarył się głęboko w ziemię.

Ponieważ tak wielką jest siła pary, przeto kotły przy maszynach parowych muszą być bardzo mocne i dobrze wypróbowane, aby ich para nie rozerwała i nie rozsadziła. Zwykle też znający się na tém dobrze ludzie, zwani inżynierami, próbują najprzód kotły, czy są dosyć mocne i dopiero potem pozwalają sprzedawać. Pomimo to jednak, zdarzają się czasami nieszczęśliwe wypadki pęknięcia, przy których prawie zaw-

sze nieszczęśliwi lub nieogłędni robotnicy, bywają silnie kaleczeni lub zabijani.

Ponieważ życie i zdrowie ludzkie są bardzo drogie, przeto rozmaici inżynierowie i mechanicy starali się wynaleźć takie kotły, którychby para rozerwać nie mogła, lub żeby je rozrywała bez nieszczęść dla otaczających. Kotły takie już wynaleziono, znane są one pod nazwą surowych; dla czego zaś są one bezpieczne, dowiedzą się ci, którzy w szóstej klasie fizyki i mechaniki uczyć się będą.

J. J. Boguski.

Droga żelazna.

Szerszego życia żądzą naprzód
gnany,
Człowiek z powietrzną wróciwszy
żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany,
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie druty narzucił té
ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił
się nimi.
Od pierwszej chwili stworzenia
natury,
Brzemienne kruszcem piętrzyły się
góry;
Jak stare skarbcze wieki wieków
stały,
I na wielką myśl czekały.
I myśl ta błysła — zajaśniała
słońcem:
Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą,
Rydwan gromem — droga strzałą
Leci — życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja:
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje,
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje.

Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata;
Dziś się rozdwaiał żelazem,
I dziś żelazem się brata.
Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniej w świetnym wieku dziele;
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmierzonym świecie ciele.
W każdej z żył tych nurtem wrzą-
Ogień się życia przelewa; [cym
Na każdym wozie lecącym
Sztandar wolności powiewa.
Pędzi, pędzi jak grom fali,
Uciekają lasy, góry;
Gdzieś tam za nim w ciemnej dali,
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słońca;
Gonia za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonia!
Pędzi, pędzi w lotnym biegu,
W wielką otchłań niezmierności;
Jak lawina, piorun śniegu,
Wieść tryumfu, duch wolności:
Radość jego ogniem płonie,
Radby objąć ziemię całą,
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą.

Leć, leć, wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów,
Co nad całą masą czasów,
Lotnym meteorom świeci.
Wszystkich wieków myśli śmiało
W jego myśl się zestrzeliły;
Wszystkie chwały w jego chwałę,
W siłę wszystkie jego siły.
On już mężem był z dziecięcia,
Krwia go ochrzcił Cezar nowy,

I ten ogień przedsięwzięcia
Wiał mu swymi czyni, słowy.
Wiek ten stary świat pokona,
Góry przeszkód w proch rozdrobi;
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy, ludy,
Rozwinął skrzydła olbrzymie,
Leci—wielkie sypie cudy,
I „Naprzód“ mu imię.

Fr. Morawski.

32. Elektryczność.

Już bardzo dawn o, bo w XVII wieku, jedenbardzo uczony anglik, nazwiskiem Robert Boyle, zaczął utrzymywać, że przyczyną grzmotów, piorunów i błyskawic jest elektryczność. Żeby zrozumieć, dla czego to Boyle wygłosił takie zdanie, trzeba przedewszystkiem dowiedzieć się, co właściwie oznacza wyraz *elektryczność*. Zdaje się, iż będzie to bardzo łatwem do zrozumienia, jeśli tylko przypomnimy sobie kilka bardzo prostych zjawisk. Każdy, kto kiedykolwiek miał u siebie w domu przez dłuższy nieco czas czarnego kota, mógł się z łatwością przekonać, że gdy kota tego głaskał pod włos w ciemnym pokoju, wówczas cała sierć jego poczyniała świecić blado-niebieskawem światłem. To światło nie zawsze bywa jednakowej siły. W lecie zazwyczaj jest ono bardzo słabem, lecz zimą, gdy kot wygrzeje się dobrze przy piecu lub kominie, gdy nadto w pokoju jest ciepło, a ręka nasza jest zupełnie suchą, wówczas światło jest bardzo silne i spostrzedz je można z wielką łatwością. Jeżeli zamiast głaskania kota ręką, użyjemy w tym celu czarnego grzebienia, zrobionego z tak zwanego ebonitu, t. j. czarnego kauczuku, wtedy światło jest najsilniejsze. Otóż wszyscy uczeni mówią, że przyczyną tego światła jest elektryczność, a samo światło w dawniejszych czasach nazywano *ogniem elektrycznym*. Taki ogień elektryczny można wywołać nietylko przez głaskanie kota pod włos; można go także otrzymać trąc silnie kawałkiem materii wełnianej o ebonit lub o twardą

smołę szewcką, albo téż o tak zwany pech, t. j. o tę smołę, którą piwowarowie wylewają wnętrza naczyń drewnianych, aby piwo z drzewa nie naciągało smaku i zapachu.

Otóż Robert Boyle, o którym wspomnieliśmy już wyżej, otrzymywał ogień elektryczny najrozmaitszymi sposobami i przypatrywał mu się bardzo uważnie, przyczem spostrzegł, że barwa ognia elektrycznego jest bardzo podobna do barwy błyskawic, że często ze smoły potartej wełną wyskakują małe iskierki, podobne z kształtu do piorunów; tylko, że od nich wiele tysięcy razy mniejsze, że nareszcie przy wyskakiwaniu tych iskierek daje się słyszeć cichy bardzo trzask, tak jak przy uderzeniu piorunu daje się słyszeć głośny i silny grzmot. Gdy Boyle zastanowił się nad wszystkimi temi podobieństwami, wówczas począł utrzymywać, że grzmoty, pioruny i błyskawice pochodzą tak samo od elektryczności, jak i światło, powstające przy głaskaniu czarnego kota, lub przy pocieraniu ebonitu materią wełnianą.

Chociaż Boyle był zupełnie pewnym prawdy tego, co sądził o piorunach i grzmotach, jednak mało kto mu wierzył, bo ludzie zawsze pragną mieć dowody zupełnie dokładne i łatwe do zrozumienia. Dopiero więc w końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku udało się uczonym zebrać takie dowody, iż pioruny od elektryczności pochodzą, że już dziś nikt o tém wątpić nie może. Najwięcej pod tym względem zasłużył się Benjamin Franklin, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, bardzo szanowany i słusznie ceniony na całym świecie, gdyż istotnie był to mąż zacny, prawy i bardzo rozumny. Chciał on się koniecznie przekonać, skąd się biorą pioruny i jaka jest przyczyna tego, że one z chmur na ziemię spadają.— W tym celu puszczał on w górę bardzo wysoko latawca na nitkach konopnych lub szychowych i wtedy to przekonywał się, że z końca tych nitek, na których utrzymywał się latawiec, wyskakują takie same iskierki elektryczne, jakie z potartego ebonitu otrzymać można—są one tylko nieco większe.

Po takim dowodzie nikt już wątpić nie może, że w chmurach jest taka sama elektryczność, jaką możemy wywołać na

kocięj skórze lub na ebonicie, témbardziej, że nietylko Franklin, lecz i inni uczeni, jak: Gay-Lussac, Joly i Richman przekonali się o tém dokładnie. Richman życiem nawet przypłacił swe doświadczenia,—ściągnął bowiem za pomocą drutu żelaznego tak silną iskrę z chmury, że go ta zabiła na miejscu. Smutny ten wypadek miał miejsce w Petersburgu.

Franklin jednak nietylko, że w zupełności zaspokoił naszą ciekawość co do przyczyny piorunów, lecz zdołał on jeszcze zabezpieczyć nas od ich działania, przez wynalezienie przyrządów zwanych piorunochronami, które w taki sposób na grożące piorunami chmury działają, iż z nich bardzo rzadko upada grom w budynek tym przyrządem opatrzone.

Każdy, ktokolwiek uważnie przechodził ulice miasta, lub spojrział na wysoką wieżę albo komin fabryczny, spostrzegł na nim niewątpliwie wysoki na parę łokci, ostro zakończony pręt żelazny. Pręt ten jest właśnie piorunochronem. Górny jego koniec świeci częstokroć mocno w świetle słonecznym, gdyż bywa albo grubo pozłocony, albo też pokryty białym, świecącym metalem, który podobny jest do srebra i nosi nazwę platyny. Aby jednak piorunochron działał skutecznie i nie dopuszczał piorunów do gmachu, na którym stoi — niedość jest, aby górny koniec jego był ostry i pozłocony, lub pokryty platyną, lecz konieczne potrzeba jeszcze, aby od dolnego jego końca szedł do ziemi pręt żelazny, gruby przynajmniej na trzy palce, i aby koniec tego pręta był zakopany w ziemi do takiej głębokości, w jakiej już ziemia jest zawsze wilgotną i nie wysycha podczas największych skwarów letnich. Do zakopanego w ziemię końca przymocowują zazwyczaj dużą blachę żelazną. W ostatnich czasach zaczęli używać drutów miedzianych zamiast prętów żelaznych do połączenia piorunochronów z ziemią. W tym celu z drutów nie grubszych od podwójnej szpilki, splatują linę grubości dwóch palców i za pomocą tej liny łączą piorunochron, stojący na dachu domu z żelazną deską zakopaną w wilgotnej warstwie ziemi.

Żeby piorunochron działał dobrze i zabezpieczał dokładnie gmach, na którym stoi, od uderzeń piorunów, musi być

koniecznie bardzo starannie urządzony. Przepisy na to, jak go należy budować, dali po długich naradach ludzie uczeni, którzy stanowią w Paryżu akademię nauk. U nas, w Warszawie był na początku bieżącego wieku kupiec Karol Kortum, który wszystkie swe wolne chwile naukom poświęcał i doszedł do tego sam, że wiedział, jak należy piorunochrony urządzać, aby one dobrze zabezpieczały,—w końcu zaś przeszłego wieku król Stanisław August rozkazał zaprowadzić na zamku piorunochrony, gdzie też je, jak świadczy Kortum, bardzo dobrze i rozumnie ustawiono.

Nie należy wierzyć tym, którzy utrzymują, że piorunochrony sprowadzają pioruny—tak nie jest; pioruny zazwyczaj omijają te gmachy, na których przezorni ludzie postavili te przyrządy. Musi być dopiero niesłychanie silna burza, jeśli piorunochron piorunu powstrzymać nie zdoła i tylko w takich razach piorun uderza w ostrze pręta; lecz i wtedy jest daleko słabszy, aniżeli był, gdyby gmach był bez piorunochronu, i wtedy jednak po prętach żelaznych piorun dostaje się do ziemi i gmachowi albo wcale nie szkodzi, albo też tylko bardzo male czyni spustoszenia.

Ta piękna nauka, która dokładnie objaśnia, jak to piorunochrony działają, nazywa się fizyką; lecz uczyć jej zaczynają dopiero w piątej klasie, gdyż, aby ją dobrze rozumieć, trzeba pierwój umieć matematykę, której w czterech niższych klasach uczą.

J. J. Boguski.

33. Kompas.

Najważniejszém jest zadaniem żeglarza, aby tak kierował okręt, iżby ten z oznaczonego kierunku nie zbaczał i jak najprędzej dosięgnął wybrzeża, na które wysiąść zamierzono. Z starożytnych ludów, pierwsi Fenicyjanie ośmielili się puszcząć na pełne morze, żeglować po niem bez spoczynku dzień i noc, podczas przyjaznych lub przeciwnych wiatrów, nie cofając się nawet przed burzą.

W dzień słońce było ich przewodnikiem wśród nieprzejezanych i bezdrożnych przestrzeni morskich, w nocy gwiazdy;

użyli więc astronomii na korzyść żeglugi. Początkowo kierowali się według gwiazd wielkiej niedźwiedzicy, zwaną także wielkim wozem niebieskim, gdyż konstelacja ta leży blisko bieguna północnego i bardzo łatwo wyszukaną być może. Później, około roku 1250 p. nar. Jezusa Chrystusa, zaczęto używać dla wytknięcia kierunku nocnej żeglugi, konstelacji małej niedźwiedzicy, mianowicie ostatniej gwiazdy w jej ogonie t. j. gwiazdy biegunowej. Grecy, kierujący się podobnie według słońca i gwiazd, nie mieli jednak odwagi puszczać się na pełne morze. Tak na morzu Śródziemnym, jak i na Atlantyku, nie tracili nigdy z widnokręgu wybrzeży. Żeglując do Sycylii, opływali Peloponez, dotykali dzisiejszych wysp Jońskich, przeznawali kanał Otranto i posuwali się wzdłuż brzegów Włoch południowych, dopóki dymy Etny nie wskazały im kresu podróży. Tak samo postępowali przy dalszych wycieczkach około wybrzeży śródziemnych, a Rzymianie wiernie ich w tym naśladowali.

Ludy skandynawskie przewyższały Rzymian i Greków w śmiałości na morzu. Na kruchych i nędznych statkach śmiało zapuszczali się ci żeglarze na wody nieznane, gdzie nie odważali się puszczać cztero i pięciorzędowe nawy zdobywców świata. Któż ich kierował po tych nieprzejrzanach pustyniach wód morskich? Kto im dopomógł odkryć Islandyję, Grenlandyję i Północno-Amerykańskie wybrzeża? Wszak gwiazdy przewodnie kryje czarna powódź obłoków, nie szczędzi nawet słońca. Sternikami Normandów były ptaki: na każdym statku kilkaset ich wieziono; wypuszczony z niewoli ptak, instynktem odgadywał położenie lądu i szybkim lotem zdążał w jego stronę. Żeglarze biegli za nim i odkrywali nieznane kraje.

W średnich wiekach dopiero wynaleziono narzędzie małeńkie i nieznaczące, a potężne, które ludziom otworzyło oceany świat oblewające, zawiodło ich do krain rozległych a nieznanym i stało się źródłem bogactw, potęgi i pomyślności narodów. Narzędziem tym był kompas.

Kto go wynalazł, pozostanie na zawsze w tajemnicy, chociaż bowiem jako wynalazcę jego w Europie podają włocha,

Flawijusza Giojo, przecież ludy Azyjatyckie nierównie dawniej już znały użycie kompasu. Marco Polo, słynny podróżnik Azyjatycki, widział w r. 1260 w Chinach igłę magnetyczną, używaną jako kompas morski, a dzieje chińskie opowiadają, że panujący około 1070 r. pr. nar. Chrystusa cesarz chiński Ching, podarował posłowi kochinchińskiemu dziwną machinę, mającą ruch własny, która miała osobliwszy przymiot wskazywania podróżnym drogi na lądzie i morzu. Ludy zachodnio-azyjatyckie nie mniej znały użycie kompasu, wprzód od europejczyków. Podczas wojen krzyżowych, kardynał Vitrej i rycerz Wincenty z Beauvais, widzieli kompas u beduina przewodnika, który radził się w pustyni tego narzędzia; na dworze nawet Fryderyka I, cesarza, znajdował się w r. 1181 arab, posiadający kompas.

Zwyczajny kompas okrętowy umieszczanym bywa w małeńkiej skrzyneczce kwadratowej, u góry szkłem zaopatrzoną. Wewnątrz na ostrzu sztyfcika pływa igła magnetyczna, pod igłą znajduje się tablica, zwana różą wiatrów, na której najprzód oznaczone są cztery główne kierunki świata, a następnie 28 punktów, między nimi pośredniczących. Igła wskazuje wciąż północ z małymi zboczeniami, które żeglarze według pewnych zasad prostują.

Od wynalezienia kompasu w Europie rozpoczął się szereg odkryć; żegluga, wyzwolona z powijaków niemowlęstwa, wzrosła niesłychanie. Nauka zyskała niezmiernie, handel podniósł się do olbrzymich rozmiarów. Tu naprzód zasłużyła się Portugalija, mianowicie też następca tronu, a później król portugalski Henryk, żeglarz całą duszą, oddał się odkryciom, wyszukując, wspierając i zachęcając dzielnych marynarzy, łóżąc wszystko, co posiadał, na wyprawy morskie. Inne ludy naśladowały usiłowania portugalczyków. Częstsze i odleglejsze wyprawy morskie wydoskonaliły budowę okrętów; co pierwotkowo było dziełem zwykłego rzemieślnika, to później nauka wzięła pod swój kierunek. Geografija, Astronomija i inne nauki przyrodnicze podały sobie ręce, wspierając się wzajemnie. Doświadczeniu sterników przyszły w pomoc umiejętności, a że-

gluga stała dziś tak wysoko, że słaby nasz rozum nie umie już nawet odgadnąć przyszych w niej ulepszeń.

Wł. Lud. Anczyk.

34. Opis wioski.

Była to sobie... wioska trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawała. Ponad nią na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste lany zbóż, niewielkimi czarnymi przecięte laskami; środkiem siola biegła ledwie dojrzana rzeczulka w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązках bieleły wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedą. I drzewom, i chatom, i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba, zawsze jasny prawie, świecił nad nimi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada, rozkrzewiając się coraz dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczką, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarna, zarastających boki rozdołu. Na wysokiej płaszczynie wzgórza jeden tylko cmentarz za wioską wyniesiony ponad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny i nie wiem jak ci ludzie, do tak różnych chatek śmiejących się przywykli, mogli spać potem na tak opuszczonym rozlogu. Musiało tam dużo wstawać upiorów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich. Cmentarz ten, była to jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jej częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie; chaty, czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane ponad drogą; na wierzchołku góry były wrota

na łan, a aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznej, gdzie każda piędź ziemi droga? Jak to tam skąpo wymierzono gruntu umarłym, jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiało i płakało nad mogiłami. Tylko bądyle ostów i zielska, co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby i zeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnej dzwonki, gdzieniedzie zielenieją na tyłą lez użyźnionej roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypilowali z kruchej tarcicy i zatknęli krzywo, niedbale, na niedługo: pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamienią. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć zielenią; owdzie, zamiast pagórka, dół już wkleśły tylko. Tak to i z żalem, jak z mogiłami bywa; gdzie rósł do góry, wkrótce próżnię tylko po sobie zostawia... Na wale, na rowie jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu za szeroka, nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznej wiatru i burzy nie słyhać, za to nieboszczyków na tej górze żaden wichur nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podrugotał! Miarkujcie, jak to tu smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiero żywemu!

Bo też, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrót, czy nie widzicie? stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obryw, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka! oj, złe nazwanie—lepianka chyba; i to jeszcze za wiele może—szałas, ale nie szałas jeszcze; stoi to coś, co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęca, to widocznie pomieszkane człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawał-

ków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wicher gdy się rozhula. Ale czego to nie dokażą we dwoje:—człowiek z nędzą? Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie zlepione jak gniazdo jaskółcze. Wistocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku tej przemyślniej ptaszyny: drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kolków z płota i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darnią! I reszty Bóg dokończył, zasiawszy na tej płaszczyźnie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła litościwe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łań chwastów, tak dorodnych, tak bujnych, jakby na mogile! Z pośrodku nich wypleciony z chrustu, oblepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem stariej maty przyrzucony i udaje komin z wielkim talentem,—komedyjant!

Nie nudźcie się, nie nudźcie kochani czytelnicy, to coś ciekawszego doprawdy od opisanja pałacu w stylu odrodzenia, lub willi gotyckiej. Idziemy dalej.

Ściany, żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (cóż na świecie nie zdradza, kolki nawet!) ściany obwiodł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza; górą już się chyla, dołem ani sposobu; dwa czy trzy drągi krzywe zamiast szkarpów służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna niemniej przecie od reszty opisanja warte. Okna? nie wiem, czy tak nazwać można te dwa otwory nieregularne, gliną oblepione, w które wstawiono bez ram kilka brudnego szkła kawałków. Jużciż to okna, bo choć nie puszczają powietrza, a światła dają nie wiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniej się było budowniczemu wykreślić, ale wielki-to budowniczy—nędza; tworzy z niczego, żaden Palladio tego nie potrafi. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko im się pilno przypatrzeć. Siegają aż pod sam dach zbytniki i mówić się zdają: „niech się wchodzący nie schyla;“ a i one

razem z kominem i oknami grają komedję— bo przyszedłszy bliżej masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki nie-mało potrzeba było pracować, niemało. W bezleśnym kraju któżby to tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: „Bóg zapłać!“ A ten, co lepiankę stawiał, widocznie musiał po zapłatę odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwiczek, ile westchnień złamało pierś, co je lepiła. Patrzcież, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kolkami pozabijanych, drażków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jedną pełnić służbę; sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kolków. Byłoż tu pracy, było, ale to dawno, bo deszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanów ledwie teraz rozpoznać można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, naprost cmentarza, na łysym wzgórku, od wsi o staję, a spytacie pewno, któż tam mógł budować się i mieszkać? Ten, co zwykle mieszka w lepiankach—ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biedne stworzenie, które spieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo żyć niema po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza, nad miejsce wiekiutego spoczynku?

(z „Chaty za wsią“).

J. I. Kraszewski.

Ballada, jakich wiele.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;

Młodzieniec nieznany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
 „Mój dziadku! w tém siele
 „Któż ziemskie opuścił miesz-
 [kanie?“
 „Smutne to są sprawy;
 „Jeżeliś ciekawy,
 „Posłuchaj, opowiem mój panie.
 „Przed kilku latami,
 „Żył we wsi téj z nami
 „Kmieć z kmiecia zamożny, po-
 [cziwy.
 „Ni soli, ni chleba,
 „Niebyło tam trzeba,
 „Był czczony, kochany, szczęśliwy.
 „I było ich troje:
 „On z żoną we dwoje,
 „A synek jedynak był trzeci;
 „Wesoły, rumiany,
 „Przystojnie odziany,
 „Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.
 „Raz ojciec z wieczora
 „Powraca ze dwora,
 „I wzdycha i mówi do żony:
 „Mój Boże! mój Boże!
 „Jak téż to przy dworze
 „Stan kmiotka maluczki, wzgar-
 [dzony.
 „Prostaczek w tym tłumie,
 „Gdzie każdy coś umie,
 „Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;
 „I nam Bóg dał dziecię,
 „Czemużby téż przecie
 „I ono nie było człowiekiem?
 „Przedajmy dwa woły,
 „Niech idzie do szkoły,
 „A kto wie, co się i z nim stanie;
 „Może się przy dworze
 „Umieści, a może...
 „A może i—księdzem zostanie.

„Jak rzekli, zrobili;
 „Lecz grubo zbłądzili,
 „Bo szczęście i w kmiecym jest
 [stanie;
 „Dobra jest nauka,
 „Ale kto jój szuka
 „Nie z pychy — wszak prawda,
 [mój panie!
 „Co rok więc na szkoły
 „Z ojcowskiej stodoły
 „Szło zboże, z obory dobytek;
 „Syn wzrastał w rozumie,
 „Lecz za to i w dumie,
 „Na smutny rodziców pożytek.
 „I przeszło lat wiele,
 „A nikt go w tém siele
 „Nie widział w zagrodzie rodzica;
 „A z cicha mówiono,
 „Że w mieście tam pono
 „Waszmości udaje szlachcica;
 „Że w głowie ma państwo,
 „Nie święte kapłaństwo,
 „Że ojca wstydzi się w sukmanie;
 „A Bóg się tym brzydzi,
 „Kto ojca się wstydzi:
 „Nieprawda? cóż wam to mój
 [panie?
 „Tymczasem oknami,
 „Jak mówią, i drzwiami
 „Bieda się do niskiej pcha strzechy;
 „Ucieka dostatek,
 „Przyrasta zaś latek,
 „A znikąd pomocy, pociechy.
 „Starcowi i niwa,
 „W młodości życzliwa,
 „Kakole wydaje i głogi;
 „Więc nieraz w potrzebie
 „Na syna, na siebie
 „Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,
 „Aż troską strawiony,
 „Raz upadł przy pługu na łanie,
 „I zasnął na wieki,
 „A nikt mu powieki
 „Nie zamknął: płaczcie mój panie?
 „O! powieść nie cała:
 „Wszak matka została,
 „A matka biedniejsza na świecie;
 „Biada jest każdemu
 „Człowieku samemu,
 „Lecz stokroć samotnej kobiecie.
 „Więc pismem kazała,
 „Ze łzami błagała:
 „Mój synu! rzuć świetne marze-
 [nie;
 „Uczcij mą siwiznę,
 „Weź ojców puściznę,
 „A znajdziesz spokojność i mienie.
 „Ba — panie kochany!
 „Groch rzucaj na ściany;
 „Trza było z rodzinnej wyjść
 [ziemi,
 „I rękę przy drodze
 „Wyciągnąć niebodge
 „Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.
 „Aż dzisiaj ją rano
 „Nieżywą zdybano
 „W swój lubój zagrodzie przy
 [ścianie;

„Przez litość w téj chwili
 „Jój my to dzwonili:
 „Co wam jest, dla Boga, mój
 [panie?“
 A młodzian nieznany
 Wzrok toczył zbłąkany,
 I krzyczał z oschłemi powieki:
 „Jam jest ten zabójca
 „I matki i ojca
 „I szczęścia mojego — na wieki.
 „Roilem, marzyłem,
 „Czcze mary goniłem,
 „Wiatr rozwiał sny złote przede-
 [mną;
 „Dziś zdrowy, zbudzony,
 „Przychodzę w te strony:
 „Miej litość, miej litość nademną.
 „O! dzisiaj, w tém siele,
 „Ja chleb mój w popiele
 „Zwalany, lzy memi obmyję;
 „I jeść go zasięde,
 „I szemrać nie będę,
 „Lecz rzeknij: wstań, matka twa
 [żyje!“
 I upadł na ziemi,
 I łzami krwawemi
 Zalał się, w okropnym był stanie;
 Dziad oczy skrył w dłonie,
 A idąc na stronie
 Rzekł z cicha: „nierychło mój
 [panie!“

J. N. Jaskowski

35. Podróż morzem.

Podróż moję z San-Francisco do Los-Angelos odbywałem oceanem Spokojnym, ponieważ kolój żelazna nie była jeszcze ukończona. Statek „Mahongo“ — stary weteran, kursujący

niegdys między Chinami a Kaliforniją, pełni obecnie takąż samą służbę między San-Francisco a San-Diego. Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-Francisco, przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na ocean, i przepłynąwszy koło skał Clif-Housa, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza zaczerniała, nakształt chmurki, smuga szarego dymu, to jakiś parowiec pasażerski, przewożący ludzi i towary z wysp Sandwiskich do Kalifornii, wyrastał zwolna, jak gdyby zpod toni, na krańcu widnokregu; czasem zabielał statek rybackiego skunera. Czarne pobrzeżne skały wydawały się zdaleka jakby całkowicie pokryte jakimś olbrzymim robactwem, poruszającym się i pełzającym nakształt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich, za zbliżeniem się statku, rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tysiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowę i, otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice czekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwymi skałami, a wyżej jeszcze świeciło półzwrotnikowe słońce. Widziany zdaleka wysoki brzeg piętrzył się wyniosłymi urwiskami, zpoza szczytów których wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzieniedzie strumień spadał białą jak mléko kaskadą z wysokości kilkudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk, albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem, było śliczny krajobraz morski, pełen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiał go całe nasze towarzystwo; w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema; stary „Mahongo“ drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej.

Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód; za nami ciągnie się szeroki szlak zbitęj kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie; jedna porywa ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk po morzu i znowu tożsamo, a my śmiejemy się, jakby z najdowcipniejszej krotofilii. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość; co to takiego? co to takiego? wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a steward okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnem „hura!“ Niektórzy mają ochotę się kąpać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamacy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionem koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niedługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam, czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach, znacznie bliższych równika?

— Tak? — pyta niezmieszany wcale, przymrużając jedno oko, — a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

— To bardzo dobrze, bo i ja nie widziałem.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nademną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy obaj. Jak żyję nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy jak dzieci. Oto np. zpod pokładu wychyliła się kosooka głowa chińczyka, rozgląda się głupkowato po pokładzie i woła przez nos: „Ich-hang!“ „Ich-hang!“ Na pokładzie niema żadnego Ich-hanga, ale natychmiast wszyscy zaczynają wołać: „Ich-hang!“ — na całym okręcie rozlega się

„Ich-hang!“ Na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: „Ich-hang!“ Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół zółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem sam pieprz. Nawet amerykańcom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewardów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala murzyn lampy, obiad się kończy i wychodzimy znów na pokład. Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wciąga w siebie stopniowo złoto i czerwoność; powietrze świeże, trochę słone, przejęte nawskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Prostu usypia. Nagle jednak, to szklane przezroczyste zaczyna jakby pękać w długie rysy. Rysy te w kształcie łuków lub krętych linii to pojawiają się, to nikną; nareszcie powód wyjaśnia się: nad powierzchnią wody spostrzegam czarną, trójkątną pletwę, potem drugą i trzecią. Podróżni pokazują je sobie palcami: to żarłaczce (rekiny) krążą koło statku.

Wkrótce jest ich coraz więcej. Nie wiem, igraszkali to, lub gonitwa miłośna? Czasem potworny grzbiet razem z pletwą wychyla się do połowy z wody. Widać go doskonale w czerwonych promieniach zachodu, w których krople wody, spływające ze skrzelii wyglądają jak krople krwi. Ruchy potworów szybkie, niezmiernie ciche, nie burzą wody, pletwy rozcinają gładką powierzchnię, tworzą się rysy, które zagładzają się natychmiast i wszystko się uspokaja. Jeden z nich przewraca się nagle na bok, niedaléj jak o trzydzieści kroków od statku. Widzę dokładnie przez przezroczystą wodę jego szczękę górną, znacznie wystającą naprzód i dolną, umieszczoną, jak gdyby w szyi. Na okręcie krzyczą: „dostrzegł coś i rzuca się“, ale potwór niknie spokojnie pod wodą, a za nim kryją się po kolei i inne.

I znowu widać tylko gładką spokojną toń. Żarłaczce nie oddaliły się jednak, wpłynęły tylko na złoty, niezmiernie

świetny szlak, usłany przez zachodzące słońce na wodzie. Na szlaku tym nie możemy ich dostrzedz, bo oczy nasze mrużą się pod nadmiarem blasku. Ale słońce zajdzie wkrótce. Promienna głowa jego już tylko do połowy wygląda z wody. Po chwili już tylko złote warkocze leżą na fali; głowa zasunęła się za toń daleką. Jeszcze minuta, słońce zaszło.

Co za cudowna chwila teraz! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona zpod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokregu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimowoli pytasz się, czy ta droga nie prowadzi do jakiejś krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują. Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem, jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki? — pytam majtkę.

— Endżel ajland (Angel-Island, — anielska wyspa).

I doprawdy, nie tylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają, jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonym. W tém wszystkiém tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach: jedna mała łupinka czarna i więcej nic. Bo téż niema nic prostszego nad majestat. Mijamy Endżel ajland. Zorze gasną. Na purpurowe jeszcze, ale mroczące się już tło, wychodzi jedna gwiazda, — druga. Na przednim maszcie rysują się w sieci lin czarna postać majtkę. Po chwili zapalają błękitną latarnię; maszyna świszczy, zawijamy do jakiegoś portu. Statek idzie bardzo powoli, ale coraz więcej skręca ku brzegom. Tymczasem zapada noc. Jeszcze raz słyhać świstanie. Skały nadbrzeżne rozstępują się nagle, tworząc obszerną, lekko po-

chyloną ku morzu dolinę, w której widać kępy drzew, jakby nasze dąbrowy; dalej białe domki, światła w oknach, śpiczasta wieża, rysującą się na mrocznym tle nieba, bliżej warf zbudowany z pali drewnianych, a na nim ludzie z latarniami. Majtkowie krzyczą zwykle żałosne: ooo—ho! ciągnąc linę. Daje się uczuć wstrząśnienie. To statek oparł się o palisadę. Z warfu łapią rzuconą linę i okręcają ją koło słupa. Jeszcze jedno słabsze wstrząśnienie: stajemy.

— Co to za miasto? — pytam.

— Monterey.

Wagony czekające na warfie zabierają pasażerów i towary. Okręt wyładował, co miał wyładować; potem odpoczywamy jeszcze godzinę. Warf wyludnia się powoli, nasz pokład także. Podróżni, którzy dalej jadą, idą spać do kajut. Wkrótce zostaje na pokładzie tylko dwóch: jakiś ksiądz meksykański i ja. Ksiądz chodzi spokojnym krokiem, i, poglądając na gwiazdy, mówi pacierz; ja, siedzę na ławce i patrzę na światła, migające zdala w oknach domów.

Skończywszy pacierze, ksiądz zbliża się do mnie.

— *Bonita noche!* (piękna noc) — mówi z cicha, jakby się obawiał spłoszyć jej uroku.

Sklaniam głowę na znak potwierdzenia, ale nie mam ochoty do rozmowy, więc ksiądz powraca do modlitwy:

Ave stella

Z lądu wiatr przynosi zapach kwitnących pomarańcz i helijotropów, a woń ta miesza się z zapachem morskim. Powoli światła w oknach gasną, ksiądz idzie spać. Na pokładzie zostaje sternik, kręcący kołem na przodzie statku, dwóch majtków i ja. Po godzinie wyruszamy naprzód. Mijamy pasmo gór, leżące tuż nad brzegiem. Dalej pobrzeże rozpląszcza się i ciągnie ławicami piasku aż do Santa-Inez. W tej części step przeważa nad górami. O ile mogę dojrzeć w nocy, kraj jest pusty i nie widać ani drzew, ani mieszkań ludzkich. Siedzę na pokładzie, bo mi się niechce iść spać, a nie spędza mnie z mego nocnego siedliska ani wiatr, ani zimno. Noc jest cicha, pogodna, ciepła; ocean ciągle gładki. Księżyc rzuca nań je-

dną smugę światła, potężna gwiazda Wenus rzuca drugą. Coraz cieplej. Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima; robi się właśnie ranek: może mroźny, ale różowy ranek. Wioski zasypane śniegiem, dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze, po ogrodach gałęzie zasute szronem rysują się nieruchomo i milcząco; przed chałupami skrzypią zamarzłe źorawie studienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłym: „kra!“ „kra!“ budzą tych, co jeszcze śpią. Obraz znany wam dobrze, ale znad brzegu drugiego oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewicza:

. ty jesteś jak zdrowie!“

Przesiedziałem na pokładzie całą noc. Potem jeszcze upłynęła doba i wreszcie zawinęliśmy do Santa-Monika, skąd kolój idzie do pobliskiego Los-Angeles.

H. Sienkiewicz.

Wyjazd bez powrotu.

Stoi jawor wedle wody,

A chyla się, chyla,

Płacz—nudzi—kozak młody,

Bo ciężka nań chwila!

O! nie chylaj się jaworze,

Zielonyś, młodziutki!

I tyś chłopeze w ranniej porze;

Na co ci tam smutki?

Jak się jawor chyłać niema?

Fala wśród gałęzi!

Jak z suchemi stać oczyma?

Serce na uwiezi!

Kozak żegna kraj swój wiecznie:

A gdzie w inszej ziemi,

Tak miłują się serdecznie?

Tak tęsknią za swymi.

Jedzie—jedzie—przez dąbrowę,

Na cudze już strony;

Siodło pod nim orzechowe,

I koń jego wrony.

O! za Dunaj jedzie siny,

Na chleb gdzieś tułaczy:

Swojej lubej Ukrainy

Nigdy nie obaczy!

Rok za rokiem krwawe boje,

Przez długie tam lata,

Jak potomstwo liczy swoje

Hoduje dla świata.

Idą przecie milsze chwile:

Grób stoi gotowy!

Prosi—wszczepić na mogile,

Kalinę u głowy.

Będą ptaszki dniem i nocą

Dziobać po kalinie;

Może kiedy zaszczebiocą

Wieść o Ukrainie!

Bohdan Zaleski.

D u m k a.

Na dolinie, na zielonój,
Widzę wdali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą.

Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki także prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie,
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku,
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku —
Tobym myślał: żem już w raju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje;
Czemuż-to nie moja matka,
Czemuż-to nie siostry moje?

Słońce zaszło za lasami,
Lud wesóły idzie z pracy;
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie rodacy?

Ptak powrócił w swoje gnia-
[zdo,
Zwinął skrzydła utrudzone;
Czarna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą
[stronę?

Teofil Lenartowicz.

B. HISTORYJA I BIBLIJA.

1. Mieszko I-szy *).

W roku 960 wstąpił na tron gnieźnieńsko-poznański syn Ziemomysła, Mieszko. Nie znamy granic państwa, jakie po przodkach swoich odziedziczył, nie znamy jego wewnętrznych urządzeń i zasobów, ale słabe to musiało być państwo, skoro Mieczysław po pierwszym starciu z Niemcami w r. 963, przez margrafa Gerona na głowę pobity, musiał się ukorzyć i z krainy po Wartę daninę przyrzec. Sprawa podboju ludów słowiańskich nad Elbą i Odrą wystąpiła ponownie na pierwszy plan polityki narodowej Niemiec, a dzielny margraf Gero, poparty przez Ottona I cesarza, w swoje uchwycił ją ręce. Była to dla Polski chwila rozstrzygająca. Gdyby na jej tronie siedział książę, wierzący tylko w szczęście swego oręza i tolgujący uczuciu zemsty, byłaby Polska w bezowocnych powstaniach i walkach stargala swoje siły i tak jak słowianie połabscy, czyhającym na nią Niemcom padła łatwym łupem. Na Mieszkę zawód, jakiego na wstępie swego panowania doznał, inne wywarł wrażenie. Książę ten, wyższy swym politycznym nad całe otoczenie rozumem, zastanowił się głęboko, zważył dobrze swe siły i poznał, że z potęgą niemiecką wstępnym bojem nie może się

*) Mieszko I, syn Ziemomysła, panował od roku 960—992, miał dwóch braci, z których jeden niewiadomego imienia, poległ w wojnie z Geronem w r. 963, drugi zaś nazywał się Cydebur, oraz siostrę Adelajdę, poślubioną Gejzie węgierskiemu. Żon chrześcijańskich miał Mieszko dwie: najpierw w r. 965 pojął Dąbrówkę, córkę Bolesława I-go, księcia czeskiego, a po jej śmierci (r. 977) porwał i poślubił Ode, córkę margrafa Thietricha, mniszkę z klasztoru Kalwe.

mierzyć. Kto inny byłby upadł na duchu. Mieszko na chwilę nie zwątpił, znalazł środek, za pomocą którego nie tylko od przewagi niemieckiej się zabezpieczył, ale naród swój popchnął na drogę tego rozwoju i tej cywilizacji, którą dotychczas nad nim górowali Niemcy. Ożeniwszy się w roku 965 z chrześcijanką Dąbrówką, córką księcia czeskiego, Bolesława I-go, przyjął Mieszko za jej namową w r. 966 chrzest, a w r. 968 założył i uposażył pierwsze biskupstwo w Poznaniu, nawracając cały naród na chrześcijaństwo. Pierwszym biskupem poznańskim był Jordan, a biskupstwo to podlegało arcybiskupstwu magdeburskiemu, założonemu wspólnie przez cesarza Ottona I-go, jako najwyższej metropolii dla krajów słowiańskich.

Przyjęcie chrześcijaństwa miało nieobliczone dla młodej Polski następstwa. Wytrącało ono Niemcom pozór apostołstwa, pod jakim prowadzili z pogańskimi Słowianami morderczą walkę, stawiało Polskę pod opieką dwóch wielkich potęg ówczesnego chrześcijańskiego świata: papieża i cesarza. Przyjmując tę naukę, uznawał Mieszko, podług ówczesnych pojęć, cesarza za głowę świecką całego chrześcijaństwa, ale państwa swego do rzeszy niemieckiej bynajmniej nie wcielał. Pozbawiony dotychczas jako poganin wszelkich praw w międzynarodowych stosunkach, zdobywał je teraz razem z młodem swym państwem, w intrygach i sporach książąt niemieckich brał czynny udział, z jednymi się przyjaźnił, z drugimi walczył, a kiedy pod Cydyną razem z bratem Cydeburem w r. 972 margrafa Odon stanowczo poraził, to nie tylko nie sięgnął na siebie całej nawały niemieckiej, lecz owszem, gdy się spór przed cesarza Ottona wytoczył, wyszedł ze sporu zwycięsko. Nieraz stawał Mieczysław na cesarskim dworze, pewien zawsze względów, panujących po sobie kolejno Ottonów, bo cesarzom tym pochlebiali rozszerzenie swego wpływu na słowiańskie kraje. Przybywający do Polski z apostołstwem kapłani, trudne mieli zadanie. Nie znali zrazu miejscowego języka, a kiedy się już nauczyli do ludu własną jego mową odzywać, to i wówczas czuli ogromny przedział, jaki pomiędzy duchowieństwem a lu-

dem tworzyła liturgia łacińska rzymskiego kościoła. Lud jej nie rozumiał, nie mógł też zespolić z nią i pogodzić swoich dotychczasowych pogańskich obyczajów, obrzędów, wesela, smutku, płaczu i pieśni. Wyznając nową wiarę z książęcego rozkazu urzędownie, nie znając jeszcze jej treści, w życiu codziennym do pogaństwa wracał. Pomału dopiero, bardzo pomału zmieniały się te stosunki, w miarę tego jak chrześcijaństwo zasłaniając Polskę od niemieckich najazdów, otwierało do niej przystęp apostołskiemu i cywilizacyjnemu wpływowi zachodu. Kapłani zbliżali się coraz więcej do ludu, zakładając kościoły, zaprowadzali przy nich wzorowe gospodarstwa, świecili swoim przykładem, a zamiast dawne pogańskie obrzędy wykorzeniać, nadawali im tylko chrześcijański charakter i najsilniejszą z nich dla nowej religii w umysłach prostego ludu uczynili dźwignię. Organizacja kościoła, jej niezwykła sprężystość i karność, stała się też pod wieloma względami przykładem dla organów świeckich.

Stykając się ustawicznie z Niemcami, jeżdżąc na dwór cesarski w Kwedlinburgu, przypatrywał się Mieszko tamtejszym zwyczajom i prawom, urządził sobie w podobny sposób dwór, ustanawiał urzędników po kraju, organizował wojsko i uzbrajał je, o ile mógł, na sposób niemiecki. Był to jedyny sposób ratunku i przygotowania się do samodzielności, ale umysły niezdolne sięgnąć dalej swym wzrokiem, nie mogły czy nie chciały mądrego postępowania Mieczysława zrozumieć; zamiast go naśladować, oburzały się nań jako na zdrajcę sprawy słowiańskiej i czynnie przeciw niemu występowały. Czyniły to przede wszystkim nieszczęśliwe ludy połabskie, obstawające przy swoim pogaństwie i broniące się rozpaczliwie, lecz nadaremnie krwawemu apostołstwu Niemiec. W walce tej, przeciągającej się w długie lata, musiał też książę polski stawać niejednokrotnie po stronie swego zwierzchniego pana, cesarza, aby tym samym świeże swe chrześcijaństwo jawnie stwierdzić i w granicach swojego państwa zupełną sobie zabezpieczyć swobodę. Wśród walki z Lutykami zmarł Mieszko w 992 roku.

M. Bobrzyński.

2. Kmiecie w Polsce za Piastów.

Nie wszystkich włościan w Polsce jednakowy był początek i nie wszyscy też włościanie polscy w czasach Piastów jednakowe posiadali prawa, nie na wszystkich też jednakowe ciążyły obowiązki.

Rozróżniano tedy naprzód włościan z dziada pradziada na roli osiadłych, których początek przeddziejowych sięga czasów; byli-to właściwi kmiecie. Wolni co do osoby, byli oni zarazem dziedzicami swoich zagonów, mogli je przekazywać potomstwu lub sprzedawać, byle tylko nie pozostawili gruntu odłogiem leżącego. Umierający bezdzietnie kmieć, mógł zapisać swój majątek żonie, kościołowi lub komukolwiek innemu. W razie, jeżeli po bezdzietnie zmarłym kmieciu nie pozostawał żaden zapis, wtedy wdowa zabierała, co w dom męża wniosła, albo w naturze, albo w szacunkowej wartości, reszta zaś stawała się spuścizną, do której służyło prawo bliższym lub dalszym krewnym zmarłego. Sądził się przed urzędami królów i książąt; zanosili skargi nawet wprost do króla, i sami panujący zastrzegali sobie prawo rozpoznawania spraw spadkowych kmieci. Powinności ich były dla kraju i dla rządu większe, dla panów mniejsze. Za Bolesława Chrobrego, kmieć z łanu każdego winien był dostarczać corocznie pewną miarę ziarna na wyżywienie załóg rozłożonych po kasztelach, co nazywano stróżą *); był obowiązany do robót publicznych, a prócz tego pełnił powinności nadzwyczajne, jako to: pomocne, naprawa dróg, podwoły, budowa lub restauracja zamków, pogoń czyli ściganie złoczyńców, podejmowanie urzędników, myśliwców, psów i sokołów książęcych. Panu był obowiązany zwykle tylko do służb, już-to ze starodawnego zwyczaju, już-to z umowy wynikających; były to albo robocizny, albo opłaty i danie w miodzie, w ospach, drobiu i innych rzeczach.

*) Stróża albo sep, na Mazowszu pozewne, podatek w zbożu na utrzymanie załogi w kasztelu.

Pośledniejsze po kmiēciami zajmowali miejsce włościanie niewolni lub służebni, poddańczy, zwani smerdami, rabami. Powstali oni dopiero w nowszych czasach, po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, gdyż przedchrześcijańska Słowiańszczyzna poddaństwa nie znała. Wytworzyła się ta warstwa ludności sielskiej już-to z jeńców wojennych, na roli osadzonych, lub też z kupionych niewolników. Jakkolwiek wolność tego gminu rolniczego była nierównie więcej ograniczoną niż kmieci, jakkolwiek nie posiadał on dziedzicznej roli, toć jednak i ci niewolni włościanie dalecy jeszcze byli od téj niewoli poddańczej, która rozwinęła się u nas dopiero równocześnie z rozkwitem złotej wolności szlacheckiej.

Po podziale królestwa przez Bolesława Krzywoustego, po zubożeniu książąt, z wzrostem możnowładztwa pogorszył się stan włościan w Polsce i różnica pomiędzy właściwymi kmiećmi, a owymi niewolnymi osadnikami czasów późniejszych zaczęła się zacierać powoli. Książęta obarczali wieśniaków w ogóle wielu nowymi podatkami i daninami, jako to: wdowie *), panieńskie, kunica **) i inne. Panowie poczęli przywłaszczać sobie puścizny kmieci i, idąc za przykładem duchowieństwa, uzyskiwali przywileje sądenia swoich poddanych.

Kazimierz W. położył kres tym nadużyciom. Zabronił on zabierania obumarszczyzn wieśniaczych, odnawiając dawniejsze zwyczajowe prawo, aby okrom kielicha sprawionego kościołowi, reszta pozostałości na krewnych przechodziła. Pozwolił włościanom w ogóle przesiedlać się mimo woli pana, byleby przesiedlając się zapłacił trzy grzywny i roczny czynsz. Zbiegłego, wolno było panu poszukiwać i do téj opłaty go zniewolić, ale jeżeli przez przeciąg jednego roku uczynić to omieszkiał, tracił nawet i to prawo. Kmieciom zabezpieczył prawem pierwotną wolność opuszczania gruntu i pana, pod warunkiem osadzenia innego rolnika na swoim miejscu. Nakoniec w pewnych wyjątkowych, wypadkach, jako to: jeśliby

*) Opłata od wdów, powtórnie za mąż idących.

**) Opłata od dziewczyny, idącej za mąż do innéj wsi.

włóścianie za długi pana byli sądownie grabieni, pozwalał nawet gromadnie wszystkim włóścianom pana swego porzucić i uwalniał ich od wszelkich obowiązków względem niego.

Trzeci naostatek rodzaj włóścian tworzyli osadnicy siół, na prawie niemieckiem lokowanych.

Wspominają dokumenta owoczesne jeszcze o poddanych warunkowych, t. j. o takich, którzy osiadali na gruncie pańskim tylko na pewne lata i pod rozmaitymi podług umowy warunkami; o komornikach i zagrodnikach, którzy siedzieli najmem w chatach wiejskich, lub posiadali tym sposobem kmiecie ogrody albo grunta. Prócz pomienionych, przechowało się do naszych czasów jeszcze kilka innych nazw łacińskich, nadawanych włóścianom polskim w tej epoce, znaczenie ich jednak jest niepewne, a najprawdopodobniej są one tylko odmiennem nazwaniem jednego z owych trzech głównych rodzajów włóścian.

Lucyjan Tatomir.

3. Wesele w pogańskiej Polsce.

Doman *) wedle obyczaju przysłał swaty;znaczono dzień wesela. Zdjęto koło na tyce zatknięte nad chatą, oznajmujące parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Mila **) dobrała sobie drużek sześć, wszystko krewniaczek z okolicy, których się powstydić nie mogła, bo wszystkie były młode, hoże, świeże jak ona i wesołe.

Doman téż sześciu družbów przyprowadził z sobą, wszystkich jak jeden, kmiecych synów dorodnych, z których każdy suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem, zręcznością, przytomnością i siłą mógł się pochwalić.

Poszły zaprosiny urzędowe najprzód od dworu do dworu z wieńcami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego.

*) Imię pana młodego, który w tém opowiadaniu występuje.

**) Imię panny młodej.

W chacie zduna Mirsza, ojca młodej, zawczasu kręciło się niewiast białych odzianych bez liku; siostra Mirsza starego miejscy matki zastępowała.

Lecz, jak to często bywa przed weselem, choć się wszyscy radują, Mila, co tak za kmieciem iść pragnęła, czuła jakąś trwożę.

Ale cóż? słowo się rzekło.... musiało się odbyć wesele, jak zapowiedziano.

Stary Mirsz téż, choć nie przeciwił się doli, chodził chmurny, chata mu opustoszeć miała ze szczeniem. Bracia téż milczeli pośepni.

Pocichu za węgłami mówili sobie:—„Wolelibyśmy, aby poszła za swoim, za zdunem.... Kto wie, jaki ją tam los czeka?”

W przeddzień wesela wszystko było w pogotowiu. Chata wybielona, wymieciona, wykadzona jałowcem i ładaniem, posypana kosaćcem, u drzwi powieszono wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle zasępieniej i smutnej, kręciły się druchny wesołe i przybrana macierz stara. Strojną była Mila na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy pozaplatane starannie raz ostatni ją zdobiły.

W chacie już od rana nieustawały pieśni na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała pieśń swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już korowaj mięsić, placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedm miarek mąki, jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu każdemu, nowa pieśń towarzyszyła, co tłumaczyła ową czynność.

W takt potem pieśni niewiasty białymi rękami ciasto ugniatały, śmiejąc się i żartując z narzeczonej smutnej, w której smutek udany niebardzo kto wierzył, choć oczy miała naprawdę zapłakane.

Z pieśnią się odbył taniec wkoło dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj święty, ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała, i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzale.... Wszystko to były godła młodości, wesela, które się z tym dniem ofiary kończyło, a poczynają od niego życie trudu, łez i pracy, które jedna miłość miała osłodzić!

Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczyć, rzucając z nim razem kukulki z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota — Żywi.

Zamknięto naówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyć na ulu, zasłanym ręcznikami i druchny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle, z którego wodę czerpała, ogródku, gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i macierzy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczu, gdy jęj kosy rozplatano. Pana młodego nie było jeszcze, spodziewano się go, wyglądało co chwila. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jęj stróż, opiekun i obrońca ze krwi prawa.

Zmierzchało już, gdy zatętniało na drodze i — płaszcząc w dłonie, druchny wołać zaczęły:

— Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzięż na koniach towarzyszyło w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych, w opończach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona.

Pan młody, choć blady jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą siwego miał z długą grzywą, okrytego suknem czerwonym, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kółek złocistych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty puścili się ku niej cwałem, a gdy u proga stanęli, aż ziemia zatętniała.

Broniono im przystępu zrazu, niby najezdcom i gwałtownikom, co na cudze dobro czychali, nie dawano im przejść proga, musieli się spierać, opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wiozł z sobą, a gdy z krasnej chusty wysypał u nóg młodej, dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy. Były tam zamorskie, zdala przywiezione klejnoty, pierścienie, naszyjniki, naramienniki, korony na głowę, szpilki i para garści pieniążków srebrnych i droższe może nad nie paski malowane, pstre wstęgi, które tylko z Winedy dostawano, dokąd nie każdy wiedział i przebyć mógł drogę. Był i kubek, jakby złoty, i naczynko przezrocyste z drogiego kamienia, któremu się wszyscy dziwowali, bo było niby z lodu, a słońce nawskroś przez nie patrzyło.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wypuszczono, i różgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaszki, pióra i strzępki, z szytym ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń napół żalosna, pół wesła, żal za domem, za swoimi, przyszłości obawa, przecucia pracy ciężkiej, modlitwy do bogów i wróżby.

Wtoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy dwaj gęślarze i dudarz z kobzą — grajki weselne, co i pieśnią wtórować, i pieśniami kierować, i do skoku przygrywać umieli.

Chata już pełna była, jak nabił. Mirsz, ojciec stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nieustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie gędźba usiadła na przyźbie.

Pieśni a pieśni lały się jedna po drugiej.

Śpiewano za młodą, za braci, za młodego — prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiazdzista, księżycowa, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba siedząc zdrzemnęli się po miodzie na ławach, drudzy na trawach pod drzewami, a gędźba nie ustawała. Co jeden przerwał to poczynął drugi.

Tymczasem druchny nuciły:

„Żegnaj mi progę domową, żegnaj ogródku ruciany, studzienko, w której ja wodę czerpałam dla mojej trzódki. Żegnaj mi siostró kochana, żegnaj mój bracie rodzony, i tobie, ojczu mój siwy, do nóg upadam splekana.... W świat idę, obcy mnie wiedzie, wianek mój z strumieniem płynie, kukulka wróży na brzoście, łzy z oczu cisną się gorzkie.... Ojczu mój, bracia rodzeni, kiedy ja znów was zobaczę? Tam mi obarczą ramiona, nikt nademną nie zapłacze....“

J. I. Kraszewski.

4. O Krzyżakach i Litwinach.

Często można słyszeć o Krzyżakach, którzy niejedną walkę na ziemi naszej stoczyli i o Litwinach, którzy wojowali z Polakami i Krzyżakami.

Aby zrozumieć, skąd i jako Krzyżacy w te strony przybyli, trzeba wiedzieć, że Bolesław Krzywousty, jeden z następów Piasta, umierając w r. 1139 podzielił państwo swoje na cztery dzielnice i te rozdał czterem synom, którzy znowu swoje części, między dziećmi dzieląc, rozdrobnili Polskę na małe księstwa. Jeden z takich książąt, Konrad, nie mogąc kraju swego, Mazowsza, obronić przed pogańskimi Prusakami, których był sąsiadem, wezwał na pomoc Krzyżaków. Dał im na mieszkanie ziemię Chełmińską i połowę tego kraju, który zdobyli na Prusakach z obowiązkiem, aby tych ostatnich pogan odpierali i nawracali. Krzyżacy żyli po zakonnemu, modląc się i walcząc za wiarę. Nazwisko ich pochodzi od tego, że mieli czarne krzyże na białych płaszczach. Pierwszemu ich przeznaczeniem było bronić przeciwko narodowi mahometańskiemu grobu Zbawiciela w Jerozolimie i pielgrzymów, do Ziemi świętej idących. Lecz gdy cała Palestyna w posiadanie Turków przeszła, Krzyżacy przenieśli się do Europy. Z początku pokorni i słabi, stali się później groźnymi. Zajęli bowiem całą pruską ziemię, a potem obrócili się przeciw Polsce, której zamierzali odebrać Pomorze z Gdańskiem. Dla swego władcy,

wielkiego mistrza, wybudowali wspaniały zamek nad Wisłą w Malborgu, a liczne miasta, jak Toruń, Chełmno, Kwidzyn, Gdańsk zamienili w warowne twierdze. Początkowa pomyślność tak ich ośmieliła, że napadali na Kujawy i Wielkopolskę. Za Władysława Łokietka, nagle wtargnąwszy do Polski, spustoszyli Gniezno, Żnin, Nakło, Środę, Pobudzisko, Klecko, Kostrzyn i inne jeszcze miasta. Na tę wiadomość, sędziwy Łokietek, zebrawszy rycerstwo, wyruszył w pole i stanął obozem przeciw Krzyżakom na rozległej równinie pod wsią Płowcami w Kujawach. Rano, gdy jeszcze mgła zakrywała obóz krzyżacki, kazał król uderzyć w trąby na pobudkę i wpadł na nieprzyjaciół, którzy acz zmieszani niespodzianym natarciem, bronili się zacięcie. Bitwa trwała aż do wieczora, a skończyła się popłochem Krzyżaków, którzy dwadzieścia tysięcy swoich na poboju zostawili. Był to pierwszy cios zadany krzyżackiej potęgą.

Więcej jeszcze niż Polsce, dawali się oni we znaki Litwie. Litwini mieszkali na wschód od Polski nad rzeką Niemnem i Wiliją, aż do morza Bałtyckiego. Zajmowali się myślistwem i rybołówstwem, ponieważ kraj ich, zarosły gęstymi lasami i zalany jeziorami, obfitował w zwierzynę oraz ryby. Najchętniej jednak robili wyprawy przeciw sąsiadom dla zdobyczy. Bogów swych bardzo się obawiali, a kapłanów czyli wajdelotów mieli w wielkim poszanowaniu. W ich świątyni palił się wieczny ogień święty — Znicz. Po domach chowali sobie węże, które jakoby szczęście przynosiły. Ciało zmarłego Litwina palono na stosie wraz z jego koniem, psem, sokołem i bronią, a niekiedy i ze sługą wiernym, aby zmarły mógł na tamtym świecie wojować i na łowy jeździć.

Sławni ich książęta Olgierd, Giedymin, Kiejstut nieraz Polsce dokuczali, napadając i łupiąc, lecz ich samych znowu bardzo niepokoiłi Krzyżacy. Nareszcie porozumieli się ze sobą Polacy i Litwini, widząc, iż mają wspólnego wroga i osądzili, że będzie lepiej żyć w pokoju i przymierzu. Już za Kazimierza W. przyszło do zgody z Litwinami. W kilkanaście lat później obrali sobie Polacy wnuczkę Kazimierza W., piękną

i dobrą Jadwigę za królowę. Szukając dla niej męża, oglądali się, któryby był najlepszy. Na Litwie panował wtenczas młody książę Jagiello, który, dowiedziawszy się o Jadwidze, natychmiast swoich braci w dziewosłęby do Polski posłał, aby prosili o jej rękę, obiecując się ochrzcić i całe księstwo litewskie z Polską połączyć.

Podobało się to Polakom, a Jadwiga, chcąc nie chcąc, zezwoliła na węzły małżeńskie z Jagiellą. Przyjechał więc do Krakowa ów wielki książę litewski z bracią swoją i innymi pany, gdzie go Bodzanta, arcybiskup gnieźnieński ochrzcił, z Jadwigą zaślubił i jako króla ukoronował w 1386 roku. Od tego czasu Litwa i Żmudź złączyły się z Polską.

Za króla tego przyszło do krwawego starcia się z Krzyżakami w boju pod Grunwaldem i Tanenbergiem w 1410 r. Na początku bitwy wszystkie szeregi zanuciły hymn „Boga Rodzico-Dziewico,“ Krzyżacy ustawili na wzgórzu pierwszy raz w tej bitwie działa, ale ich kule szły górą ponad naszym wojskiem. Natarcie było z obu stron zacięte; słyszano straszny chrzęst zbroi i trzask kruszonych kopij. Skończyło się na tem, że poległ sam wielki mistrz, wielu komandorów i komturów. Poległych było z obu stron do stu tysięcy. Drugą bitwę z ustępującym już nieprzyjacielem stoczono pod Koronowem w powiecie bydgoskim.

Po tych klęskach już się Krzyżacy nie podnieśli. Za Kazimierza Jagiellończyka oddali Polsce połowę ziem swoich, drugą zaś zatrzymali, jako lennicy Polski. Gdy po wystąpieniu Marcina Lutra z nową nauką, Albert, ówczesny mistrz krzyżacki, a siostrzeniec króla polskiego Zygmunta Jagiellończyka, przyjął nową wiarę i pojął żonę, wtedy oddał mu król Prusy krzyżackie, jako księstwo lenne, pod nazwą Prus książęcych. Później kraj ten przeszedł w posiadanie elektorów brandeburskich, teraźniejszych królów pruskich, pod których panowaniem dotąd pozostaje.

Kazimierz Wielki.

(ur. 1310 † 1370).

Przez trzy wieki z męstwa znany,
W męstwie polskie miał swe cnoty,
Na koniu burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty;
Ugorem stały obszary,
On bił Niemcy i Tatary.

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wiślicy
Polaków plemie marsowe;
Oni w zbrojach i przyłbicy,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznymi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im: „nie boju
Żadam dziś od was polacy,
Czas, byście żyli w pokoju,
I rycerze, i wieśniacy;
Niech kraje, bronią zajęte,
Uszczęśliwią prawa święte.“

To mówiąc, spisane księgi
Z ręki Mielsztyna odbiera,
Pieczęć wisiała u wstęgi;
„Ten zakon, rzecze, zawiera
Waszego szczęścia zarody,
Waszą całość i swoboda.“

Niedość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu,
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu;
Gdzie sądu zwierchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa.“

Jak w dzień majowej pogody,
Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,
Budząc uśpione zarody,
Żyzne zazieleni pole,

Tak rządem, co mądrość dała,
Zakwitnęła Polska cała.

Przychodzień tłumem się zbiera,
Na odgłos lubej swobody,
Już pustynie pług rozdziera,
Żelazne wznoszą się grody,
Szereg twierdz, co granic strzeże,
Obronne baszty i wieże.

Nieraz król po włościach cho-
[dził,
I nieraz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, spory go-
[dził,
Nagradzał, w błędach popra-
[wiał;

Ceny pochwały nie znano,
Gdy go królem chłopów zwano.

Już po berło Kazimierza,
Cisną się bliskie narody,
Zakres się państwa rozszerza,
Ci, co piją Sanu wody,
Wołyń, naówczas bezdrożny,
I Lwów, i Halicz przemożny.

Szczęśliw wraca do stolicy,
A lud go wita wesoło,
Radne pany, wojownicy,
Otaczają go wokoło;
Niosły przodem hufce mnogie,
Korony i skarby drogocne.

Tam wnuczkę cudnej urody,
Z cesarzem śluby kojarzy,
Wzywa na weselne gody,
Czterech potężnych mocarzy.
Królów, książąt z Niemiec całych,
Mieści po gmachach wspaniałych.

Widziano przepych wspaniały
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Od piękności dank przyznany
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach.
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wśród oklasków z szranku scho-
[dził.

Monarchów poczet wesoly,
Prosi do siebie Wierzynek,
Od srebra gięły się stoły;

Każdy biorąc upominek
Myśli: szczęśliwy kraj cały,
Gdy tak mieszczanin wspaniały.

Kazimierz w wieku sędziwym,
Doznał prac tylu nagrody:
Pod nim naród był szczęśliwym,
Żyzne pola — pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdadni;
Takim był z Piastów ostatni.

J. U. Niemcewicz.

5. Rzut oka na panowanie Jagielonów w Polsce.

Ze śmiercią Zygmunta Augusta skończył się ród Jagielonów i jagiełńska epoka. Wypada zastanowić się nad tą epoką, najpiękniejszą w historii narodu polskiego.

Widocznem się staje, że duch prawdy chrześcijańskiej zaczął już rządzić narodem. Już królowie nie napadali tak cudzych krajów, nie krzywdzili sąsiadów ani narodu. Nim co postanowiono, każdy się uderzył w piersi i rozważył, czy to się zgadza ze sprawiedliwością ludzką. Działy się wprowadzić także różne występki, i zbrodnie nawet, ale, jak na jedne, tak na drugie była ustanowiona kara odpowiednia. Zaraz pierwszy przykład złagodzenia obyczajów widzimy na Władysławie Jagielle. Będąc poganinem, był dziki, okrutny, a chytry jak lis; on to zamordował stryja swego Kiejstuta i tysiąc innych zbrodni popełniał—lecz, ochrzciwszy się i ożeniwszy z Jadwigą, stał się zupełnie innym człowiekiem, powolnym i dobrym. Do niego podobni byli wszyscy Jagielonowie; przez 200 lat żaden z nich nie popełnił okrutnego lub niegodziwego czynu.

Przez dobrowolne połączenie się Polski z Litwą dopiero przyszedł ostateczny koniec na Krzyżaków. Jak wiadomo, obowiązkiem tych mnichów było nawracać pogańską Litwę; że zaś Polacy ją nawrócili, zatem mnisi stali się już niepotrzebni. Nigdybyśmy też nie dali im rady bez pomocy Litwy. Żeby

nie bitwa pod Grunwaldem, gdzie taką ponieśli klęskę, iż już więcej do siebie przyjść nie mogli, Bóg wie, czybyśmy teraz nie byli Niemcami. Trzeba bowiem wiedzieć, że przed tą bitwą już mistrz krzyżacki z innymi książętami niemieckimi był się ułożył, że jak zmoże Jagiellę, wtedy Polskę rozszarpia pomiędzy siebie. Opatrzność zlitowała się nad nami i nie dała im téj pociechy. Z połączenia Litwy zyskaliśmy też więcej krajów ruskich, które się do Polski przyłączyły, a potem i hordy tatarskie cofnęły się w swoje stepy i już nie napadały taką nawałą. Jedna tylko horda krymska, na półwyspie Krymie, nad morzem Czarném mieszkająca, najdłużej nam dokuczała, połączywszy się potem z Turkami.

Ci Turcy, co przyszli z Azyi do Europy i chcieli ją mieczem nawrócić do swojej wiary mahometańskiej, stali się dla nas najstraszniejszymi nieprzyjaciółmi. Odtąd powinność Polski, jako narodu chrześcijańskiego, była ta, aby wszelkimi siłami odpierać owych barbarzyńców, którzy się uwzięli na zagładę chrześcijaństwa. Młodziuchny Władysław przyjął koronę węgierską na to jedynie, aby walczył w obronie krzyża. Dla tego Polskę nazwano murem chrześcijaństwa, że, jak o mur jaki, o polskie piersi rozbijały się tłumy Turków i Tatarów przez lat trzysta.

Wprawdzie znów Zygmunt I wielki błąd popełnił, iż siostrzeńca swego Alberta, mistrza krzyżackiego, powodowany przychylnością ku własnej krwi, księciem na szkodę Rzeczypospolitej uczynił. Później z tego mnicha stał się najzaciętszy i najniebezpieczniejszy wróg polskiego narodu. Tenże król niedobrze uczynił, zawierając pokój z Turkami i przyjaźniąc się z ich sułtanem. Była to ciężka wina, bo król chrześcijański, jak Zygmunt I, powinien był ciągle nękać tego najstraszniejszego wroga cywilizacji. Turek tymczasem zachęcony tą powolnością zagnieździł się w Europie i tém srożej nawał na Polskę i inne chrześcijańskie państwa.

W tymże czasie zajął się pożar i w samym domu; na owęj osławionej kokoszej wojnie pod Glinianami, pierwszy raz zerwała się jedność narodowa; szlachta zamiast dopomagać

królowi w dobrych zamysłach i ruszać na Wołoszczyznę, podniosła straszne krzyki, dopominając się o większą wolność i przywileje dla siebie. Był to przykład wielkiego samolubstwa, które coraz rosło, aż nakoniec kraj zgubiło. Bo, żeby to ta szlachta wołała: „Królu, daj wolność dla wszystkich, porównaj z nami chłopków i mieszczan, nie pozwalaj ich nikomu uciemiężyć, zrób ich braćmi naszymi!” Takie żądanie byłoby niesamolubne, bo pochodziłoby z prawdziwej miłości bliźniego; ale im to nie było w głowie, kiedy krzyczeli na całe gardło: „szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie!” Chodziło im o to, aby nad sobą wyższych nie mieli, a niższych, czyli kmiotków, tem mocniej uciskali; mieszczanom zabronili nawet kupowania dóbr ziemskich. Odtąd trudno już królom przyjść do władzy i choć często chcą co dobrego zrobić, to ich szlachta zakrzyczy. Uczmy się z tego, że kiedy, czy to część narodu, czy jeden człowiek posiada coś z krzywdą drugich, to mu to nie wyjdzie na dobre i prędzej lub później nastąpi zawsze kara za takie nieprawę przywłaszczenie.

To właśnie tłumaczy nam w krótkości, do czego nasz naród zmierzał i jakimi drogami. Teraz spojrzymy jak wyglądała Polska, co się w niej zmieniło, co poprawiło za czasów Jagiellończyków. Handel, stanowiący bogactwo kraju, bardzo się podniósł od czasu jak Krzyżaków zwyciężono, gdyż przez to zwycięstwo odsłoniły się nam brzegi morza Bałtyckiego, a przez shodowanie Wołochów i zajęcie Rusi, brzegi morza Czarnego. Wisłą szły szkuty naładowane zbożem do Gdańska, Dniestrem do Białogrodu, miasta nad morzem Czarném. Za nasze zboże dostawaliśmy różne zamorskie towary, głównie przedmioty zbytku. Za królowej Bony, która była Włoszką, zaczęto się u nas ubierać z włoska w aksamity, w jedwabie. Te wszystkie wymysły były u panów; kmiotkowie chodzili i żyli prawie jak dziś, a może téż i mieli się nawet lepiej, bo podatki były wtedy małe i spieniężyć łatwo można było pracę. Dawniej nie znano u nas takich ogrodowizn, jak cebula, selery, sałata i wiele innych, bo te dopiero z Włoch sprowadziła królowa Bona, i dlatego nazwano je włoszczyznami.

Miasta zaczęły się także bardzo podnosić pod szczęśliwymi rządami dwóch Zygmunatów; ludność, nie ginąc już w ustawnych wojnach, rozmnożyła się we dwoje; stąd téż i uprawiano więcej roli, wycięto dużo lasów i osuszono wiele błot. Na rzemieślnikach dobrych nie brakło i każdego rodzaju czy to szewców, czy kuśnierzy, czy krawców, czy kowali i mularzy miałeś pełno po miasteczkach, które się jak na drożdżach wszędzie podnosiły.

Nauki także się bardzo rozszerzyły; mieliśmy uczonych sławnych w całym świecie, jak Kopernik, co okazał, że się ziemia obraca, a słońce w miejscu stoi, czego przedtém nie wiedziano. Mieliśmy i prostego wieśniaka, Janickiego, który takie pieśni układał po łacinie, że im się i najuczeńsi ludzie dziwili; był i Kromer, mieszczanin, co pisał historiją królów polskich, ale wtenczas uczeni pisali tylko po łacinie, aby ich rozumieć mogli cudzoziemcy; szło im bowiem o to, żeby nie tylko u siebie, ale i za granicami kraju stali się sławnymi.

Przez zakładanie klasztorów i szkólek światło się szerzyło między kmiotkami, bo duchowieństwo pilnie dbało o utrzymanie języka polskiego i zaznajomienie ludzi z nauką religii. Ci księża także kazali obchodzić uroczyscie pewne dni, w których jakie zwycięstwa odnieśliśmy, i tak: dzień Rozesłania Apostołów zrobiono wielkiem świętem, dlatego, że w tym dniu Jagiello pobił Krzyżaków. W Sandomierzu był ustanowiony odpust na pamiątkę pierwszego wypadnięcia Tatarów, którzy tam wymordowali dużo księży i panów zakonnych.

Książd w owe czasy nie tylko odmawiał pacierze, ale nawet szedł na wojnę i bił się w obronie kraju—a biskupi często mieli mowy do wojska przed bitwą.

Tryb wojenny także w tych czasach odmienił się wskutek wynalezienia prochu; dawniej siła szła na siłę, chłop uderzał na chłop a i który był mocniejszy, pokonał słabszego; ale jak zaczęto zdala strzelać, to nieraz lada dzieciuch największego olbrzyma powalił. Dlatego to dawniej rycerz od stóp do głów w żelazo się zamykał i wyglądał w zbroi, jak rak w skorupie; konia nawet z przodu i z tyłu żelazem okrywał. Takie więc

wojsko ruszało się pomału i szło jak mur jaki, a biło się najczęściej pojedyńkiem. Kiedy zaś armat i rusznic zaczęto używać, każdy rzucał ciężką zbroję, a lżej się ubierał i już nie osobno walczone, ale gromada na gromadę uderzała i kto przełamał, ten wygrywał. Armaty były niezgrabne, ciężkie, nabijane kamieniami, a nie żelaznemi kulami; rusznice nie miały takich zamków, żeby same ognia dawały; ale trzeba było ogień z sobą nosić i lontami je zapalać. Konnicy używano najwięcej do wojny; Jagiełło pod Grunwaldem miał przeszło 100 tysięcy jazdy, a między innymi znaczną liczbę Tatarów i 32 tysiące piechoty. Tyle jazdy, to i dziś nie lada który monarcha postawi.

Marsze, czyli przeciąganie wojska odbywały się pomału, bo i drogi były złe i niewszędzie mosty, a przytém dużo taborów wojennych szło na wozach. Wojsko tak idące, ciągnęło się czasem przez kilka mil. Obóz zwykle stawał nad wodą, przy wielkich łąkach, aby było czém popasać i napoić konie. Rycerze rozbijali namioty z białego płótna, co wyglądało jak jakie miasto. Stawiano téż na pagórku kaplicę polową, a obok jaśniał wielki czerwony namiot królewski. Wokoło namiotów, jak mur jaki, stały wozy pospinane łańcuchami, przez które niełatwo się było przedrzeć. Kiedy się spodziewano bitwy, odprawiano spowiedź i przyjmowano komuniję, aby człowiek spokojniej szedł i chętniej ginął za ojczyznę. Bitwę rozpoczynali harcownicy czyli ochotnicy, co wypadali pierwsi i ścierali się z nieprzyjacielem. Przed bitwą śpiewano pieśń „Boga-Rodzica,” — potem uderzano w trąby i kotły, a król sam rozwijał chorągiew królestwa, gdzie był biały orzeł z otwartym dziobem i koroną na głowie. Dopiero pomniejsze chorągwie, czyli pułki, nastawiwszy kopije, co koń wyskoczył, wpadały na nieprzyjaciela, a piechota za nimi przyskakiwała z toporami i tak rąbała, albo téż strzelce, zasadzeni gdzieś za płotem, kulami zdaleka prażyli.

Najwięcej odznaczała się ciężka jazda nasza, zwana husaryją—bo siedząc na dzielnych koniach, gromiła i rozbijała naj-

potężniejsze wojska swemi długimi kopijami, któremi dziarska nasza młodzież rychło się zaprawiała gonić na ostre.

Po wygranej bitwie składano modły Najwyższemu zaraz na pobojuwisku; zdobycz dzielono, chorągwie zaś, wzięte na nieprzyjaciela, ofiarowano do jakiego kościoła lub cudownego miejsca, jako to: do św. Stanisława na Skałce w Krakowie, do Częstochowy lub do Ś-go Krzyża.

Jacy to byli Jagielonowie? Byli królami prawdziwie chrześcijańskimi. Zygmunt I-szy dwa razy chybił: raz, nadając Prusy hołdow-ném prawem Albertowi, drugi raz — pozwalając szlachcie swawoli. Handel bardzo się podnosi i kraj cały opływa w dostatki. Dużo uczonych ludzi. Z wynalazkiem prochu nastaje inny sposób wojowania. Co zdobyto na wrogach, ofiarowywano do kościołów.

L. Siemieński.

6. Henryk Walezyjusz.

Ze śmiercią Zygmunta Augusta naród został się bez króla i nie wiedział, skąd go wziąć. Dotąd bowiem Piastowie z prawa dziedzictwa wstępowali na tron, a Jagielonowie zostawiali następców, których naród obierał, czyli raczej potwierdzał. Szlachta, rozszerzająca coraz bardziej swą władzę, a ścieśniająca królewską, mianowicie od czasu, jak za Kazimierza Jagiełłończyka nastąpiły sejmy złożone z posłów, obieranych po ziemiach i powiatach, szlachta, mówię, oświadczyła wręcz królowi, że najwyższa władza jest przy sejmie, i że król bez zezwolenia sejmu nic ważnego, np. wojny, przedsiębrać nie może. Nic więc dziwnego, że teraz, gdy Jagielonów przybrało, szlachta kwapiła się okazać swoją wyższość nad królem przez to, że go sobie sama będzie obierała, jak jęć się spodoba. Cóż się tedy dzieje? Oto arcybiskup gnieźnieński, jako najpierwsza osoba po królu, od czego miał nazwisko łacińskie—*prymas*, zwołał sejm pod Warszawą. Wtenczas to zdarzyło się, iż na sejmiku bełskim zapytano, czy każdy szlachcic ma

prawo obierać króla, czy tylko posłowie powiatowi, t. j. pełnomocnicy szlachty. Jan Zamojski, chcący sobie wyrobić więtość u szlachty, która mu była potrzebną do przeszkodzenia rakuskiemu czyli austrijskiemu księciu, popieranemu przez niektórych panów, odezwał się na to: że jako każdy szlachcic swemi piersiami musi bronić ojczyzny i dla niej ofiary ponosić, tak téż powinien obierać sobie króla. Co bardzo wbijało w pychę niejednego szlachcica, bo odtąd nie tylko obierał króla, ale i sam, jako szlachcic, mógł być królem obrany.

Naznaczony tedy został dzień na obiór, czyli elekcją króla. Oprócz senatorów i posłów, walała się wszystkimi gośćcami pod Warszawę szlachta. Tutaj szlachcic inflancki jechał w powozie, prowadząc za sobą knechtów z rusznicami; ukraińcy od Dniepru kłusowali na koniach z orszakiem kozaków; gdańszczanin puszczał się na szkucie Wisłą; to znowu pan polski albo litewski postępował z licznym dworem i kilku tysiącami żołnierza, a szlachta zagonowa na lichych podjezdach, przypasawszy sznurkiem szabelkę do boku, także spieszyła króla obierać. Z takiej różnej zbieraniny nie było wiele pociechy, bo się wszyscy porozumieć nie mogli ze sobą, nie było zgody, a zawsze mędrsi albo chytrzejsi wodzili za nos prostaczków to w tę, to w inną stronę. Na tém tedy polu pod Warszawą zważyło się kilkadziesiąt tysięcy narodu. W środku równiny postawiono długą budę, tarcicami pokrytą, a mającą ściany wyplecione i nazwali ją szopą, gdzie zwykle senatorowie radzili. Posłowie ziemscy mieli osobne miejsce pod szopą, nazwane kołem. Reszta zaś szlachty rozłożyła się na szerokich polach pod namiotami lub pod gołym niebem, co wyglądało jak obóz wojenny. Choć to była pierwsza elekcja, jednakże odrazu nie było zgody; ten tego chciał mieć królem, inny drugiego, a to z powodu, że posłowie od różnych książąt i królewiczów cudzoziemskich przybywali do Polski, ujmowali sobie szlachtę, wychwalając zalety pana swego, a dla większego ujęcia dawali szlachcie podarunki. I tak: jedni krzyczeli, aby obrać arcyksięcia austrijskiego, drudzy królewicza francuskiego; byli nakoniec inni, którzy radzili obrać

Piasta, a ponieważ już familija Piastów była wymarła, tedy Piast znaczył rodowitego Polaka.

Wprzód jednakże, nim do obioru króla przystąpiono, szlachta uradziła, aby każdy król, zanim koronę przyjmie, przysiągł na takie prawa: pierwsze, że się nie może żenić bez pozwolenia na to senatu i szlachty; powtórne, że również bez pozwolenia nie może wojny wydawać; potřecie, żadnych podatków nakładać; poczwarte, nie wolno mu posłów wysyłać do obcych królów; popiąte, niema zabraniać innym religijom szerzenia się w Polsce. Nakoniec zrobiono dodatek, że gdyby król tych i innych praw nie dotrzymał, wolno go będzie z tronu usunąć.

Ten układ z królem nazywał się po łacinie *pacta conventa*—ugoda z narodem.

Gdy tedy różni posłowie to rakuscy, to francuscy, to jeszcze inni zalecali swoich panów i jedna część szlachty za tym obstawała, druga za innym, okazało się, że ci, którzy chcieli mieć Henryka, królewicza francuskiego, byli najliczniejsi. A gdy senatorowie pod szopą radzili, województwa czyli szlachta, udały się do swoich namiotów i tam się ze swęj strony także naradzały.

Panowie Zborowscy, Chodkiewicze, Radziwiłowie, Zamojscy, którzy dużo zbrojnego ludu ze sobą przyprowadzili, byli za Henrykiem, i tego téż zaraz królem okrzyknęli. A drudzy, choćby się temu chcieli sprzeciwić, nie mogli, bo zarazby przyszło do bójki; tak więc Henryk Walezy został obrany, a prymas, arcybiskup gnieźnieński okrzyknął go królem polskim.

Posel tedy króla francuskiego podpisał wszystko, czego Polacy żądali, chociaż żądali zbyt wiele. Po załatwieniu elekcji wyznaczono posłów polskich, którzy mieli jechać do Francji i zaprosić na tron nowego króla. Jechali ci posłowie przez Niemcy, gdzie ich chciał przytrzymać cesarz, ale przecież szczęśliwie dojechali do Paryża.

Francuzi bardzo się dziwili udatnej postaci panów polskich, poważnym ich twarzom, długim i siwym wąsom, czapkom sobolowym z dyjamentowemi kitami, butom żółtym

i czerwonym z dużemi podkówkami, głowom golonym, sajdam i łukom; przytém podziwiano dzielne konie pod złocistemi siodłami i czaprakami oraz liczną służbę; najbardziej zaś ich to dziwiło, że polacy mówili jak najlepiej po łacinie, po włosku, po francusku. Zapewne sobie myśleli: Polacy, to gruby i dziki północny naród, a tu się pokazało ich własne nieuctwo, gdyż francuscy panowie nie znali innego języka, tylko swój, a nawet niektórzy i podpisać się nie umieli. Widzicie więc, jaka to sława i pożytek, kiedy się kto do nauk przykładą, na całym świecie podziwiają i szanują takiego.

Kiedy król Henryk wjechał nakoniec do Polski, odprawiał się wtenczas w Krakowie pogrzeb króla Zygmunta Augusta; a to dlatego tak późno, iż nie chowano dopóty nieboszczyka króla, dopóki nowy nie nastał. Henryk po skończeniu pogrzebu odprawiał wjazd do Krakowa. Nie naliczyłby nikt, co się naprzeciw niego wysypało panów, z których każdy prowadził po dwieście i po trzysta jazdy, wspaniale od złota i srebra ubranej, a byli i tacy, co przyprowadzili po tysiąc piechoty. Dodajmy, że było jeszcze dużo mieszczan pięknie uzbrojonych na koniach i pieszo, mnóstwo ludu ciekawego, a pewnie się pokaże, iż rzadko kiedy na jednem miejscu tyle głów ludzkich się gromadzi. O pierwszej w nocy król wjechał bramą Floryjańską; siedział on na białym koniu, który miał siodło złociste. Mieszczanie nieśli nad nim baldachim, jak to noszą nad księdzem w czasie procesyi Bożego Ciała; w mieście zaś tyle świec gorzało, że prawie szpilki możnaby było zbierać przy tej jasności. Król, wysiadłszy w zamku, poszedł do kościoła na Wawelu, gdzie śpiewano pieśń na podziękowanie Panu Bogu, przyczem z armat tak strzelano, że cały zamek trząsł się od huków.

Wkrótce odbyła się wspaniała koronacyja, w sposób takiż sam, jak opowiadaliśmy już, mówiąc w części pierwszej Wypisów o koronacyi Łokietka, choć teraz było jeszcze okazaliej. Trzeciego dnia po koronacyi wyprawiono na zamku turnieje, czyli gonitwy, to jest wjeżdżano na koniach i ci, co się wyzy-

wali, uderzali na siebie kopijami; kto kogo z konia zwałił, ten zwyciężył i był udarowany.

Zdarzyło się, że Samuel Zborowski, pan młody i wielki gorączka, utkwiał był kopiją, co znaczyło, że wyzywał każdego do walki z sobą; tymczasem jeden sługa Jana Tęczyńskiego, wyjął tę kopiję, dając tęp do poznania, że się chce z nim spróbować. Rozgniewał się o to pyszny Zborowski, gdyż miał sobie za ułżenie bić się z prostym pacholkiem, i myśląc, że Jan Tęczyński namówił sługę do tego, rozgniewał się srodze. Nieszczęściem, wyjeżdżając z zamku, spotkał się z Tęczyńskim i wtedy, wyzywając się obaj słowami, skoczyli ku sobie, lecz kasztelan Wapowski, patrząc na to, zaczął ich godzić i rozbierać, mówiąc, że wielka jest kara na takiego, kto w domu króla broni dobywa. Zborowski zaś myśląc, że i ten rwie się na niego, uderzył go w głowę i ranił na śmierć. Straszny hałas się zrobił; Wapowskiego pół nieżywego niosą do króla, żona jego przybiega z płaczem i wszyscy krzyczą, aby zabójca był ukarany, albowiem Wapowski niebawem żyć przestał.

Król, chociaż Zborowskim wiele zawdzięczał, że koronę dostał, jednak musiał wydać wyrok, skazujący Zborowskiego na wygnanie z Polski.

Zborowski widząc, że gdyby go schwytano, powinienby ukarany być śmiercią, wyjechał zaraz na Węgry. Wyrok ten, ponieważ nie odbierał czci Zborowskiemu, czyli zostawiał mu szlachectwo, wydawał się jednym zbyt łagodny, drugim, to jest przyjaciółom jego—bardzo surowy. Za co największe hałasy powstały na króla.

Zresztą z Henryka nie mieli Polacy pociechy, a on mniéj jeszcze rad był Polakom, gdyż nie podobała mu się wielka wolność w naszej ojczyźnie. Myślał on sobie, że tak jak we Francyi, będzie mógł robić, co mu się podoba. Widząc zaś, iż sprawy przybierają obrót nie po jego myśli, czekał tylko pory, aby tron opuścić. Na jego i na nasze szczęście umarł właśnie brat jego, Karol IX, król francuski. Henryk też, bojąc się, aby Francuzi kogo innego na tron nie wzięli, nie mówiąc nic nikomu, jednej nocy uciekł z zamku z siedmiu dworzanami.

Skoro gruchnęło po Krakowie, że króla niema, dalej za nim w pogoń puścił się kasztelan Tęczyński i dogonił go w Szląsku; ale co się naprosił, co nazaklinał, — darmo! Król nie chciał wracać.

Rozgniewał się naród o taką ucieczkę, choć nie było czego żałować; prymas zwołał sejm, ogłaszając, że jeżeli Henryk do tego a tego dnia nie powróci, przestanie być królem polskim; gdy więc nie wrócił, zaczęto myśleć o wybraniu nowego monarchy. Henryk Walezy panował tylko kilka miesięcy.

Polacy szukają sobie króla. Co to jest prymas? Każdy szlachcic ma prawo obierać sobie króla, a nawet i być królem. Korona rzecz łakoma, przeto różni starają się o nią. Kto chce być królem, musi przysiądź na „pacta conventa.“ Królewicz francuski, Henryk zostaje obrany królem. Jadą po niego Polacy do Paryża. Jak się Francuzi dziwili bogactwu i rozumowi Polaków? Henryk wjeżdża do Krakowa; miasto oświecone, fajerwerki i turnieje. Samuel Zborowski robi burdę i zabija niewinnego człowieka; skazują go na wygnanie. Henrykowi nie podobą się w Polsce i wraca, skąd przybył.

L. Siemieński.

Błogosławiony Sadoch.

(Legenda krajowa).

Nad Polską słońce poranne płynie,	Szlak swój naznacza krwi polskiej
Nie nad żyznemi pola rozłogi,	[falą;
Bo same pustki, trupy, pożogi,	Co noc, to szerzej łuny się palą,
W błogosławionój Piastów krainie.	Co dzień straszliwsze rozpacz
Kędy przeleci Tatarzyn dziki *),	[krzyki.

Nad Sandomierzem poranek płynie —
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całym mieście, w całej krainie,
Z żadnej się piersi głos nie dobiedzie;

*) Sandomierz złupiony i spłądrowany przez Tatarów pierwszy raz w 1240 r.

Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi,
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Zakonni bracia, pańscy kapłani,
Tłumiąc odważnie postrach powszedni,
Co się wokoło rozchodził wszędy,
W bezludnym mieście zostali jedni,
I w swoich celach, modłom oddani,
Sprawują śmiało święte obrzędy;
Dzwonią na jutrznią i całą rzeszą
Na ranne modły do chóru spieszą.
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,
Z okiem pobożnie utkwionym w ziemi:
Młodzi na przedzie, starsi za nimi,
A dalej starzec—ich przełożony.
Imię ma Sadoch — i lat już wiele,
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do niebios tronu,
I ostrą włosień nosi na ciele.
Z młodu wiódł żywot niemniej surowy;
Bo, dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły brodę, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło
Ogłaszać wiarę na końcu świata.
Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyleż w nich braci—w ustawach ściśli,
Może ni jednej światowej myśli,
Może jednego grzechu nie mieli.
Bo pod świętego starca rozkazem,
Zajęci pracą swojego stanu,
W postach, modlitwie, ostrzej pokucie
Tłumili każde ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

I otóż wszyscy z świętym wyrazem
Zasiedli w chóru ciemnym ościeniu;
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:

„Boże! pośpiesz się ku wspomózeniu,
 „Panie! ratunku Twego nam trzeba!“
 I dalej modły wyznawców pańskich,
 W jedno donośne spłynęły brzmienie:
 Cztérdzieści dziewięć głosów kapłańskich,
 Jak gdyby jednej piersi westchnienie;
 Bo ich uczucia w jedno się zlały,
 Jedna w nich żądza...niebieskiej chwały.

Zmilkła na chwilę cała gromada
 I wedle ustaw, najmłodszy z grona,
 Czyta tych świętych pańskich imiona,
 Których pamiątka dzisiaj przypada.
 Miał już zakończyć — cóż-to? błąd oka?
 Zdjęła go trwoga — przytomność traci —
 Widzi w swym ręku cud oczywisty —
 W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:
 „Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
 „A z nim cztérdziesięciu braci.“
 Przeczytał słowa... Cóż-to on gada?
 Woła z podziwem cała gromada —
 I wszyscy spieszą oglądać głoski,
 I wszyscy widzą wielki cud Boski...
 Wtém znikły z karty wyrazy wieszczę,
 Jak sługi Boże poniknąć miały —
 I znowu w chórze modły zabrzmiały,
 Jeszcze gorętsze i szczerze jeszcze.

Po modłach Sadoch z twarzą radośną,
 Do najmłodszego poszedł kapłana,
 I pełen skruchy padł na kolana,
 I świętą spowiedź odprawił głośno.
 Potém każdemu z braci kolejną
 Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
 Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieję,
 I świętym chlebem Pańskiej biesiady.
 I otóż wieczór — już po niesporze,
 Sadoch ze swymi w środku kościoła
 Kłęczy na ziemi, do Maryi woła,
 I pieśń Maryi nuci w pokorze.

Wtém z trzaskiem wrota kościelne pękły —
 Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
 Wyrznąwszy w zamku naród przelekły,
 Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
 Jedni już łupią ołtarze Boże, —
 Drugich zbójceka wściekłość rozżarza,
 I utłuszczone krwią polską noże,
 Wpychają w piersi sługom ołtarza.
 Tryskają z piersi krwawe fontanny,
 I białe szaty szkarłatem broczą:
 Święci pod noże idą ochoczo,
 I kończą pieśnią Maryi Panny.

Władysław Syrokoma.

7. Obóz pod Sokalem.

Pierwsza wojna kozacka skończyła się, jak wiadomo, traktatem Zborowskim. Ugody téj ani Rzeczpospolita, ani Chmielnicki dotrzymać nie mieli ochoty i wśród obustronnych skarg przeszedł cały rok następny, w którym ani wojny, ani pokoju nie było.

Obie strony gotowały się do nowego starcia i szukały sobie sprzymierzeńców. Hetman kozacki szukał ich w Moskwie, w Turcyi, w Krymie, w Mołdawii, w Siedmiogrodzie, u patryjarchy carogrodzkiego, a nawet w Szwecyi; podczas tego król polski do papieża i cesarza poselstwo wyprawił, prosząc pierwszego o pieniądze, a drugiego o posiłki na tę wojnę, grożącą niebezpieczeństwem całemu chrześcijaństwu od azyjatyckiej dziczy.

Papież wysłał relikwije, złotą różę, kapelusz i szpadę poświęcaną, lecz oświadczył zarazem, że skarb św. Piotra pusty. Cesarz odpowiedział, że sam w największej jest potrzebie. Zabiegi dyplomatyczne w Krymie, w Moskwie, w Szwecyi i w Turcyi, którymi Rzeczpospolita chciała Chmielnickiego odosobnić, również się nie powiodły. Hetman kozacki przyjął protekcję sultana, zobowiązał się płacić haracz i został

inwestytuowany kaftanem, buńczakiem i buławą, jako udzielny książę Rusi z tytułem *Stróża Porty Otomańskiej*.

Hanowi dano rozkaz, aby ruszył z całą orzą, a baszy z Sylistryi nakazano, aby wojska ściągali i wraz z hospodarami wołoskim i multańskim pospieszał w pomoc kozakom. Hanowi obiecał Chmielnicki zwrot kosztów wojennych, jasyr aż po Wisłę i Kamieniec Podolski; sułtanowi Goldzie a bratu hańskiemu — księstwo Baru i bogate łupy.

— Przychodźcie, pisał do hana, wybierać miód z Polski, kiedy my zakurzywszy pod nos Lachom, jak pszczoły z ula wyganiać ich będziemy!...

Rakoczy i hospodar multański obiecywali zrobić dywersyję w stosownym czasie, uderzając na Polskę. Patrijarcha carogrodzki posłał mu miecz poświęcany i błogosławieństwo jemu i całej Rusi na tę wojnę. Nie dość na tém: aby zgruchotać Rzeczpospolitą i wytepić do nogi szlachtę, rozesłał Chmielnicki dwa tysiące agentów po całej Polsce, którzy mieli zbuntować chłopów.

— Szlachta polska, pisał do Rakoczego, za królem idąc, zostawia bez obrony miasta i wsi swoje. Namówilem chłopów, aby, chwyciwszy oręż, z tyłu uderzyli niespodzianieną nieprzygotowanych i zajętych wojną ze mną. Uderz nagle szlakiem Turcyi, Siedmiogrodu i Węgier, zdobądź stary gród Wawelu, na co dwóch dni wystarczy, a znajdziesz tam bogate łupy.

Stosunki Chmielnickiego z Portą były powodem, że król zwołał sejm w r. 1650, na którym przedstawił zuchwałość kozacką, pogardę dla króla i Rzeczypospolitej — krzywdy, jakich doznaje szlachta, wypędzona ze swoich dóbr na Ukrainie, i dążenia Chmielnickiego, aby zrzucić z siebie panowanie Rzeczypospolitej i utworzyć osobne państwo pod protekcyją turecką; ale większa część, rozważając przeszłość i przyszłość, przyszła do tego przekonania, że albo Rzeczpospolita, albo kozacy zginąć muszą.

Nowe żądania kozaków, postawione właśnie w tym czasie, domagające się udzielnosci Chmielnickiego za Dnieprem i po-

równania w tych ziemiach szlachty z chłopami, spowodowały wszystkich do jednego zdania. Jednomyslnie uchwalono wojnę, pozwolono na podatki, na zaciąg 36,000 wojska w Koronie, 18,000 na Litwie i, wrazie niebezpieczeństwa, na pospolite ruszenie. Ponieważ zaciągi uchwalone nie mogły być tak prędko gotowe, wysłał król Kalinowskiego, hetm. poln., nad Boh, aby zakrył granice i zabezpieczył je przeciw kozakom w razie, gdyby nie chcieli pokoju, jaki im traktaty Zborowskie zapewniały, a które im jeszcze raz ofiarowano.

Pod tym względem okazały się wkrótce zamiary Chmielnickiego; osadził bowiem natychmiast ważniejsze miejsca nad Bohem, a pułkownik Neczaj rozpoczął kroki wojenne.

Kalinowski zniósł Neczaję i zdobył Krasne, Winnicę, Szarogród, Morachwę i zamyślał po zdobyciu Braclawia iść na Litwę, gdzie się znajdował Chmielnicki; ale kozacy ze wszystkich stron przeważnemi siłami 70,000 ludzi ruszyli na niego i zmusili do odwrotu. Cofnął się w nieporządku pod armaty Baru, ze stratą 500 piechoty i kilku dział.

Ta porażka była powodem, że król coprędzej ruszył na granicę, gdzie Potocki, w. hetman koronny gromadził wojsko pod Sokalem.

Kalinowski, który się cofnął z Baru do Kamieńca, dostał rozkaz połączyć się jaknajprędzej z wielką armiją. Zostawwszy więc dostateczną załogę w téj fortecy, którą kozacy oblegać zaczęli, ruszył na północ, goniony przez 18,000 kozaków i 2,000 Tatarów, a atakowany ze wszystkich stron, przebił się szczęśliwie i dociągnął ze zdziśiatkowanym, obdartym i nad wyraz strudzonem wojskiem do Sokala, gdzie hetman Potocki z 28,000 armiją, oczekiwał niecierpliwie przybycia króla i pospolitego ruszenia, na które już ostatnie wici rozesłano.

Dnia 27-go maja wjechał Jan Kazimiérz do obozu, gdzie go najokropniejsze czekało przyjęcie. Obóz polski był gotowym łupem dla nieprzyjaciela; stał jak wielki lazaret, jak wielki barłóg nędzy i nieszczęścia. Tyfus głodowy przerze-

dzał szeregi: obóz bez wałów i szaniec; żołnierze bez butów, odzienia i broni....

Mianowicie, kwarciane wojsko Kalinowskiego, złożone z regimentów niemieckich, przyjętych po skończeniu wojny trzydziestoletniej na żołd Rzeczypospolitej, i ze starych pułków Władysława IV, w przerażający sposób się zmniejszało. Walką całozimową zmordowane, ostatnimi marszami z pod Kamieńca zrujnowane, tyfusem głodowym i orężem nieprzyjacielskim zdziesiątkowane, było nie do użycia. Z 12,000 korpusu najdoskonalszych w świecie żołnierzy zostało 5,985 ludzi, których liczba z każdym dniem się zmniejszała.

Był to smutny widok, jak ci osowiali weterani, z których jedni pod wodzą generała Gustawa Adolfa, a drudzy w czasach wielkich wojen Władysława IV nieśmiertelną sławą się okryli,—teraz obdarci, z gorączką głodową na licach, z połamą bronią w ręku, ledwo na nogach utrzymać się mogli. Stare lwy, postrach Europy, stali zawstydzeni swoją nędzą, milcząc, kładli się na słomę, umierali bez szemrania, a Rzeczpospolita, która ich na swoją obronę najęła, nie dała im nawet tego, co miał każdy żebrak przy drodze.

Król znalazł się w okropnym położeniu. Kupy chłopstwa pałac i rabując, ciągnęły przez Wołyni do głównego taboru; 100,000 ordy ciągnęło od Dniepru; — trzeba było ruszać naprzód, koniecznie naprzód, aby się nie dać wzmocnić nieprzyjacielowi i nie pozwolić, aby się z ordą połączył; a tu tymczasem dowódcy oświadczały, że żołnierz nie pójdzie, bo głodny, bo żąda chleba i żołdu.

W klasztorze sokalskim znajdował się cały niemal ruchomy majątek okolicznej szlachty na składzie. Obywatele południowych województw zwieźli tu swoje kosztowności w srebrze, złocie i gotowe pieniądze, i to wszystko w klasztorze, jako w bezpiecznym miejscu pod osłoną wojska umieścili. Rada wojenna, za powodem króla, powzięła desperacką uchwałę, aby depozyta pieniężne zrewidować i sposobem pożyczanym pobrać, byle żołnierzowi wygodzić.

Już raz po klęsce piławieckiej stało się coś podobnego we Lwowie, co Rzeczpospolita publicznie na sejmie mianem rozboju napiętnowała. Teraz sam król z radą senatu przedsiębrał to, co u drugich haniebnie zganiono i wysłał ludzi senatorskiego stanu do wyłamywania zamków i rewidowania cudzych skrzyń. Tymczasem szlachta obecna własności swojej dotknąć nie dała, depozyta nieobecnych pochowano, a w pakach, które pozostały, nic nie znaleziono.

Gdy się więc ta szpetna egzekucya nie powiodła, próbował król innego sposobu i rozkazał zbierać składki w obozie. Zebrano 18,000 złotych i rozdano je w pułkach, które się tém kontentować musiały, podczas gdy zboże przywiezione przez Kisiela wyszło i głód na nowo do obozu zawitał.

Król przywiedziony do rozpacz, chwycił się ostatecznego środka. Rozpuszczono naprzód wieść, że się han połączył już z Chmielnickim i że obaj razem na królewski obóz uderzyć zamierzają.

Król oświadczył, że w obozie pozostać zamyśla; rozkazał sypać wały, jak gdyby miał zamiar wytrzymać oblężenie i przy hasle otrąbić rozkazał, aby się każdy żołnierz, jakimby sposobem w żywność zaopatrzył. Natychmiast rozbiegła się na wszystkie strony piechota, liczna czeladź i ciury, zaczęli zajmować bydło i wszystkę żywność w okolicy, a nie kontentując się tém, rzucili się na dwory warowne i zamki, w których się szlachta z poddanymi do obrony przed nieprzyjacielem gotowała. Te, jakby w kraju nieprzyjacielskim dobywali, prowadząc nagromadzoną żywność do obozu.

Zaopatrzywszy tym sposobem wojsko w żywność, zwołał król znaczniejszych panów na radę o dalszej wyprawie. Na tej radzie dowodził ks. Wiśniowiecki, wojewoda ruski, że należy się posunąć wprost na Tarnopol, gdzie się znajduje Chmielnicki i uderzyć niespodzianie na rozdwojone siły nieprzyjaciela, nim się ze sprzymierzeńcami swymi połączy. Inni byli przeciwnego zdania i doradzali królowi zająć Gliniany pod Lwowem, aby nie dozwolić Chmielnickiemu połączyć się z Rakoczym. Wszyscy zaś w ogóle osądzili, że lepiej będzie poczekać,

zanim się szlachta zbierze, gdyż siły Chmielnickiego od czasu przybycia króla do obozu tak dalece wzrosły, że się z niemi mierzyć nie podobna, gdy tymczasem pospolite ruszenie i chorągwie zaciężne, będące już niedaleko w drodze, w kilku dniach w obozie stanąć będą mogły.

Jakoż, w kilka dni po przybyciu króla do obozu zaczęły się ściągać pojedyncze oddziały pospolitego ruszenia. Dzień po dniu nadciągały strojno i huczno województwa, ziemie i powiaty, bogate pułki wielkich panów, zaciężne chorągwie z tłumami sług i taborami wozów.

Chmara przekupniów ciągnęła zewsząd do Sokala. Tłumy ludzi, niezliczony ogrom wozów i koni zalegały doliny i wzgórza dokoła. W okręgu kilkunastu mil pasły się konie stadami i o kilkunastu tysiącach sztuk;—jak okiem dosięgnął, wszystko było jednem pastwiskiem.

Zdawało się, jak gdyby cały naród polski zabierał się do założenia nowej stolicy państwa. Szopy dworskie, drewniane kancelaryje ministrów, baraki kwarcianych otoczone do koła szańcami, tworzyły środek tego płóciennego miasta; przyległe wzgórze, zastawione namiotami i szałasami pospolitego ruszenia, otoczone niezliczoną liczbą wozów, wydawały się przedmieściami.

Złociste karoce przebiegały doliną, w namiotach ministrów załatwiano bez przerwy interesy publiczne; mnóstwo interesowanych nadjeżdżało i wyjeżdżało z obozu, kuryjery, pastuchy, strażnicy i podjazdy wbiegały i wybiegały za wały; masy przejezdnych widzów i gości, roje ludzi około bud, szałasów i straganów... wszędzie targ, ciżba, wrzawa, ruch, jakiego nigdy nie było w Warszawie.

Wieczorem, kiedy ognie zapłonęły na wzgórzach, a czeladź rozbiegła się z końmi na paszę, słyszałeś zewsząd surmy i wiwaty po namiotach wielkich panów, którzy po zwyczaju młodszą bracię hojnie u siebie gościli. Rankami odbywały się przeglądy, które przepychem olśniewały cudzoziemców, ożywiały wojsko i zdolne były obudzić zaufanie w niezwyciężone siły Rzeczypospolitej.

Występowały wtedy pułki jeden za drugim. Szedł na-przód dwór królewski strojny i świetny pod złotohaftowanymi chorągwiami, konno, piórno i bogato. Chorągwie pancerne lśniły się od skrzydeł białych, rycerstwo w półkirysach złotem szmelcowanych, tygrysy i lamparty na grzbiecie. Za nimi pacholcy w kapach półszkarłatnych, na których wisiał orzeł królestwa, haftem złocistym ozdobiony. Proporce husarskie różnobarwne, w szachownicę, z białym i błękitnym ogonem, wesolo drgały w powietrzu. Na chorągwiach i dardach u hajduków, u rajtary i pieszych dworskich lśnił się złocisty herb króla.

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń wojska polskiego, sławę i pychę Rzeczypospolitej—husaryją w całej okazałości. Kipiały od strusich piór kity na głowach konskich, na hełmach i na skrzydłach rycerzy, pędziły rotę szumno i rzeźko, jak orszak aniołów w zbrojach srebrnych, szumiały i brzęczały skrzydła na żelaznych ramionach, lśniły od drogich kamieni końskie wywroty, pancerze, pałasze, perskie i tureckie hafty na siedzeniach, rzucały się w podskokach konie arabskie, sekle i dzianety, jedne w czaprakach frandzlistych, w czoldarach kwiatu bogatego, inne w sakabantach opinanych i drogo haftowanych, w dyftykach szkarłatnych. Każda chorągiew inaczej strojna i zbrojna, w kirysach szmelcowanych lub polerowanych, przy tarczach różnobarwnych, w kitach rarożych, strusich i innych piórach zamorskich, w skórach lamparcich, w czuchach niedźwiedzich, wilczurach, w kilimach pstrych i czerwonych.

Ponad hełmami posuwał się las kopij, strojnych w różnobarwne proporce, lśniących ostrymi groty. Za husaryją pomykali petyhorcy, lżejsi i mniejszego proporca, z dzidą przy łopie czarnym, lub z drzewcem równym kopii, w pancerzach z nitu, w kołczugach misternie wycinanych. Dalej szły chorągwie z różną strzelbą: jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, w misiurce i karwaszach; wołoskie, multańskie, tatarskie, czemeryskie... wszystko zaciąg z różnych narodów,

a wszystko do czat i podjazdów. Skrzydło każdej rotty zawodził towarzysz weteran z chorągwią w ręku.

Za temi chorągwiami ciągnęło pospolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty, słowem Rzeczpospolita we własnej osobie, strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej strojny i na przeróżnych koniach.

Nikt nie może mieć wyobrażenia, jakie rasy, jakie krzyżowania maści i własności koni mogą istnieć na świecie, kto nie widział pospolitego ruszenia.

Siedzieli kawalerowie na skocznych koniach tureckich, wysmukłych sekielczykach, wspaniałych dzianetach, chybkich arabczykach ostrouchach, na zdrowych polskich wałachach, na fryzach hupklaporeckich, na sprawnych i wytrzymałych podolskich, na trzęsących pomorczykach, na gibkich czerkiesach. Ten na hołupie podunajskim, ów na ukraińskim się uwijał. Tu jakiś biedny szlachcic ciągnął na prześladowatym, co wozil botry i suckie ryby, drugi włókł się na tłusto-leniwym, jak gdyby jagły lub zgniłki przywiózł za sobą do obozu; ten wyrwał się z boku na żmudziastym litwinie, ten sunął na tumie mieszańcu. Była to wystawa koni całego świata.

Najwięcej jednak ujrzałeś koni podolskich. Wielkie stadniny, jakie tam Rzeczpospolita posiadała, zaopatrywały nie tylko wojsko, ale i kraj, gdzie konie, jako sprawne i wytrzymałe, najbardziej były poszukiwane. Na obszernych polach zrodzony koń, co to, jak mawiano: „z kopyta wbliz zajaca, a na moc i wilka doszedł“, mógł mieć dużo pięknych współzawodników, ale sprawniejszego i wytrzymalszego nie było potrzeba. Widziałeś lepszych i piękniejszych od niego, np. węgra z sarnią kostką, żelaznej maści, widziałeś z Nahaj bachmaty niepokąźne ale najlepsze do bitwy, sprawione po tatarsku, co 30 mil bez wytchnienia uleciec mogły; widziałeś wielu pyszniących się na dobruckim rumaku, na jakim według podania Bolesław Chrobry wjechał do Kijowa;— miałeś przed sobą najpiękniejsze araby, czerkiesy, to wszystko było drogie i wyszukane, podczas gdy podolczyk pełnił wszystkie usługi zupełnie dostatnio,

a na polskiej ziemi wzrosły, do słońca i do ziemi jej przywykły, łatwy do nabycia, nie wymagał zbytecznej opieki, a szlachcic, który często bardziej bał się o konia niż o siebie, łatwiej się mógł pocieszyć po jego stracie.

Za pospolitem ruszeniem szła rajtaryja z Ubaldem, przy strusich piórach, w kapeluszach z wysokim grzebieniem. Konie w kapturach i derkach pstrych, poważnie prowadzone. Nie lubiła szlachta wojska cudzoziemskiego, ani łanowej piechoty, jak to widać z współczesnego opisu:

„Oficer dmie się, jak bąk, ogon roztoczon, jak u pawia, łeb w pudle, nogi żorawie. Kapitanowie rapiry gołe w rękach prezentują przed królem; pludry na wszystkie strony połyskują. Siedzą na fryzach lub pomorczykach kusych i bez uszów. Następuje infanterija: — *marsz! marsz!* wołają oberzsci; *fort! fort!* — oficerowie. Starszyzna na pomorskich koniach w górę się podnosi, albo pieszo trzcina na żołdakach porządku pilnuje. Idzie naprzód piechota królewska w czerwonych, królowej w żółtych koletach, płaszcze nowe pstro-obłoczyste. Za nimi polskie łanowe regimenta z węgierska przebrane. Oficerowie z postawą górną przy długim ogonie. Dmie się każdy, jak indyk, ogon rozpuszczon, jak u dropia, głowa ostrouszna, nogi bocianie, ale myśl chłopia. Tak rotmistrz, jak pacholek, fuczą i krzyczą, a jak do bitwy — to ze skruczą. Chorążowie chorągwie wielkie wkrąg siebie wywijają, muszkiety połyskują, wałą w bębny i szalamaje“.....

Za łanową piechotą szły armaty, dalej prochy, granaty, ogniste kule w osobnych wozach, dalej wozy na rydle i motyki, a przy nich żołdacy z pikami.

Występowały pulki, regimenta i chorągwie jedno po drugim, a z powrotem do obozu spisywał je przy moście na Bugu Zygmunt Przyjemski, generał artylerji i pisarz wojskowy, odbierając od każdego rotmistrza raport na piśmie, który królowi oddawał.

Cała ta masa pyszna i strojna, była nadzwyczaj nabożnie usposobiona. W obozie odprawiało się nieustannie nabożeństwo, a szopa królewska, w której stał cudowny obraz Matki

Boskiej z Chełmna przywieziony, napelniona była dzień i noc pobożnymi. Jakiś nerwowo-mistyczny nastrój owładnął wojskiem. Szukano wszędzie cudów i zjawisk nadzwyczajnych, a te, jak zwykle w podobnych razach, nie dały długo na siebie czekać.

Rotmistrz kanclerza, stojąc z kompaniją Węgrów na straży, widział w obłokach króla siedzącego na złotym tronie, nad głową jego po obu stronach stali aniołowie z koroną i z mieczem w ręku, a opodal w błękitnym obłoku widziano ogród zielony i napis w środku złotymi literami: *Salvator mundi*. Napis ten Węgrzyni téjże rotty, umiejący po łacinie, czytali, i badani publicznie, przysięgą to zjawisko stwierdzili.. W nocy 31-go maja, widziała chorągiew Stanisława Potockiego niewiastę, która płaszczem swym cały obóz polski nakrywała. Żołnierze, biorąc ją za Matkę Boską, zeskoczyli z koni, upadli na kolana i *Litanium Lauretanum* śpiewać zaczęli.

Liczne zjawiska, które sobie rozogniona wyobraźnia żołnierzy tworzyła, utrzymywały umysły jednych w gorączkowym naprężeniu, a w drugich osłabiły energiją i męstwo aż do dewocyi lub zupełnego zwątpienia. Kiedy się wieść rozeszła, że nieprzyjaciół zbliża się do obozu, strach ogarniał najwaleczniejszych żołnierzy i zaraz ogólne zdanie było, aby się nie ruszać z miejsca, ale bronić w warownym obozie. Skoro jeden i drugi dzień nieprzyjaciela widać nie było, albo inna wieść coś pomyślnego przyniosła, zaraz wesołość i ochota ruszenia naprzód.

Pokazało się później, że ani wojsku, ani szlachcie na odwadze nie brakło. Ale i najodważniejszy człowiek, choćby najmniej dbał o własne życie, uczuje niepokój i trwogę za zbliżeniem się chwili, która ma rozstrzygać o przyszłym losie jego, jeśli na nią czeka w tych warunkach, w jakich się szlachta wówczas znajdowała. Z domu od Nadwiśla, z Wielkopolski, z województwa lubelskiego i ruskiego dochodziły ją wieści o buntach chłopskich, grożących wyrżnięciem ich rodzin; Rakoczy groził napadem od Krakowa; przed sobą mieli liczną czerń kozactwa i chłopów, którym cała orda na pomoc

nadciągała, Turek i Rus mógł lada chwila korzystać z nie-szczęścia; obrona całego państwa leżała na barkach zachodnich województw, które zaledwie jedną trzecią część stanowiły, bo Litwa w domu bronić się musiała; w obozie pod Sokalem znajdowały się wszystkie siły i ostateczne resursa Rzeczypospolitej— w razie przegranej nie było ratunku, nie było po co wracać do domów.

Wiedząc o tém wszystkiém, stali beczynnymi, podczas gdy nieprzyjaciół gromadził się i rósł w potęgę; i mieli dosyć czasu i słuszych powodów krytykować czynności swoich wodzów i oddać się przeczuciom, trwodze i zwątpieniu. Brakło człowieka, któryby te masy ujął silną ręką, porwał je za sobą, natchnął wiarą w siebie i wzmocnił nadzieję zwycięstwa.

Nie miano żadnego zaufania do hetmanów, bo przeszłość ich nie dawała rękojmi. Króla nie lubiano i nie ceniono. Zarzucano mu lekkomyślność, zmienność i zupełną nieudolność w prowadzeniu wojny. Sposoby, jakimi żywił i płacił wojsko, odebrały mu powagę; ciągle przeglądy i manewra, którymi chciał kierować, nie mając o tém żadnego wyobrażenia, ośmieszały go w oczach starych żołnierzy; jego mina królewska nie imponowała nikomu, faworyzowanie obcych oficerów gniewało polskich dowódców; surowość, z jaką karność w obozie zaprowadzić usiłował, robiła wręcz przeciwny skutek, a ciągle zmiany w planach wojennych odbierały wszystkim otuchę.

Ta niestałość w raz powziętych zamiarach była dla całego wojska największym zgorzeniem. Cokolwiek na radzie wojennej jako rzecz nieodwołalna stało, wywróciło lada prywatne natchnienie. Pierwsza lepsza wieść płonna mieszała rozkazy wydane i wszystkie przygotowania za ogólną zgodą wodzów poczynione.

Drugim złem była niekarność w wojsku, która się z każdym dniem wzmagała, a powodem tego była konfuzyja sądownictwa wojennego.

Za dawnych czasów, kiedy się król polski w obozie znajdował, władza wojskowa była zawsze przy nim, ale w sądo-

wnictwie mieli wodzowie i urzędnicy obozowi pełni i niewzruszony zakres działania. Każdy pilnował swój powinności, a żołnierz wiedział, skąd go kara spotkać może. Teraz zaś, za radą cudzoziemców, którzy sobie powagą urzędników wojskowych przywłaszczyć chcieli, król pomijał tych ostatnich i nowym polecił pełnić obowiązki tamtych należne. Hetmani nie byli hetmanami, oboźny nie był oboźnym, strażnik nie był strażnikiem, — bo sam król chciał być hetmanem, oboźnym, strażnikiem, chciał być wszystkiem, a do zastępstwa swego takich ludzi używał, którzy się żadnem prawem temi sprawami zajmować nie mogli. Tak więc żołnierz niewiele sobie robił z nowych i z dawnych przełożonych, a oficerowie, widząc, że są pomijani i pogardzeni, nie dbali o porządek i karność zwyczajem odwiecznym, że o rzecz, o którą się wszyscy starają, nikt się nie stara. Stąd nierząd zupełny w wojsku, stąd co godzina zmiana w postanowieniach, stąd niedbałość o wiadomość zamysłów nieprzyjaciela. Jeden na drugiego się oglądał, nikt swego obowiązku nie pilnował, nikt o niczem nie wiedział.

Cóż więc dziwnego, że w takim stanie rzeczy ludzie bali się o swą przyszłość, że ich strach ogarniał na samą wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela i że, potrzebując nadziei zwycięstwa i uspokojenia, szukali zjawisk i garnęli się do cudownego obrazu, który im dawał choć na krótki czas to, czego im nikt inny dać nie był w stanie.

Król nie miał żadnego zaufania w zdolność swoich oficerów, a ci ostatni czernili się nawzajem i klócili ciągle ze sobą. Kiedy przyszło do rady, podawano jaknajsprzeczniejsze zdania i zdawało się, że nikt nie wiedział, po co przybył do obozu, bo wszyscy raczej do traktatów, niż do bitwy byli skłonni.

Wojna domowa ma to do siebie, że państwo daleko więcej sił w niej zużywa, niż w najcięższej wojnie z postronnym nieprzyjacielem i że żadnym traktatem ukończoną być nie może. Honor, ludzkość i interes państwa wymaga więc, ażeby, gdy takie nieszczęście nadejdzie, trwało przynajmniej jak naj-

krócej; aby walka z obu stron prowadzoną była energicznie, a klęska słabszej strony była stanowczą. Żadnych traktatów—tylko poddanie się na łaskę i niełaskę i surowa sprawiedliwość może zachować jedność państwa, uchronić od dalszego krwi rozlewu i wzburzone żywioły sprowadzić powoli do zgody. Najkrwawsza bitwa i najdziksza zemsta po niej nie kosztuje tyle krwi i nie jątrzy tak umysłów, jak długa wojna, prowadzona wśród ciągłych traktatów, których nikt szczerze nie dotrzymuje. O tej prawdzie, tylu wiekami stwierdzonej, przekonany był cały sejm w 1650 r., tę prawdę czuje i bez historyi każdy zdrowy rozum, a tém bardziej żołnierz, który na to stoi w polu, aby się bił.

Szczęściem, że w wojsku królewskim znajdowało się dwóch ludzi, którzy w danym razie całą Rzeczpospolitą z ostatecznej toni wyprowadzić byli zdolni. Pierwszy z nich wojewoda ruski, ks. Jeremi Wiśniowiecki, ulubieniec całego narodu, „za którego pierściami cała ojczyzna spokojnie oddychaćby mogła,” trzymał się skromnie na uboczu, ale słowa jego, w stanowczej chwili powiedziane, były zawsze dla wszystkich hasłem i rozkazem i nie było wątpliwości, że w razie potrzeby cała szlachta bez wahania oddałaby się w ręce księcia, który «w sławie się kochał i w niej jak po słońcu chodził.» Drugim był, mało znany wówczas, porucznik hetmana w. kor. Stefan Czarnecki, który jednak z każdym dniem rósł w wpływy i znaczenie u króla. To też dla pierwszego z tych dwóch ludzi bitwa pod Beresteczkiem była pysznym odbłaskiem zachodzącego słońca, dla drugiego—zorzą wschodzącej sławy bohatera.

Dr. L. Kubala.

B a s z y n a.

Jest wioska Baszyna,
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Dalej głuchy bór.

A w borze zameczysko,
Wkoło wielki wał:
Tam niegdyś siedlisko,
Dzielny rycerz miał.

I wpadli pohańce,
A wszystko strach zdjął;
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę baszy ściął.

Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam;
Dziś zamek ruiną,
A strach mieszka tam.

Niewielka osada,
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Ścieżka z wielkich gór.

Po błoni, na dole,
Horyń wije bieg;
A srebrne topole,
Wienczą jego brzeg.

W tej niegdyś wsi byli
Sławni: Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.

A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było,
I jeden był duch.

W zamczysku na górze,
Jest kaplicy szczyt;
Kamienny krzyż w murze,
Był jój cały sprzęt.

Kto przysięgał tam krzywo,
Wnet go karał Bóg:
Bo nie wyszedł żywo,
Za kapliczny próg.

Tak o tej świątnicy,
Zdawna chodzi słuch:
Do strasznej kaplicy,
Szło przyjaciół dwóch.

Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem,
Jako brata, brat.

Gdy przyszła na Jana
Kolej żegnać świat,
Miał syna Stefana,
Jeszcze pięciu lat.

Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.

„Przysięgli—rzekł—bracie,
„Moim synem rządź,
„I po ojca stracie,
„Ojcem jemu bądź.

„Grosz mój pozostały
„W twoim ręku masz:
„Jak dojdzie lat, mały,
„Wtedy jemu dasz.“

Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał;
Pragnął wziąć u Prota
Ojcowizny dział.

Cchiwości szatana
Prot w swęj duszy czcił,
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.

„Gdy ci nędza cięży,
„To ojcowski szal:
„Na biednych, na księży
„Dał wszystko, co miał.

„Niech ojca jałmużny
„Wróci niebios Pan:
„On tobie jest dłużny,
„Mnie nic nie dał Jan.“

Rzekł Stefan ze łzami:
„Gdyś sumienie struś,
„Nie puść mnie z torbami —
„Daj choć skarbu pół.“

Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą—
Lecz Prot nie chciał dać.

„Chcesz w podłym mieć zysku,
„Rzekł Stefan,—coś wziął?
„Chodź, przysięż w zamczysku,
„Gdzieś ojcu się kłął.“

Poszli. I gromada
Poszła z nimi wraz;
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz.

Lecz, gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża,
Odpycha go wspak.

Padł na wstecz i krzyczy:
—„Ach! ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
„Kto się w fałszu klnie.

„Jam z biednym sierotą,
„Tak nieludzki był;
„Weźcie sobie złoto,
„Com w komorze skrył.“

A wtém go oniemi,
Oczy poszły w ślup;
Chcą podnieść go z ziemi —
Ale już był trup.

Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach;
Odtąd w tej budowie,
Jakiś mieszka strach.

Bo słyhać tam w nocy,
Jak łańcuchów brzęk,
Coś zwywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

Ks. J. Hołowiński.

8. Kopija husarska.

— Dziadku! czemu to mówią, że wojskiem są hułani,
kiedy w historyi nie słyhać nic o hułanach?

— Spytaj się ojca. Powie ci.

— Jużem się pytał. Mówił, że nie wie.

— To zajrzyj do książki.

— Jużem zaglądał. I tam nic niema.

— A cóż tam jest w waszych książkach, kiedy w nich
niema o hułanach i husarzach!

Dziadek był ciemny. Dawno nie zaglądał do książek i nie
od czytania téż ociemniał. Dość mu było przez lat siedm-
dziesiąt patrzeć na ten świat. W siedmdziesiątym i którymś
roku zasłonił mu Pan Bóg oczy. Od tej chwili zaprzestał

dziadek rachować sobie lata. Czas nie tylko stanął mu w biegu, lecz owszem cofnął się wstecz. Myśli dziadka zwróciły się w pierwsze lata i krążyły bez przerwy około dawnych wspomnień. Ciemny dla obecności, widział dziadek jak na dłoni czasy swojej młodości, czasy i zwyczaje przedkonfederackie i przedstanisławowskie.

— A wiesz ty chłopcze, co to kopija?

Chłopiec postrzegł, że dziadek zaczyna opowiadać, co on tak lubił słuchać; przysiadł się więc u nóg staruszka i ciekawie patrzył mu w oczy, którym teraz właśnie słońce Sasów świeciło.

— Co to kopija?! Héj, panie podkomorzy parnawski! cóżbyś powiedział, słysząc to zapytanie! Mów im o kopii, a nie zrozumieją, póki nie powiesz: lanca. Kiedy słyszą, że niegdyś nad każdym łóżem szlacheckim wisiała szabla, to myślą sobie: dawne to czasy! A kiedy im prawisz, że jeszcze pierwój niż szabli, dawano tam miejsce kopii, to myślą sobie: zapomina się dziadek! A przecież za naszych czasów dobrze o tém wiadano. I nie było nikogo od Pałuk aż po Parnawę, coby był nie znał kopii pana podkomorzego parnawskiego Kampenhauzena. Wszystkie kopije po nim były to już tylko lance lub piki; on ostatni miał prawdziwą kopiję husarską. Jak dziś pamiętam ją u niego w Rybniszkach, gdzie się wychował. Blisko trzy sążnie długa, gruba u tulei, jak ramię, a lekka, jak palma w kwietnią niedzielę. Drzewce miała z prostej młodej osiki, wydrażone u spodu, żółto pokostowane. Tuleja, to jest żelazna oprawa u spodu, aż po rękojeść mierzyła przynajmniej półtora łokcia. Grot był o trzecią część krótszy, czworograniasty; tylko partacze używali grotów trójkątnych, albo okrągłych. Dla wzmocnienia wiotkiej kibici kopii, biegły od grotu na dobre półtora łokcia dwa mocne pręty, czyli pióra żelazne. Po oprawie tych piór można było zmiarkować mistrza. W nich to cała dzielność kopii się ukrywała. Przy dobrej osadzie były pióra na pół cala szerokie, dwunastą część cala grube i wpół drzewca wpuszczone. Ćwieki, którymi je przymocowano, miały wprzód być uma-

czane w occie. Dziurki od ćwieków nie powinny być wiercone naprzeciw siebie. Główki zaś od ćwieków miały być gładkie, aby się ręka na nich nie zadzierała. To też gładka i równa, i polerowana była kopija pana podkomorzego, jakby cacko panieńskie. I strojna w kitajkowy proporzec, który zwisał poniżej grotu, koloru żółtego i zielonego, na ćwierć łokcia szeroki, a do pół kopii długi. I gdy bywało, uwinięta we wstęgę proporca, tuli się kopija pana podkomorzego spokojnie w kącie przy łóżku pańskim, myślałbyś, że to bawidło niewinne, gdyby nie czerwona plama na grocie, krew szwecka zpod Kliszowa.

Kochał się też pan podkomorzy w swojej i we wszystkich kopijach. I napisał nawet na ich pochwałę uczoną książkę, którą potem księża Jezuici wydrukowali w Kaliszu. Kiedy już w podeszłych latach wziął mnie chłopcem do siebie, musiałem nieraz czytywać przed nim z tej książki, jako wielce moralnej i użytecznej młodemu wiekowi. Owszem, dedykował ją z tej przyczyny bardzo pobożnemu kapłanowi, księdzu biskupowi plockiemu, Dębowskiemu, swemu koligatowi, z którym najwięcej dlatego pochlebiał mu powinowactwo, iż ks. biskup był herbu Jelita, czyli trzy kopije. Tak, jeszcze dzieckiem będąc, nauczyłem się cenić i szanować kopiję husarską.

Toć to najstarożytniejsza broń świata, głośna w Piśmie Św. i w pismach mędrców pogańskich. Kopij krótkich zażywali niektórzy królowie w oznakę najwyższej władzy. Później, gdy berła wymyślono, służyła ona kapłanom pogańskim za także godło. Po rozszerzeniu się Ewangelii i nastaniu rycerstwa chrześcijańskiego, przeszła kopija w ręce rycerzy, pocztujących ją za najzaciejszą broń swoją. Mieczem szermowano w chwili spoczynku, gwoli zabawki; gdy szło na ostre, dobywano królowej broni. Miecz pozostawiano giermkom i pacholikom, a rycerz kruszył kopiję. W turniejach, kto zwykłym trybem rycerskim okupił sobie u heroldów wolność walczenia kopiją, ten mógł potem bezpłatnie walczyć dowolnie mieczem; kto zaś tylko popis mieczem okupił, ten musiał płacić osobno za walkę kopiją. Stąd urosło przysłowie turniejowe:

«Kopija wyzwala miecz, miecz nie wyzwala kopii.» W onych to czasach rycerskich walczyło nią wielu bohaterów cnotliwych, którzy po śmierci weszli jako święci w kalendarz. Czy widziałeś chłopcze, aby jakiego świętego malowano kiedy ze strzelbą lub bandoletem? A z kopiją jest ich kilku, jak: św. Jerzy, św. Marcin, św. Maurycy. Dlatego też i Dawid ofiarował Panu Bogu kopiję Golijata, a procy, przez którą u niego zwycięstwo otrzymał, nie ofiarował.

Z krzyżem dostała się kopija do Polski. Dobrze jej było u nas, jak nigdzie w świecie. Kopija znalazła u nas, czego jej potrzeba; my zaś w kopii, co dla nas najpotrzebniejsze. Boć kopii najmiliej w szerokim polu, w roztworzystych obszarach, a gdzieś pola więcej jak w Polsce! Naszemu niebu godzi się oręż, którego nie uszkodzi wilgoć, nie zamoczą deszcze, nie strawi rdza, a w tym względzie nie masz jak kopija. To jedyna zdrowa, jedyna zdrowa broń! Z muszkietu, gdy wystrzelisz, to go potem rzucić chyba w błoto. Lepiej mieć dobrą dębową palkę, niż flintę w ręku. Kopija przeciwnie, zawsze nabita. U niej proch nie zwilgotnieje, zapala się nie zatka, skałka się nie rozpali, panewka się nie złamie. Ona zawsze sucha i chędogą, bez daszków, płaszczyków i namiotków niezbędnych dla flinty. Nie boi się ani słońca, ani deszczu, ani rosy, ani kurzawy. Nie potrzeba jej plastru, szpiku, oliwy; obejdziesz się bez rożków i flejtuchów; nie wiesz, co szrubsztak i drewnienko do polerowania. A trzykroć dalej sięgnie, niż szabla.

Dlategoż przylgnął Polak do kopii, a kopija do Polaka. Była to przyjaźń i miłość, jak za dni Dawida i Jonatana. Nie pozwolono używać jej nikomu, jak tylko szlachcicowi. Szlachcic zaś, czy to w domu, czy w polu, nie miał nic kosztowniejszego nad kopiję. W czasie pokoju, gdy bywało dom stawia, bierze naprzód kopiję do ręki i wymierza nią wysokość a szerokość komnat, aby jej nie było ciasno w nowym budynku. Gdy na wojnę ruszono, rozsyłał hetman nowe kopije rycerstwu. Gdzie po leżach zimowych stanąć miało wojsko obozem, tam wedle starodawnego zwyczaju zatykano kopiję w polu

albo na łące. W batalii kopija, ten najpewniejszy klucz do szczęścia, otwierała niechybnie wrota zwycięstwa. Ona to impetem swoim rozbijała chmury nieprzyjacielskie pod Kircholmem, Kluszyńcem, Chocimem i Cudnowem. Drzewce kopii stało się drzewem, na którym sława polska najpiękniejszy męstwa swojego wydała owoc.. Wojownik, któremu przed innymi powierzono ją do piastowania, zwał się husarz. Był to ostatni rycerz wedle Pisma Św.

Inne wszelako pismo zasmakowało ludziom. Ustało rycerstwo chrześcijańskie w świecie. Przedrzeźniając się kopii, wymyślili ludzie rożenek, który zatknęto na muszkiet i nazwano bagnetem. Podobało się to Francuzom, którzy wtedy pod swoim *grand roi*, królem Ludwikiem XIV zaczęli zdrobniaćemu przewodzić światu. Ludwikowi zalecił go monsieur Louvois, a wiadomo, że ani Ludwik XIV, ani Louvois nie byli wielkimi bohaterami. Ale że wiele wojen toczyli, więc zagęściło się w świecie to lichy i odjęło ludziom serce od kopii. Już jej zresztą mało gdzie widać było po świecie za granicą. Tylko u nas jeszcze świeciła się garstka rycerstwa i tkwiła kopija w ręku. Aż i u nas zaczęto przebąkiwać o nową modzie, o nowej broni, a gdy w 1689 r. wyprawiało się rycerstwo na Bukowinę przeciwko Turkom, pan hetman Jabłonowski, pierwszy hetman, który się dał konterfektować w peruce, nie rozdał nowych kopij husarzom, ale kazał wziąć im muszkiety z bagnetami.

Zmiarkowała husaryja, co się święci. Otóż gdy wkrótce umarł Jan III i nadeszła elekcja, dowiadywano się z cicha o kandydatów, jaką który broń lubi. Książę de Conti, Francuz, pasjonował się do bagneta; elektor saski August miał gorący afekt do kopii. Odprawiono tedy z kwitkiem Francuza, a okrzyknięto hurmem Augusta.

Jakoż, był to zaprawdę wielki król, jeden z owych dawnych monarchów rycerskiej duszy a wspaniałego serca. Bagnety zginał jak szpilki i obwijał sobie około ręki. Sam gonił do pierścienia, umiał szermować z szablą w lewą, a kopiją w prawą rękę, lubił i wyprawiał turnieje. Nie zawiedli się

téz na nim nasi husarze. Wrócił im kopije i starał się wszelką siłą wskrzesić ich dawną sławę. Dlatego o nic tak nie dbał, jak o ludzi rycerskich, znających się na robieniu tą bronią. Pomiedzy takimi wpadł mu osobliwie w oko mój w następnych latach dobrodziej, podówczas jeszcze młody pan podkomorzy parnawski. Był to rodowity szlachcic inflancki, spokrewniony przez żonę z wielu staropolskimi domami. Nie podobna téż było wymyśleć coś piękniejszego, jak pan podkomorzy w pełnej zbroi husarskiej. Widywałem go w niej co roku na Wielkanoc, gdy starzec z pacholkiem jechał konno do kościoła w Rybniszkach. Na głowie szyszak błyszczący, pierś i cała postać w żelazie, u barków dwa w górę wzniesione skrzydła sępie lub orle. Z pleców spływała skóra lamparcia, karmazynowym adamaszkiem podbita, złotymi pod szyją szponami spięta. Po jednej stronie miał krzywą szablę u pasa i długi prosty miecz koncerz, przymocowany u siodła; po prawej obuch do rozbijania zbroi nieprzyjacielskiej, i—królowę całego rynsztunku kopiję w tulei. Nuż, gdy w stroju takim, marsem młodych lat rozogniony, złożył się kopiją, natarł na czele swojego hufcu!

A poznawszy go zresztą, jako rezolutnego i biegłego w sztuce wojennej, porучzył mu król August uformowanie dwóch nowych pułków husarskich. Jeden miał być całkiem podług starzej mody, drugi cokolwiek lżejszy. Zaczynając od rzeczy mniej kosztownej i trudnej, ustanowiono naprzód pułk pośledniejszy, ubrany w kolety sukienne, bez żelaza i wedle nowej mody *permixtim* z szlachty i plebejuszów złożony. Nazywano ich husarzami, albo jeszcze zwyczajniej — laneyjerami.

Gdy miało przychodzić do wystawienia pułku drugiego, usłyszał August II, że ów francuski król Ludwik, wróg kopii, chciał na własne oczy obaczyć husarza polskiego, aby się przekonać, czy to w rzeczy samej tak straszny żołnierz. Lubo więc król August nie był w wielkiej przyjaźni z monarchą francuskim, przecież z miłości dla kopii i jej chwały umyślił mu dogodzić. I wysłał tedy pana podkomorzego z całym pocztem husarskim na dwór króla Ludwika, mówiąc:

«Nie dość, że w domu wskrzesimy husaryją, potrzeba jeszcze rozślawić ją znowu w świecie.»

Jakoż czuł pan podkomorzy, co za odpowiedzialność wziął na siebie i był pewnym, że król francuski weźmie go z sobą w pole, na wojnę, to téż uczynił ślub w duszy, albo zginąć w oczach królach Ludwika, albo nawrócić Francuzów na wiarę.... kopii.

A król francuski cóż?

Oto kazał panu podkomorzemu na dziedzińcu w Saint-Germain, przed wypudrowanymi markizami ze swoim pocztem husarskim kadryla tańczyć na koniu. Jakby husarz i koń husarski byli na to stworzeni, aby nosić kapryjole i kurbety wycinać! Pan podkomorzy wrócił z sercem zakrwawionem. Nie podobna mu było pozbyć się myśli, że gdyby kto inny, ktoś zręczniejszy, możeby się sprawa lepiej była powiodła. Ogarnęła go więc melancholija, w której ciągle powtarzał, że nie jest wart nosić kopii. Nakoniec podziękował królowi za rotmistrzostwo husarskie i wstąpił do infanteryi koronnej, gdzie wkrótce na generał-majora wyszedł. Zawsze jeszcze rozprawiał pan podkomorzy z królem Augustem o usztyftowanie drugiego pułku husarzy, ale niebawem król August umarł, a następca jego myślał tylko o operze drezdeńskiej i nie przyszło już nigdy do wskrzeszenia husarstwa.

A pan podkomorzy, osiadłszy na starość w Rybniszkach, i pojednawszy się z dawną zbroją husarską, która w każde wielkie święto wychodziła ze starożytniej szafy kracianej, mawiał po każdym odczytaniu książki o kopijach: «Póki kopii a husarza stanie, przepowiedział mądry statysta, pan kasztelan lwowski Fredro, póty będzie Polak panem w polu. Skoro kopija zginie, zginie i polska cnota. Zginęła widać jedna, oto i drugi już na schyłku.»

Na wiadomość o śmierci pana podkomorzego zjechali się wszyscy pozostali husarze na solenne egzekwije. Było ich już zaledwie siedmdziesięciu. A ponieważ tylko przy takich pogrzebnych uroczystościach widywano ich jeszcze w liczbie znaczniejszej, przeto do różnych zarzutów przeciw nieużytecz-

ności husaryi przybyło jeszcze szyderstwo ludzkie. Wojownicy uczonymi wywodami zdyskredytowali kopiję rycerską, panowie zaprzestali służyć wojskowo, albo woleli na co innego niż na kosztowną zbroję husarską trwonić majątki, a gawiedź prosta, rada zawsze nowemu panu i nowej modzie, naśmiewała się ze starych husarzy, nazywając ich rycerzami pogrzebowymi. Przy każdym zresztą pogrzebie występowało coraz to mniej husarzy. Nakoniec na sejmie delegacyjnym w 1775 r. zupełnie skasowano husaryją.

Pozostały tylko owe lancyjery króla Augusta. Nie byli to właściwie starodawni husarze, gdyż najprzód nie nosili zbroi żelaznej, a nadto składali się bez różnicy ze szlachty i plebejuszów. Że jednak mieli kopiję, czyli jak teraz częściej mawiano, lancę, więc kto tylko kochał przeszłość krajową, ten w lancyjerach szanował ostatni szczątek husarstwa. I nazywano ich téż rozmaicie: lancyjery, husarze i kopijnicy. Z czasem, mając wzgląd na ich lekkość i ręczność, pochodzącą naturalnie z braku rynsztunku żelaznego, a niekoniecznie zgodną z przeznaczeniem stariej husaryi, przyrównano ich raczej do innego żołnierza w dawnym wojsku koronnym, to jest do również skasowanej jazdy tatarskiej, w której towarzyszył zwał się z tatarska ułan, tyle co kniaź. Stąd przyrosła naszym lancyjerom nazwa *hulan*, wzięta z tegoż samego słownika, z którego przyszło do nas wiele innych wyrazów sztuki wojskowej, jako: buława, buzdygan i t. d. A gdy za króla Stanisława Augusta przystąpiono do reorganizacji wojska koronnego, ci, z husarska uzbrojeni lancyjerowie, powszechnie teraz dla swego powinowactwa z husaryją szanowani, a od publiczności hulanami ochrzczeni, otrzymali nazwę kawaleryi narodowej.

Temu to, chłopcze, mówią, że wojskiem narodowym byli hulani, lubo nie słyhać o nich w historii. Husarza-to czczono w hulanie, a husarz wzbudzał cześć jako rycerz, jako pan kopii, królowej broni. Ona unobilitowała husarzy i hulanów, a wy nie wiecie wcale co to jest kopija!...

Chłopiec już nie słyszał tego zarzutu. Usnął wpół rozprawy u kolan dziadka. Ukołysany opowiadaniem, marzył słodko o husarzach i hulanach.

Karol Szajnocha.

C h l é b.

Kazimiérz panował, ze szczepu
[Piasta]

Ostatni potomek męski....

Gdy padła klęska na wioski, mia-
[sta]

Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia latem zwędzona parném
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem,
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przy-
[kładem]

Że Polak, co z łaski nieba

Chlebem się dzielił ze swym są-
[siadem]

Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków swemu
[ludowi]

Królewskie spichrze otworzył;

Lud błogosławił temu królowi,

Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,

On, widząc powszechną nędzę,

Gdzie nie mógł swoje dorzucić
[ziarno]

Tam swe posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Bałtyku
[myła]

Stopę oparłszy o Ślązko.

A tak powszechny był niedostatek
Wszędzie tak równe potrzeby,
Że nie do wszystkich mogły dojść
[chatek]
Pańskie pieniądze, ni chleby.

W onym to roku powszechną nę-
[dzy]

Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; — zdzierstwem mnogo
[pieniędzy]

I ziarna mnogo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego *)
[zbioru]

W kmieć siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z mia-
[sta]

Chlób niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w rękę stara nie-
[wiasta]

Z przydrożnej wybiegła chaty.

*) Zeszłorocznego.

I woła: „Ratuj! Jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz
[z klasztoru]
Chleba boceenek pod szatą.

Podzieli się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.“

„Babo! rzekł panek, pokój daj
[święty,
I nie zatrzymuj mnie w drodze;”
I znów litością niby przejęty
Dodał: „Zawiodłaś się srodze.

Nie chleb ja niosę, lecz kamień
[prosty;
U nas, bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle mej chatki.“

Na to niewiasta: „Człeku tyś
[skłamał!
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie
[złamał,
Boże! w kamienie Ty zamień!“

Ledwie corzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociął;
Ciężarem swoim ramię przylega
Na twardy kamień, bo stęzał.

Otruchłał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie;
Za wszystkie chleby, co głodnym
[skradł,
Odplacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym
[ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Adam Górczyński.

9. Klasztor Surlański.

Za panowania Jana Kazimierza żył w województwie witebskiem możny obywatel, mający syna jedynaka. Nazwisko jego Ciechanowiecki głośne było na Litwie. Lubo posiadał znaczne dobra, że znał wielkie obowiązki dla księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, wywdzięczając się, zupełnie na majątku podupadłemu jego następcy, księciu Michałowi, oddał mu tego syna na usługi, który, ze swego utrzymując się, ledwo że niecały dwór tego księcia składał. Ale jak tylko wdzięczność narodu i pamięć zasług ojcowskich wyniosły na tron polski księcia Michała Wiśniowieckiego, jedną z pierwszych czynności nowego króla było wywiązać się panu Ciechanowieckiemu za dobrowolne z nim podzielenie nędznego losu.—

Zrobił go więc krajczym litewskim i dał mu kilka królewskich, między temi starostwo grodowe orszańskie. Tak, w młodym wieku będąc, pierwsze dostojęstwa piastował. Wkrótce potem odumarł go ojciec, co go zmusiło opuścić stolicę, raz, aby ostatnie posługi oddać zwłokom rodzica; powtórę, aby objąć po nim szerokie dziedzictwa. W województwie zamieszkawszy, zaprzyjaźnił się z Łopacińskim, stolnikiem witebskim i oświadczył się o rękę jego córki. Już go był sobie zobowiązał poprzednio, odstępując mu za konsensem królewskim starostwo orszańskie; a zresztą, będąc odpowiednim panie zachością rodu i, do wysokiego urzędu łącząc najznaczniejszy majątek w całym powiecie, otrzymał obietnicę, poczem w przytomności ledwo nie całego województwa odbyły się okazałe zaręczyny. Ale cóż jest trwałego w pomyślnościach ludzkich! Wszelkie, zdaje się, posiadał rękojmię statecznego losu, a największe nieszczęście nad nim się gotowało.

Jego mamka stała przed grodem, w asystencyi już nie pamiętam jakiego obywatela, co u nieboszczyka jeszcze Ciechanowieckiego nabył wieś, w której mieszkała, i zeznaje, że pan krajczy jest jej synem, którego zamieniła, będąc mamką prawdziwego panicza; że ten w dzieciństwie u niej umarł; że sumienie takowy postępek ciągle jej wyrzucało; nakoniec, że kapłan, któremu się spowiadała, poradził jej zrobić to wyznanie, jako jedyny środek, aby powstać z ciężkiego grzechu. Zagrożony taką sromotą (bo już inni Ciechanowieccy, którym o majątek chodziło, brali się gorliwie do dzieła), pan krajczy broni się, jak może, chwytając się wszelkich środków ratunku, pozywa mamkę jako kalumnijatorkę, wedle prawa fołdrując na jej gardło. Pan Łopaciński, w którego jurydyceyi toczyła się sprawa, sam do żywego dotknięty, pomaga mu potajemnie, o ile było w jego możności. Nakoniec nieszczęśliwy człowiek pozorną mamkę, a w samej rzeczy matkę swoją, bądź przez namowę duchownych, których na nią nasadził, aby jej tłumaczyli, że wyznanie, burzące spokojność publiczną, nie może pochodzić z dobrego ducha, bądź wzruszywszy w jej sercu uczucie macierzyńskie przekładaniem, że syna pozbawia ma-

jątku, czci a nawet życia, gdyż on tego nieszczęścia nie przeżyje,—skłania, aby przed grodem oświadczyła, że pierwsze zeznanie zrobiła jedynie ze złości za to, iż domagając się jakichś znacznych nagród za staranie około jego niemowlęstwa, zbyt została ofuknieniem, jako natrętna, co jęj serce goryczą i zemstą napęliło. A z panem starostą orszańskim się umawia, że z porządku rzeczy, potwarzy podobnej dochodząc, będzie się domagał kary gardłowej, której on nie odmówi, zapatrując się na własne wyznanie zapozwanę; ale, że natychmiast jedzie do Warszawy wyrobić u króla list żelazny, którym w samej chwili egzekucyi obwinioną uwolni, a potem, zapewniwszy jęj byt wygodny, przeniesie w oddalone województwo.

Po takiej umowie ze starostą, a przyszłym swoim teściem, niemniej z matką, której, gdy całą rzecz wytłomaczył, ona się na wszystko zgodziła i do końca wytrwać w powtórnym wyznaniu przyrzekła, — jedzie spiesźnie do Warszawy i powraca z listem żelaznym. Tymczasem sprawa toczy się zwykłym porządkiem; gród wyrok śmierci feruje, a pan starosta, mając już sobie ów list od zięcia pokazany, potwierdza dekret w pewności, że syn stracenia matki nie dopuści. Ale pan krajczy, chcąc się zabezpieczyć, aby następnie sprawa się na jego szkołę nie odnowiła, listu nie użył i jego rodzona matka straconą została.

Pan starosta, co jeden o wszystkiem wiedział (bo inni sędziowie w dobrej wierze wyrokowali), gdy mu wice-regent doniósł o spełnieniu wyroku, padł bez duszy, jakby piorunem przeszyty. Pan krajczy w rok potem ożenił się ze starością, szczęśliwie prowadził z nią pożycie i miał sześciu synów, których w wielkiej pobożności wychował. Wszystko mu się powodziło, wszystko miał: i znaczny majątek, i wysokie urzędy, i szacunek publiczny. Każdy mógł mu szczęścia zazdrościć, bo nie wiedział, co się w jego sercu działo. Nakoniec po wielu lécich odumarła go żona, kiedy najmłodszy z jego synów już był dorosłym. Dopiero w pasowaniu się z samym sobą, spędziwszy rok żałoby, zawołał wszystkich sześciu synów, wyznał przed nimi dręczącą tajemnicę i oświadczył, że na

puszczy surlański chce klasztor wystawić i w nim życie na pokucie zakończyć. Na to synowie, rozmówiwszy się z sobą, odpowiedzieli:

— Ojcie, kiedy tak jest, żaden z nas nie ma prawa do majątku, coś go posiadał. Wystaw klasztor, a prawnym właścicielom oddaj twoje dostatki, któreś znacznie pomnożył; my zaś wszyscy opuścimy świat i z tobą razem będziemy Panu Bogu służyli.

I tak pan krajczy klasztor pustelniczy wystawił pod imieniem św. Erazma, swego patrona, karmelitów w nim osadził, a, zwoławszy Ciechanowieckich, już podupadłych, wedle Boga istotnych dziedziców jego włości, wypowiadał im swoją zbrodnię, przeprosił za krzywdę im uczynioną i cały majątek oddał, przekonawszy ich, że ten fundusz nawet, który poświęcił na chwałę boską, nie z ich majątku, ale z darów królewskich został zebrany. Potem z sześciu synami wstąpił do nowicyjatu, we dwa lata z nimi razem uczynił profesję i umarł bractwem w wieku bardzo podeszłym, a w bardzo wielkiej świętobliwości. Wszyscy synowie jego wyświęceni zostali na kapłanów i zakon miał z nich wielką pociechę, bo i wielce byli pobożni, i ozdobieli wysokim światłem, a nawet urzędy pierwsze w zgromadzeniu piastowali.

Henryk Rzewuski.

Piotr Pszonka Jasieńczyk.

Piotr, herbu Jasieńczyk, Pszonka
[zwan,

Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie;
Nie mają boskiej bojaźni,
Śmieją się z ludzkiej przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na bliskiej wsi pole,
Z nimi ludzi, koni, chartów ćma,

I stado sokole;
I polują, jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całej wsi,
Błagali biedacy:
— „Co robicie? Toż pot naszój
[krwi,
„Szczędźcie krwawej pracy!“
I czapkami się kłaniali:
„Niech się Ich Miłość oddali!“

Fukiem, śmiechem zbyto ich;
Dla biednych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech,
Pognali przez pola,
Wieśniacy odeszli z niczém,
Jeszcze niejedyn wziął biczem.

W tym czasie zjechał na sądy
[w gród,

Król Wielki Kazimierz,
Przed nim więc upadł i wołał lud:
„Wymierz prawo, wymierz
„Panom, co gorsi od Litwy!
„Jak Bóg, masz nasze modli-
[twy.“

Bacznie wysłuchał żałoby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się wpoprzek i wpodłuż
[pól,

Obejrzał swawolę,
Szkodę na palcach zrachował,
I tém słowem wyrokował:

„Za szkodę, to a to, każdy z was
„W chłopskie ręce złoży,
„Byście umieli na drugi raz
„Szanować dar Boży:
„Zboże, główny niebios datek,
„I cały kmiotka dostatek.

„A za biczowanie ludzi cnych
„Abyście wiek wiekiem
„Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
„A człowiek człowiekiem;
„Porazu każdy z tych kmieciów,
„Smagnie biczem grzbiet wa-
[szeciów.“

I stało się, że Piotr Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewie pan,
Choć butni panowie,

Zapłacić szkodę musieli,
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoją przygodę,
Zmienił się jak jędor, króla kłął,
Targał się za brodę:
„Poczekaj, wołał, stary psie!
„Długo ty popamiętasz mnie.

„Poznasz ty, co to za chłopski
[gnój,

„Biczować rycerza:
„Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
„Tak podstawię jeża,
„Że niech wszyscy chłopci babią,
„To go stamtąd niewywabia.“

I pokryjomu siedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny,
I wołał do nich: „Ogień i miecz
„Na Lackie krainy!

„Cała wam Polska leży, jak trup,
„Tylko ją oprawić;
„Tam lud, grosze, bydło, wszelki
[łup,

„Tylko się nie bawić;
„Ja wam wskażę takie szlaki,
„Że się zjawim jak cud jaki.“

Przystała Litwa; Litwie w to graj.
Hura do zachodu!

Wyją, jak żeby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I dalej wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki.

Przysmalać w płomieniach groty
[dzid,

A kielznać żmudziny!
Za chwilę ciągną jak chmura
[biéd

Do Lackiej krainy;

A Piotr poprzodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszciami,
Aż się wychyli na światło dnia,
Nad Wisły brzegami;
Tam się otrząśnie, wypocznie,
I radzi, co dalej pocznie.

„Stójcie! rzekł Pszonka; ja pójdę
[wprzód:

„Z Wisłą żartu niéma;
„Ja pójdę wprzód i wytknę wam
[bród.“

Co rzekł, to dotrzyma.
Poszedł, wynalazł bród rzeki,
I na znak postawił tyki.

Sprawiwszy wszystko, już wracać
[miał,

Gdy ujrzał, że blisko
Święty Stanisław kamienny stał;
Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmie-
[chu,

Groząc palcem: „No! sza, mni-
[chul!“

Na to z kamiennych świętego warg
Wyszły ciche słowa:

— „Wielki Boże! złam ten hardy
[kark!

„Niechaj zdrajcy głowa
„Sobą tę czystą krew spleci,
„Którą w myślach toczy z bra-
[ci!“

I w téjże chwili ślizga się lódz,
Wodą jak po lodzie;
Dwóch w niej siedziało: anielska
[młódz,

W anielskiej urodzie,

W anielskim opromienieniu,
Ale w rybackim odzieniu.

Jak ślad od gwiazdy, taki pło-
[mień tłał
Za lekkim czółenkiem,
Z brzega do brzega podniósł się
[wał,

I toczył się z dźwiękiem.
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły.

I szły jak ptastwa wodnego rzęd.
A gdy przepłynęli,
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli.
Żerdzie znów się wprost pod-
[niosły,
I stanęły jakby wrosły.

Zaledwie ziemię ostonił zmrok,
Horda Litwy rada,
Rzuca gęstwinę pustyni, i w skok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła,
Gdzie znaki brodu spostrzegła.

Ale jak tylko rzucili ład,
Straszny krzyk się budzi,
Niehamowany, bezdenny prąd
Rwie konie i ludzi,
Przewala wiru falami,
I rzuca dalej trupami.

Zginęli wszyscy, co pierwsi szli,
Ci, co pozostali,
Iść już nie chcieli, a wściekle żli,
„To zdrada! wołali;
„Gdzie jest Lach, co nas pro-
[wadził?
„Pod miecz go! on Litwę zdra-
[dził!“

Próżno się Pszonka wymówić chce,
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumy
[tnie,
Już głowa odpadła;
Już na żerdzi głowa ścięta,
Na pamięć zdrady zatknęta.

Litwa, dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje,
A pana Pszonki wpół nagi trup
Nad Wisłą bieleje,
I głowa kiwa się ścięta,
Od ptaków nawet nietknięta.
Seweryn Goszczyński.

10. G ł o n k a.

(Ostatni wódz opryszków w Karpatach z 1817 r.)

Głonka, śmiały i odważny opryszek, już dobrze się zaprawił na granicy tureckiej w swoim rzemiośle, nim odwiedził Karpaty i rozsiadł się w nich szeroko. Siły olbrzymiej, łamał szyny żelazne i podkowy, rwał powrozy, a do tej siły łączył odwagę zuchwałą.

Na pierwsze wieści o nim obwarowano lepiej dwory wiosek w Karpatach. Hajducy zbrojni strzegli ich noc i dzień; strach przecież przerywał pokój snu miłego nie jednemu ze szlachty, choć spał w obronnym domu i pod strażą hajduków.

W jednej z większych wiosek w Karpatach, bliżej Bukowiny, zamieszkiwał Sieciech. Już on w kilku wyprawach wytępił niemało opryszków. Gdy zasłyszał o Głonce, rozkazuje przywołać w tej wsi zamieszkałego rodzzonego brata Głonki, zapowiadając mu, że jeżeli nie odkryje, gdzie się brat opryszek ukrywa, mścić się na nim i na całej jego nie omieszka rodzinie.

Wystraszony Hucul donosi wkrótce, że Głonka w pobliskim lesie na górze przebywa. Sieciech rad tej wiadomości, przemyślał nad sposobami pochycenia lub ubicia opryszka. Próżno dumiał, bo trzeba było zrobić nagłą i cichą wyprawę i napaść niespodzianie. Ale Głonka nigdy nie zaspał; miał oko sokoła a słuch zajęczy, chytrą lisa a siłę niedźwiedzia.

Wieczór się zbliża, gdy staje przed panem dwóch młodych domowych hajduków z oświadczeniem, że Głonkę zabiją lub żywcem dostawią.

Sieciech przyrzeka im dobrą nagrodę i wskazuje miejsce, gdzie ukryty przebywa. Z wieczornym mrokiem puścili się młodzi łowcy na niebezpieczne polowanie, wystrzone dobrze toporki za pasem i loftkami nabijane sztucce nie były dostatecznymi, bo do nich trzeba śmiałego serca i mocnej, a pewnej ręki.

Wpółśród gęstego lasu, w tajnej uboczny góry słabo tłało ognisko Głonki. Sztuciec dwururny gwintowany, dwie pary pistoletów, topór i nóż składały jego uzbrojenie; szeroką bundą okrywał ramiona, a z szerokimi skrzydłami kapelusz ze sznurkiem dukatów lśniących przyciemniał oblicze duże, groźne z wydatnymi rysami.

Choć szli pod wiatr ostrożnie, zdala ich poczuło ucho Głonki. Dwa razy kładł się na ziemi i po cichym odgłosie niejednakowym, rozpoznał zbliżanie się niejednego człowieka. Ustąpił w cień kilka kroków za ognisko i wymierzył ku tej stronie strzelbę, gdzie już wyraźnie słyszał stąpających naprzód.

Dał hasło znajome swoim, lecz gdy nie dostał odpowiedzi, odwiódł dwa kurki, odrzucił w tył bundę, aby mu nie zawadzała, jeżeli przyjdzie użyć pistoletów, topora lub noża.

I zaraz przed ogniskiem ukazali się dwaj młodzi hajducy, w spokojnej postawie, ze sztucami na ramieniu i toporkami za pasem.

— Chwalim Pana!

— Na wieki! odrzekł Głonka i broń opuścił, ujrawszy dwóch jeno młodych, wysmukłych swego rodzaju chłopców.

Pociągnął wzrokiem kilka razy po nich i zaraz ocenił ich siłę, a widać, że ufał i swojej, bo pierwszy zbliżył się do nich.

W krótkich słowach opowiedzieli mu, że uciekli z dworu Sieciecha i przybyli pod jego dowództwo. Z uśmiechem radości powitał nowych towarzyszy, podał dłoń żyłastą i szor-

stką, a przyrzuciwszy kilka gałęzi suszu, przy pierwszym poznaniu uczęstował wódką.

W przyjacielskiej rozmowie uwiadomił hajduków, że sam tylko tu bawi, bo swoich chłopców wysłał na różne manowce. Rozozochocony sporą miarą wódki, zawołał głośno:

— Nu! moje chłopcy! postawcie strzelby na bok, musimy się spróbować; mam zwyczaj taki, że doświadczam każdego, abym wiedział, co może na każdy przypadek.

Iwan starszy stanął, wyprostował się i czekał na Głonkę. Ten go przez wpół pochwycił, ścisnął tak mocno, że młodemu hajdukowi oczy wyszły na wierzch, a ręce opuścił; podniósł go przeto w górę i rzucił na murawę daleko, a Iwan rozbity zaledwie się zdołał podnieść.

Pyłyp młodszy, niższy ale więcej krępy, plunął w obie garście, pierwszy przyskoczył do Głonki, wpoły uchwycił i uniósł w górę nieco. Opryszek, nie mając na czém nóg oprzeć, utracił wiele siły swojej i długo nie mógł przełamać Pyłypa, aż gdy w szamotaniu dostał jedną nogą grubego pnia po ściętym buku, zatrzęsł Pyłypem i niedługo na ziemię go obalił.

Uradowany z tego zwycięstwa, częstował na nowo przybyłych wódką ze sporéj flaszy i pieczoną na węglach kukurydzą.

Gdy się nieco z z mordowania wysapał i z trudu odpoczął, pewniejszy i mniej dbały na hajduków, poznaawszy ich siłę, dobył z dziobeńki fasolę (z toporzyska biały groch), zdjął kapelusz i począł, rzucając na niego ziarna, wróżyć zwyczajem tureckim. Po kilku chwilach rzekł niedbale:

— Dziś z nas jeden zginie!

Zadrżeli hajdacy, spojrzeli po sobie i już chcieli się rzucić na kolana, wyznając wszystko w przekonaniu, że wie o ich zamiarach, kiedy znużony opryszek zaczął drzemać.

Gdyby nie to, przed bystrém okiem Głonki nie uszłoby bojaźliwe ich poruszenie, ni oblicza zbladłe z przestachu.

Głonka pił za dużo, już dwie nocy czuwał, z mordował się téż nieco, łamiąc się z młodymi hajdukami; powstał przeto i, o kilka kroków odsunięty od ogniska, usiadł pod bukiem,

a kazawszy przykładac suszu, aby nie zgasło, trzymając w ręku strzelbę, nasunął kapelusz na oczy, zwiesił głowę i usnął.

Uderzyła więc jego godzina. Kruk w przelocie zakrakał, jakby poczuł świeże ścierwo.

Hajdacy zcicha powstali.

Chrapał pod drzewem opryszek z nachyloną głową, ręka ociężała nie tak rychło broń pochwyci, toporkami więc uderzyć i zabić.

Ale w cieniu dobyte toporki znowu zatknęli za pasy, bo poznali jego siłę, ręka niezawsze pewna, pierwsze uderzenie powinno go zabić, inaczej sami zginąć mogą. Stoją za smagłym świerkiem; nagle razem podnoszą strzelby, krótkie lufy mierzą prosto w zbrojne piersi opryszka.

Dwa strzały odbiło echo bliskiej góry i nie chybiły: pięć loftek ugodziło dobrze w piersi. Głonka, zbudzony hukiem, uczuł razem postrzał; zaledwie przetarł oczy i odrzucił kapelusz jedném poruszeniem ręki, ujrzał dym jeszcze w małym obłoku zawieszony przy świerku, za którym wystraszeni, nieporuszeni stali hajdacy. Porywa się na nogi, staje, mierzy w ten cel, a kula utkwiała w pniu drzewa; ale krew z ran pięciu tryskała obficie, zamgliła mu wzrok, z osłabionych rąk wypuszcza sztuciec, przykłęka na jedno kolano, pochyla głowę niżej, jakby wydając ją na ciosy zabójców.

Dopiero gdy w tak ukorzonej postawie ujrzeli hajdacy Głonkę, wyskakują jelenim skokiem zza drzewa, w ręku błyszczą ostre toporki. Opryszek wsparł się na lewym ręku, prawą unosił w górę, w pięść ścisnął i zasłonił głowę, a podnosząc ociężałe oczy, cichszym ale wyraźnym głosem zawołał:

— Przeklinam was, przeklinam! Żeby was wrony i kruki poszarpały, a ciało pogrzebu nie miało; przeklinam was, poganie! zginiecie obaj marnie, krew wasza będzie płynęła jak moja, a nikt wam oczu nie zamknie! przeklinam!

Gdy Pyłyp, nie chcąc słuchać okropnego przekleństwa, uderza go a za nim Iwan, — zabelkotał niewyraźnymi słowy i padł bez życia.

Wtedy co rychlój hajducy, zabrawszy Głonki broń i kape-lusz, porwali go za nogi, a ciągnąc z pośpiechem po lesie, zsunęli się górą z trupem.

Księżyc widno przyświecał, gdy łowcy wrócili do domu Sieciecha; otrzymali przyrzeczoną nagrodę, oddając za nią zwłoki skrwawionego Głonki.

Tak zginął ostatni wódz opryszków w Karpatach.

K. Wł. Wójcicki.

11. P a w l i k.

Chociaż chorągiew była dobrze pokryta, bo więcej pięćdziesiąt towarzystwa, a ledwo nie dwa razy tyle szeregowych, przecież przywołuje mnie JW. Giedroić, strażnik litewski, od śmierci JW. hetmana mój rotmistrz i mówi mi te słowa:

— Panie Ambroży, nie można wiedzieć, co będzie; *si vis pacem, para bellum*: jabym rad moję chorągiew powiększyć, i na to mam konsens hetmana. Ruszaj więc waść na Ukrainę i kilkadziesiąt koni stamtąd przyprowadź.

— Choć dziś, JW. panie, człowiek na tém towarze zęby już zjadł.

Odliczył mi JW. strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy, koszulę nim opasałem; wzięwszy zaś dwóch z towarzystwa i tyluż luzaków, których znałem jak mój sygnet herbowy, co go na małym palcu noszę, że byli dziarskie chłopcy, nie czekając nazajutrz, puściłem się w podróż, zdawszy moję chorągiew na pana chorążego Mikołaja Staniewicza, i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr, dawniej do ordynacyi ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z panem Czajkowskim, łowczym kijowskim, a gubernatorem hrabstwa cudnowskiego. To był zacny i dobrze myślący obywatel; więcej z przyjaźni, niż z potrzeby księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedzic-

ną i nieco grosza po ludziach. Pan łowczy, nietylko że mi ofiarował swoją pomoc do kupna koni, ale wszystkich kozaków dworskich oddał na moje zawołanie, oraz pozwolił mi w zamku założyć kwaterę i tam zbierać konie, póki z nimi nie wyruszę na Litwę. Jakoż to tu, to tam po sąsiadach w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni całą gębą. Wtedy-to dostał mi się ten mój siwosz, coście go wszyscy znali i co mi pięć lat wiernie służył, a który, kiedy padł pod Opatowem, ledwie nie płakał, jak po synu rodzonym. I czekam sobie zdrów w Cudnowie na kiermasz berdyczowski, aby i resztę dokupić, aż tu pan Puławski, starosta warecki podnosi Konfederacyją w Barze i zaczynają biegać po kraju uniwersały, powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia. A nieprzyjaciele szastają się po okolicy jak szczury po szpichlerzu tak, że pan łowczy w obawie, aby mi chudoby nie zabrali, radzi wyprowadzić ludzi i konie w puszcę cudnowską.

Ja mu na to:

— Dobra i łaskawa rada w. p. dobrodzieja, ale na sercu mi cięży rozkaz marszałka Konfederacyi; darmo, trzeba iść, gdzie każą.

A on mnie:

— Niech pan porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie, a ja mu, co będę mógł, szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć marszałkowi, niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćbyś się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę,—a on, na niój nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do Szyjeckiej-Budy, gdzie mi nazначył kwaterę. Naprzód tam moje konie wyprowadził z dworskimi kozakami, a nazajutrz sami wyruszyliśmy konno: nas dwóch, syn pana łowczego, młody i piękny kawaler i kilku dworskich. Opo-wiadał mi pan łowczy, że w puszczy cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, który jest postrachem szczególnie żydów, gdyż niejedno miasteczko złupił. Jakoż, przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów,

Gontar, jego namiestnik z dwoma hultajami pokazali się na targu cudnowskim furą półdrabków, niby zwyczajne pobe-reżniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gon-tara i niezawodnieby wisiał, bo już miał stryczek na szyi, jeno że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą puścić, obdarłszy do koszuli, poznał go i zaraz pobiegł dać znać dworowi.

— Jakem się o tém dowiedział—dodał pan łowczy—ru-szam czempredzėj na targ z kozakami: udało mi się złapać dwóch hultajów, ale Gontar, jak w wodę wpadł. Całe miaste-czko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go zna-leźć. Mając przecie podkomendnych, kazałem hultajów w dyby zabić; cały dzień wały mi kopią około zamku, a w furtydze nocują.

Jam okazał podziwienie, że ich do grodu nie odsyła. Ale pan łowczy na to:

— My nie w Litwie, u nas hajdamaczyna ciągła. Gdy-bym ich do grodu odesłał, krótka byłaby sprawa: tamby ich powiesili, nimby słońce zaszło, a dopiero mnie byłaby bięda z Pawlikiem; jednéj nocy nie przespałbym spokojny. Z na-szymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani nadto źle być nie można. Wiedzą oni, że ich dwóch w moim ręku, z tego mi zysk, bo jakby szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich wbić na pal; radzi nie radzi muszą być spokojni.

— A to piękną mieć będę kwaterę w lesie! — odpowie-działem. Z deszczu pod rynnę: ja kryję konie przed nieprzy-jacielem, a złodziej mi je zabierze.

— Pan porucznik nie znasz ich obyczajów: w Szyjeckiej-Budzie będzie bezpiecniej niż w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę, nigdy szkody nie robi blisko swego gniazda. Mamy tam hutę i karcznię, przy której co niedziela pełno hajdamaków. Piją z fabrykantami, nawet dzieci ich do chrztu trzymają; święta między nimi komitywa, ani hajdamak fabry-kanta, ani fabrykant hajdamaka nie zdradzi. W kasie bywa po kilka tysięcy złotych, a daj Boże, żeby ze strony kasyjera i rachmistrza nie było więcej szkody, niż od hajdamaków.

Bywa często Pawlik u naszego leśniczego, ja go téż tam razu jednego spotkałem i rozmawiałem z nim, udając, że nie wiem, co on za jeden, lubo leśniczy mi szepnął, kto on taki. Nie masz co mówić, sprytny chłop a barczysty, że nie życzyłbym trzem go spotykać, bo nie daliby mu pewno rady. Pan poru-cznik nieraz go może widzieć będziesz.

Tak rozmawiając, szliśmy dalej w las ścieżkami, po któ-rych nie przeszłaby najmniejsza fura. Chociaż konno, musie-liśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby copredzėj do Szyje-ckiej-Budy się dostać. Wtém słyszeć się dały gwizdania. To już nic dobrego nie zwiastowało; aż tu zaraz dwóch hultajów, wyszedłszy z gęstwiny, zbliża się do nas i krzyczy:

— Stój!

Każdy z nich trzymał rusznicę w ręku. Pan łowczy, koło mnie będący, dobył pistoletu z olstry; ale ja na niego:

— Schowaj mi zaraz waćpan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią! żeby, jak wystrzelisz, każde drzewo za to nie dało ognia. Albo nie widać z kim sprawa?

A jeden z nich, którego poznał pan łowczy, że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie rzekł:

— Widno, że pan bywalec; dalibyście sobie duchu, gdy-by panicz był wystrzelił.

Wtém gwizdnął przeraźliwie i więcej może stu rozbójni-ków wysypało się z prawej i lewej strony drogi. Pewnie je-dna noga z naszych nie uszłaby, gdybym łowczycowi był do-puścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana łowczego.

— A co, panie, czy mam pana zabić w dyby, jak pan moich ludzi?

— Mój kochany—odpowiedział łowczy—ty wiesz, że Cu-dnów nie mój i że ja pańskiego dobra pilnować muszę. A kie-dy który hultaj na rynku się pokaże i o nim mnie dadzą wie-dzieć, jeszcze przy ludziach, coby to powiedzieli, gdybym go nie ścigał? Ty nie do mnie miéj żal, ale do mojego pana, co wyraźnie zalecił, abym hajdamaczną wypłeniał. Rozpraw się z nim o to w Warszawie lub gdzie go znajdziesz, a mnie

daj czysty pokój, a nawet mi podziękuj, że cię w lesie nie gabam. Niedawno pan regimentarz rekwirował, bym z całego poddaństwa obławę na was w lesie zrobił, a ja to tém, to owém go zbywam, abyście pokój mieli. Ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym; ziemię jadłeś przysięgając, że w lesie nas zaczepiać nie będziesz; my za to na was przez szpary pa-trzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem, żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę, z ciebie zupełne ladaco.

— Albom nie szanował wielmożnego pana i jego ekono-mii? Onegdaj jeszcze spotkałem pisarza, jadącego z Budy do Cudnowa i mówiłem z nim po bożemu, niech sam powie. Jeszcze go prosiłem, aby mi skałek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc złotych było. A wielmożny pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni szkodę jaką ro-bili, czy nie chcieli bazarne go opłacić? Cóż to, czy już nam nie wolno na targu półdrabek sprzedawać? Teraz moje na-wierzchu: oddam za swoje.

— I cóż na tém zyskasz, jak mmie ukrzywdzisz? Niech-no któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom cudnowski o tém się dowie, na pal każe wbić obydwóch two-ich podkomendnych, a potem jak z kozaków i wszystkich wło-ścian cudnowskich wyprawi obławę do puszczy, nie wiem, czy na tém zarobicie. Przyznaj, że wam nieźle się dzieje w Ha-łacie; lepiej nas puść z Bogiem i licz na moję wdzięczność.

— Ale niech tylko poprobuje ekonom moich parobków zamordować, ja mu nazajutrz żonę i dzieci pozarzynam, Cu-dnów z czterech stron podpale, że ściany na budę nie zostanie.

— Mój Pawliku, gadajmy po ludzku. Czy ty przez zem-stę swoją, choćby ci się ona i udała, swoich wskrzesisz, jak ich na pal wsadzą? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każe.

— Ja wielmożnemu panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomija cudnowska szkody nie poniosła: nawet pani Sosnowskiej, posesorce Tur-czynówki, na jedno słowo pańskie, konie zabrane oddałem. A wielmożny pan moich niewinnych ludzi pozabierał i dwie

niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz wielmożny pan w inną dudkę dmiesz. Jak puszcze was na słowo pańskie i wielmożny pan do zamku się dostaniesz, zaraz powiesz: „Co ja temu chamowi mam dotrzymać obietnicy? Albo to szlachcic, żeby ze mną w umowy wchodził? A haki, a kleszcze na zuchwałego chłopca! Czy ja was nie znam?”

— Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzyłem; sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył odemnie. Czy wam bro-nię leszczyne palić na proch? Czy nie pozwoliłem trzem two-im parobkom ze skarbowemi podwodami iść do Krymu za ry-bą soloną. Czy na Filipówce nie kazałem wam wydać na twój znaczek z magazynu całej kufy gorzałki? Przyznaj, pa-nie Pawliku, że tobie w naszym lesie, jak w raj.

— Aha! teraz «panie Pawliku,» bo strach ma wielkie oczy: będzie tego dobrego golemu za pazuchę. Ja wielmo-żnemu panu krótko powiem, co być może. Niech pan zosta-wi zakład, że moich ludzi odeśle, a ja pana wypuszcze. Ro-zumie się, że na pamiątkę zostawicie mi, co macie pieniędzy przy sobie.

Miarkujcie, panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilkaset czerwonych złotych miałem przy sobie!

— Kiedyś tak niewierzący, panie Pawliku—odrzekł pan łowczy — puście mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę, jako zakładnik.

— Tak nie będzie. Ja wielmożnego pana puszcze, a sy-na zatrzymam: prędzej wykupi ojciec syna, niż syn ojca, a pa-niczowi nic się złego nie stanie, że u nas przenocuje.

— Panie Pawliku, zmiłuj się waćpan nad moją żoną. Co ci ona winna, że ją w łyżce wody chcesz utopić? Jak mnie bez syna zobaczy, to, jak Bóg na niebie, bez duszy padnie.

— Wielmożny pan znasz to, że mnie łatwo wziąć za ser-ce. Wracajże pan zdrów z synem, ale ja bez zakładu nie zo-stanę: oto ten gość pański, co paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pojedzie do Hałacy i tam będzie siedział, póki wola pańska, bo ja go nie wypuszcze, pokaż ludzi nie obaczę. To wojak, on z nami tęsknić nie będzie.

— Panie Pawliku, nie róbcie mi téj krzywdy, żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zaufał. Kiedyś taki nieludzki, woléjże i mnie, i syna zatrzymać, a jego puszczaj: niech na mnie raczej największe nieszczęście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło pocziwego łowczego.

— Mości dobrodzieju — odezwałem się — niech pan się o mnie nie troszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa; ja panu Pawlikowi służę do jego Hałacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa w. p. dobrodzieja i za dobrą opinią o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie; wszak my obaj żołnierze: ja Rzeczypospolitój, on własnej swojej sprawy, jakoś się porozumiemy. A pan łowczy, jak mu ludzi odeśle, wiem, że tyle pan Pawlik grzeczny, iż mnie sam odprowadzi do Szyjeckiej-Budy. Niech mnie szanowny łowczy tu zostawi, a wielmożnej łowczyni nie zapomni moich ukłonów złożyć.

— Niechże Pan Bóg nagradza szanownemu porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą, a ja zaręczam, że niedługo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z panem porucznikiem.

— Wielmożny pan niech o to będzie spokojny:—kto u mnie na gościnie, więcéj waży niż rodzony ojciec. Ale pana porucznika jeszcze nie mam za gościa i dlatego, com już raz powiedział, teraz powtarzam: kto co z panów ma pieniądze przy sobie, proszę o nie natychmiast.

Pan łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście elizawetnych rubli i te oddał mu, dodając:

— Rozbierz mnie do koszuli, kiedy wola, jakem sodalis, i halerza nie znajdziesz.

— Teraz do waćpana, panie poruczniku!

Pan łowczy przerwał z pośpiechem.

— Co waćpan chcesz, panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma kilka tynfów, czy i te już mu zabierzesz? Nie godzi się!

— Wielmożny pan już za sobą mówił, a panu porucznikowi Pan Bóg dał język.

A obracając się do mnie dodał:

— Czy pan masz pieniądze?

— Mam kilka złotych—oto one.

— A więcéj nie masz przy sobie?

— Nic więcéj.

— Niechże pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a uwierzę.

I podał mi rękę.

— Otoś mnie zagadł, panie Pawliku! To darmo, bądź co bądź, honoru nie splamię—i dobywszy trzosa:—masz go waćpan, ale piekielną wyrządzasz mi krzywdę! To nie moje pieniądze, lecz Rzeczypospolitój, a jakie ich było przeznaczenie, wszystko dyjabli porwali!..

— Wybacz, panie poruczniku—powiedział Pawlik—każdy żyje ze swego: szlachcic z pańszczyzny, żołnierz z żołdu, żyd z łokcia i kwaterki, a rozbójnik z tego, co mu Pan Bóg w cudzej kieszeni przyniesie. Bądź, panie, weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A wielmożny pan komisarz niech z Bogiem rusza nazad i moich ludzi tu odeśle. Tu, na tém samém miejscu, będzie ich czekał mój namiestnik, a jak, była między nami przyjaźń, tak i będzie, póki mnie wielmożny pan nie zaczepi, bo ja pewnie nie zacznę. Pana porucznika sam do Szyjeckiej-Budy odprowadzę.

Tak pan łowczy ze swoim poczem nazad, a ja z hultajstwem dalej takimi gąszczami, że zsiąść musiałem i piechotą ruszać. Pawlik obok mnie, a ciągle pyta, czym nie znużony, powiada, że mnie nieść każe i próbuje ze mną w dyskurs się wdać; ale mi tak było żal mojego trzosa, że nie zerwałoby mnie stu kuglarzy. Co to, panowie! cała nadzieja uzbrojenia ludzi, jak kamień w wodę, upadła! To téż nakoniec powiedziałem:

— Mospanie Pawliku, zostaw mnie w pokoju. Ja teraz na waszój dyskrecyi; jak ludzie mówią: wiele złego dwóch na jednego, a ile z oka sądzić mogę, was więcéj sta: niewielka

sztuka przymusić mnie, abym dał w waszą dudkę. Ale, jeśli łaska, nie wymagaj, bym się bawił, kiedy smutek w sercu. Nie masz godziny jakem się dowiedział, że wy na świecie jesteście, więc wam nie nie winienem, a przecie zabraliście mi pieniądze, które dał mi mój rotmistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkudziesięciu jeźdźców uzbierał i zaprowadziłbym ich do Baru. Poprzestańże na tém. Ażebyś sam miał pociechę, to waćpanu powiem, że jak z tém się pochwalisz przed nieprzyjacielem, na wielką wdzięczność zasłużysz, boś mu dogodził. Do mnie, jeśli łaska, nie gadaj: ja łągać nie umiem i otwarcie powiem, że z tym tylko się bawię, komum rad, a do waćpana mam żal tém większy, że to nie moja, ale ojczyzny szkoda.

— Kiedy pan się gniewa, do niego mówić nie będę, ale niech pan o mnie jak chce trzyma, ja pana bardzo szanuję, a jak go na swoim gospodarstwie przyjmę, to pan się przekonasz, że czart nie tak straszny, jak go malują.

Wszystko to było dobrze, nie mogłem narzekać, aby był nieobyčajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił i tak czystą polszczyzną, jakby rodowity szlachcic. Ale tylu mi humoru popsuł, zrabowawszy mnie do szczeru, że nie mogłem się oddać i szedłem zaszępiiony jak myśliwy, co niedźwiedzia spudłował. Niebardzo uważałem na szczegóły naszej podróży, bo i nie było na co uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór; do tego w naszej Litwie człowiek z maleńkiego przywyknął. Aż zaszliśmy ponad Teterów, a w taką gęstwinę, że słońca widzieć nie było można. Dopiero Pawlik, podawszy mi rękę, prowadził, wlokąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb pod skałę, gdzie był otwór tak niski, że, ledwo nie czołgając się, weszliśmy! Ale ten otwór coraz się rozszerzał; zapalono łuczywo i tak rozjaśniało, że było widno jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie i wyrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko! Chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł. Sale, izby a spiżarnie, kuchnie, składy, piwnice, zgoła, jakby podziemne miasteczko. Cała hałastra wnet się rozta-

sowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy, a tak mną zajęty, że gdyby nie widok spelunki i nie leśne facyjaty jej mieszkańców co chwila przypominały, że u złodziejów na gościnie, mógłbym myśleć, że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Że to była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał i każdy zjadał ochłapa, na jaki popadł. Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę, by ze mną siadł za stołem. Rozumie się, że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; dla zakropienia onego garniec wytrąwionego maślaczu był na stole. Po sztukamięsie Pawlik za zdrowie moje srebrny puhar wina spełnił, a na wiwat za danym znakiem kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej spelunce kilkakrotnie się powtórzył.

— Panie Pawlik—rzekłem—kiedy tak się Panu Bogu podobalo, że pomimo tego, iż się mnie ledwo ze skóry nie obdarł, przecie u waćpana stołu za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy, pozwól się zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego zleść musiałem, aby jak wąż przedzierać się z waćpanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także *via facti* został waszą własnością?

— Pan porucznik go znajdziesz w Szyjeckiej-Budzie, zaraz go tam odesłałem. Że pan pozwoliłeś mi się z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę, aby pan ode mnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano, dlatego pozwoliłem sobie pana komisarza cudnowskiego namęczyć i teraz pewno nie go tyle nie frasuje, jak to, że w jego przytomności trzos panu zdarłem. Tyle tylko mojego, co go nafrasuję. Musiałem go ukarać, bo mi niesprawiedliwość wyrządził; a przecie i moim ludziom trzeba pokazać, że dbam o nich. Ale kto ze mną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam panu trzos nie-
tknięty; coś pan tam włożył, to i znajdziesz. Tém chętniej to oddaję, żeś pan przedemną odkrył przeznaczenie pieniędzy. Ja, choć nie szlachcic, przecie na téjże samej ziemi urodziłem się, co i pan, i pewnie nieprzyjacielowi przysługi nie zrobię.

Przyznam się wam, panowie bracia, iż to mnie tak rozczuliło, że i podziękować nie umiałem, tylko serdecznie go uściskałem. Ale aż mróz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tém, co się z tego zrobiło. Jeden z hultajów, szastający się około naszego stołu, widząc, że mnie oddają trzos brzęczący, odezwał się:

— Nie dość, że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Kachowi oddają.

A Pawlik, jak się urazi, a porwie topór i krzyknie:

— Jak ty śmiesz, sobaczy synu, wtrącać się do moich czynności!

A potem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał. Dopiero Pawlik zawoła:

— Kamień u szyi przywiązać trupowi i w Teterów go rzucić, a ziemię z krwi obmyć

Poczém z wypogodzonym obliczem, jakby zająca trafił, na nowo siadł do stołu, mówiąc do mnie:

— Niech pan porucznik nie uważa. Sam, panie, jesteś wodzem i wiesz dobrze, że bez posłuszeństwa wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespodziewana, że aż trzy lampy musiałem wypróżnić, nimem przyszedł do siebie. Potém pomyślałem sobie: kaduk was bierz; co mnie tam wasze prawa obchodzić mogą, samiście się im poddali, a jak sobie kto pościele, tak niech się i wyśpi!

Zresztą, prawdę powiedziawszy, czas mile mi schodził z rozbójnikami, bo już do nich nie miałem żalu po zwrocie szkody, a i wino było smaczne i rozmowa przyjemna. On mi się wypowiadał z całego prawie żywota. Był poddanym ś. p. Woronicza, oboźnego koronnego, dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził z rodziców dworskich i od dzieciństwa był u niego w łaskach: lulki panu nakładał, potem do polowania mu asystował. Kazał go pan wyuczyć pisać i czytać i pewnieby go liberował z kawałkiem chleba, gdyby nagle nie był skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie.

Bo oboźny małoletnie dzieci tylko zostawił, których opiekunem, będąc z prawa natury ich wuj, pan Szczyt podkomorzy piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko to było na dyskrety rządzców. Otóż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u pana, u komisarza będąc na usługach. Łatwo zgadnąć, co Pawlika spotkało, lubo się z tém nie chwalił, tylko mówił, że niemiłosiernie skrzywdzonym został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem, ale po zemście, jakiej się na komisarzu dopuścił, można była odgadnąć, jakiego rodzaju była ta krzywda. Wtedy już silna zgraja hajdamaków osiadła była w puszczech cudnowskich. Jój watażką był Burczak, najniegodziwszy rozbójnik, jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy, w którejby jaki obywatel zrabowany nie został. Dyjabełby przed nim tynfa nie uchował. Jak napaśnie bywało na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kładzie i póty dmucha, póki on mu do ostatniego szeląga nie wyzna. Dopiero czasem puszczał, a najczęściej zamordowywał i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa przed nim niesłychane. Rozjątrzony Pawlik do niego się udał, a pierwsza jego wyprawa była na zamek trojanowski, który do szczytu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, gdzie go krew zalała. Kiedy w Żytomierzu porwano Burczaka, rozumie się, że, nie tracąc czasu, urząd éwiartować go kazał; wtedy już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był przyszedł wziętości u rozbójników, iż go ten motłoch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały, jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnymi okrucieństwami, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie komendę swoją powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rotmistrz kawalerii narodowej. Była zaś w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majątnego obywatela syn, już pod wąsem do szkół jezuickich w Żytomierzu chodzący, za jakąś psotę w szkole obatożony, tak silnie to uczył, że, palając zemstą, do niego chciał przystać. Ale on nie chciał korzystać z uniesienia rozpaczy, owszem reflektował chłopca, przekłada-

jąc, że mu, będącemu szlachcicem, a zatem ze stanu wyłącznie poważanego w kraju, nie przystoi zostać wywołańcem, jak oni, co, gdyby nawet i pocziwie chcieli się prowadzić, dla swego urodzenia żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukójony chłopiec do ojca powrócił. Pawlik następnie do takiej zuchwałości doszedł, że otwarcie z ekonomijami w umowy wchodził i one mu się opłacały. Niektóre corocznie haracz mu dawały, jakby jakiemu krymskiemu hanowi, lękając się napaści. Kahał piatecki płacił mu pięćset złotych na rok, które pobierał w jego imieniu garncarz miejscowy, jego kum, a z tego powodu nic mu się złego nie stało, bo ekonomija piatecka nie śmiała go o to napastować.

— Panie poruczniku — mówił do mnie — nie myśl pan, abym był tylko rozbójnikiem wojennym, masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości w całej Polsce, przy mnie jednym jest jurysdykcja między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic lub ekonom ukrzywdzi chłopą, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz posyłam, żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a tok z dymem pójdzie. Z początku ze dwa razy dla przykładu, com przyrzekł, tom dotrzymał, ale chwała Bogu niemasz teraz potrzeby tego ponawiać, bo w całej okolicy nikt już chłopą nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie, panowie bracia! Trzy doby bawiłem na gościnie u Pawlika, nie z musu, ale z własnej ochoty, bo jeszcze tej samej nocy przybyli hultaje, z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego łowczego, w którym tenże tyśiączne robił deprekacje, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem i prosił, abym na bonifikatę mojej szkody przyjął od niego dwadzieścia koni z ryszunkiem, które mi odesłał do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi, co był zabrał, pocziwy łowczy swojej ofiary nie cofnął i odesłał mi dwudziestu jeźdźców, których generalności przedstawiłem swojego czasu. Mimo siebie puszczając wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znalazłem gościnnym i dobrze względem ojczyzny myślącym, że po-

myślałem sobie: *Deus me custodiat*. Czegóż mnie wchodzić w cudze postęпки? Wszak Duch święty powiedział: «Nie sądź, abyś nie był sądzonym.»

I tak przez trzy dni ugościwszy, odprowadził mnie Pawlik do Szyjeckiej-Budy, gdzie powoli zbierałem mój oddział i nowo zaciężnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkim mi donosił, że ani patrolów, ani placówek nie potrzebowałem wysłać.

Nie na tém koniec. Razu jednego, wzięwszy mnie na stronę, mówi:

— Panie poruczniku, między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak, jak ja: wszyscy chcemy do pana przystać i ojczyźnie służyć.

— Od Pana Boga wasza myśl natchniona, nie świętszego!

— Ale ja panu przyznam się, że na mnie w grodzie żytomirskim leży dekret. Jak do pana przystaniemy i pójdziemy dalej, a kto z tych stron mnie pozna, to żeby mnie czasem Konfederacyja nie kazała powiesić.

— Pluń waćpan na to. A co to ja malowany, żeby dopuścił, aby krzywdzono takiego, co podemną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamilczę. A jeśli jest jaki dekret, ten był ferowany na Pawlika, herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego, prawdziwego syna ojczyzny i jej zasłużonego dowódcy oddziału ochotników, walczącego w Konfederacyi, za wolność i wiarę zawiązaną; bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim i inaczej nigdy cię nie nazwę.

— A jeśli Pan Bóg dopisze, a pokaże się, żem się zdał na coś, czy Konfederacyja wyrobi mi potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo?

— Ani wątpię o tém. Jak dobrze pójdzie, Konfederacyja w sejm się zamieni i wszystkim zasłużonym da nobilitacyją. Tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział, jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię, jako szlachcica z Polesia, który jest moją prawą ręką; a kto mi odważy się kłamstwo zadać, z tym

ja się rozprawię; a porucznika piatohorskiej chorągwi w kaszy nie zjeść.

Pawlik, jak długi, padł mi do nóg, a nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przedemną przysięgę wykonali.

Henryk Rzewuski.

12. Adam Mickiewicz.

Adam Mickiewicz urodził się we wsi Osowcu, pod Nowogródkiem na Litwie, w samą wigilję Bożego Narodzenia, 1798 r.

Po skończeniu uniwersytetu w Wilnie był nauczycielem w szkole powiatowej w Kownie i tam pisał pierwsze swoje nieśmiertelne utwory, rozkoszując się wdziękami doliny nad Wiliją, która do dziś dnia na cześć jego nazywa się doliną Mickiewicza. Jedną z najpierwszych jego poezyj, po baladach, było *Pożegnanie Child-Harolda*, przekład z Bajrona, arcydzieło języka. Stworzył tutaj następnie *Dziady* wyraźne, chociaż wspaniałe, naśladowanie Szylera i Getego, wreszcie *Grażynę*, gdzie w cudnych zarysach malował obrazy starodawną Litwy. Mickiewicza długo od tego poematu nazywano tylko po prostu autorem Grażyny. Obok niej, narodowością poczucia odznaczają się tylko dwie jego balady: *Czaty* i *Trzech Budrysów*. Wogóle w tym okresie wielki poeta wiele naśladował i czasem tylko niby w natchnieniu poetyckim prorokował o narodowej przeszłości. Pierwszy zbiór poezyj Adama wyszedł w Wilnie w dwóch tomach 1822 r. W dwa lata później Mickiewicz posłany został do Odesy na profesora w liceum Ryszelijskim, ale nie pełnił tutaj żadnych obowiązków. Zwiedził następnie Krym, tam napisał wspaniałe swoje *Sonety Krymskie* i zaszczerpił znowu oryentalizm w naszej poezji, to znowu, jako dusza przedsiębiorcza, a serce poetyczne, gonił wciąż za wrażeniami i nowością, a ciągnął poza sobą tłum swawolny, naśladowńczy. Wreszcie, uzyskawszy na to stosowne pozwolenie, przez Moskwę udał się do Petersburga, gdzie go już poprzedziła sława znakomitego poety.

Był tam celem powszechnego entuzjazmu literatów polskich i rosyjskich. Puszkina oddawał mu publiczny hołd uwielbienia, a był to największy poeta rosyjski. W Moskwie ogłosił sonety, w Petersburgu skończył i wydał *Konrada Walenroda* w powtórny już zbiorze swoich poezyj w 1829 roku; *Konrad* jest wspaniałym poematem. Przed nim nie jeszcze takiego nie miała literatura polska. Są tam jeszcze wprawdzie błędy historyczne i wykroczenia względem prawdy; obraz dawną, Litwy z końca XIV wieku nie jest wystudjowany w źródłach, ale nakreślony z natchnienia, nie jest on malowidłem historycznym;—ale całość, mimo wszystkie ujemne strony poematu, jest pełna myśli i zapału, a zholduje każdego najprzecudniejszą językiem. *Konrad* nie jest arcydziełem poezji narodowej, ale jest zawsze arcydziełem poezji. Nie poeta opowiada tam dzieje Konrada i Aldony, lecz w poemacie widzimy grzmot potęgi i siły; nie wspanialszego nad pojedyncze ustępy, nad śpiew wajdeloty, nad rozmowę Konrada z Aldoną. Wszystko to są piękności i każda w swoim rodzaju. Taki poemat obudza zapał, kształci pokolenia; Mickiewicz ciągle rósł, ale *Konradem* stanął, jak tylko można najwyżej.

Od 1829 r. Mickiewicz podróżował za granicą, odwiedził w Niemczech Getego, bawił długo we Włoszech, najmiliej czas spędzał w Rzymie razem z Odyńcem. Wśród ruin wielkiej przeszłości czytywał *Liwijsza* *) w oryginale, i często całe mowy deklamował po polsku, tłómacząc je odrazu. Nie napisał Mickiewicz ani jednego wierszyka w Rzymie, bo wobec wielkich arcydzieł sztuki, wobec samej historii tylu wieków cały był w podziwieniu i uniesieniu. Dopiero w Neapolu przetłumażył wierszyk Getego: „*Znaszli ten kraj*“—i t. d. Grono rodaków zawsze go otaczało. Był w Rzymie obok niego i Stefan Garczyński, którego poznał w Berlinie. Spotkał w Rzymie dawną znajomość z arystokratycznego kółka petersburskiego, księżnę Zenejdę Wołkońską i w jej domu znalazł wiele

*) Liwiusz, historyk rzymski.

przyjemności, wiele uroku życia. Na wiosnę puszczał się wieszcz na wycieczki do Szwajcaryi i zwiedzał w różnych kierunkach Włochy. Na zimę znowu powracał do Rzymu, gdzie wszedł w bliskie stosunki w ks. Chołoniewskim i z Henrykiem Rzewuskim. Długi pobyt w Rzymie wielce odmienił wyobrażenia naszego poety, a i talent jego dojrzał. Rzewuski cudownie opowiadał o niedawno ubiegłej przeszłości Stanisławowskiej i dawniejszej jeszcze Saskiej, umiał tak wiele, pamiętał tyle zdarzeń! Adam przypominał sobie własne rodzinne podania... i ideał Soplicy był już gotów. Z niego utworzył wieszcz wspaniały poemat o *Panu Tadeuszu*, w którym opisał ostatni zajazd szlachecki na Litwie. Jest to arcydzieło literatury polskiej i europejskiej, poemat, opisujący życie Litwy przed i w czasie wkroczenia do niej Napoleona w 1812 r. Wieszcz wydał następnie kilka ulotnych rzeczy, jak *Giaura*, tłumaczenie z Bajrona, i wiele innych drobniejszych poezyj, małych arcydzieł, pełnych to ognia, to tęsknoty serdecznej.

W 1834 r. ożenił się z panną Celiną Szymanowską, córką sławną w Europie fortepijanistki, poznał ją dzieckiem jeszcze w Petersburgu. Odtąd muza wieszczki zamilkła na zawsze; Mickiewicz popisywał się tylko wymową, w 1839 r. albowiem został profesorem literatury starożytności w akademii lozańskiej w Szwajcaryi (nominacją otrzymał w Marcu 1840 r.). Roku nie bawił w Lozannie, gdy Cousin, minister oświecenia we Francyi dźwignął w kolegium francuskiemu katedrę literatur słowiańskich, wieszcz nasz, którego dzieła znała już wtedy Europa i o którego stanowisku w literaturze ogólnej pisała znakomita pani Dudevant (George Sand), został profesorem w Paryżu, w Collège de France. Zapał dla jego wykładu rośł przez dwa lata, lecz potem słabnąć zaczął, gdy Mickiewicz został opłątany w marzenia mistyczne. Oblęd był zupełny. Poeta, zawsze rozmiłowany w Napoleonie, z nową wiarą swoją połączył entuzjazm dla bonapartyzmu; wielkiego człowieka wynosił pod niebiosa, tłumaczył zabory jego i politykę, wywoływał następcę Cesarowi. Głos wieszczki, jak w wielu razach, tak i teraz, był proroczy, ale koniec końcem Mickiewicz zgu-

bił swój wykład i siebie, bo Ludwik Filip przez niechęć dla bonapartyzmu oddalił go od katedry, a miał do tego sprawiedliwy powód w egzaltacjach poety. Idea, którą rozwijał Mickiewicz zwała się ideą mesyjanizmu.

Opamiętał się nasz wieszcz za Cezara, którego przepowiedział, i za Napoleona III—został bibliotekarzem arsenału w 1852 roku, ale już wtedy dochodził kresu swojej pielgrzymki ziemskiej. Na początku 1855 r. zmarła mu żona, więc, dręczony smutkiem, puścił się w podróż do Carogrodu, na wschód słowiański do Turcyi. Bywał w obozach, zwiedzał doliny Bulgaryi; zdawało się, że odżył i że duch dawny w nim wskrzeszenie, ale nagle śmierć przyszła i pozbawiła Polskę w Carogrodzie, 28 Listopada 1855 r. największego wieszczki, jakiego miała wprzeciagu tylu wieków. „Czego mąż ten dokonał w swoim wieszczym zawodzie, mówi o nim Lucyjan Siemieński, czego mógł dokonać, jak daleko sięgnął wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował, będzie to zapewne przedmiotem szerszych badań i wywodów. Tego rodzaju bogactwo dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój, na podziw lub potępienie pożywa“.

Julijan Bartosiewicz.

W z b r o j o w n i.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
 Ich konie w żelaznym okryciu
 Na boje ich niosły, turnieje lub łowy,
 A strój ich, był równy ich życiu.
 Bo życie ich było i twarde, i krwawe,
 A głośnie jak bitew fanfary;
 Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
 Pod krzyża białymi sztandary.
 Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
 Zatknęli swój znak na wieżycy;
 A kiedy spoczęli — to dłonie oparli,
 Na krwawych swych szabel głowicy.
 A jeśli wracali w obronne swe dworce,
 To z blizną na piersiach, na twarzy,

Ze złotym księżycem pogańskie proporce
 U pańskich składali ołtarzy.
 A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
 A jeśli się bali — to czarów;
 Po wojnie, przy wielkich, dębowych swych stołach,
 Ze złotych pijali puharów.

* * *

Dziś mądre ich wnuki, co z czarów się śmieją,
 Bojowym się znojem nie trudzą;
 I jeżdżą wygodnie żelazną koleją,
 W kraj cudzy—gdy swoim się znudzą.
 I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeum,
 To rzadkim tam dziwią się rzeczom:
 Ogromnym puharom, pancerzom, trofeom,
 I ciężkim pradziadów swych mieczom!

Adam Pajgert.

13. Ruś i Bulgarzy.

Najłatwiej organizowała się luźna rzesza ludów słowiańskich w silny naród i państwo tam, gdzie w skutek podboju dostała się do krwi słowiańskiej przymieszka jakiejś krwi obcej, pochopniejszej do życia politycznego, do którego Słowianie w skutek tradycyjnej swojej niezgody i przesadnego zamiłowania wolności nie byli jeszcze dojrzeli. Obce takie plemię podbijało kilka lub kilkanaście ludów słowiańskich, znosiło ich odrębność, narzucało im swoje jednolite urządzenia państwowe, swoją dynastyją i swoje nazwisko, ale nawzajem pomieszawszy się z ludnością słowiańską, wynarodowiało się, przyjmowało jej obyczaj i mowę. Takiemu faktowi historycznemu zawdzięczają swoje powstanie narody i państwa: Bulgarów i Rusi.

Bulgarowie, szczep mongolski, wtargnęli w drugiej połowie siódmego wieku (678) w kraje, leżące nad dolnym biegiem Dunaju, pobili ludy słowiańskie, tam mieszkające, i założyli groźne wszystkim sąsiadom państwo. Rozsiedliwszy się je-

dnak pomiędzy liczniejszą ludnością słowiańską, zmieszali się z nią bardzo prędko i utworzyli naród bulgarski, w którym żywioł słowiański mową swoją i obyczajem bezwzględnie osiągnął przewagę.

Tę samą rolę, lubo o dwa wieki później, wobec ludów słowiańskich północnych, osiadłych nad Dnieprem i Dźwiną, spełnili Waregowie, zwani inaczej Rusami. Plemię to Skandynawskie, a raczej jedna z tych licznych drużyn wojennych, które wychodziły podówczas ze Skandynawii pod nazwą Normanów na łup i podboje, a całej zachodniej Europy stały się postrachem, opanowała (r. 862 ?) pod wodzą Ruryka Nowogród i Kijów i założyła tu w połowie dziewiątego wieku, olbrzymie, na urządzeniach militarnych skandynawskich oparte państwo Rusi. I tu jednak wobec podbitych ludów zbyt byli nielicznymi najeźdźcy. Stopniowego podboju dokonali tylko w ten sposób, że w szeregi swoje przyjmowali Słowian, a tym samym odrębność swą narodową osłabiali i prędko tracili. Przyjmując język słowiański zginęli w społeczeństwie słowiańskim bez śladu, przekazując mu tylko swoją nazwę, swoją dynastyją Rurykowiczów i ustrój stworzonego przez się państwa.

Do wzmocnienia obu państw, w ten sposób powstałych, i do ich dalszego rozwoju przyczyniła się niezmiernie ta okoliczność, że dostały się pod wpływ bizantyńskiego kościoła i cesarstwa. Cesarstwo to już zupełnie osłabło, ale właśnie dlatego nie mogło myśleć o podboju krajów słowiańskich i zniszczeniu ich samodzielności. Myślało ono tylko o własnej obronie, bo pod murami Carogrodu stawały nieraz zbrojne hufce Bulgarów i Rusi, np. króla Bulgarów, Kruma w r. 813, w r. 907 kniazia Rusinów, Olega. Ażeby się od tych napadów zabezpieczyć, posiadali cesarze wschodni tylko jeden skuteczny środek, a tym było zaszczerpienie cywilizacji bizantyńskiej u barbarzyńskich najeźdźców, poddanie ich pod moralny wpływ i przewagę Konstantynopola. Zadanie to powiodło się wybornie. W roku 864 car bulgarski, Bogorys Michał przyjmuje z narodem swym chrześcijaństwo z rąk greckich biskupów, a chociaż chwilowo usuwa się z pod ich wpływu i do papieża

Mikołaja I-go zwraca, to jednak już w r. 870 oddaje kościół swój pod zwierzchnictwo bizantyńskiego patriarchy. Za pomocą greckich księży zaprowadził również Włodzimierz Wielki w r. 988 chrześcijaństwo i kościół wschodni w olbrzymim państwie ruskim, a biorąc za żonę Annę, księżniczkę bizantyńską, wpływowi bizantyńskiemu na dwór swój i państwo szerokie wrota otworzył. Wpływ ten sięgał niezmiernie daleko, absolutyzm bowiem cesarzów wschodnich zgadzał się zupełnie z dążeniem jedynowładzców bułgarskich oraz ruskich i gotowe poddawał mu formy. Kościół wschodni oddawna już wprawdzie podupadał i z rozwijającym się zdrowo zachodnim zupełnie nie mógł się mierzyć. Służąc we wszystkiemu państwu i stanowiąc polityczną instytucję, nie przedstawiał też, jak na zachodzie, idei wolności, nie budził do samoistności społeczeństwa, i zamiast z absolutyzmem monarszym walczyć, najsilniejszej mu dostarczał podpory. Nic więc dziwnego, że cesarstwo bizantyńskie, jego kościół i prawo działały zgodnie wobec Bułgarów i Rusi, a w urządzeniach ich społecznych i politycznych wystąpiły jako czynnik przeważający wszystkie inne słowiańskie, a nawet skandynawskie.

Pod tym samym wpływem, ale już bez żadnej przymieszki obcego plemienia, zaczął się wreszcie w pobliżu Bułgarów, na zachód od nich, nad brzegami Dunaju rozwijać i do samoistnego życia budzić naród serbski. W XIII-tym wieku widzimy Serbów zorganizowanych w państwo potężne, opierające się na urządzeniach bizantyńskich, zarówno pod względem kościelnym jako też politycznym.

M. Bobrzyński.

14. Chrześcijaństwo.

Przed przyjściem na świat Zbawiciela ludy pogrążone były w ciemnym bałwochwalstwie. Oddawano cześć bożyszczom, których posągi wyrabiano z drzewa lub kamienia, a ludzie nie powściągali swych namiętności, z czego powstało powszechne zepsucie obyczajów. Sam tylko naród żydowski, pośród po-

wszechnego pogaństwa, dochował wiary w jednego Boga; z niego też miało wyjść nowe światło wiary. Chrystus się narodził i ciemność rozumu ludzkiego boską rozjaśnił nauką. Wielką tajemnicę Boga objawił narodom i zbłąkanym ludziom niebo otworzył. Apostołowie, rozesłani na cały świat, opowiadali wszędzie naukę wiary, nadziei i miłości.

Większa część znanej podówczas ziemi była pod panowaniem Rzymian, narodu pogańskiego, który też i ziemię żydowską razem z wielu innymi krajami podbił. Po całym tym państwie rozeszli się apostołowie według rozkazu Pańskiego, nauczając i nawracając. Tak powstały wśród pogan gminy chrześcijańskie pod naczelnictwem biskupów, którym apostołowie moc i opiekę nad nawróconymi powierzyli. W Rzymie założył św. Piotr pierwszą chrześcijańską gminę. Jak on był pierwszym między apostołami, tak założone przez niego biskupstwo pierwszym było między biskupstwami, którego dzierżyciel dzisiaj nazwę papieża, albo Ojca świętego nosi.

Ale nim się drzewo wiary rozrosło, musiało być skropione krwią świętych męczenników. Paganie palali zazdrością i nienawiścią ku chrześcijanom, którzy, żyjąc cnotliwie i przykładnie, brzydzili się błędami oraz grzechami pogańskimi. Oskarżono chrześcijan jako buntowników, więziono ich, rzucono dzikim zwierzętom na pożarcie, obwijano ich ciała słomą, oblewano smołą i zapalano po ulicach jakby latarnie. Głośny malarz polski, Siemiradzki na jednym ze swych obrazów przedstawia takie „Świeczniki chrześcijańskie“, za cesarza rzymskiego Nerona.

Chrześcijanie po sklepach i podziemiach kryć się musieli, aby odprawiać nabożeństwo, lecz i tam ich ścigano i wleczone na śmierć. Wielu jednak z pogan, patrząc na święte obyczaje chrześcijan, na ich cierpliwość i stałość wśród mąk oraz prześladowań, zwątpiło w istnienie swych bożków i naukę Zbawiciela przyjmowało. Wszędzie się wiara szerzyła mimo prześladowań, a kiedy nawet sam cesarz rzymski, Konstantyn Wielki ochrzcić się kazał roku 337 po Chrystusie, wtedy w całym rzymskim państwie prześladowania ustały i kościół Chrystusa odniósł zupełny tryumf nad pogaństwem.

15. Początek wojen krzyżowych.

Dopóki Arabowie posiadali Jerozolimę, pielgrzymi chrześcijańscy mogli zwiedzać Palestynę bez niebezpieczeństwa i wchodzili do świątyni Grobu za opłatą kilku sztuk złota, lecz gdy po upadku bagdadzkiego kalifatu powstały różne sekty fanatyczne wśród wyznawców Islamu, a szczególnie gdy Palestynę zdobyli Turcy Seldżuki, położenie chrześcijan syryjskich i los pielgrzymów europejskich znacznie się pogorszyły. Turcy niejednokrotnie mordowali chrześcijan w czasie nabożeństw, z hałasem wpadali do kościołów, siadali na ołtarzach, bili księży, znieważali nawet patrijarchów. Skargi pielgrzymów przejęły Europę oburzeniem. Już Grzegorz VII, papież, myśląc o urządzeniu zbrojnej wyprawy chrześcijańskiej w celu odebrania muzułmanom Palestyny, mawiał: „Wolałbym narazić życie moje w sprawie odebrania niewiernym miejsc świętych, niż rozkazywać światu“. Ale walka z Henrykiem IV, nie dozwoliła mu pomyśleć o wykonaniu zamiaru.

Przy takim stanie umysłów w Europie, przy ciągłej walce z Maurami w Hiszpanii, Sycylii, Włoszech, wobec prózb Aleksego Komnena o ratunek cesarstwa bizantyńskiego, trzeba było jednej tylko iskry dla poruszenia ludów chrześcijańskich przeciwko muzułmanom. Tę iskrę zapału rozniecili: ubogi pikardyjski pustelnik, Piotr z Amiens i papież Urban II.

Piotr pustelnik, spędziwszy długie lata w surowych ćwiczeniach pobożności, przedsięwziął pielgrzymkę do Jerozolimy. Widok miejsc świętych i prześladowania Seldżuków roznęły jego wyobraźnię. Gdy krzyżem leżał w świątyni Grobu Pańskiego, modląc się z całą gorącością ducha, zdało mu się, że usłyszał głos samego Chrystusa: „Piotrze, wstań, pójdz oznajmić ludowi mojemu, że nadszedł koniec jego ucisku; niechaj służy moi przychodzą, niech Ziemia Święta będzie oswobodzoną“.

Posłuszny temu głosowi, natychmiast ruszył do Europy i z błagalnym listem patrijarchy Symeona stanął przed papie-

żem. Urban II rad był odznaczyć się wielkiem dziełem, żeby podnieść urok swój władzy, przez cesarza Henryka mu zaprzeczanę; przyjął więc propozycją pustelnika i dał mu upoważnienie do głoszenia wojny przeciwko muzułmanom w całym świecie chrześcijańskim. Z krzyżem w ręku, w ubogiej sukni, przepasany powrozem, Piotr wędrował na mule od wsi do wsi, od miasta do miasta, opowiadając niedolę pielgrzymów i zniewagi miejsc świętych, wołając o pomstę na niewiernych.

Jego twarz wychudła, oczy niezwykle ożywione blaskiem i porywająca wymowa sprawiały potężne na słuchaczach wrażenie. Liczne rzesze zbierały się na polach, na rozstajnych drogach, lub po rynkach miast; czczono go jako proroka, każdy starał się dotknąć szaty jego, lub wyrwał kilka włosów z sierci muła, chowając je jako relikwije. Piotr w ten sposób przebiegł całe Włochy, Francję, Burgundję, kraje nadreńskie, zawsze z jednakowem powodzeniem. Nawet rozbójnicy wychodzili z lasów i przyrzekali poprawę, oświadczając gotowość przyjęcia udziału w wojnie świętej.

Widząc tak świetny skutek kazań Piotra pustelnika, Urban II pośpieszył zwołać sobór w Placencji w 1095 r. Zebrało się tam 200 biskupów, 4,000 księży i takie mnóstwo ludu, że kościół nie mógł go objąć. Tu papież uroczyste ogłosił „Pokój boży“ we wszystkich krajach chrześcijańskich, ukazał tłumom posłów greckiego cesarza, błagających o pomoc przeciwko Turkom i zapowiedział nowy sobór w Clermont roku 1095. Z Francji, Włoch, Niemiec a nawet Hiszpanii przybyła tu niezliczona ciżba pobożnych. Na rozległym polu urządzony był tron dla papieża, który wystąpił z całym majestatem Stolicy Apostolskiej. Piotr Pustelnik w ognistej mowie skreślił ciężką niedolę chrześcijan w Palestynie, a kiedy potem sam Urban ozwał się słowy Chrystusa: „Ktokolwiek opuści ojca, matkę, siostrę, brata i za mną pójdzie, otrzyma żywot wieczny“, wtedy zapał ludu doszedł do najwyższego stopnia. Przerywano mowę kilkakrotnie papieżowi; nareszcie całe pole napełniło się okrzykiem: „Bóg tak chce!“.—Wówczas jeden z kardynałów przeczytał spowiedź powszechną, a wszyscy po-

wtarzali ją, bijąc się w piersi, klęczący; poczem otrzymali absolucyją. Ademar, biskup Puy, pierwszy wziął krzyż z rąk papieża, za nim tłum spiesźnie przyczepiał sobie na piersiach krzyże z czerwonego sukna. Stąd to wojownicy, którzy się mieli udać do Palestyny, zwali się Krzyżowcami, same zaś wojny o grób Chrystusa wojnami krzyżowymi lub krucyjatami od wyrazu łacińskiego: *crux* (krzyż). Czas wyruszenia w pochód oznaczono na dzień Wniebowstąpienia roku następnego, t. j. 1096. Ogłoszone, że każdy, co weźmie udział w tej świętej wyprawie, dostąpi odpuszczenia wszystkich grzechów, że wierzący nie będą mogli ścigać dłużników lub wymagać procentów przez cały czas pobytu ich w Palestynie, że majątności i rodziny krzyżowców zostaną pod opieką kościoła i będą wolne od wszelkich ciężarów. Tym sposobem wiele osób pociągał na krucjaty nawet materyjalny interes; lecz i zapał religijny dochodził do niezmiernego natężenia. Najbiedniejsi ludzie opuszczali domy swoje, podkuwali woły w braku koni, a wsadziwszy dzieci swoje na wóz, ruszali w drogę, pytając przy każdym zamku lub mieście: „Czy to nie Jerozolima?”

Tadeusz Korzon.

Natarcie konnicy na konnicę.

Znak do natarcia dany — wtém dwa ciała żywe,
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrzną topiel;
Coraz bliżej nadchodzą krwi i mordów chciwe.
I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę,
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej, i śmielęj
Kopytem dziarskiem ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział, że niesie wyroki szczęśliwe.
Marsz, marsz, trzeci raz słyhać — patrz — na skrzydłach fali,
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani,
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani.
Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mieszą się. — Kto wygrał? — Nie rozpoznać wdali,
Tamci pierzeli — z trupami zwycięzcy zostali.

Stefan Garczyński.

16. Bajard rycerz.

Bajard urodził się w 1476 roku w Château-Bayard w Delphinacie. Rycerstwo obrał on sobie jako zawód i odbył całkowite zwykle wychowanie rycerskie, zanim wszedł w służbę królewską. Nie uważamy tu za konieczne przebiegać historii jego życia, w ciągu którego postępował zawsze, jak prawdziwy rycerz. Głównych czynów swoich dokazał we Włoszech, kiedy królem francuskim był Franciszek I,—i to pod Fornową, pod Medyolanem, Genuą, Padwą, Weroną, La Bastiją i Breszyją. W czasie oblężenia tego ostatniego miasta, sam prowadził cały atak. Wskoczył na szaniec i otrzymał straszliwe pchnięcie w udo, tak że żelazo odłamane od drzewca pozostało w nodze. „Miasto zdobyte! — zawołał wtedy — ale ja już nie wejść do niego; jestem śmiertelnie raniony.“ Książę Nemours, dowiedziawszy się, iż pierwszy fort został wzięty, ale że Bajard jest śmiertelnie raniony, był tém do żywego tknięty, jak gdyby sam otrzymał ranę. „Pójdźmy, moi żołnierze i towarzysze! — wołał — pomścimy śmierć najrzetelniejszego rycerza, jaki kiedykolwiek żył na świecie.“ Breszyja została zdobyta, a Wenecyan zupełnie wyparto.

Kiedy Francuzi rozeszli się po mieście gwoli rabunku, Bajarda podniesiono i ułożono na drewnianych drzwiach, aby go zanieść do najbliższego domostwa. Był to właśnie dom jakiegoś szlachcica, który uszedł, pozostawiając na łaskę Opatrzności żonę i dwie młode a piękne córki. Sama pani domu otworzyła drzwi i przyjęła Bajarda, który, jakkolwiek przypuszczano, iż jest umierający, miał jednak dosyć siły do wydania rozkazu, aby żołnierzom wzbroniono rabunku w tym domu, a dotychczasowe straty i zniszczenia postanowił niebawem sam wynagrodzić.

Pani domu rozkazała wnieść Bajarda do pięknego apartamentu, gdzie, padłszy przed nim na kolana, zawołała:

— Szlachetny panie, oddaję ci ten dom i wszystko co się w nim mieści; wszystko tu jest twoje według prawa wojny.

Błagam cię tylko o jedną łaskę, abyś zachował życie i honor mój oraz moich dwóch córek.

Bajard, chociaż zaledwo mówić był w stanie, rzekł:

— Nie wiem, czy będę wyleczony z rany, którą otrzymałem, ale dopóki żyje, ani ty pani, ani twoje córki nie doznacie żadnej obrazy lub krzywdy. Przysięgam wam zachować wszelki szacunek oraz przyjaźń, jakie są w mojej mocy. Atoli najgwałtowniejszą potrzebą w obecnej chwili jest niesienie mi pomocy i to szybkiej.

Wówczas owa dama w towarzystwie jednego z żołnierzy, poszła wyszukać chirurga, który, skoro tylko przybył, zbadał ranę, a była szeroka i głęboka, ale na szczęście, jak chirurg zdecydował, nie była śmiertelną. I książę Nemours przysłał swojego chirurga, a dzięki troskliwemu pielęgowaniu oraz opatrywaniu, Bajard wnet począł przychodzić do zdrowia. Pewnego razu, zapytał on swojej gospodyni, gdzie się znajduje jej małżonek.

— Nie wiem—odpowiedziała, gorzkie łzy wylewając—nie wiem, czy żyje lub umarł, sądzę atoli, że się schronił do klasztoru.

Jak tylko dowiedziano się o miejscu pobytu tego człowieka, Bajard wysłał niebawem dwóch łuczników i zarządcę domu, aby go sprowadzono do rodziny. Naturalnie, przede wszystkim poręczono mu bezpieczeństwo i opiekę, dopóki znakomity rycerz, jako pacjent, będzie pod jego dachem pozostawał.

Gdy wreszcie chirurg zapewnił, że rana została uleczoną i że przy pomocy służącego, łatwo już teraz było przeprowadzić szczęśliwą kurację do końca, Bajard wynagrodził go ze zwykłą sobie szcudrobliwością i postanowił za dwa dni połączyć się z armiją. Wtedy to pan i pani domu zapragnęli odwdziżyć się rycerzowi za udzieloną im opiekę; zebrali więc wszystko, co posiadali w gotówce, tak że suma wynosiła dwa tysiące pięćset dukatów, które pomieszczono w pięknie przyozdobionej szkatule. Poczém pani domu weszła do komnaty

Bajarda i padła przed nim na kolana. Ale zacny rycerz zażądał niebawem, aby powstała, nie chcąc o niczém słyszeć, dopóki przy nim nie usiadła.

— Panie!—zawołała wtenczas niewiasta—przez całe życie będę składała dziękczynienia Bogu, iż mu się spodobało wśród zniszczenia naszego miasta przywieść szlachetnego rycerza w nasze progi; mój mąż i córki będą cię uważali zawsze, jako naszego opiekuńczego anioła, pomnąc, iż tobie-to zawdzięczać winniśmy nasze życie i nasz honor.... Jesteśmy twoimi niewolnikami; dom, w którym przebywasz, ze wszystkiém, co się w nim znajduje, jest twoją własnością według prawa wojny; ale ty okazałeś nam jednak tyle wspaniałomyślności oraz wielkości duszy, że śmiem cię błagać, abyś miał nad nami litość i poprzestał na małej ofierze, którą tu oto mam zaszczyt dzisiaj ci złożyć.

Z temi słowy pani domu podała Bajardowi szkatułę i pilnie mu się przyglądała.

— Jakaż suma się tutaj znajduje?—spytał rycerz.

— Zacny panie, jest tam dwa tysiące pięćset dukatów; więc jeżeli to za mało, powiedz słowo tylko, wymien sumę, jakiej żadasz, a będziemy się starali, aby ci ją dostarczyć.

Bajard, który nigdy nie myślał o złocie, ani o dostatkach, bezzwłocznie odpowiedział:

— Gdybyście mi ofiarowali sto tysięcy dukatów, nie cenilibym tego tak wysoko, jak cenię dobroć waszą, którąście mi okazywali od chwili mego przybycia do tego domu, jako też towarzystwo was obojga i całej waszej rodziny.

Pani domu znowu rzuciła się na kolana i ze łzami w oczach błagała rycerza, aby zechciał przyjąć podarunek. «Będę się uważała za najnieszczęśliwszą w świecie kobietę, jeżeli odmówisz mi przyjęcia téj drobnój ofiary.»

Na to odparł Bajard:

— Skoro to jest tylko twoje życzenie, dosyć mi na tém, przyjmuję dar, ale jednocześnie proszę, aby tu przybyły wasze córki, z którymi pożegnać się pragnę.

Bajard rozdzielił dukaty na trzy części, z których dwie miały po tysiąc, a jedna pięćset dukatów. Zaledwie weszły młode dziewczeczki, rzuciły mu się do nóg; on jednak podniósł je i posadził:

— Panie—przemówiła starsza córka—widzisz przed sobą dziewczęta, które ci zawdzięczają swój honor i życie. Smutno nam bardzo, że nie jesteśmy w stanie wyrazić naszej wdzięczności inaczej, jak modląc się za ciebie do Boga przez całe życie i błagając Go, aby cię wynagrodził na tym i na tamtym świecie.

Rycerz wzruszony był do łez, dziękował dziewicom za doznaną opiekę oraz towarzystwo miłe; one to bowiem zabawiały go, już to pracując w jego komnacie, już śpiewając i grając na lutni.

— Wiecie—rzekł—iż żołnierze zwykle nie posiadają drogiego kamienia na podarki dla młodych dam. Ale właśnie matka wasza zmusiła mnie do przyjęcia dwóch tysięcy pięciuset dukatów, które będą stanowiły część waszego posagu; resztę zaś, pięćset dukatów pozostałych, życzę sobie rozdzielić pomiędzy ubogie klasztory, które najwięcej ucierpiały w czasie rabunku.

Wten sposób załatwiona została ta sprawa wśród łez oraz dziękczynień całej rodziny, a Bajard, oddalając się, uniósł ze sobą zadowolenie i szczęście, ponieważ postąpił jak na prawego chrześcijańskiego rycerza przystało.

Około tegoż czasu papież, Julijusz pragnął zrobić Bajarda głównym wodzem sił, należących do państwa kościelnego. Dzielny rycerz atoli na uczynioną sobie propozycję odpowiedział, iż „ma tylko jednego pana w niebiesiech, a jest nim Bóg; na ziemi zaś ma także jednego tylko, a jest nim król Francyi i żadnemu innemu służyć nie może.“

Po wielu bitwach i przygodach, w których postępowanie tego męża było zawsze nacechowane prawością oraz walecznością, Bajard otrzymał śmiertelną ranę pod Rebec, niedaleko Medyolanu. Admirał Bonivet, ulubieniec Franciszka I, umieścił był rycerza na najniebezpieczniejszym stanowisku, bodaj czy

nie z powodu zazdrości. Tam właśnie Hiszpanie miotali gęsto pociski z arkebuzów, a jeden taki pocisk ugodził Bajarda w łędźwie i złamał mu kość pacierzową. Czując się rannym, zawołał: „O Boże, umieram!“ I ucałował krzyżową rękonoż swego miecza, jakoby krucyfiks.

Towarzysze chcieli go usunąć z pola bitwy, ale on rzekł: „Nie, w ostatnich chwilach mego życia nie chcę się cofać przed nieprzyjacielem po raz pierwszy w życiu.“ Kazał się więc zanieść pod drzewo, a pozostało w nim jeszcze tyle siły, że zawołał: „naprzód!“ „Pozwólcie mi umrzeć—mówił—z twarzą zwróconą do nieprzyjaciela.“ Otaczający go wylewali potoki łez. „Wola to Boga, który mnie zabierze do siebie. On mnie zachowywał przez długi czas, okazując mi więcej dobroci i łaski, aniżeli na to zasłużyłem... Proszę was wszystkich, abyście mnie opuścili, bo możecie się dostać do niewoli, co byłoby dla mnie ciężkim cierpieniem. Umieram, wy już mi nie zdolacie w żaden sposób przynieść ulgi.“

Wtedy Hiszpanie wnet przystąpili, aby go pojmać, jako jeńca. Markiz Pescara przemówił: „Oby Bóg był zechciał, rycerzu Bajardzie, iżbyś się dostał do naszej niewoli w pełnym zdrowiu, bo odkąd noszę oręż, nie znałem równego tobie.“ Rycerz ów hiszpański zachowywał się obok umierającego bohatera z całą uroczyścią i czcią. Ale przybył tu i konstabl Bourbon, ten sam, który porzucił króla i kraj, aby służyć cesarzowi oraz królowi hiszpańskiemu. „O Bajardzie!—zawołał—jakże cię żałuję!“ Wówczas Bajard powstał, o ile zdołał i wyraźnym głosem wyrzekł:

— Mój panie, dziękuję ci. Ja sam nie żałuję siebie. Umieram jako uczciwy człowiek, służąc swojemu królowi. Ale ty jesteś godzien pożałowania, bo podniosłeś oręż przeciw własnemu monarsze, przeciw krajowi, złamałeś przysięgę.

Wnet po tych słowach wyzionął ducha.

Dopiero po śmierci Bajarda, Franciszek I poznał wartość rycerza, który zginął. Król ten powierzał kierownictwo armii raczej swoim ulubieńcom, aniżeli zacnym i szlachetnym mężom. „Straciliśmy—wołał król, choć już było zapóźno—wiel-

kiego człowieka, którego samo imię czy niło armiją straszną i nakazującą szacunek dla siebie. Zaprawdę, był to mąż, który zasługiwał na wyższe względy i zaszczyty, aniżeli je otrzymywał. Po bitwie pod Pawiją, Franciszek I gdy „stracił wszystko, prócz honoru,” uczuł jeszcze dotkliwiej brak wielkiego rycerza.

— Gdyby tu—mówił—był rycerz Bajard, tak waleczny i tak doświadczony, gdyby był blisko mnie, obecność jego byłaby więcej warta, niż stu wodzów. O, Bajardzie! jakże cię oplakuję. Gdybyś ty żył, nie znajdowałbym się tutaj!“

Ale utyskiwania króla były niewczesne. Bajard już nie żył, on zaś znajdował się w niewoli.

Bajard był mężnym, szlachetnym, czystym. Nie ciążył na nim cień plamy i nigdy mu nie zbrakło odwagi. Był on wspaniałomyślny, sprawiedliwy, litościwy i miłujący prawdę. Męstwo jego wzrastało w miarę trudności, jakie trzeba było pokonywać. Gardził bogatymi, jeśli nie byli dobrzy, a wszystkie swoje pieniądze rozdawał. Nie odmówił nigdy pomocy bliźniemu, czy to chodziło o pieniądze lub o inne poparcie, a co czynił, to zawsze w tajemnicy i z łaskawością. Powiadało, iż wyposażył i wydał za mąż więcej niż sto dziewięć sierot; wdowy zaś liczyły zawsze na jego pomoc oraz pocieszenie. Dla podwładnych swoich Bajard był niezmiernie uprzejmy; niejednego zaopatrzył w broń, innego w odzież, a za innych jeszcze zapłacił długi. Przebywając w kraju podbitym, nigdy nie oddalił się bez wynagrodzenia za wszystko, czego potrzebował on sam i jego ludzie. Dla pochlebców i oszczerców był zawziętym wrogiem. Wszystkie cnoty tego męża ujawniały się już w młodości, a doszły do rozwoju swego w wieku późniejszym. Nie dziw przeto, iż uwieńczony został chwałą, iż najdalsza nawet potomność będzie go czciła i uwielbiała.

(podług S. Smilesa—A. D.)

Opowiadanie pana podkomorzego.

„Teraz, nie wiem, czy moda i nas starszych zmienia, Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorszenia.

Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny;
Gdy raptem paniczki obce z cudzych krajów,
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiare,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza:
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,
Odbiera naprzód rozum od obywateli.
I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli—
I zląkł się jak dżumy jakięj, cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
Zmieniano wiare, mowę, prawa i ubiory.“

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał pan podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku;
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem!
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stała podczaszyca dwukolna dryndalka,
Która się po francusku zwała karyjulka:
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczyisko, chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem, zawiązanym w miechu.
Starzy na ten ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie,
Jeździ wenecki dyjabeł w niemieckiej karecie.
Sam podczaszyc, jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą lub papugą —
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie,
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie —
Milczał; bo krzyżały młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza! —
Taka była przesądów owoczesnych władza!“

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstituować;
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymówni

Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi —
 Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
 I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
 Nauka dawną była, szło o jój pełnienie!
 Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
 Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie;
 Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł markiza;
 Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
 A natenczas tam w modzie był tytuł markiza.
 Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
 Tenże sam markiz przybrał tytuł demokracji;
 Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
 Demokrata przyjechał z Paryża baronem;
 Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
 Z barona przechrzciliby się kiedyś demokratą.
 Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi:
 A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.
 „Chwała Bogu, że teraz, jeśli nasza młodzież
 Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
 Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,
 Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.“

Adam Mickiewicz.

17. Galileusz.

ur. 1564 † 1642.

Galileo Galileusz, twórca fizyki doświadczalnej (eksperymentalnej) urodził się w Pizie r. 1564, z rodziny szlacheckiej, lecz podupadłej. W dzieciństwie wczesném okazał wielką zdolność i zamiłowanie do prac mechanicznych, naśladować z niepospolitą zręcznością przyrządy różnych rodzajów i wymyślając nowe. Ojciec, zamieszkały we Florencyi, kazał mu kształcić się w przedmiotach, literatury tyczących, lecz, biednym będąc, zdobył się jeno na nauczyciela bardzo miernej wartości. Na szczęście, Galileusz posiadał wielki hart ducha i wytrwałość, a braki wykładu profesora dopełniał własną pracą i dociekaniem. Naprzód zajął się poznaniem wzorów kla-

sycznych — z taką pilnością, że tym to badaniom zawdzięczał w przyszłości jasność swych mów i wytworność stylu. Prócz tego stał się biegłym muzykiem i rysownikiem cenionym, a w sztuce malarstwa tyle posiadał smaku, że słynni ówcześni artyści zasięgali jego rad. Takim był Galileusz w ośmnastym roku życia, kiedy ojciec, uznając w nim niepospolite zdolności, wysłał go do Pizy na wydział lekarski. Młodzieniec czas swój poświęcił studjom medycyny i filozofii. Widocznie Opatrzność powołała go, aby rozpoznał i opowiedział światu wiele cudów przyrody.

Rok 1582 był rodzicem pierwszego odkrycia Galileusza. Będąc raz w katedrze w Pizie, zamyślił się i zastanowił nad jednostajnym a równym ruchem zawieszonęj u sufitu lampy. I zrozumiał odrazu cały pożytek tego spostrzeżenia dla mierzenia czasu, i oto początek wahadła, które widzimy w starych zegarach. W pięćdziesiąt lat później skorzystał z tego przy zegarze, przeznaczonym do badań astronomicznych.

Aż dotąd Galileusz nie zajmował się wcale studjami matematycznymi i nie czuł do nich żadnego pociągu. Jednak, słysząc od ojca, że muzyka i rysunek, oparte są na liczbie oraz mierze, czego naucza matematyka, w tym kierunku rozpoczął badania; mistrzem jego stał się profesor dworu, a przyjacieli i częsty gość ojca, i ten pokryjomu uczył go geometrii.

Matematyka tak zajęła żywy i wiedzy pragnący umysł młodzieńca, że dla niej zaniechał on poprzednich badań. Ojciec starał się wszelkimi sposobami nawrócić go do porzuconych studjów, prosił, przedstawiał, namawiał — wszystko na próżno, w końcu wymówił dom nauczycielowi.

Galileusz umiał już dosyć, aby z kłębka zaczerpniętych wiadomości snuć nie dalszych dociekań. I sam bez pomocy żywego słowa przetrwał wytrwale, tajemnie czytając Euklidesa, a zachwycony postępem, sam się oskarżył przed ojcem o nieposłuszeństwo i pochwalił ze świetnej zdobyczy, ojciec wysłuchał go i nie sprzeciwiał się już gorącym syna pragnieniom. Wtedy to zarzucił on medycynę dla matematyki, a zajęty wykładem Archimedes'a o ciałach pływających w wodzie, tak

przejął się teorią, że idąc w dociekaniach dalej, wynalazł równowagę hydrostatyczną.

Tan wynalazek w połączeniu z poprzednimi spostrzeżeniami, sposób wymowy łatwej i jasnej w dysputach o rzeczach filozoficznych zjednały mu pewien rozgłos; wtedy zawarł ścisłą przyjaźń z margrabią Guido Ubaldi, wykształconym geometrą i zażyłym z wielkim księciem.

Guido zachęcał młodego filozofa do dalszych poszukiwań środka ciężkości ciał stałych i polecił go gorąco opiece wielkiego księcia.

W dwudziestym piątym roku życia objął Galileusz opróżnioną katedrę matematyki w uniwersytecie pizańskim. Chcąc się okazać godnym zaszczytu, nie pominął nic, aby zadaniu temu jak należy, odpowiedzieć; a wyznając, że prawo ruchu jest podstawą wszystkich badań przyrody, zapragnął je stanowczo określić. Nowość i piękność doświadczeń odbytych wśród ogromnej ilości słuchaczy, wywołały ogromny zapal, ale zarazem wzniciły wiele zazdrości w sprzymierzeniach dawniej filozofii, tak że, nie mogąc się ostać przeciw napaściom i prześladowaniom, zmuszony był w r. 1592 opuścić Pizę i katedrę.

Powrócił tedy do Florencji bez zasobów pieniężnych i urzędu, nie śmiejąc się pokazać w domu ojca, który dla niego już tyle ofiar poniósł. Na szczęście, Guido Ubaldi przy rozstaniu wręczył mu list, polecający go pewnemu magnatowi florenckiemu, a ten go przyjął serdecznie i uprzejmie, zapewnił utrzymanie, aby dalej bez troski o chleb powszedni snuł nie badań, zapewniając, iż znajdzie dla niego urząd odpowiedni. Niedługo też Galileusz został wprowadzony do domu swego protektora, człowieka wykształconego i mającego rozległe stosunki, a ten wyjednał mu katedrę matematyki w Padwie na lat sześć.

Młody profesor z wzrastającym ciągle zapalem oddał się wykładom publicznym i rozpoczętym przed laty doświadczeniom. Urządził gwoili wygody rzeczypospolitej wiele maszyn użytecznych. Około r. 1597 wynalazł termometr i kompas wymiaru, który nazwał kompasem wojskowym.

Senat, uznając niepospolite zasługi uczonego, po upływie lat sześciu zaprosił go na dalsze wykłady do r. 1606. Nastąpiło później powiększenie zapłaty i zaszczytów, a ze strony mędrca wdzięczność, znajdująca swój wyraz w niezmordowanej pracy i badaniach. Zamiar i pomysł raz powzięty tkwił w duszy mędrca, a stąd ciągle walki z upartymi przeciwnikami, którzy przekonać się nie dali. Opór, nieudolność, zarozumiałość wrogów podniecały jedynie szlachetną duszę Galileusza, nowe odkrycia snuły się w błyszczących promieniach geniuszu i nauki. Wobec zawistnych stał on spokojny i pewny przyszłości.

W kwietniu czy maju 1609 roku, rozeszła się pogłoska w Wenecji, że pewien Holender wynalazł przyrząd, zbliżający obrazy przedmiotów oddalonych i że go przedstawiał księciu Maurycemu Nassauskiemu. Sposoby jednak jakimi się posługiwał, były nieznane. Galileusz rozpoczął nowe doświadczenia za pomocą posiadanych szkieł, a wynik go zadowolnił; nie było to nic innego jeno wynalazek *teleskopu* czyli *dalekowskaza*. W kilka dni później podał do uznania komisji uczonych i senatu weneckiego kilka tych narzędzi wraz z tekstem, wyjaśniającym znaczenie i użycie ich, w uznaniu zasług został za to wynagrodzonym, przez zapewnienie dożywotniej katedry ze zwiększoną potrójnie pensją.

Oddany hołd zasłudze, wzmógł w nim pragnienie dalszych udoskonaleń. W krótkim czasie, niezmordowany a zachęcony, wynalazł mikroskop i udoskonalił teleskop, tak że można go było zwracać w strony nieboskłonu. Wtedy mógł badać tysiące drobnych gwiazd rozsianych na obłokach, których dojrzeć gołym okiem było niepodobieństwem; to go doprowadziło do nadzwyczajnie pożytecznych i zbawiennych wskazówek dla żeglarzy.

Przez tyle i tak znakomitych odkryć w związku z prawdami Kopernika, zniweczył Galileusz przesady starożytnych, a miasto urojeń, postawił rzeczywistą prawdę.

Pojmujemy, że sława wielkiego mędrca wzrosła, odkrycia były już teraz jedynym celem i przedmiotem jego mów oraz pism; z pogardą zaś i ubolewaniem nad błędami a nieświado-

mością swych poprzedników niekrył się wcale. Okoliczności wszelako działy, iż nie był pod opieką Wenecyi, gdyż uległszy namowom wielkiego księcia Toskanii, który go mianował swym matematykiem nadzwyczajnym i wielkimi obdarzył zaszczytami, porzucił Padwę dla Florencyi. Prócz zwykłych zawistnych nieprzyjaciół, powstał przeciw niemu jeszcze wszyscy uczeni, których wykłady, oparte na danych ze starożytności, straciły swą podstawę istnienia. Najłatwiejszym i najpewniejszym sposobem podkopania wiary w rozum Galileusza było potępienie wyznawanej przezeń teorii Kopernika, jako niezgodnej z objawieniami Pisma Św. i oskarżonej w Watykanie jako kacerska nauka.

Daremnie Galileusz w liście otwartym w r. 1616, wystosowanym do w. księżny tokańskiej chciał burzę zażegnać i dowodził teologicznie, że odkrycia jego w niczem nie sprzeciwiają się prawdom przez Pismo Święte głoszonym, próżno powoływał się na słowa ojców kościoła zgodne z jego zapatrywaniami, wszystko to podniecało jedynie gniewy, spory i prześladowania. Wezwany, musiał osobiście stawić się w Rzymie, gdzie zgromadzenie teologów następny odczytało mu wyrok: „Utrzymywać, że słońce jest nieruchome wśród świata stworzeń, jest rzeczą nierozumną, niezgodną z filozofją i najzupełniej heretycką, gdyż sprzeciwia się to słowom Pisma Św.; twierdzić, że ziemia nie znajduje się wpośród światów, że nie jest nieruchomą, że obraca się około osi wszechświata, jest domysłem fałszywym, tak w dziedzinie filozofii jak wobec wiary“.

Na takie jedynie dowody nakazano mu odwołać owoc tyloletniej, sumienniej pracy, który potępiono wyraźnie.

Galileusz powrócił w r. 1617 do Florencyi i na nowo oddał się zwykłemu zajęciom.

Przeciwności budziły w nim zapał, wiara wzmacniała ducha, przedsięwziął więc w jednym dziele streścić system wynaleziony i poprzeć go namacalnymi dowodami fizycznymi. Zastanawiał on się i pracował nad tém dziełem lat szesnaście. Wszystko, na co może zdobyć się nauka i talent znajduje się w tém dziele. Niepodobna wyobrazić sobie gniewu, jakim teologo-

wie zawrzeli po przeczytaniu uczonej księgi. Mimo starań i wstawiania się wielkiego księcia, dzieło potępiła inkwizycyja, jako kacerskie, autora zaś powołano przed sąd duchowny. Ani starość, ani choroba nie ochroniły go od podróży, a miał wtedy sześćdziesiąt lat wieku.

Przybył do Rzymu 19 Lutego 1633 r. i najprzód błagał o łaskę papieża, oraz świętej inkwizycyi. Po dwudziestu dniach odesłano go do pałacu posła tokańskiego z zakazem wychodzenia poza mury. Wezwanemu zaś 22 Czerwca przed sąd najwyższy, kazano odprzysiąc się dzieł swoich w tych słowach:

„Ja Galileusz, 70-letni starzec, więzień, padający na kolana przed waszemi świętobliwościami, kładąc ręce niegodne na Ewangelii, odwołuję, i wyrzekam się mych spostrzeżeń... odprzysięgam się, przeklinam je i drzę zgrozą przed błędem, oraz herezyją obrotu ziemi“... po dokonaniu smutnego aktu dzieło spalono, a twórcę odprowadzono do więzienia!...

Utrzymują, iż po wymuszonej w ten sposób przysiędze, Galileusz, uderzywszy nogą o ziemię, zawołał: *E pur si muove!* (A jednak się obraca!)

Wyznać jednak należy, iż—mimo niesprawiedliwości i surowości sądów duchownych—wyroku nie spełniono i w r. 1633 pozwolono mu mieszkać na wsi niedaleko Florencyi; żył jeszcze lat ośm, a zmarł 9 stycznia 1642 r., mając wieku lat siedmdziesiąt ośm; był to rok narodzin Newtona.

Zwłoki przeniesiono do Florencyi, gdzie później wystawiono mu wspinały pomnik.

18. Bitwa pod Lipskiem.

W pierwszych dniach października roku 1813 przeprowadził Napoleon wojska swoje zpod Drézna w okolicę Lipska.

Wojska sprzymierzone poczęły się także zgromadzać około tego miasta, aby odciąć Napoleonowi odwrót do Francyi. Tutaj rozpoczęły się 16 października olbrzymie zapasy. Sta-

nęło przeszło 300 tysięcy sprzymierzonych przeciw 200 tysiącom Francuzów. Począwszy od 8-jej godziny zrana grzmiało z obu stron tysiąc armat, aż ziemia drżała i okna w Lipsku pękały.

W stronie południowej za Lipskiem stał Schwarzenberg z Rosyjanami i Austryjakami, po zachodniej zaś szturmowały pułki austrijackie, a na północ bił się Blücher w połączeniu z Yorkiem. Pierwsze uderzenie sprzymierzonych było tak silne, że linia francuska zachwiała się, lecz gdy to zobaczył Napoleon, zaraz wzmocnił ją nowymi oddziałami.

Walka była nierozstrzygnięta; z obu stron zdobywano wsi i znowu z nich ustępowano. Wtedy Napoleon wojsko swoje rezerwowe wysłał przeciw obydwu skrzydlom sprzymierzonych, aby je rozbiły, lecz generał Nostitz z kirasyjerami wstrzymał to uderzenie. Murat teraz miał wykonać cios stanowczy. Na czele ośmiu tysięcy ciężkiej jazdy puścił on się galopem na piechotę sprzymierzonych, tak że ziemia drżała pod kopytami koni; rozbił środek wojska i bitwa zdawała się dla nich przegrana. Austriacki generał Merfeld dostał się do niewoli. Napoleon wysłał wtenczas gońców do Lipska z wieścią o zwycięstwie i w dzwony uderzyć kazał.

Było to jednak przedwcześnie. Schwarzenberg stanął na czele kozaków i odparł Francuzów. Murat uderzył drugi raz na niego, rażąc nieprzyjaciół ogromnym ogniem działowym, lecz Prusacy go odparli. W końcu zarówno Francuzi jak i sprzymierzeni pozostali na swoich stanowiskach.

Blücher w tym dniu znaczne wprawdzie odniósł korzyści, odebrawszy Francuzom Mökern, lecz każdy krok swój drogo okupić musiał, bo Francuzi bronili nie tylko każdego domu we wsi, lecz każdej izby i każdego kąta. W tym dniu księżę Józef Poniatowski, który bronił zamku i wsi Conewitz, otoczonej łąkami, tak się odznaczył, że go mianowano marszałkiem Francji.

Dnia 17 w niedzielę było zupełnie spokojnie.

Nazajutrz wznowiła się okropna walka. Nadeszły tymczasem nowe oddziały austriackie i rosyjskie, przybył także na-

stępcę tronu szwedzkiego i połączył się z Blücherem. Najbitniejsze w Europie narody stały na placu bitwy. W południowej stronie za miastem stał na wzgórzu Napoleon, a stąd nie-
zbyt daleko na inném wzgórzu znajdowali się monarchowie sprzymierzeni, przy nich Schwarzenberg. Od rana mgła zakrywała pola, lecz później ustąpiła przed pogodnym słońcem. Walczono w trzech stronach: północnej, wschodniej i południowej, Walka była bardzo zacięta, najzaciętsza jednak tam, gdzie był sam Napoleon, szczególnie około wsi Probstheida, którą naprzemian Francuzi tracili i odzyskiwali. Trzysta armat grzmiało tu z jednego miejsca. Wśród walki przeszli Sasi do sprzymierzeńców, a Napoleon nie mógł już pokonać przewyższającej liczby odważnych nieprzyjaciół. Około piątej godziny po południu rozkazał Fryderyk Wilhelm zaprzestać bitwy, widząc zwycięstwo swoich hufców. Na wzgórzu przy świetle obozowego ogniska wydawał Napoleon rozkazy do odwrotu. Znużony czuwaniem usiadł na prostym stołku i zasnął na chwilę. W milczeniu stali około niego generałowie. Obudzony marszem żołnierzy, pojechał śpiesznie do Lipska na noc. Nazajutrz bardzo rano sprzymierzeni uderzyli na Lipsk, którego broniło dwóch marszałków, mających zabezpieczyć odwrot wojsku francuskiemu. O godzinie 10-tej Napoleon opuścił miasto. Niedługo potem wysadzono w powietrze most, przez rzekę Elster prowadzący. Było to zawczasie, tak że wiele tysięcy Francuzów nie mogło się przez rzekę przeprawić, a wielu z tych, którzy się wplaw rzucili, utonęło; między nimi waleczny marszałek księżę Józef Poniatowski, naczelny wódz wojska polskiego, walczącego pod rozkazami Napoleona. Francuzi stracili w tej bitwie 80 tysięcy, sprzymierzeni 50 tysięcy wojska.

19. O bogach w starożytności.

Dla nas świat jest niezmierzoną całością, obejmującą wszystko stworzone, całością stworzoną z nieobliczonej ilości części, całością, której granic nie znamy. Nasza ziemia jest

dla nas odrobiną tylko wśród téj całości, okruszyną pojedynczą wśród niezliczonych, przez wszechmoc twórczej siły do bytu powołanych ciał. Inne były wyobrażenia starożytnych, mianowicie Greków i Rzymian. Ziemia była dla nich środkiem całego świata, a jęj powstanie tłumaczyli oni w następujący sposób: Na początku był Chaos (zamęt, — skąd się wziął, o tém nie myśleli) to jest bezkształtna i zawila masa pierwotnej materii, z której wszystkie stworzenia utworzone zostały, surowa bryła, którą dopiero inna, poza nią leżąca siła na części podzieliła i usposobiła do wydania różnorodnych przedmiotów.

Tą siłą odmienną był Eros (Amor, Miłość), pod którego wpływem pokrewne pierwiastki i przedmioty łączyły się i od obcych oddzielały, tak że ład i harmonija zaczęły się do Chaosu wciskać.

Za pomocą tego wyboru między różnymi, a podobnymi sobie pierwiastkami, powstały z Chaosu najpierw Erebos (pierwiastek ciemności) i Nyks (noc) po dniu następująca. Te znowu się połączyły i wydały: Eter (czyste powietrze) i Hemerę (dzień). Ze zbliżenia się Erosa i Chaosu powstał Tartar (podziemie) i Gea (Tellus albo Terra—ziemia), która dała życie Pontosowi (morzu), górom i Uranosowi (niebu). Z połączenia ziemi (Gea) z wydanymi przez nią na świat Pontosem i Uranusem powstało liczne potomstwo, z którego na uwagę zasługują Tytany, Olbrzymy i Cyklopy.

Starożytni twierdzili, że ziemia, utworzona przez siłę twórczą miłości, była zrazu zaludnioną przez istoty potężniejsze od żyjących pokoleń. Również wyobrażali sobie ziemię, będącą dla nich światem całym—inaczéj, aniżeli ją dziś znamy. Przyzwyczajeni ograniczać się do rzeczy widzianych, o kształcie ziemi sądzili ze znanych sobie przedmiotów. Stanąwszy na wieży lub górze wśród płaszczyzny, możemy zauważyć dokładnie cały widzialny obszar ziemi w kształcie okrągłej równiny, na której kończynach niebo opartém być się zdaje. To przyrodzone zjawisko, które nam inne nauki tłumaczą, doprowadziło starożytnych do przekonania, że ziemia jest wypukłą

tarczą, nieruchomą, ze wszystkich stron okrażoną przez wody pierwotne, Oceanem zwane. Zewnętrzne brzegi téj tarczy były w ich pojęciu wywyższone dla stawienia oporu falom morskim; część środkowa wklęsła, zapełniona przez morze (Pontos), do którego zlewały się rzeki z różnych stron tu biegnące. Nad tą tarczą znajdowało się, wedle ich mniemania, o wiele obszerniejsze sklepienie niebios, podobne do namiotu, spoczywającego na górach u ostatecznych krańców ziemi.

Powietrze, chmury a ponad niemi czysty eter zajmowały przestrzeń między tarczą ziemi a niebios sklepieniem, na którym znajdowały się: słońce, księżyc i gwiazdy. Codzién rano, bóstwo, zaprzągłszy wóz w cztery dzielne rumaki, wiozło słońce, zakreślając łuk ku zachodowi dla oświetlenia ziemi, a wieczorem zanurzało się w Oceanie, po którym na statku podczas nocy na wschód wracało, ażeby na drugi dzień téż samą rozpocząć wędrówkę.

Wielkie, czyli pierwszorzędne bogi, żyły w powietrznym przestworze między ziemią a niebem, główném ich mieszkaniem były pyszne pałace na szczycie góry Olimpu. Tymi bogami są: Zeus (Jowisz), Hera (Juno), Pozejdon (Neptun), Demeter (Ceres), Apolo, Artemida (Dyjana), Hefestos (Wulkan), Palas Atena (Minerwa), Ares (Mars), Afrodyte (Wenus), Hermes (Merkury), Hestyja (Westa). Wedle wyobrażeń starożytnych, Olimp tworzył wyniosły środek ziemi. Z Olimpu mieli bogowie schodzić od czasu do czasu do ludzi śmiertelnych, aż późniejsze wyobrażenia przeniosły ich mieszkanie ponad niebios sklepienie, skąd oni, przez znajdujący się w niebie otwór, koło którego zamek Jowisza i pałace innych bogów się znajdowały, całą ziemię widzieć mogli. Stosownie do tego wyobrażenia, używano nieraz wyrazu Olimp, gdy o niebie mówiono i przezeń głównie siedzibę bogów oznaczano. Olimpowi przeciwstawiano Tartar (świat podziemny), wielkie sklepienie głęboko pod powierzchnią ziemi, w jęj wnętrzu leżące, do którego, na zachodzie ziemi wpadała rzeka, z Oceanu płynąca i ku powierzchni ziemi dążąca, tworząc granicę Tartaru. Styxem

zwano tę rzekę i na jej to falach dostawano się do świata podziemnego.

Niższe bóstwa i bohaterowie nie dzielali mieszkania z bóstwami pierwszorzędnymi; ale zdania starożytnych różniły się co do miejsca ich pobytu. Bóstwa niższe, których działalność przywiązana była do pewnych miejscowości, nie mogły mieć oddzielnych mieszkań. I tak: Najady, czyli nimfy źródeł, żyły w źródłach; Oready, nimfy gór—w górach; Dryjady, nimfy drzew—w drzewach, i t. d.

(Olimp *A. H. Petyskusa*, przekład *A. Dzierżyszycki*).

20. Koń Aleksandra Macedońskiego.

Niedaleko Peli, stolicy państwa Macedońskiego, przybył na obszerną równinę król Filip, otoczony świetnym orszakiem dworzan. Zdawało się, że jakaś wielka uroczystość sprowadza w to miejsce tylu dostojnych rycerzy.

Wkrótce wystąpił z tyłu Tesalończyk Filokinus z Farsalii, prowadząc za uzdę cudnej piękności rumaka. Zbliżył się aż do wzniesienia, na którym siedział król Macedoński, razem ze swoim zaledwie szesnastoletnim synem Aleksandrem.

— Panie!—rzekł przyklękając Tesalończyk—oto najpiękniejszy rumak, jakiego kiedykolwiek wykarmiły bujne błonia Tesalii, a ponieważ niema na całym świecie wspanialszego władcy nad Filipa, sądzę więc, że ten rumak może należeć tylko do ciebie. Racz go przyjąć za sumę szesnastu talentów.

W istocie, trudno było o piękniejszego konia. Szlachetne zwierzę dumnie wznosiło głowę, bijąc w ziemię niecierpliwym kopytem i parskając ognistymi nozdrzami. Znamię na łopatce zupełnie podobne do wołowej głowy, zjednało mu nazwę Bucefała.

— Zgadza się—odpowiedział Filip—jeżeli koń posiada zalety, o których mówisz; niech go więc wypróbują.

Na te słowa przyskoczyło kilku koniuszych, a jeden z nich zamierzał dosiąść Bucefała. Ale koń zaczął skakać, dawać dęba, rzucać się w bok i wywracać każdego, ktokolwiek pró-

bował go ujarzmić. Musiano zaniechać próby. Najśmielsi jeźdźcy oświadczyli, że to dzikie, gwałtowne zwierzę na nic się nie przyda, bo nikomu nie pozwoli się ujeździć.

Filip dał rozkaz, aby zwrócono konia Tesalończykowi, gdy Aleksander zawołał:

— O wielcy bogowie! mamy tracić tak pięknego rumaka, dlatego, że im zbywa na zręczności i odwadze!

Filip udał z początku, że nie słyszy tych słów, lecz gdy Aleksander coraz mocniej nalegał, ojciec połajał go, mówiąc:

— Śmiesz ganić ludzi starszych i doświadczeńszych od siebie! Czyż ci się zdaje, żeś od nich zręczniejszy? Czyż sądzisz młokosie, że zdołałbyś pohamować to zwierzę?

— Tak, mój ojcze, zdaje mi się, że dałbym sobie z niím radę.

— A jeśli ci się nie uda—mówił Filip—jakaż karę naznaczysz na siebie za zarozumiałość?

— Zapłacę wartość konia—odrzekł Aleksander.

Wszyscy roześmieli się, pewni, że przyszły zdobywca Indyj przegra zakład.

Tymczasem Aleksander zbliżył się do rumaka, który, spostrzegłszy go, zarżał pełną piersią, wyrzucając kłęby piasku naokoło siebie. Królewicz nie zraził się, ale, ujawszy pewną ręką cugle, zwrócił mu głowę ku słońcu, gdyż zauważył, że własny cień konia, powtarzający wszystkie jego ruchy, najbardziej go przestraszał. Potém, pieścąc go dłonią i głosem, zdołał potrosze ulagodzić, a zsunawszy nieznacznie swój płaszcz na ziemię, szybko jak błyskawica wskoczył na grzbiet dzikiego wierzchowca. Bucefał zaczął się szarpać i wstrząsać głową, Aleksander ściągał cugle: koń bierze na kiel, pędzi—lecz nadaremnie usiłuje zrzucić śmiałego jeźdźcę. Wytrzymawszy pierwsze wybuchy zapалу, Aleksander zwalniał stopniowo cugle i, podżegając ostrogami, dozwolił rumakowi galopować według upodobania. Później, gdy zmordowany Bucefał chciał się zatrzymać, młodzieniec zniewalał go do dalszego biegu, i dopóty na nim harcował, dopóki zwierzę nie straciło prawie oddechu.

Filip z początku spoglądał na syna z niemą obawą; lecz, widząc z jaką zręcznością, pokierowawszy rumakiem, przyprowadza go zupełnie upokorzonego, zapłakał z radości, a cały orszak wybuchnął głośnym okrzykiem uwielbienia. Gdy Aleksander zeskoczył na ziemię, ojciec pobiegł ku niemu, a przytuliwszy do serca, zawołał:

— O mój synu! trzeba ci godniejszego królestwa, bo Macedonija nie zdoła cię objąć!

Od tego czasu Bucefał, dopóki nie miał na sobie siodła, ani czapraka, mówią, że dozwalał przystępu koniuszemu, który miał o nim staranie; lecz osiodłany zrzucił wszystkich, prócz Aleksandra, przed którym do wsiadania przykłękał, okazując wielkie zadowolenie.

Słowa Filipa: „O mój synu! trzeba ci szukać godniejszego królestwa, bo Macedonija nie zdoła cię objąć”—były proroczymi. Aleksander, zostawszy królem po śmierci ojca, zamordowanego przez Pauzanijusza, postanowił podbić Azyję, i wyruszył na tę wyprawę na czele 30,000 piechoty i 5,000 jazdy. W roku 334 przebył Helespont, a wkrótce potem Granik, gdzie o mało nie utonął. Ocalenie swoje zawdzięcza dzielności Bucefała, który mimo silnego prądu, przepłynął z nim na drugi koniec rzeki — jak niemniej jednemu ze swoich wodzów, Klitusowi, który zasłonił go przed ciosem Spitridatesa, dowódcy oddziału wojska perskiego. Od tej chwili pochód Aleksandra przez Azyję był nieprzerwanym szeregiem tryumfów. Po śmierci Daryjusza, zamordowanego przez zdrajców Besusa i Narzabana, zostawszy panem Persyi, udał się do kraju Hirkanów. Tam dopiero dał dowód najjawniejszy przywiązania do swego bojowego wierzchowca. Dnia jednego, gdy mściciele poprowadzili Bucefała na łąkę, oddział barbarzyńców napadłszy ich, wydarł i uprowadził przepysznego rumaka. Aleksander, posłyszawszy to, zawrzał szalonym gniewem i postanowił srogo ukarać wydzierców. Natychmiast wyprawił posłańca z oznajmieniem, że jeżeli barbarzyńcy nie zwrócą mu konia, każe wyciąć wszystkich jeńców, nie oszczędzając kobiet ani dzieci. Przerażeni tą groźbą, czémprędzej odesłali Buce-

fała, a chcąc przebłagać zwycięzcę, oddali mu swoje miasta i warownie. Na widok ulubionego konia, Aleksander zapomniał o gniewie; aby okazać barbarzyńcom, ile doznaje radości, przebaczył im zupełnie, a nawet hojnie obdarował.

Zresztą szlachetne to zwierzę godnym było przywiązania, jakim je otaczał macedoński bohater.

Jeszcze przed wyprawą do Azyi, przy oblężeniu Teb, Bucefał, choć był raniony, nie dozwolił, aby Aleksander innego dosiadł wierzchowca. Od wyjścia z Macedonii, brał udział we wszystkich potyczkach i z mnóstwa niebezpieczeństw wyprowadził swojego pana. Śmierć uwieńczyła szereg wyświadczonych mu usług. Aleksander w sławnej bitwie z Indusami, ścigał na Bucefała ich króla Parusa, wśród gradu nieprzyjacielskich strzał i pocisków; rumak ugodzony jednym z nich, osłabł i zwolna pochylił się ku ziemi, jak gdyby gwałtownym upadkiem obawiał się skaleczyć swojego walecznego pana. W kilka chwil wydał ostatnie tchnienie. Aleksander (mówi Plutarch), tak wielkiej doznał boleści, jak gdyby utracił najbliższego krewnego. Kazał wyprawić ulubieńcowi wspaniałą pogrzeb, a w miejscu, gdzie go pochowano, to jest nad brzegiem Hidaspu, założył miasto, które na cześć jego nazwał Bucefalią.

Jan Chęciński.

21. Miecz Damoklesa.

Dyjonizyjusz, rządca Syrakuz, przy zdolnościach wojennych i politycznych miał wady, które ściągnęły na niego ogólną nienawiść. Obok niepohamowanej dumy, chciwości, okrucieństwa, nie oszczędzającego nawet najbliższych krewnych, był tak jawnym bezbożnikiem, że zdawał się dlatego tylko uznawać bogów, aby ich przy lada sposobności najotwarciiej znieważać.

Raz, wracając przy pomyślnym wietrze do Syrakuz od Lokrów, po złupieniu sławnej świątyni Prozerpiny, zawołał:

— Patrzcie, przyjaciele, jak nieśmiertelni bogowie, sprzyjają żegludze świętokradców!

Innym razem, potrzebując pieniędzy na prowadzenie wojny przeciw Kartagińczykom, zabrał z posągu Jowisza Olimpijskiego szczerozłoty płaszcz, mówiąc, że był za ciężki na lato, a za chłodny na zimę; natomiast kazał mu uszyć sukienny, który, jak utrzymywał, będzie dobry na wszystkie pory roku.

Później kazał on odjąć bożkowi Eskulapowi złotą brodę, dając za powód, że nie wypada, aby syn pozwalał sobie mieć brodę, kiedy jęj ojciec (Apollo) nie zapuścił.

Podobnie kazał pozabierać ze wszystkich świątyń srebrne i złote stoły, a, ponieważ podług zwyczaju greckiego były na nich napisy: „łaskawym bogom,” Dyjonizyjusz mówił, że właśnie chce z ich łaski korzystać.

Za takie świętokradztwa obywatele cierpieć go nie mogli, to też pomimo swojej wielkości, Dyjonizyjusz na łonie bogactw i pozornych uciech wiódł nieszczęśliwe życie, bo niepokozone ciągłymi podejrzeniami i obawą zasłużonej zemsty. On też sam najdowcipniej przy zdarzonej sposobności odmalował swoje dręczące położenie.

Jeden z pochlebnych dworzan, imieniem Damokles zwykł był niezmordowanie pochwałami wynosić pod niebiosą bogactwa, zaszczyty i roskosze Dyjonizyjusza, powtarzając, że nie było i nie będzie szczęśliwszego na ziemi człowieka.

— Jeżeli tak sądzisz, Damoklesie — rzekł pewnego dnia Dyjonizyjusz — muszę ci dać zakosztować mojej szczęśliwości.

Na te słowa rozpromieniła się twarz dworaka; tymczasem Dyjonizyjusz rozkazał przygotować wspaniałą biesiadę, do której posadził go na przepysznym łożu, pokrytym drogimi kobiercami, gdzie zwykle sam zasiadał. Stoły zastawione były złotymi i srebrnymi półmiskami, pucharami; najwyszukańsze wonności łączyły zapach z zapachem świeżych kwiatów, a niewolnicy znosili coraz wyborniejsze potrawy i wina, usługując biesiadnikom z zadziwiającą szybkością i najgłębszym poszanowaniem. Damokles tonął w roskoszach, uważając się za najszczęśliwszego z ludzi, kiedy przypadkiem, podniósłszy oczy

w górę, ujrzał ostrze miecza zawieszonego prostopadle nad swoją głową na jednym jedynym końskim włosku.

Na ten widok zastyga mu krew w żyłach, wspaniałe przyozdobienie sali, delikatne potrawy, blask złota, srebra i drogich kamieni, usłudźni niewolnicy, szumiące wino — wszystko znikło zprzed jego oczu; widział tylko zawieszony miecz i czuł zagrażające mu w każdej chwili niebezpieczeństwo.

Nareszcie pełen obawy, zerwał się od stołu, oświadczając, że nie chce być dłużej tak szczęśliwym, i odtąd przestał już nudzić Dyjonizyjusza swemi przesadnymi pochwałami.

Jan Chęciński.

22. Niegodziwość Karakali.

Nie można czytać bez oburzenia nikczemnego postępków Karakali względem Artabana, króla Partów. Udał się do niego z najściślejszym przymierzem, wyprawił do niego poselstwo z wytwornymi darami i listem, w którym prosił króla Partów o rękę córki. Jakkolwiek Artabanowi ani przez myśl nie przeszedł niegodziwy zamiar Karakali, jednak odsunął jego propozycję w sposób, jak mógł, najuprzejmiejszy. Wymawiał się przede wszystkim różnicą obyczajów, praw i obrządków religijnych, jaka zachodziła między Partami a Rzymianami, wreszcie w szumnych frazesach podziękował imperatorowi za ofiarowany sobie tak wielki zaszczyt.

Karakala wkrótce ponowił swoje natrętne nalegania. Wyprawił nowych posłów z bogatszymi jeszcze podarunkami, zapewniając Artabanowi uroczystą przysięgą, jak najściślejsze przymierze. Król, złudzony fałszywymi obietnicami, zgodził się nareszcie na oddanie mu córki swojej za żonę i sprosił najdostojniejszych dworzan, aby z nim razem udali się na spotkanie rzymskiego imperatora.

Podstępny Karakala wszedł do państwa króla Partów i zbliżał się ku Ktezyfontowi. We wszystkich miastach, które przebywał, mieszczenie przyjmowali go okrzykami radości, pa-

ląc na znak czci (według swego zwyczaju) kosztowne wonności na ołtarzach, ozdobionych kwiatami. Imperator, za objawy takiego poważania, składał wszystkim najczulsze dzięki, przyrzekając przyjaźń i wdzięczność z pozorem najzupełniejszej szczerości.

Artaban w towarzystwie całego swojego dworu przyjął Karakalę na obszernej równinie w pobliżu królewskiego miasta. Niezliczone mnóstwo Partów z uwieńczonymi głowami, z instrumentami muzycznymi postępowało za królem, napelniając powietrze muzyką i radosnymi śpiewy. Spotkanie dwóch władców odbyło się wśród objawów wzajemnego poważania, przyjaźni i wierności. Partowie, pragnący widzieć imperatora rzymskiego, zbiegali się tłumnie dla nasycenia swą ciekawości i mieszały się w nieładzie z orszakami Karakali, tak że wkrótce jedni i drudzy utworzyli potężny tłum ludności.

Wtedy to Karakala uważając, że nadszedł przyjazny moment uskutecznienia zamierzonej zdrady, dał umówiony znak swoim i rozpoczął najokropniejszą rzeź. Rzymianie z orężem w dłoni rzucili się na Partów, którzy, nie przypuszczając zdrady, przybyli bez broni, jak na wesele, zaopatrzeni tylko w muzyczne instrumenty. Mordowano ich więc bez trudu, a sam Artaban, pochwycony przez swoją straż i spieszenie wsadzony na konia, zaledwie zdołał uniknąć zdradliwych ciosów. Po zrabowaniu wszystkiego, co Partowie, uchodząc, pozostawili na placu, Karakala wrócił do Mezopotamii, niszcząc ogniem i mieczem wszystko, co spotkał na drodze i zostawiając wszędzie smutne ślady swojego okrucieństwa.

Wreszcie, pyszniąc się tym barbarzyńskim postępkami, jak gdyby odniósł najświetniejsze zwycięstwo, napisał szumny list do senatu, w którym doniósł, że pokonał Partów i ujarzmił Wschód. Senat wiedział dobrze o prawdziwych szczegółach tej wyprawy, jednakże nie wstydził się uwieńczyć zdradę Karakali, udzielając mu przydomek *partyjskiego* i oddając jego nikczemności hołdy, należne tylko prawdziwej zasludze. Karakala przyjął je z wrodzonym sobie zuchwalstwem, choć głos

wewnętrzny mówił mu pewno, że tego rodzaju zwycięstwa powinny się wynagradzać samą tylko pogardą.

Jan Chęciński.

23. Horacyjusz i Kuryjacyjusz.

Kiedy Rzym doszedł był już do pewnej potęgi, zapragnął owołać losami Alby, miasta w Lacyjum, które niegdyś z powodu bardzo mnogiej ludności, dało początek wielu latyńskim miastom, a nawet samemu Rzymowi. Około roku 670 przed nar. Chr., pod panowaniem Tullusa Hostyljusza, trzeciego króla rzymskiego, owa chęć wywyższenia się wzrastającego grodu i niezadowolnienia zazdroszczącej mu Alby wybuchnęła jawnym i groźnym płomieniem nienawiści.

Powodem zaczepki był wypadek niewiele znaczący. Kilku rzymskich pasterzy wpadło do dzierżaw albańskich dla łupieństwa. Albańczycy użyli praw odwetu. Rzym natychmiast zaniósł skargę, a nie otrzymawszy zadosyć uczynienia, wypowiedział wojnę. Oręż miał rozstrzygnąć, który naród będzie panował nad drugim. Z obu stron poczyniono przygotowania. Metus Tufecyjusz, wódz albański wyruszył z dobrze uzbrojonym wojskiem i stanął obozem o kilka mil od Rzymu, gdzie dostrzegł już namioty Hostyljusza, stawiającego mu groźne czoło. Oba wojska w szyku bojowym oczekiwały tylko hasła do walki, kiedy wódz albański wystąpił z szeregów, wezwał Tullusa do rozmowy i tak odezwał się do niego:

— Jawnem jest, iż tylko zazdrość pobudza dwa spokrewnione narody do śmiertelnej rozprawy; ale na cóż przelewać krew bratnią, na co osłabiać wzajemne siły? Chyba na to, aby się potem stać pastwą naszych wspólnych nieprzyjaciół! Nie, królu, tak być nie może, i dlatego postanowiłem inaczej ci poradzić. Niechaj los bitwy zostanie rozstrzygnięty przez pojedynkę kilku rycerzy, wybranych z obu wojsk, a naród, którego zapaśnicy polegą, podda się na wieki narodowi zwycięzców.

Hostyljusz zgodził się na to i obaj wodzowie powrócili do swoich wojsk, aby wybrać najmężniejszych rycerzy, którymby mogli powierzyć tak wielki, tak zaszczytny obowiązek.

Trudno wypowiedzieć, ilu odważnych, tak z jednój, jak z drugiej strony ubiegało się o udział w tej pamiętnej potyczce; ale los powołał do niej ludzi, których sama natura zdawała się do tego sposobieć.

Sekwenjusz, obywatel Alby, miał dwie córki; jedną, poślubioną Albańczykowi, Kuryjacemu, drugą—Horacyjuszowi, mieszkańcowi Rzymu. Każda z nich jednocześnie została matką trzech synów bliźniąt, którzy dorosłszy, stali się odważnymi wojownikami. Ci bliźniacy więc przedstawili się do walki; trzej bracia ze strony Alby, trzej ze strony Rzymu—i zostali jednogłośnie przyjęci.

Skoro nadszedł dzień boju, sześciu rycerzy, od których męstwa zależała przyszłość dwóch poróżnionych grodów, stanęło naprzeciw siebie. Każdy z dwóch narodów dodawał odwagi swoim, polecał ich opiekuńczym bóstwom, przywodził na pamięć ojczyznę, domowe zagrody, rodzinę i przyjaciół, dodając, że w tej stanowczej chwili wszyscy obywatele, tak pozostali w domach, jako i znajdujący się na polu bitwy, pokładają w ich męstwie całe zaufanie i jedyną nadzieję. Pośród szeregów obu wojsk młodzieńcy, dumni zaszczytem zbliżyli się ku sobie; spojrzenia zebranych tłumów padły jednocześnie na sześciu dorodnych przeciwników.

Na dany znak Horacyjusze i Kuryjacyjusze, niby dwa maleńkie oddziały, płonące jednak męstwem tysięcy rycerzy z bronią w ręku uderzyli na siebie. Wtedy mimowolna trwoga ogarnęła patrzących; zdawało się, że podczas walki jakaś niewidzialna siła wstrzymuje wszystkich głos i tchnienie. Tylko sześć sześciu oręży przerywał tę pełną grozy ciszę. Nareszcie dwaj Rzymianie polegli, a wszyscy trzej Albańczycy zostali ranieni.

Na widok dwóch Horacyjuszów upadających, okrzyk radości rozległ się w szeregach albańskich, w rzymskich zaś rozpacz zajęła miejsce nadziei; ale ostatni z Horacyjuszów, sam

jeden otoczony trzema przeciwnikami nie był jeszcze ani raniiony, ani zbyt utrudzony. Połączywszy więc podstęp z odwagą i dzielnością udał, że ucieka z placu, aby tym sposobem rozdzielić ścigających go nieprzyjaciół. Był prawie pewny, że, nacierając pojedynczo, wszystkich trzech zdoła pokonać.

Nagle nowa cisza zalega zgromadzenie. Horacyjusz uciekający, oddaliwszy się znacznie od pierwotnego miejsca potyczki, dostrzegł, że goniący za nim przeciwnicy dosyć się już odsunęli jeden od drugiego. Wtedy stanął, odwrócił się, natarł dzielnie na najbliższego, zabił go i pobiegł zmierzyć się z drugim. Rzymianie odzyskawszy stracaną nadzieję, zachęcali go pochwalnymi okrzykami, a Horacyjusz, pragnąc czémprędzej zakończyć walkę, pokonał drugiego Albańczyka, zanim ostatni z braci zdążył mu nadbieść z pomocą. Tak więc pozostał jeden przeciw jednemu, lecz nie były to równe siły. Rzymianin bowiem nie był jeszcze raniiony, a podwójne zwycięstwo dodawało mu odwagi; tymczasem Kuryjacyjusz znużony biegiem i utratą krwi osłabiony, nie mógł spodziewać się tryumfu. Gdy się spotkali, Horacyjusz rozpromieniony i dumny, zawołał:

— Dwie ofiary złożyłem cieniom dwóch braci moich, trzecią składam Rzymowi; niechaj nasz naród wiecznie włada losami Alby.

To rzekłszy, bez trudu pokonał zaledwie trzymającego w dłoni miecz Kuryjacyjusza.

Rzymianie z niewypowiedzianą radością przyjęli zwycięzcę, zwłaszcza, że przed chwilą ani spodziewali się tak szczęśliwego dla siebie zakończenia tej rozprawy. Wojsko wróciło do Rzymu; na czele szedł Horacyjusz, za którym niesiono zdobyte zbroje trzech Albańczyków.

Przy wejściu do miasta spotkali siostrę zwycięzcy, która była narzeczoną jednego z Kuryjacyjuszów; ta poznawszy zbroję swego przyszłego męża, nie mogła powściągnąć rozpacz, zaczęła gorzko płakać, wydzierać sobie włosy i złorzeczyć losowi.

Młodzieniec oburzony, że siostra, zamiast podzielać ogólną radość, przeklina chwilę zwycięstwa, chwycił za oręż i przebił ją, mówiąc:

— Idź, połącz się z narzeczonym i niechaj ginie w ten sposób każdy, kto się ośmieli płakać nad zgonem nieprzyjaciela Rzymu!

Jednakże ten postępek wydał się zbyt okrutnym tak starszym, jak i całemu narodowi. Król wyznaczył dwóch urzędników, aby osądzili Horacyjusza; ci wyznali po naradzie, że ocalenie jest niepodobne i skazali go na śmierć.

Już lektorowie zbliżali się, aby winowajcy związać ręce, gdy Horacyjusz zawołał donośnym głosem:

— Odwołuję się do ludu!

Lud, pamiętny na wysokie zasługi, stałość duszy i świeże zwycięstwo młodego bohatera, uniewinnił jego uniesienie i ocalił mu życie.

Jan Chęciński.

24. Jezus w kościele między doktorami.

Jezus wzrastał w lata w ubogim domku rodziców. Obok boskiej piękności okazywał on w dziecinnych latach nadzwyczajną dobroć i mądrość, ale nikt jeszcze obcy o boskiem jego pochodzeniu nie wiedział; wszyscy uważali go za syna cieśli. Lecz w dzieciństwie już dowiedział, że nienaprawdę zwiastowali go anieli, a nawet sam Bóg przed narodzeniem jego. Był już wtedy jakby powabną zorzą, zwiastującą dzień najwspanialszy.

Józef i Maryja chodzili corok do Jerozolimy na uroczystość paschy.

A gdy Jezus doszedł dwunastego roku, wzięli go z sobą. Ta uroczystość była w Izraelu najwspanialszą i najwięcej do serca mówiącą.

Obchodzono podczas niej pamiątkę wyjścia swego z Egiptu i wiecznego z Bogiem przymierza. Każdy Izraelita obowiązany był znajdować się wtedy w stolicy i w świątyni Syjońskiej.

Już Jezus w oniej młodości swojej dał niewątpliwy znak, na co się urodził, to jest na rozszerzanie chwały Ojca swego niebieskiego i na naukę narodów. Bo przybywszy do Jerozolimy, ani tłumy ludu na uroczystość paschy, czyli Wielkiej Nocy zewsząd ciągnące, ani wielkość tego miasta, ani wspaniałość w niem zbudowanego kościoła nie zajmuje ani zadziwia go, i owszem ani nawet zadziwić, jakoby nowość jaka nie mogła. Bo według Pisma Ś-go, On jest skarbem wszelkiej mądrości i wiadomości, i wszystkie rzeczy przeszłe, przyszłe i odległe są Jemu, jako prawemu Bogu, obecne. Sama więc tylko chwala Ojca jego i zbawienie ludu, myśl jego napęla i zajmuje. Dni świąteczne już upłynęły, wszyscy najgorliwsi nawet Izraelici wracali do domu. Chrystus zaś w świątyni zostaje, aby się zajmował tém, co należy do Boga Ojca jego i rodu ludzkiego.

Rodzice jego byli już w drodze i niespodzianie postrzegli, że Jezus, który bez ich woli nigdzie się nie oddalał, zniknął im z oczu. Sądził, że się przyłączył do rzeszy idącej z nimi, a rachując na jego roztropność i czułość, szli dalej przez cały dzień. Wieczorem przybyli do gospody, gdzie mieli nocować. Wnet pytali o niego wszystkich znajomych i krewnych, ale napróżno. Najpóźniej nawet przybyli, nic o Jezusie powiedzieć nie mogli.

Łatwo pojąć trwogę rodziców o Jezusa, któremu już w niemowlęctwie zabójczy miecz Heroda zagrażał. Z sercem ściśnioném wrócili do Jerozolimy, a przebiegając tego miasta liczne ulice, daremnie przechodzących pytali. Tak trzeci dzień nadszedł i powiększył ich niespokojność. Poszli wreszcie do świątyni błagać pociechy u Boga, do którego i tak przez całą modlili się drogę. I tu właśnie spotkał Maryję widok najweselszy w jej życiu: w świątyni zastali dziecię Jezus między doktorami. A on słuchał ich, zapytywał i sam na pytania ich odpowiadał. Mnóstwo ludu było około niego, i każdy z najchciwszą uwagą go słuchał. W oczach wszystkich widać było podziw i rokowanie najpiękniejszych nadziei. Rodzice sami dziwili się razem z ludem mądrości syna swojego.

Atoli czuła matka nie mogła odrazu trzydniowej niespokojności zapomnieć i rzekła: „Synu! cóżś nam uczynił? Oto ojciec twój i ja żałośni szukaliśmy ciebie.“ Jezus odpowiedział: „Alboż, matko, potrzeba było długo mnie szukać? Alboż nie wiecie—dodał z mocnym wyrazem—że ja w domu Ojca mego być powinienem?“

Te słowa są najpierwsze, które, przez Jezusa wyrzeczone, w Piśmie Świętym czytamy. Myśl ich treściwa wiele im ceny nadaje, bo zapowiada zamysły i działania przyszłego Zbawcy.

Pomnijmy naprzód, że Jezus we wszystkiem, co mówi, rzeczy najpożyteczniejsze do wyższych celów stosuje. Tu on, tłumacząc się szczerze, jako dziecię przed rodzicami, wskazuje, gdzie dzieci być powinny, jeśli nie są przy rodzicach, to jest, że nie mianoby ich gdzieindziej szukać, jak tylko u mistrzów albo w kościele.

Ale te słowa zawierają jeszcze myśl nierównie piękniejszą i głębszą. Jezus chciał po raz pierwszy uroczyste powołanie swoje ogłosić. I Bóg przygotował do tego wszystkie okoliczności. Jezus rozpoczął wiek młodzieńczy w dniu najuroczystszym wybawienia Izraelitów z Egiptu. W tym dniu do świątyni po raz pierwszy przychodzi. Wnet ściąga na siebie powszechną uwagę doktorów i ludu. Wszyscy dziwili się mądrości w tak małym chłopcu, wszyscy sobie coś nadzwyczajnego obiecywali. Maryja nazywa Józefa ojcem Jezusa, Jezus korzysta z tej okoliczności i nazywa kościół Pański domem Ojca swojego, dając przeto poznać, że jest Synem Bożym.

Pięknie jest, że rodzice, stroskani o syna, znajdują go w domu Boga, boskimi zajętemi rzeczami; że Jezus mimo czci i miłości rodziców, tak święty czuje zapal i posłuszeństwo ku Ojcu Niebieskiemu, i że tu już przykładem uczy, jak wcześniej do rzeczy boskich sposobić się trzeba.

Rodzice w samej istocie nie pojęli wtedy słów syna, ale czuli, iż one zawierają myśl wielką. Matka nadewszystko, która we wszystkich zdarzeniach tak znakomitym jest wzorem cichej rozważy, zatrzymała w sercu wszystkie słowa synowskie, i zapewne wkrótce ich głębokość pojęła.

I my słowa Chrystusa, których zaraz rozumem nie obejmujemy, zachowajmy w głębi serca naszego i rozmyślajmy o nich w cichości, a bądźmy pewni, że przyjdzie chwila, w której się przed myślą naszą w całym świetle i piękności, jak róża z pączka, rozwiną.

Z Jerozolimy wrócił Jezus do Nazaretu i mieszkał z rodzicami w domku ubogim. Tu przebył lata swojej młodości, i tu najpiękniejszy dał wzór podległości rodzicom do naśladowania dzieciom i młodzieńcom. Pomnażał się także, mówi Pismo Święte, w mądrości i w leciech, i w łasce u Boga i ludzi.

Jakie przymioty okazywał Jezus w dzieciństwie? Kiedy i na jakie święto wzięli go rodzice do kościoła? Co Jezus nie zajmowało, a na co zwrócił uwagę w czasie tej uroczystości? Jakim sposobem mogli rodzice zgubić Jezusa? Kiedy i gdzie go znaleźli? Jak słuchali Jezusa uczeni? Jak odezwała się do niego matka i jak jej odpowiedział? Czy Pismo Święte nie wspomina przed tą o innej rozmowie Jezusa? Jak należy tłumaczyć tę odpowiedź Jezusa? Jaka myśl głęboka w niej zawarta? W jakim to czasie ogłosił Jezus swe posłannictwo? O jakim to Ojcu swoim mówi Jezus? Czego nas uczy 12-o letni Jezus w kościele? Jakie wrażenie robiły słowa Jezusa na Maryi? Jaki zostawił nam wzór Jezus, żyjąc z rodzicami w Nazarecie?

Kazimierz Brodziński.

25. Jezus zdradzony przez Judasza.

Jezus pocieszony, spokojny, pełen odwagi i gotów umrzeć wrócił do swoich uczniów. „Jeszcze śpicie i spoczywacie,“ rzekł im łagodnie. „Czas się obudzić, albowiem przyszła godzina, w której syn człowieczy oddany będzie w ręce grzeszników.“

W tej właśnie chwili zbliżył się Judasz do drzwi ogrodu. Liczny orszak żołnierzy ze sługami starszych kapłanów szedł za nim z pochodniami, mieczami i kijami. Cały ogród zajaśniał światłem i napełnił się zgiełkiem. Żołnierze i słudzy kapłanów żydowskich nie mieli dotąd ciekawości, aby poznać Jezusa.

Dlatego Judasz na znak się z nimi umówił i rzekł: którego pocałuję, ten jest, imajcie go!

A skoro Judasz wszedł do ogrodu, owego miejsca pokoju gdzie Jezus tyle nocy przepędził, szedł prosto do niego i rzekł: „Bądź pozdrowion Mistrzu!” i pocałował go, jak czynią obłudnicy, zdradzający niewinność.

Jezus, patrząc nań z miłością i żalem, i chcąc w nim zgryzotę obudzić, rzekł: „Przyjacielu, po cóż przyszedłeś? O Judaszu! Syna człowieczego zdradzasz pocałowaniem.”

Gdyby Judasz był zdolnym do uczuć, to słodycz niebieska zapewneby go wzruszyła. Ale kto jest nieczuły nawet na miłość, z jaką Jezus i najpodlejszego grzesznika ocalić pragnie, ten zginął już wiecznie.

Jezus, wiedzący naprzód, co ma nastąpić, zbliżył się do żołnierzy i rzekł: „Kogo szukacie?” Oni odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego.” „Ja nim jestem”—rzekł Jezus z boskim spokojem.

Na te słowa wszyscy cofnęli się z przestachem i popadali na ziemię, jakby piorunem rażeni.

Przez te słowa wszechmocne okazał Jezus, iżby go nie mogli pojmać, ale że idzie na śmierć, bo sam chce.

Atoli żołnierze i słudzy kapłańscy ocucili się z przestachu i powstałi. Wtedy Jezus pytał ich znowu: „Kogo szukacie?” Oni odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego.” Jezus, nie dając im teraz uczuć swój mocy, rzekł: „Jam jest. Jeżeli mnie szukacie — rzekł z troskliwością o swoich uczni — tedy tym dopuście odejść.”

Wtedy żołnierze i słudzy otoczyli Jezusa, aby go ująć. To widząc uczniowie, zawołali: „Panie! czyż nie użyjemy oręża?” Piotr odpowiedzi nie czekał, dobył miecza i uderzył sługę kapłańskiego, imieniem Malchusa i prawe ucho mu uciął.

Piotr słuchał tylko głosu miłości Chrystusa i chęci, aby go obronić.

Ale Jezus nie każe używać gwałtów przeciw nieprzyjaciółom. Tedy mówił do Piotra: „włóż kord twój do pochew, albowiem wszyscy, którzy mieczem wojują, od miecza poginą.

Czyli mniemasz, abym nie mógł prosić Ojca mojego, a stawilby mi teraz więcej niż dwanaście hufców aniołów? Jakżeby się spełniły słowa proroków, którzy przepowiedzieli, iż mam spełnić kielich, który mi Ojciec niebieski podaje?” Jezus dotknął się ucha Malchusa i natychmiast je uzdrowił, poczem sam po dał swe ręce, aby je związane.

Tak Jezus nie zważał na ludzi, będących narzędziami jego cierpień, ale patrzył na Ojca, od którego wszystko pochodzi; czynił więc dobrze ludziom; aż do ostatniej chwili gdy mu ręce związane, nie chciał, aby ktokolwiek cierpiał z jego powodu, ale chciał, aby rozpoczęcie świętej jego religii kropli krwi wrogów nie kosztowało.

Atoli arcykapłani, słudzy kościoła i starsi ludu przybiegli także do ogrodu. Nienawiść nie dozwalała im czekać, ażby przed nich Jezusa przyprowadzono. Przeto Zbawiciel rzekł do nich: „Wyszlście jako na zbójcę z mieczami i kijami pojmać mnie. Codziennie siedziałem u was, ucząc w kościele, a ręki na mnie nie ściągnęliście; ale to jest wasza godzina i noc ciemności. Tylko w cieniu nocy ważycie się zbrodni dopełniać.”

Jako ten zamach na życie Zbawiciela w nocy był wykonany, tak pod jój zasłoną odbywają się wszystkie zabójstwa, kradzieże i uwodzenia, i wszelkie zbytki i zdradziectwa. Dlatego wszystkie bezecne czyny zowiemy czarnemi dziełami nocy.

Złe żądze i czyny unikają światła.

Gdy Jezusa związanego prowadzono, opuścili go wszyscy uczniowie i uciekli. W nieszczęściach nie rachujemy na ludzi, choćby nam się najlepsi zdawali, ale tylko na Boga samego.

Szczęśliwy, nawet w największym nieszczęściu, kto może powiedzieć: Choć mnie wszyscy opuszczą, sam nie zostanę, bo mój Ojciec niebieski jest ze mną.

Co Jezus mówił do uczniów, kiedy Judasz się zbliżał? W jakim orszaku szedł Judasz? O jaki znak się umówił? Jak powitał mistrza? Co mu Jezus odpowiedział? Coby mogło jeszcze ocalić Judasza? W ja-

ki sposób dał poznać Jezus żołnierzom, że jest Bogiem? W jaki sposób dozwolił się związać? Jak się Piotr wówczas znalazł? Jaką dał mu Jezus za to naukę i jaki cud uczynił? Co podziwiać powinniśmy w tém postępowaniu Jezusa? Co Jezus wyrzucał arcykapłanom i starszym ludu? Dla czego bezecne czyny zowiemy czarnemi dziełami nocy? Co uczniowie zrobili, widząc związanego Jezusa? W nieszczęściu, komu należy ufać, a na kogo nie rachować?

Kazimierz Brodziński.

26. Lud izraelski w Egipcie.

Mojżesz i Aaron poszli do Faraona i oznajmili, że Pan Bóg Izraela chce, aby lud jego udał się na pustynię, i tam święto obchodził. Faraon odpowiedział: „Któż jest ten Pan, ażebyś słuchał głosu jego, i puścił Izraela? Nie znam Pana, a Izraela nie puszczę.“ A gdy oba nalegali, król odprawił ich twardemi słowy, i zaraz rozkazał dozorcóm robót, aby odtąd nie dawali plew ludowi (potrzebnych do cegły, jaką wówczas wyrabiać kazano), ale aby je sami robotnicy izraelscy zbierali: „niech będą—rzekł—uciśnieni robotami, aby nie mieli czasu próżnować i wołać: pójdziemy na górę w pustynię ofiarować Panu naszemu.“

Dozorcy i wyciągacze egipscy cięższém jarzmem przygnieśli lud Izraela i na starszych ludu włożyli odpowiedzialność za wszystkich, aby przepisane roboty na czas wykonywali. Starsi użalali się gorzko przed Mojżeszem i jego bratem, wyrzucając im, jakoby oni tego ich ucisku przyczyną byli. Mojżesz więc wynurzył swe serce przed Panem i mówił: „Czemuś, Panie utrapił ten lud, czemuś mnie posłał? I rzekł Bóg do Mojżesza: „Teraz zobaczysz, co uczynię Faraonowi. Ręka mocna zmusi go wypuścić lud Izraelski i daleko od swego państwa zapędzić. Ja, Pan, wywiodę was z ziemi Egipskiej i wyrwę z niewoli, ja na zbawienie wasze wyciągnę rękę, ja was wybiorę za mój lud, i będę waszym Bogiem.“

Mojżesz odniósł tę obietnicę bożą do synów Izraelowych, ale ci nie chcieli go słuchać, bo tak długie cierpienia, jakie znosili, głuchymi ich czyniły na wszystko.

Wtedy Mojżesz umyślił pokazać Faraonowi, iż jest prawdziwie zesłańcem Boga. Rzucił swą laskę na ziemię, a laska wobec króla zamieniła się w węża. Ale ten, nie bacząc na to, jeszcze surowiej obchodził się z ludem Izraela.

Mojżesz uderzył w wodę Nilu w oczach Faraona. A woda natychmiast zmieniła się w krew. Ryby posnęły i wody tak zamienione zostały, iż nie można ich było użyć za napój. Faraon oddalił się do domu swego, i ten cud nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Mojżesz rozciągnął swą laskę na wszystkie rzeki, strumienie, i na wszystkie jeziora w Egipcie. I wyszło z nich nieprzeliczone mnóstwo żab, które cały kraj okryły, pałac królewski, wszystkie pokoje, łoże i siedzenia jego, wszystkie domy, na każdym pięttrze pełno było żab. Król uległ nieco i rzekł do Mojżesza: „Módl się do Pana, żeby oddalił żaby odemnie i ludu mego, a wypuszczę was.“ Ale zaledwo żaby na znak Mojżesza zniknęły, król znowu do dawniej zatwardziałości powrócił.

Mojżesz uderzył laską o ziemię, a wszystek proch ziemi zamienił się w mszyce. Ludzie i bydło cierpieli od téj plagi. Ale Faraon jeszcze nie zwolnił w swęj zatwardziałości.

Daléj, wszystkie rodzaje much napelniły pałac królewski, wszystkie miasta i pola. Faraon tą plagą udrczony, obiecał wypuścić lud Izraela, ale skoro minęła, cofnął swą obietnicę.

Następnie zagroził Mojżesz Faraonowi powietrzem na zwierzęta; i za tém padła na Egipt okropna zaraza bydła. Wielbłądy, woły, owce, wszystko padło, ale i tą razą Faraon trwał niewzruszony w swęj zaciętości i wypuścić nie chciał Izraelitów.

Mojżesz wziął garść popiołu i rzucił ku niebu w obliczu króla, a oto wszyscy ludzie szkaradnymi wrzodami dotknięci zostali. Ale król obojętny był i na tę plagę.

Mojżesz więc podniósł swą laskę, za tém powstała okropna burza, niepamiętana nigdy w Egipcie: grad uderzał o ziemię z trzaskiem niewysłowionym, pioruny i błyskawice mieszały się w powietrzu i ogień tylko widać było na niebie. Cały plon został zniszczony, drzewa potrzaskane, ludzie i zwierzęta pobite

na polu. Wtedy zawołał Faraon: „Zgrzeszyłem, Bóg jest sprawiedliwy, a ja i lud mój bezbożni.“ I rzekł do Mojżesza: „Już was wypuszczę.“ Ale zaledwo wyjaśniło się niebo, Faraon i urzędnicy jego wrócili do dawniej zatwardziałości.

Mojżesz wyciągnął jeszcze nad Egiptem swą laskę. A oto chmury szarańczy zaćmiły słońce i okryły ziemię, iż jęj nie widać było. Owad ten osiadł drzewa, rośliny, trawę, plony i pożarł wszystko, tak że w polu ani jeden zielony listek nie został. Faraon błagał łaski i wszystko obiecywał, ale słowa dotrzymać nie chciał.

Wtedy Egipt tak straszną ciemnością okryty został, że przez trzy dni żaden mieszkaniec nie poznał twarzy bliźniego swego i nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca, na którym był. Wreszcie król rozgniewany rzekł do Mojżesza: „Uchodź copędzej i nie stawaj więcej przed mojem obliczem, inaczej zginiesz odrazu.“

Przez te plagi chciał Bóg okazać ludziom, że On panem jest świata. Okazał w sposób przekonywający, że wody, ziemia i wszelkie na niej stworzenia Jemu ulegają; że rozkazuje owadom, burzom, piorunom i gwiazdom niebieskim. Chciał wybawić lud Izraelski z niewoli. Okazał tyle cudów dla cierpiących, którzy byli tylko świadkami. Ponieważ ani jeden listek nie ucierpiał w ziemi Gessen, gdzie tenże lud przebywał; tam nie doszło powietrze, grad, szarańcza, tam ciągle jaśniała pogoda.

Bóg zamierzał oraz poprawić ciemieżycieli, których powodzenie w dumę podniosło, Bóg chciał, aby nieszczęście nauczyło ich pokory i miłości ku bliźnim. I dziś nie utrzymujemy jakoby klęski natury: głód, burze i zarazy były bez celu; one jak wszystko, co na ziemi z rozporządzenia bożego się dzieje, dążą do poprawienia ludzi.

Nakoniec, wśród tylu kar okropnych widzimy jasno powolność i dobroć Boga. Bóg nie karze skwapliwie. Pierwszy cnd, to jest przemiana łaski w węża, nie ma nic szkodliwego; dalej następują kolejno plagi coraz dotkliwsze, a o wszystkich

Egipcyanie naprzód ostrzegani bywali. Od nich zależało być posłusznymi i klęsk tych unikać.

Czemuż ludzie aż dotąd nadużywają powolności Bożej w karaniu?

Czego chcieli od Faraona Mojżesz i Aaron? Jakim się Faraon dla Izraela okazał? Na kogo dozorca egipski złożył odpowiedzialność za wszystkich, a starsi ludu na kogo się użalali? Jak Mojżesz wówczas modlił się do Pana i co mu Pan Bóg odpowiedział? Jak przyjęli Izraelici obietnicę Bożą? Jakim się pokazał Faraon po pierwszym cudzie Mojżesza? Jakimi cudami czyli plagami chciał Pan Bóg zmiekczyć Faraona? Jaka była pierwsza i druga plaga i jaki jęj skutek? Jaki trzeci był cud Mojżesza i jaki miał skutek? Czwarty cud jaki był? Piąty i szósty cud wyliczyć. W jaki sposób Mojżesz siódmą plagę sprowadził, a w jaki ósmą? Jaka była dziewiąta plaga? Co się działo wówczas z ziemią Gessen? Co Pan Bóg okazał przez te cuda? Czego nas nieszczęścia uczyć powinny? W jaki sposób Bóg kary zsyłał na Egipcyan? Od kogo zależało, aby klęsk tych unikać?

Kazimierz Brodziński.

27. Matka Machabeuszów stała w swęj wierze.

Miedzy tymi, których król Antyjoch Epifanes przymuszał, aby jedli zakazane pokarmy, była matka z siedmiu synami. Kiedy te dzieci srogo chłostano, najstarszy z nich rzekł: „Jakięże chcesz odpowiedzi, tak długo nas męcząc? Rychlęj umrzemy, aniżeli przestąpimy prawa Boże, dane ojcom naszym.“ Król się rozgniewał, kazał wyrwać mu język, zedrzeć z głowy skórę, ręce i nogi uciąć. Poczém kazał rozpalic kratę i piec młodziana na czerwonym żelazie. Matka i bracia patrzyli na to męczeństwo; a gdy ten powoli w okropnych mękach umierał, inni z matką zachęcali się, aby z podobną wytrwałością umierać.

Wzięto drugiego na podobne męczeństwo. Zdarto mu z głowy skórę z włosami, a potém pytano, jeśli by zakazany pokarm jeść chciał; gdy rzekł, iż nie uczyni tego, wszystkie

członki jego w najokropniejszy sposób szarpano, a gdy już konać począł, rzekł: „Okrutny! odbierasz nam życie znikome, ale król nieba i ziemi nagrodzi nam, że umieramy za jego prawo i do wiecznego życia nas powoła.“

Trzeci, podał sam język i ręce i rzekł: „Te członki darem są nieba, ale dla prawa Boga mego, nimi pogardzam, bo ufam, że mi je odda na wieki.“ I umarł z taką stałością, iż króla i wszystkich obecnych zadziwił.

Czwarty, konający już w podobnych mękach, zawołał: „W tych bólach nawet szczęśliwsi jesteście, niż ty, bo mamy nadzieję chwalebego zmartwychwstania i lepszego życia; ale dobrodziejstwo zmartwychwstania dla ciebie nie będzie ku zbawieniu.“

Piąty, rzekł wśród męczarni: „Jakkolwiek jest twoja władza, atoli skazitelnym człowiekiem jesteś i wnet ze smutkiem doznasz, o ile Boga potęga nad ciebie jest wyższa; ujrzysz, jak On ciebie i twoje potomstwo męczyć będzie.“

Szósty, konając, rzekł: „Nie lódź się, strzeż się stąd chluby, że życie odebrać nam możesz. Za to bowiem, żeśmy Bogu zgrzeszyli, cierpimy karę. Ale nie myśl, abyś i ty Boga bezkarnie obrażał.“

Został już tylko najmłodszy; Antyjoch wziął go do siebie i najłagodniej do niego mówiąc, zaprzysięgał się, iż, jeżeli prawa ojców odstąpi, obsypany będzie bogactwami, zostanie przyjacielem króla i na niczem zbywać mu nie będzie.

Ale dziecię było nieporuszone. Tedy Antyjoch kazał się zbliżyć matce i napominał ją, aby syna do woli jego skłoniła, jeżeli chce, aby choć jeden jój został. Ale ona schyliwszy się do syna, rzekła: „Dziecię moje, którym w żywocie moim nosiła i piersią moją karmiła, miej litość nademną! Ja matka, com cię do tych lat wychowała, ja ciebie błagam. Patrz na niebo i ziemię i na wszystko, co jest, to wszystko i cały ród ludzki Bóg stworzył z niczego. A tak nie będziesz się lękał tego kata, ale stawszy się godnym twych braci, podejmij śmierć, abym cię z braćmi twoimi mieć mogła w chwale wiecznej.“

Jeszcze matka mowy swój niedokończyła, gdy syn zawołał: „Czegóż czekacie? nie myślcie, abym Bogu był nieposłuszny. Ale ty, który, niewinnych prześladowając, tyle Go obrażasz, nie ujdiesz rąk Jego. Nie ufaj swojej potędze, bo jeszcze nie uszedłeś sądu Boga, który wszystko wie i wszystko może. Po krótkich mękach, bracia moi obiecane życie odziedziczyli, ale ty czekaj wyroku, jaki Bóg srogięj twój dumie wymierzy. Ja pójdę za braćmi moimi i za prawa moim ojcom nadane, krew i życie poświęcę. Bóg, którego wzywam, wysłucha prośb moich i na lud swój oczy łaskawe zwróci. A ciebie okropne klęski i kary wnet zmuszą wyznać, że On jest Bogiem prawdziwym.“

Król nie mógł słuchać téj mowy bez gniewu i przeto skazał dziecię jeszcze na cięższe, niż braci jego męki, tożsamo i matkę.

Jakież w téj cudownej historii widzimy uczucia natchnione wiarą niezachwianą. Lepiej zginać, niżeli wyprzeć się Boga i praw Jego, na sercu naszym wyrytych. Sama tylko miłość Boga i wiara w przyszłe życie natchnąć może podobną odwagę. Jedna myśl o Bogu odbiera śmierci wszystko, co ona dla nas okropnego mieć może; ta myśl rozprasza wszystkie ułudy widzialnego świata. Ta myśl niech nam zawsze przyświeca, a przez wszystkie przepaści z tryumfem przejdziemy drogę, jaką nam Bóg ku sobie wskazał.

Za co Antyjoch matkę i jój synów prześladował? Za co i w jaki sposób karał najstarszego? W jakich mękach umierali i co mówili Machabeusze? Jakimi podstępami chciał Antyjoch uwieść najmłodszego? W jaki sposób matka przemawiała do syna? Jakie były ostatnie słowa młodzieńca? Co spotkało matkę Machabeuszów? Jak trzeba bronić praw Boga? Co daje prawdziwą odwagę? Co bojaźń śmierci odbiera?

Kazimierz Brodziński.

C. MORALNOŚĆ I OBYCZAJE.

1. Praca jest najpewniejszym skarbem.

Dwaj bracia, Szymon i Ludwik po śmierci ubogiego ojca, przymuszeni byli iść w świat i szukać sposobu do życia. Starszy z nich, Szymon, nie oddalając się nazbyt od rodzinnego domu, starał się jak najprędzej o zarobek, choćby ciężki; wziął się szczerze do pracy i wkrótce uskladał sobie tyle grosza, że mógł kupić kawałek gruntu i opędzić swoje potrzeby. Młodszy Ludwik, wyżej nierównie zakroił. Słyszając o kopalniach złota w dalekich gdzieś krajach, popłynął za morze i poszedł w góry szukać złotego piasku. Znalazł wprawdzie upragnione bogactwo, ale w miejscach bezludnych i zupełnie pustych, gdzie złoto niewielką ma wartość; tu nacierpiał się więc głodu, mając obok skarby. «Trzeba—mówił—wrócić do swego kraju, tam będę bogactwa mego używał.» Zabrał się przeto w drogę, ale nim wrócił, wszystek ów złoty piasek, którego miał spory woreczek, w podróży wyprzedać musiał. Znalazłszy dopiero u zamożnego już brata przytułek, poznał, iż praca jest prawdziwym i najpewniejszym dla człowieka skarbem.

Nadziei nie trzeba tracić.

Nie porzucaj nadzieje
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko pokryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg znienagła zejdzie,
A ziemia, skoro słońce jęj zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie;
A kiedy jedna weźmie moc namiętszą,
Wtenczas masz ujrzyć odmianę najprędszą.

Ale człowiek shardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje;
Więc téż, kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Lecz na szczęście wszelakie,
Serce ma być jednakie:
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie, jako się jęj widzi.

Ty nie miej za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie;
A ktokolwiek Mu ufa, nie zaginie.

Jan Kochanowski.

Zając i Żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy;
Więc jęknął z głębi serca: „Ach! niemasz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem!
Co mnie w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona,
Nawet i ona,
Jak chce tak gania!

A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.

Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem —
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
Żegnaj więc miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnałnemi łzami dozwólcie się skropić!
Oznajmuje wszem wobec, że idę się topić!“
Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,

Po drodze stąpił na zabę.

Ta mu jak raca drgnawszy zpod nóg szusła,

I z góry na łeb w staw pluśla.

A zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi!
Każdy ma swoją zabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi.“

Adam Mickiewicz.

2. Praca odkładana.

Przy jednym wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; wpośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzieniegdzie kępy ostu i innego zielska.

— Ojczy, my ten kawał ziemi oczyścimy—powiedzieli dnia jednego trzej bracia do właściciela — daj nam go na rok jeden.

— Chętnie! — odpowiedział ojciec. I kawał gruntu podzielił na trzy równe części.

Było to w końcu marca, kiedy już do gruntu puściło. Dni bywały piękne i najwłaściwsze do pracy w ziemi. Trzej bracia więc wzięli się do roboty i dwaj starsi w przeciągu tygodnia oczyścili dział swój prawie zupełnie. Młodszy więc się bawił niż robił; tamtych skończona była praca, kiedy on swoje zaledwie dopiero zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, Franuś odpowiedział:

— O, dopiero początek wiosny, dosyć jeszcze czasu będzie.

Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały; ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła i przestawać musiał.

— Nadejdzie chłodna jesień — mówił sam do siebie — to będzie najlepsza pora.

Nadeszła jesień chłodna, ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go kropił; trudno było co robić.

— Przyjdzie zima—mówił—bywają i w zimie dni jasne i piękne; ja to w mgnieniu oka zrobię.

Przyszła nareszcie i zima. Franuś wziął się do kamieni i do zeschłych łodyg, lecz cóż? przymarzły one zupełnie i nie zrobić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś, tak błędzi każdy, który pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje. Co masz do zrobienia, zrób jak najprędzej; terażniejsza godzina sprzyja twojej pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć potrafi? Jeśli zawsze pomyślniejszej pory czekać będziesz, może cię wprzód śmierć zaskoczy, nim dzieło rozpocznieś.

Klem. z Tańskich Hoffmanowa.

D z i a d e k.

MŁODZIENIEC. Dziadku! gdzież tu dostać chleba?

DZIADEK. O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa,
Najlepiej ująć się pługą!
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

MŁODZIENIEC. Gdzież tu, dziadku, są zabawy?

DZIADEK. Sześć dni drogi do nich będzie —
Sześć dni obchódz twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie;
Zysk obrachuj — potem śmieje,
Baw się wesół przez niedzielę.

MŁODZIENTEC. A gdzie też tutaj będzie szkoła?

DZIADEK. Szkół i mędrców jest dokoła;
Lecz w kółko chodząc czas stracisz,
Zawrotem głowy przypłacisz.
Ale jest na niebie karta,
Dla człowieka wciąż otwarta.
Czule, czynnie puść się w drogę,
Ucz się własnymi błędami,
Nie leń się szukać, a znajdziesz;
Nie wiele pytaj, a zajdziesz.

MŁODZIENTEC. Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

DZIADEK. Tego tylko los udziela.
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Lecz kto sercem twém zawładnie,
Kto twój skryty smutek zgadnie,
Rad przysporzy ci wesela,
W tym znalazłeś przyjaciela.

MŁODZIENTEC. A gdzie też tu mieszka cnota?

DZIADEK. Skryła się za swoje wrota;
Oddawna samotnie żyje.
Obdarli ją ludzie podli;
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna czystém swém tchnieniem;
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkim cierpi cierpieniem.

MŁODZIENTEC. A gdzież tutaj szczęście będzie?

DZIADEK. Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu,
Odszedł go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnym czynach szukaj wytchnienia;
Zresztą zapytaj sumienia —
Umić twój język, toć powie.

Kazimierz Brodziński.

Ptaki i Osieł.

Był dyskurs o słowiku: wdzięk jego śpiewania,
Rzekł czyżyk, tak jest miły, że aż do świtania
Od zmroku gotów jestem słuchać jego pieśni.
Toż samo powtarzali śpiewaczkowie leśni,
Toż samo i zwierzęta;—osieł mało dbały;
Gryzł chwasty na ustroniu; więc go się spytały:
A ciebie, czy ten jego głos wdzięczny poruszył?
Mnie?.. jakem się odezwał, zarazem go zgłuszył.

Ig. Krasicki.

3. Niema złego, któreby na dobre nie wyszło.

— Moja mamó, — mówiła Walercia, — ja słyszałam przysłowie, że niema złego, co by na dobre nie wyszło, a jednak kto się nie chce uczyć, to źle robi i wątpię, żeby mu to mogło wyjść na dobre.

— Prawda, moje dziecię, — odpowiedziała matka, ale bo też przysłowia nie należy zawsze brać dosłownie, trzeba je dobrze rozumieć. I tak, to przysłowie nie stosuje się do złych chęci oraz uczynków, i rzeczywiście mieści w sobie wielką naukę, a drogą dla serca pociechę. Ludźmy jesteśmy! nieraz nam się co złego wydarzy, nieraz błędy nasze przykrém oplacamy doświadczeniem; wtedy doświadczenie samo, stając się dla nas nauką, niemałą korzyść nam przynosi. Gdy poniesiemy jaką szkodę, gdy nas ominie jaka przyjemność, lub jakiej niespodzianej doznamy przykrości, powinniśmy wtedy przypomnieć sobie to przysłowie i pocieszyć się tą myślą, że owo pozorne zło może nam wyjść na dobre. Samaś tego już może doświadczyła, moja Walerciu.

— Ach! prawda mamó, — odpowiedziała Walerka — pamiętam, gdy raz miałyśmy pójść na zabawę, a potem odmienił się zamiar, przykro mi było i płakałam, aż tu tego samego wieczora przyjeżdża kochana ciocia, któ-

rój dwa lata nie widziałam. Jakżebym była żałowała, że nas tak długo nie było w domu. Wtedy mimowolnie powtórzyłam owo przysłowie, że niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Drugi raz zgubiłam kluczyk od mojej szkatułki, a w tém kupiec przynosi śliczne wstążki, grzebyczki i inne drobiazgi. Mamy w domu nie było. Jakżebym rada była co kupić, mając troszkę pieniędzy w szkatułce! a tu nie było można otworzyć. Kupiec odszedł, a ja potem bardzom się cieszyłam, że na niepotrzebne drobnostki nie wydałam pieniędzy. Znowum powtórzyła owo przysłowie, bo się dobrze stało.

— Otóż widzisz, moje dziecię—rzekła matka—i w dal szém życiu tak ci się często zdarzać będzie. Gdy jakiej doznasz przykrości, pocieszysz się tém piękném przysłowiem. Rzadko, a może nigdy nie zawiedziesz się na niem, bo złe z dobrem przeplata się na świecie. Przy róży ciernie, przy cierniach kwiaty; po deszczu pogoda, po uciechu smutek, po smutku znowu pociecha.

Stanisław Jachowicz.

K o l a s k a.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie się w biegu pienily,
On je ćwiczył, co miał siły.

Umykajcie, wołał, z drogi,
Groził kijmi i batogi,
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę niepospieszył;

Już to wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolasę:
O włos dziada nie przejechał,
I z przekazem się uśmiechał.

Pędzi dalej; jam rzekł cicho:
Będzie jemu kiedyś лихо;
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On nas wszystkich poroztrąca.

Ale gdy tak zawsze leci,
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym Świecie,
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał, jak z procy:
I od téj modnej swawoli,
Jeszcze go bok dotąd boli.

K. Węgierski.

G ę s i.

Gęsi, iż Rzym uwolniły,
Wielbione były.
A że się to i w nocy i krzyżeniem działo,
Ujęte chwałą,
Szły na radę, i stanęło,
Aby zacząć nowe dzieło,
W krzyżeniu się nie szczędzić,
Lisy z lasu wypędzić.
Więc wspaniałe, a żwawe,
Poszły w nocy, i wrzawę
W lesie zrobiły,
Lisy zbudziły:
A te gdy z jamy wypadły,
Zgryzły gęsi i zjadły.

Ignacy Krasicki.

4. Pastuszek.

Pastuszek pasł krowę na wygonie, niedaleko był sad pełen wisien. Widok dojrzewających jagód zniecił chłopca; puścił zatem krowę samopas, a sam dalejże na drzewo obrywać co najlepsze. Bydlę, nie widząc nikogo przy sobie, wlażło w pobliski łąn pszenicy, a spasiłszy dużo kłosów, wydeptało i popsuło jeszcze więcej. Właściciel pola, ujrzawszy szkodę, zaczął krzyżeć na niedbałego pastucha, który dopiero poznał swoje niedbalstwo i lekkomyślność. Spuścił się więc czém-

prędkiej z drzewa, wyrwał z płota żerdź ogromną i, mszcząc się na biednym bydłciu, począł je niemiłosiernie po bokach okładać. Tymczasem ojciec jego, który zdaleka patrzył na wszystko, zbliżył się do chłopca i, pogroziwszy mu surowo, zapytał: „Kogo to słusznie bić należy, ciebie, czy bydło, które samo nie wie, co robi? Które z was okazało więcej łakomstwa, czy ty, coś wlaź na cudzą wiśnię, czy krowa, co, puszczona samopas, w cudze weszła zboże? A ty jeszcze śmiesz tak nielitościwie pastwić się nad nią? Zapominasz o własnej winie i o tym, że nie jesteś przecież jak ona nierozumnym bydłciem.“

Chłopiec zawstydził się, poznaawszy swój błąd i słusność ojcowskich wyrzutów.

Luc. Siemieński.

Rozmowa z Michałem.

„Cóż Michale tam na dworze?“

— „Deszcz, że człowiek wyjść nie [może;]

Brzydko, panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny — niech pan [słucha,

Aż strach jaka wciąż ulewa.“
— „Więc przyłóż na komin drze- [wa.“

— „Mam też suche. Niech pan [siada.“

— „Dajno książkę, tę ze stołu.“

— „Tę co z wierzchu, czy tę [z dołu?“

— „Tę, którąś rozcinał z rana.
Ta, ta, daj ją.“ — „Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać?
Jako o tych książkach słyszę,
Proszę pana, co w nich pisze?
Pan musi znać doskonale.“

— „Różne rzeczy mój Michale.
Historyje, różne dzieje,

Przez jakie świat szedł koleje,
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzód;
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje;
Jacy, wielcy ludzie byli,
Jacy króle, gdzie rządzili,
Co, dlaczego tak się stało...“

— „Na co to się panie zdało?
Dość kłopotu na tym świecie,
Myśleć, by człek wyżył przecie,
Bo to teraz zewsząd biada:
A to, na co to się przyda,
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy naprzykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty!
Było, panie, to już było —
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.“

— „Fopraw ogień.“ — „Pan się [śmieje,
A to prawda, Jak deszcz leje!

Wszystko zniszczy. To tak wła- [śnie,

Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzód;
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królownach tam, mospanie,
O trzech braciach, o sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek,
Jakiż panie w tém pożytek?
Dziecko, to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi.“

— „Jako? stary, ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładziesz w równi?“ — „Nie to, [panie;

Cóż tam moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi;
Pan czyta to wie najlepiej.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi.
(Jeśli pan ma wolną chwilę),
Bo to, panie, książ jest tyle,
Że liczba niezrachowana,
Różnej formy, proszę pana.“

— „W książkach także jest wy- [krycie,

Jak trzeba prowadzić życie;
Że tylko prawdziwa cnota,
Do szczęścia otwiera wrota;
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni,
Praca jest najlepszą tamą.“

— „Proszę pana, to to samo,
Byle na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele;
A książ, człowiek też nie lada,
Różnych nauk dość posiada;
Nie jednego, kto zbrodniczy,
Złaje, nawet i wykrzyczy.“

Lecz cóż? panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi, proszę pana. —
Gdy w kościele, to to słyszą;
A z kościoła, to znów grzeszą.“

— „Więc źle robią, mój Michale.“
— „Bardzo źle — ja też nie chwa- [lę.

Powiedz mi pan z łaski swojej,
Jak w tych różnych pismach stoi?
Co się też na przyszłość stanie?“

— „Śmieszne czynisz zapytanie.“
— „Bo to panie najciekawsze,
Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd? czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?“
— „A polepszy w jakiejś porze.“
— „Kiedyż panie, to być może?“

— „Wtedy, gdy tak jak należy,
Rozum światło swe rozszerzy;
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
Gdy książ jeszcze więcej będzie,
Kiedy nauk skarb otwarty...“

— „Proszę pana, wolne żarty!
Odkąd to już w takim trudzie,
Tych się nauk uczą ludzie;
Odkąd to już księgi piszą,
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym panie tam języku,
To już właśnie, że bez liku!
Według tego, w każdym kraju,
Jużby było dziś jak w raju;
A tu, panie, zawsze biada!
Co grosz przyjdzie, to się wyda,
Wciąż drożyna niesłychana,
To nie warto, proszę pana;
Cośby to się ludziom snuło...“
— „No, idź sobie już gaduło!“

Stefan Witwicki.

Bekas i kuropatwa.

„Co to za nudne kraje tych Polaków,
Nie nie zobaczysz, jak szyszki na drzewie,
I nie spotkasz innych ptaków,
Jak tylko same cietrzewie...”

Tak sobie na Pińskiem błocie,
Siedząc w słonecznej spiekocie;
Ów włóczęga wszędzie znany,
Rozmawiał bekas obłany.

Nikt nie uważał na tego próżniaka;
Lecz kuropatwa,
Do gniewu łatwa,
Tak go łajła wyszedłszy z pod krzaka:

„Zkądże to waści taki tonik wzniosły,
Powiedźże przecie, pod czyjém to niebem,
Takie wam piórka i dzioby porosły,
I czym to tak wypasłeś się chlebem?

Wtenczas, pamiętam, nie brały cię nudy,
Kiedys przyleciał tu jak czapla chudy,
Teraz cietrzewi widok nie powabny,
Przypatrzyć się, kłocu, jak sam jesteś zgrabny.

Gdybym ja kiedy tém państwem rządziła,
Wszystkich bym takich ptaków wymroziła,
U których to we zwyczaju,
Że choć ich kijem nie wyprosić z kraju,
Choć na naszym chlebie tyją,
Co rok objedzą, opiją,
A jednak niewdzięczni przecie,
Spotwarzają nas po świetle.”

Ant. Gorecki.

5. Wierzba i dąb.

Pewnego poranku po straszliwej burzy, która w nocy trwała przez kilka godzin, wyszedł gospodarz wraz z małym

synkiem w pole, aby obejrzeć szkody, które wichur z ulewą poczyniły w lesie i zbożu.

— Patrzno, ojcze! — zawołał Adaś — dąb tak ogromny, co zdawał się być ze wszystkich drzew najwytrwalszym, leży powalony na ziemię, a ta licha wierzbinka stoi sobie spokojnie, nawet wcale nieuszkodzona. Ja myślę, że burza daleko łatwiej mogła wyrwać wierzbę, niż dąb, tak potężny i wielki.

— Moje dziecię — odpowiedział ojciec — właśnie ta wielkość stała się dla niego zgubną, bo stawiała opór burzy, której jednakże dąb wytrzymać nie mógł. Szczęśliwsza wierzba, że mała i giętka; nie opierając się gwałtowności wiatru, uchylała przed nim swoje gałązki, przez co też potrafiła uchronić się od szkody.

Jan Chęciński.

J a ś.

Nieźle-to jest posłuchać, gdy mówią staruszki.

Szedł Jaś na gruszki.

A ojciec, widząc jak pełen zapału,
Rzekł: trząś gruszki, mój Jasiu, ale trząś pomału.
Jeszcze nie skończył, a już Jaś w sadzie.

Posłuszny radzie,

Trząśł drzewem pomału i gruszka nie pada.

Zła rada!

Więc zatrząśł mocniej; nie pada znowu.

Cieciwy polowu,

Nie trząść tu widzę, rzekł, lecz rwać należy.

Po drabinę więc bieży;

A gdy nie znalazł, i w prawo i w lewo

Piął się na drzewo,

I to wskórał, że zleciał i potłukł się srodze.

Jednak choć w bólu i trwodze

Smutną miał postać,

Przemysliwał Jaś przecież, jakby gruszek dostać.

Więc sporym, który leżał koło drzewa, kłosem

Rzucił, przełamał gałąź i spadła z owocem.

Porwie, gryzie, aż gruszka twarda i ładna.

Gdy więc wrócił do ojca z nadaremna pracą,

Rzekł smutnemu po szkodzie Jasiowi staruszek:
Gdy nie padną trzęsione, nie trzeba rwać gruszek.
Ignacy Krasicki.

Fijołek i słonecznik.

Jeden wielki, drugi mały,
Słonecznik wzrostem wspaniały,
Fijołek skromny postacią;
Jak to bywa między bracią,
Nakoniec się powadzili.
O co? raz wraz z sobą byli:
A być razem, a być w zgodzie,
Ciężko nawet w jednym rodzie.
Szło o słońce, a hardy z swojego nazwiska,
Ten; co jaskrawym blaskiem się połyska,
I za słońcem się obraca,
Gardził drugim, iż się zwraca,
I kryje pomiędzy trawą.
Gdy więc nań powstawał żwawo,
Rzekł fijołek: miły bracie,
Żal mi cię, gdy patrzę na cię.
Chociaż jaśnie oświecony,
A ja do blasku niezdolny,
Twój zwrót jednak przymuszony;
Ja w ukryciu, ale wolny.
Ignacy Krasicki.

6. O godności człowieka.

Prawdziwa godność człowieka składa się z dwóch napozór sprzeczności: z dumy i z pokory, połączonych razem i zlanych z sobą, bo kto jest dumny bez pokory, ten próżnym jest, kto zaś jest tylko pokorny bez dumy, ten podłym jest. Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej chwili życia. Nigdy, samą pokorą tylko się rządząc, nie postąpisz kroku dalej, wyżej, bo rzeczą pokory jest uznawać się niezdolną i przeznaczoną do wiecznej niższości. Samą się dumą powodując,

także nie pójdziesz naprzód, bo cechą dumy jest mieć punkt już osiągnięty za najwyższy. Trzeba więc i to i tamto przypiąć sobie do ramion, przez dumę wierzyć, że przeznaczeniem naszym jest osiągnąć najwyższe stanowisko dobra i piękności, tu czy tam, na ziemi czy za grobem; przez pokorę uznawać, że każdy cel, dotąd przez nas osiągnięty, jest niższym od następnego, jest niedoskonałym, niedopełnionym. Takim sposobem, zlawszy dumę z pokorą, dumni co do celu, pokorni co do środków; dumni, jako duchy nieśmiertelne; pokorni, jako istoty czasowe, z myślą w niebie, lecz z nogami na zwirach i cierniach ziemi, przesuniemy się godnie przez tej planety powierzchnię i śmiało w grób zstąpimy.

Zygmunt Krasinski.

Motyl i ślimak.

Leciuchny motyl, w lekkie odzian szaty,
I złotem i jasnymi lśniący się szkarłaty,
W miesiącu maju, po pięknym ogrodzie
Latał wesoło, a w rączym zawodzie
Z kwiatów na kwiaty, od krzaka do krzaka
Bujając, spostrzegł biednego ślimaka.
Ten nie nikomu nie winien na świecie,
Lazł z domkiem swoim na grzbiecie
Piaskiem sypaną drożyną;
Gdy motyl z hardą i wyniosłą miną
Woła na ogrodnika: „Niedbały człowiecze.
Patrz, w twym ogrodzie jaki gad się wlecze!
Może ten ślimak, stworzenie nikiemne,
Plamić twe smugi i kwiaty przyjemne?
Wyrzuć go za płot, albo zdeptaj nogą!”
Ślimak z krwią zimną na tę mowę srogą
Tak odpowiada: „Los ślepy cię zwodzi,
Tobie być pysznym wcale się nie godzi;
Przypomnij sobie cały życia wątek,
A najbardziej twój początek:
Z bogactwy, co się dziś na tobie świecą,
Czém byłeś wczora? podłą gąsienicą.

Ja zawsze jeden, pod tym niskim krzakiem
Urodziłem się i umrę ślimakiem.

Kto drugim gardzi i z bogactw się puszy;
Podle zrodzonej cechy nosi duszy.“

J. U. Niemcewicz.

Nocni stróże.

Małe złego początki wrastają z uporu:
Zawsze ludzi omamia płochy punkt honoru.
Miasto jedno w ustawnej zostawało trwodze:
Jędrzej, Piotr, nocni stróże zawzięli się srodze.
Więc rozruch w domach, w karczmach, na każdej ulicy:
Piotra wójt utrzymywał, Jędrzeja ławnicy.
Za mężami szły żony, za starszymi dzieci,
Przeniósł się wreszcie rozruch od mieszczan do kmieci.
Wojna zatém, i oto przez lat kilkanaście:
Piotr krzyczał: Gaście ogień! Jędrzej: Ogień gaście!
Ignacy Krasicki.

7. Potęga muzyki.

Stromo sterczą Apeninu skały, na skrócie gościńca gromada łotrów jakiegoś młodego otacza podróżnika. Wymierzono już nań sztylety, z ogorzałych twarzy krwawa chęć mordy wyziera, a on z narzędziem muzycznym w ręku, z wyrazem gorącej prośby w oczach, na kolanach ich błaga. I snadź usłuchali prośby jego, bo ręka grożąca śmiercią ściąga się z wolna do boku, postawy i twarze nabierają wyrazu spokojności i oczekiwania. Młodzieniec się podnosi, palcami po strunach przeciąga i wnet pieśń od serca zawiedzie. Płyną tony z duszy śpiewaka, jak tony łabędzie przed zgonem. Wszystkie uczucia, co wtedy pierś jego przepelniają, unoszą się w brzmieniach lutni. To zrazu brzmi, jakby radość z uratowanej chwili życia, którą mu wolno było pieśni poświęcić, to znów rozciągle płyną żale, że tak młodo ma schodzić z tego świata; wszystkie wspomnienia przeszłości stawają mu na

myśli i biją to w silne, to w słabsze akordy. Już żegna świat ten miły i uroczy, żegna przyjaciół, rodzinę—ale, kiedy żegna się z lutnią swoją, taki z niej leje się głos bolejący i czuły, tak rzewliwe płyną z duszy jego pienia, że widać na słuchających wzruszenie i oczy zbójców, może po raz pierwszy od czasu straconej niewinności, łzą rzewnego uczucia zabłysły. Skończył, upada na kolana i ciosu śmiertelnego wygląda. Ale osłabły ręce zbrodniarzy, niezdolni wyciągnąć ramion, stoją jak dzieci z rozmiękłém sercem. Rozżaleni, oddając podróżnemu, co mu odebrali, puszczają go żywo i ze spuszczoneym wzrokiem, w milczeniu, oddalają się w gęstwinę, czy to wstydząc się rzemiosła swojego, czy też pewnie słabości swojej....

Podróżny ów byłto sławny śpiewak i poeta, Piotr Castelnovo, który żył w drugiej połowie XIII wieku.

Z późniejszych czasów podobny mamy przykład na Aleksandrze Stradella. Był on najbieglejszym skrzypkiem swojego wieku. Nabywszy już głośniejszy sławy we Włoszech, odbył pierwszą podróż artystowską do Wenecyi i grał tam koncert na skrzypcach. Człowiek głębokich uczuć, porywającej wyobraźni był jednak szpetny z twarzy, niezgrabny w ruchach i postawie. Na pierwszy rzut oka odrazę sprawiał, tylko płomienne czarne oko, bardziej jeszcze kruczemi włosami przyciemnione, niezwykle migotało połyskiem i niepospolitego wrożyło człowieka. Ale, gdy skrzypce wziął do ręki, gdy je podbródkiem przyparł do piersi i długim pociąganiem smyczka, ze czworostrunu pierwsze w duszy zabrzmiały mu tony, odrazu zrosł w jedno z instrumentem i, jakby żywą tętnicą, od serca idącą, wlewał życie w drzewo i struny; tak przelewały się z piersi jego uczucia w narzędzia muzyczne, i nawzajem tonęły w piersi, i unosiły duszę całą. Oblicze rozpromienione w regularne miłe układało się rysy i niebiańska jakaś biła z nich rozkosz, postawa rosła, ruchy ciała potężniały. Widać w nim naraz było królującą powagę mistrza, wszechwładcy tonów. W tych to uroczystych chwilach zachwycił i porywał w niebiosa słuchaczów. Tysiące osób, jakby jednym uchem

go słuchało. Wszystkie inne zmysły w osłupieniu milczały, a myśli po słuchu unosiły się w sfery nadziemskie. Taką to potęgą talentu, mimo nieudatność powierzchowną, Stradella pozyskał związki z domem wysokiego urzędnika w Wenecyi i pierwszeństwo nad innym znakomitego rodu młodzieńcem, nazwiskiem Fernando, który, mając się za obrażonego, poprzysiął mu zemstę. Właśnie kiedy Stradella, wyjechawszy do Rzymu, w kościele Św. Jana wykonywał swoje wielkie oratoryjum, przybywa ów młody Wenecyanin, uzbrojony sztyletem, w zamiarze zbroczenia go we krwi przeciwnika. Już brzmia mury świątyni rozgłosem licznych tonów muzycznych i śpiewów. Fernando stoi oparty o filar kościoła, a o jego serce, zemstą gorejące, rozbijają się te przeciągłe tony i głosy, jak burzliwe fale morskie o skaliste brzegi. Co silniejsze tylko i gwałtowniejsze wciskają się do piersi jego i mieszają z unoszącą zemstą uczuciem. Ale niebawem czuje, iż oprzeć się nie może natłokowi tysiącznych melodyj, co, jakby harmonijne pienia aniołów pokoju, brzmia nadziemskim wyrazem. Coraz ciszej a ciszej nucą pieśń posępną, ale czułą; ostatnie już tylko pobrzmiwają zakończenia rozgłosu, następuje pauza i wyteżone oczekiwanie.... Naraz z jednego tylko instrumentu odzywa się i na przestwór kościoła rozlega ton tak czysty, tak luby, iż zda się, że anioł niewinności z niepokalaną duszą go wylewa;—drży on pieniem uroczym, bolejącym i drży serce i boleje. Wyrzwał z poza filaru Fernando, to Stradella takie *solo* na swoich skrzypcach wygrywa, a twarz jego blaskiem promiennym rozświecona pała. Zamarła w sercu zemsta, a uczucie naprzód podziwu, potem zachwytu stopniami wzrasta. Gdy skończył, brzmi oklaskami nawa kościoła, wieńce z galeryi spadają na mistrza, a Fernando przez tłumy się przeciska i już zawisł na szyi Stradelli: „Zwyciężyłeś,—mówi,—Aleksandrze! Twój smyczek skruszył to żelazo zabójcze i twardsze nad nie serce moje! Tyś stokroć godniejszy odemnie, żyj szczęśliwy!...“

Karol Libelt.

Konwersacyja.

Nietylko-to w Paryżu, nietylko w Warszawie,
Śni się ludziom na jawie.
Mają téż i zwierzęta posiedzenia modne,
I w dowcip płodne.
Zeszły się raz wśród lasu; był dyskurs o człeku:
A jak zwyczaj w tym wieku,
Tyle o nim gadano,
Tak się z niego naśmiano,
Z takim sławy ujęciem,
Iż ledwo był zwierzęciem.
Nakoniec, gdy raz nierychło,
Posiedzenie ucichło,
Ktoś zagadł małpę, coby w nim dociekła?
Rzekła:
Chciałby on to coś znaczyć, ale mi się zdaje,
Że złe małpy udaje.

Ig. Krasicki.

Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską:
Kiedy skok robiąc wpadł w beczkę kopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani myśleć o wyskoczeniu.
Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko,
Studnia na półczwarta lokcia:
Za wysokie progi,
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jestto zło przydawać do zła.
Zawsze maca w koło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż, wkrótce ujrzał kozła,

Stojącego tuż nad zrebem,
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając że pije;
Omoka mocno, głośno chłepce,
I tak sam do siebie szeptem:
„Oto mi woda! Takićj nie piłem jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu splukać,
Ale mi jęj szkoda zbrukać—
Szkoda!
Bo co też to za woda!”
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej!—krzyknął z góry, ej ty ryży kudła,
Wara od źródła!”
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drag—i w nogi.

Adam Mickiewicz.

8. Kamień świadkiem.

Arab, nazwiskiem Setok, przybywszy do rodzinnej osady, upominał się zaraz tysiąca pięciuset talarów, które pożyczył pewnemu żydowi w przytomności dwóch świadków. Ale, że ci obydwaj umarli, żyda nie można było przekonać, że zaciągnął pożyczkę; a zatem przywłaszczył sobie kupieckie pieniądze, ciesząc się, że miał sposobność oszukania Araba. Zwierzył się ze swojej straty ów Arab Lokmanowi, który był jego doradcą.

— Na jakimże miejscu,—pyta Lokman,—pożyczyłeś tych pieniędzy niewiernemu?

— Na kamieniu szerokim,—odpowiada kupiec, który jest przy gorze Oreb.

— Jakiegoż jest usposobienia twój dłużnik? — pyta się dalej Lokman.

— Szalbierskiego,—odpowiada Setok.

— Ale ja się pytam, czy to jest człowiek żywy czy fle-matyk, czy frant, czy głupi?

— Jest to jeden z tych, którzy źle płacą, a najzwawszy wtedy, gdy brać może.

— To dobrze, rzecze Lokman, pozwólże mi niech ją się z nim przed sędzią rozprawię.

W samęj rzeczy Lokman pozwał żyda do trybunału i tak do sędziego mówił:

— Filarze sprawiedliwości! dopominam się od tego członka w imieniu pana mego tysiąca i pięciuset talarów, których on oddać nie chce.

— A maszże na to świadków?—pyta sędzia.

— Nie mam, bo pomarli, ale jest jeszcze szeroki kamień, na którym te pieniądze liczono, i jeżeli się Waszój Dostojności podoba, żeby go tu przynieść, spodziewam się że da świadectwo.

— Bardzo chętnie,—odpowie sędzia,—a tymczasem przystąpił do załatwienia innych spraw.

Przy końcu sesyi pyta się Lokman;

— Cóż? kamień twój jeszcze nie sprowadzony?

Żyd, uśmiechając się na to:

— Darmoby—rzecze—Wasza Dostojność czekał, choćby i do jutra, oczekując kamienia, który o sześć mil stąd leży; trzebaby zaś piętnastu najmniej ludzi, żeby go z miejsca tylko ruszyć.

— Otóż—zawołał Lokman—wszakżem mówił, że kamień świadczyć będzie. Ponieważ ten człowiek wie, gdzie kamień leży, tém samém więc wyznaje, że mu na nim pieniądze wyliczono.

Żyd zmieszany, wszystko musiał wyznać. Sędzia wydał wyrok, żeby oszusta przywiązano do kamienia i póty jeść ani pić nie dano, póki by nie oddał tysiąca pięciuset talarów, które też szalbierz ów w téj chwili zapłacił.

S z u f l a d a i g ł o w a.

Pewien uczony,
Bardzo wsławiony,
Pokazywał mi szufladę:

- „Patrz, co to ja w te papiery,
Przez lat trzydzieści i cztery,
Rozumu, nauki, kładę.”
- „Ach—ktoś na to z boku doda:—
Cóż to za wielka szkoda,
Moi mili panowie,
Że rozum i nauka,
Któręj każdy w głowie szuka,
U tego pana w szufladzie,—nie w głowie.”
- J. I. Kraszewski.*

M a ł p y.

Małpa wielki samochwał, co czleka udaje,
Zwiedziła cudze kraje,
Bo była z lasu wyszła, i wlaźła pod strzechę.
Wielką pociechę,
Przyniosła za powrotem i siostróm i braci.
Koligaci,
Krewni i przyjaciele, tak świezi, jak przeszli,
Wszyscy się zeszli,
A ta każdemu, co słucha,
To w głos, to do ucha,
Opowiada.
Jedno łże, drugie zgada,
Zgoła aż słuchać miło,
Jakto pięknie pod strzechą i zabawnie było.
Przyszło spać, nie masz strzechy, a jak spać bez dachu?
Małpy w strachu.
Więc w pośpiechu,
Szukać strzechy,
I znalazły.
Pod dach wlaźły.
Słyszac szelest gospodarz, szedł z świecą na górę,
Małpy w nogi;... zatkał dziurę,
Ledwo jedna
Zbita, biędna,
Skąd przyszła, chyżo do lasu uciekła,
A gdy pytana, gdzie są drugie?—rzekła:
Pięknieć tam prawda, lecz straszy i więzi,
Kiedyśmy małpy, śpijmy na gałęzi.

Ignacy Krasicki.

9. Kot łakomy i kot pyszny.

Pewna staruszka, bardziej wyschła, niżeli ciernie, mieszkała w chacie słabszej niż pajęczyna, daleko ciasniejszej niż ręka łakomego i ciemniejszej niż rozum głupiego. Miała ona kota, który nie miał nawet wyobrażenia o chlebie i o żadnej strawie, bo nigdy tego nie dostawał. Upatrywał pilnie śladów szczurów na piasku, a gdy mu się szczęściem udało schwycić z nich jednego, cieszył się bardziej, niż ubogi, któryby skarb znalazł. Cała jego postać jaśniała wtedy zadowoleniem i z podziwem mawiał sam do siebie: „o nieba, czy to sen, czy istotna prawda?” Ponieważ w tym domu i dla szczurów mało co było, przeto takie szczęście spotykało go rzadko, tak, iż na koniec ledwo chodził z głodu. Jednego dnia, gdy mu już głód do ostatniego dokuczał, zawlókł się na dach domu, z którego ujrzał po murze sąsiedzkim poważnie chodzącego kota tłustego i jak lew okazałego. Kot staruszki, zdziwiony widokiem tak tłustego, a podobnego do siebie zwierzątka, — odezwał się do niego: „Zapewne wracasz z bankietu od sultana chińskiego, zaklinam cię, powiedz mi, skąd nabyłeś téj otyłości.” — „U stołu królewskiego—odpowiedział kot tłusty,—staję bowiem codziennie u drzwi pałacu króla podczas obiadu, nieraz więc zdobywam tłusty kawał mięsa, służący mi za pokarm na dzień cały.”

— Powiedz mi proszę—rzekł kot staruszki — co to jest tłuste mięso, o którym mówisz, bom go nigdy nie jadł?—Kot sąsiedzki, zdziwiony tą prostotą,—rzekł: „Z téj przyczyny téż jesteś tak chudy, że możnaby cię przejrzeć. Nędzny! Jak ty wyglądasz. Wiecznym jesteś zakałem kociego rodu, gdyż nie jesteś podobny do kota, chyba z uszu i wąsów; reszta bowiem, jestto istna pajęczyna.” Na te zelżywe wymówki chciwość i miłość własna obudziły się żywo u kota staruszki.—„Mój braciszku,—mówił pokornie do tłustego kota—wiesz, iż między zwierzętami koty najbardziej zachowują prawa przyjaźni. Gdy ci więc wypadnie, pójść znowu do pałacu sultana,

weź mnie z łaski swój ze sobą.“ „Przychylam się do twój prośby,—odrzekł kot tłusty—bo twój nędzny stan litość we mnie obudza.“

Chudy kot, wróciwszy do domu staruszki, opowiedział jej swą rozmowę. Ta usiłowała wybić mu z głowy takowe myśli, przestrzegając go, aby się miał na ostrożności, bo łatwo tego może pożałować. Żądze chciwych atoli zaspokojone być mogły tylko w grobie, mierność tylko lubi przestawać na małym. Kot chudy tak ponętnie odmalował sobie w swój wyobraźni obraz biesiady królewskiej, iż rozsądne przestrogi staruszki jednem uchem weszły, a drugim wyszły. Jakoż następującego dnia poszedł z tłustym kotem do drzwi królewskich. Ale na nieszczęście ludzie niektórzy za uczynioną dnia wczorajszego znaczną szkodę przez koty podczas stołu królewskiego obiadu, czatowali już na przybycie tych zwierząt. Kot staruszki zaślepiony chciwością i głodem, nie przewidując niebezpieczeństwa, skoro tylko zoczył półmisek pełen mięsa, rzucił się nań, jak krogulce na niewinną ptaszynę. Lecz w téjże chwili warknęła z łuku strzała i utkwiała w jego boku. W nogi więc, co mu tchu starczyło, puścił się biedny kocina. Gdy mu krwią zbroczonemu staruszka wyciągnęła z boku strzałę, rzekł: „Jeżeli nie zginę w skutek tego nieszczęścia, to już nigdy nie opuszczę mych ubogich progów.“

L e w i o s i e ł.

W Libijskiej puszczy podczas nawały,
Pod gromem bogów upadł lew śmiały.

Osieł co przed nim drżał o dwie mile,
Nadszedł w tę chwilę.

A widząc że mężny konał,
Kopytem go swém uderzył.
I każe by mu świat wierzył;
Że to osieł lwa pokonał.

Antoni Gorecki.

10. Omyłka, błąd i fałsz.

Pewien sędziwy Arab miał trzech synów. Czując się bliskim zgonu, chciał jednemu z nich zostawić mienie i błogosławieństwo, dwóm pozostałym zaś pewną część trzód swoich. Zwyczaj odwieczny w jego rodzinie kazał majątność oddać nie najstarszemu lecz najgodniejszemu. Ale jakże odgadnąć który najgodniejszy? Serce ojcowskie wszystkich trzech zarówno miłowało.

Postanowił przeto starzec odbyć pielgrzymkę do Mekki i w gorącej modlitwie u grobu proroka, prosić o natchnienie. Przed wyjazdem przywołał synów, a uwiadomiwszy ich o swoim zamiarze:

— Tobie, Ali — rzekł, zwracając się do najstarszego—oddaję pieczę nad całym moim mieniem do mego powrotu; mam nadzieję, że, wróciwszy, zastanę wszystko w należyтым porządku. Tobie Achmecie, powierzam mych biednych; jedni co tydzień dostają jałmużnę, innym rozdawałem odzienie, innych ze stołu mego żywiłem; wiesz o nich, zastap mnie. Sądzę, iż nieobecności mej tutaj nie uczują.

„Ty najmłodszy jesteś, Osmanie, tobie najłatwiejsze wybrałem zadanie. Znasz sługę mego Jusufa; lat pięćdziesiąt spędził on w mych usługach; niemoc złamała jego siły, choroba do łoża przykuła. Codzień go odwiedzam i pocieszam starość jego, codzień noszę mu lekarstwo, które dla niego lekarz Frank zostawił; przynosi mu ono ulgę w cierpieniach. Zastap mnie przy nim, mój synu, a Allah trud twój nagrodzi.“ Poczém wyjechał starzec. Czekano go długo, bardzo długo. Wreszcie powrócił i znowu do siebie przywołał synów:

— Ojcze—odrzekł zapytany o stan majątku Ali, mienie twoje w dobrym stanie; pomnożyłem nawet twe trzody. Pewnego poranku przybłąkały się do nas cudze wielbłądy; kazałem je schwytać, przez miesiąc nikt nie żądał ich zwrotu. Po miesiącu przyszedł sługa jakiś i w imieniu pana swego o wiel-

błądy się upominał. Ja ich nie oddałem, pasły się na pastwiskach naszych,—nasze być powinny.

Achmet rzekł: — Biedni twoi zadowolnieni; wszak sam widziałeś dziś, do domu się zbliżając, jak karmiłem biedną, ciemną sierotę.

— Widziałem to dzisiaj, — odparł starzec smutnie. Ale wczoraj, gdy o staję stąd spoczywałem w palmowym gaju, ujrzałem, przez ciebie niewidziany, jak neliściwie odtrąciłeś kalekę, którego nieraz u stołu mego żywiłem.

Zbliżył się Osman nieśmiało:

— Najlepszą mi dałeś pracę, ojcze, a przecie i tój sprostać nie zdołałem. Codzień odwiedzałem wiernego sługę twego, żywność i leki mu nosiłem. Pewnego wieczoru w mojej obecności mocno on zaniemógł; pobiegłem śpiesznie do namiotu twego po wiadome leki, lecz w pośpiechu i trwodze chwyciłem inną flaszkę, a gdy płynem z niej chorego napoiłem, w godzinę życie zakończył. Wielki ucisk cierpi dusza moja, bo mozem winien śmierci starca onego.

Ojciec podumał chwilę.

— Dziś—rzekł wreszcie do synów, mam dać mienie moje i błogosławieństwo najgodniejszemu z was. Ty, Oskanie, będziesz moim spadkobiercą.

— On—który może winien śmierci człowieka? — zapytali zdziwieni bracia.

— On, bo popełnił tylko omyłkę. Ty Ali, drugim jesteś w sercu mojem; przywłaszczyłeś sobie wprawdzie cudze dobro, ale nie wiedziałeś, iż źle czyniłeś. Popełniłeś błąd tylko. Ty Achmecie, serce me głęboko zraniłeś; gdy tylko sam Allah patrzył na ciebie, odtrącałeś nieszczęśliwego, a tuliłeś do łona sierotę, gdy oczy moje na tobie spoczęły. Ty chciałeś mnie oszukać, fałszu się dopuściłeś. Dla ciebie niema przebaczenia!

O s i e ł.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwaly,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.

Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tēm gadał.

Powiadał,

Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych;
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły.

A lis mu na to: Jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwaliśz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządný!"

Fr. Morawski.

11. Ojciec i trzej synowie.

Żyje jeszcze dziś pewien stary człowiek, który przed kilku laty był ubogi; miał zaś ten człowiek trzech synów i wyżywić ich nie mógł; zawołał tedy najstarszego i rzekł: „Jestem stary i chory, pracować już nie mogę, idź więc synu w świat na wędrownkę i służ u kogo, a gdy rok minie, powróć z zarobkiem do domu.“

Najstarszy syn usłuchał ojca, wziął tłomoczki z chlebem i powędrował. I wędrował już jeden dzień pod wielką bardzo górę, a kiedy za tę górę zaszedł, zobaczył staruszkę, który

pasł owce przy drodze, i staruszek zapytał go: „Czy nie za służbą idziesz chłopysiu?”

— A za służbą, staruszk, — odpowiedział parobek. „Więc służ u mnie i pilnuj mi tych owiec, aż wrócę,” — rzekł staruszek, — oddał parobkowi swoją torbę z maczugą i zniknął. Parobek wziął torbę i maczugę, pilnował i pasł owce bardzo pilnie, a pasł je już rok cały, ale ten rok minął mu, jak jeden dzień; aż wreszcie, kiedy rok minął, wraca staruszek i przynosi ze sobą mały stoliczek i mówi: „Służyłeś mi, mój parobku, wiernie, za to ci daję ten stolik; wyjdź z nim za górę i powiedz: Stolicu, stolicu mój, otwórz się!”

Parobek wziął stolik, wyszedł za górę i powiedział: „Stolicu, stolicu mój, otwórz się!” Ledwo co to wymówił, nakrył się stolik białym obrusem, a na stoliku stał talerz i leżały widelce i nóż, a wszystko było ze srebra, na wielu zaś talerzach ze srebra były najwyborniejsze potrawy.

Parobek nie namyślał się długo, ale zaczął jeść i smakowało mu bardzo, bo był głodny, a kiedy się już najadł do woli, rzekł: „Stolicu, stolicu mój, zamknij się!” tak go bowiem nauczył staruszek. Ledwo co też to wymówił, już znowu stolik stał próżny i nic na nim nie było.

Wziął go potem na plecy i szedł dalej, ale noc była blisko, parobek zaś zmęczył się długą drogą, wstąpił na nocleg do gospody, która stała przy drodze.

Kiedy do téj gospody wszedł, zobaczył tam wielu ludzi, bał się więc, aby mu kto stolika nie ukradł i oddał go gospodyni do schowania.

Gospodyni ta była to już bardzo stara kobieta, więc też była bardzo mądra, tak sobie tedy myślała: „Dlaczego nosi parobek ze sobą ten stolik? Przecież on nie wart najgorszego mego stolka, bo jest z prostéj sosnowéj deski, nawet nie malowany. A chociaż to takie ładaco, upominał mnie jednak parobek, abym go dobrze pod klucz schowała. Nie napróżno to, nie! Jest tu jakaś tajemnica!”

Tak sobie myślała mądra gospodyni, poszła potem do osobnej komory i poczęła oglądać stolik z téj i z owéj strony, i oglą-

dała go bardzo pilnie. Miał zaś stolik ten szufladkę, która była zamknięta, a której mądra kobieta w żaden sposób otworzyć nie mogła, więc rzekła: „Mój dobry stolicu otwórz mi się sam!”

Ledwo co to wymówiła, okrył się stolik białym obrusem, na stoliku był talerz i widelec i nóż ze srebra i były wyborne potrawy; wszystko jak pierwszą razą.

Odkryła więc gospodyni tajemnicę stolika, bo była bardzo mądra, ale przytém bardzo była zła, tak tedy do męża rzekła: „Stolika tego nie oddamy parobkowi, lecz zrób w nocy podobien stolik i ten mu oddamy.”

Mąż począł zaraz robić stolik podobny i robił go przez noc całą, nad ranem zaś skończył.

Kiedy już świtać zaczęło, obudził się parobek i wstał. Gospodyni oddała mu stolik, który mąż jęj zrobił w nocy; z nim podróżny poszedł dalej i w południe samo stanął w domu swoim, skąd przed rokiem był wywędrował, i zawołał ojca i braci, aby im pokazać swój zarobek; myślał bowiem, że to jest ten sam stolik, który sobie u dziada wysłużył, więc rzekł: „Patrzcie, com sobie przez rok służby mojej zarobił. Nie potrzeba wam odtąd pracować na kawałek chleba, bo będziemy mieli co jeść i co pić.”

Ojciec i dwaj bracia młodsi myśleli, że zapewne w szufladce stolika są schowane jakie wielkie skarby, ale kiedy ją otworzyli i nic w niej nie było, dziwili się bardzo mowie parobka, który potem rzekł do stolika: „Stolicu, stolicu mój, otwórz się!” Ale stolik nie nakrył się i nie było na nim talerzy srebrnych ani potraw wybornych. Rzekł więc drugi raz i trzeci raz to samo, ale gdy stolik nie nakrył się jednak, porąbał go rozgniewany i spalił.

Więc znowu ojciec miał w domu trzech synów, a był ubogi, wyżywić ich nie mógł; zawołał zatem średniego, któremu było na imię Lampart i rzekł do niego: „Jestem stary i chory pracować już nie mogę; idź synu w świat na wędrowną, a po roku wracaj z zarobkiem do domu. Zawsze mi byłeś jedyny,

boś też najmędrszy z twych braci; nie daj się więc zbyt łatwo oszukać.“

Lampart usłuchał ojca, wziął tłomoczki z chlebem na drogę i powędrował, i wędrował już jeden dzień pod wielką bardzo górę, a za tą górą zobaczył staruszkę, który pasł owce przy drodze; i ten staruszek zapytał go także, czy idzie w służbę, i wziął sobie Lamparta za owczarka, oddał mu torbę, maczugę i zniknął.

Lampart pasł owce przez rok cały, ale ten rok minął mu jak jeden dzień; po roku zaś wrócił staruszek i przyniósł ze sobą małego baranka i rzekł: „Służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję tego baranka, wyjdź z nim za górę i powiedz: „Baranku, baranku mój, otrząśnij się!“

Przypomniawszy sobie Lampart naukę ojcowską i los starszego brata i nie chciał tedy przystać na takie zasługi; ale staruszek, nic nie mówiąc, zniknął; a on bardzo był ciekawy, co się też to robi. Więc wziął baranka i rzekł za górą: „Baranku, baranku mój, otrząśnij się!“

Ledwo, co to wymówił, otrząsł się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wziął on tę wełnę w torbę, a baranka wziął na plecy i szedł dalej aż do wieczora. Noclegiem zaś stanął w tej samej gospodzie, gdzie przed rokiem brat jego nocował. Oddał także owę starą gospodynię swego baranka, aby go napasła mléką i owsem i kazała mu w osobnej komorze podesłać miękkiego siana; zamknął potem drzwi od tej komory na kłódkę i klucz wziął do siebie.

To dziwiło starą gospodynię, rzekła tedy do męża: „Nie bez kozery zamknął parobek tak starannie swego baranka, trzeba mi go zobaczyć.“

Potem poszli do sklepu skąd małemi drzwiczkami wciśnięli się do komory zamkniętej na kłódkę. Baranek tak się w siano zagrzebał, że go ledwie znaleźli; oglądała go gospodyni z tej i z owę strony, ale nie mogła obejrzeć dobrze wełny jego, bo się na nią bardzo wiele siana pozawieszało, więc rzekła: „Kiedyś się w siano zagrzebał, tobyś się mógł z niego otrząsnąć, baranku mój!“

Ledwo co to wymówiła, otrząsł się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wyzbierawszy srebro, rzekła do męża: „Baranka tego nie oddamy parobkowi, ale wybierz z owczarni podobnego, którego mu oddamy.“

Kiedy świtać zaczynało, wstał Lampart, odebrał podobnego baranka i szedł dalej. W południe stanął w domu swoim, zawołał wszystkie domownicy i rzekł: „Oto patrzcie, co wyśłużyłem sobie przez rok służby mojej. Już nam teraz nie potrzeba pracować na panów, bo sami panami będziemy.“

Podniósł potem baranka na stół i rzekł: „Baranku, baranku mój, otrząśnij się!“ Ale tą razą nie otrząsł się baranek i nie spadła z niego srebrna wełna; rzekł więc drugi i trzeci raz to samo, napróżno jednak. Żartowali i śmiali się z niego wszyscy, a on rozgniewany zabił baranka.

Więc znowu miał ojciec w domu trzech synów, których wyżywić nie mógł; ostatniego jednak nie myślał w świat wyprowadzić, bo mu się zdało, że ten trzeci był najgłupszy z jego synów. W całej okolicy nie zwano go inaczej, tylko Gawron, dlatego, że nie umiał tańczyć ani družnować po weselach. Więc tego Gawrona nie chciał stary ojciec wysyłać na wędrowną; ale on widział i czuł biedę, która się w domu rozgościła, a ojca swego kochał bardzo, nie chciał też, aby na stare lata głód i niedostatek cierpiał. Cichaczem tedy nabrał w tłomoczek chleba i powędrował także za ową górę, gdzie przy drodze pasł owce staruszek; u niego przyjął służbę, podobnie jak bracia i pilnował stada przez rok cały. Po roku wrócił znowu staruszek, przyniósł ze sobą miech podarty i rzekł: „Służyłeś mi, mój parobku wiernie, za to ci daję ten miech. Jak wyjdiesz za górę, to powiedz: mieszkuj, mieszkuj mój, odwiąż się!“

Gdy to Gawron wyrzekł za górami, miech się odwiązał, a z miecha wypadły dwa dębowe kije i były naokoło, aż ziemia jęczała. Parobek przestraszony kazał im co tchu się schować. Szedł potem do wieczora, a na nocleg stanął w tej samej gospodzie, gdzie była mądra gospodyni i rzekł do niej:

„Schowajcie mi, gospesiu, ten mieszek pod kluczem, bo mam w nim wielkie skarby.“

Pomiarkowała odrazu gosposia, że nie bez kozery kazano jej schować to stare mieszysko. Nie trudno jej także było odkryć tajemnicze słowa, bo się już wprawiała na stoliku i baranku; ale tą razą pożałowała swojej mądrości. Skoro bowiem wyrzekła: „Mieszku, mieszku mój, odwiąż się!“ wypadły z miecha dwa kije i były babę nielitościwie, z bólu i strachu zapomniała rozkazać, aby się napowrót schowały; więc biją owe kije złą kobietę, a ona mądra lecz zła całym gardłem woła ratunku. Na ten krzyk obudził się Gawron i wbiegł do komory. Już zaś od dwóch lat nie wolno było nikomu do niej zazierać, bo tam było schowanie stolika i baranka.

Poznał Gawron rzeczy braci swoich odrazu i dorozumiał się podstępnie, zawołał tedy: „Niech kij każdy babę siecze, póki krew z niej nie pociecze,“

Gosposia w modły: „Mój chłopysiu, zmiłuj się! oddam wszystko, powiem wszystko, tylko zmiłuj się nademną!“ Wówczas Gawron rzekł: „Kije w miech!“ Potem odebrał skradzione rzeczy swych braci, bo gospodyni przyznała się z bólu do wszystkiego. Już też i świtać zaczęło; Gawron zabrał się w dalszą drogę i przyszedł do domu swego koło południa, kiedy wszyscy za stołem siedzieli.

Dwaj bracia, widząc stolik i baranka, zeskoczyli z ław i każdy schwycił za swoje; w tém kije z miecha wypadły. Struchleli wszyscy, a Gawron dopiero zaczął opowiadać, jak się to stało i tak zakończył: „Nie do was, bracia, należy stolik i baranek, ale do mnie. Mogę nimi rozrządzać do woli i tak rozrządzam, aby nam wszystkim jednako służyły; co moje to wasze, co wasze, to moje. Czy przystajecie na to tatusiu?“ „Przystajemy, przystajemy!“ — zawołali wszyscy, — i odtąd poczyną się ich szczęście.

Baranka wziął stary ojciec do swojej zarodowej owczarni i dochował się z niego pięknej gromady; miech powieszono w stodole, a kije wymłacają wszelkie zboże. Stolik zaś ustawiono w dużej izbie, a za stolikiem siedzą goście dniem i no-

cą, i dobrze się mają, bo nigdy na wybornych potrawach nie zbywa i nigdy podniebienie im nie schnie. Mnie także jeszcze nie oschło, bo dopiero co z téj biesiady wróciłem.

Pies i wilk.

Jeden bardzo mizerny wilk — skóra i kości, —
Myszkując po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,
Zdybie przypadkiem Brysia jegomości,
Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;
Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana,
Podgarle tłuste, zwiśle do kolana.

— „A witaj, panie kumie! Witaj, panie Brychu!

Już od lat kopy o was ni widu, ni słyhu;
Wtedyś był mały kondlik; ale kto nie z postem,
Prędko zmienia figurę! Jakże służy zdrowie?“

— „Niczego“ — Brysio odpowie,

I za grzeczność kiwnął chwostwem.

— „Oj! oj! — niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!

Co za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!

A kark jaki! a brzuch jaki!

Brzuch! niech mnie porwą sobaki,

Jeżeli, uczciwszy uszy,

Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem.“

— „Żartuj zdrów, kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu,
Jeżeli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.“

— „A to jak, kiedyś łaskaw?“ — „Ot tak: bez odwłoki
Bory i nory oddawszy czartu,

I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,

Idź między ludzi — i na służbę przystań!“

— „Lecz w téj służbie co robić?“ — Wilk znowu zapyta.

— „Co robić? — Dziecko jesteś! Służba wyśmienita:

A jedno z drugim nic a nic!

Dziedzińca pilnować granic,

Przybycie gości szczekaniem głosić,

Na dziada warknąć, żyda potarmosić,

Panom pochlebiać ukłonem,

Sługom wachlować ogonem;

A za toż, bracie, niczego nie zbraknie:

Od panów, paniątek, dziewczynek,

Okruszyn, kostek, polówek,
Słowem, czego dusza łaknie..
Pies mówił, a wilk słuchał: uchem, gębą, nosem,
Nie stracił słówka; połknął dyskurs cały,
I, nad smacznej przyszłości medytując losem,
Już obiecane wietrzył specyjały.
Wtém patrzy.— „A to co?“ — „Gdzie?“ — „Ot tu, na karku?“
— „Eh, błazeństwo!“ — „Cóż przecie?“ — „Oto, widzisz troszkę
Przyczesano — bo na noc kładą mi obrożkę,
Ażebym lepiej pilnował folwarku!“
— „Czy tak? pięknaś, widzę, wiadomość schował na ostatku.“
— „I cóż, wilku, nie idziesz?“ — „Co nie, to nie, bratku!
Lepszy w wolności kasek lada jaki,
Niżli w niewoli przysmaki.“
Rzekł i drapnąwszy, co miał skoku w łapie,
Aż dotąd drapie.

Adam Mickiewicz.

Jodła i jabłoń.

Jabłoń rzekła sąsiadce: — „O ponura jodło!
Po cóż blisko mnie wzrastasz, gdy jesteś tak podłą?
Patrz, do moich owoców jak się każdy śpieszy,
Patrz, jak widząc, że kwitnę, każdy się ucieszy.“
Spadły kwiaty a zczasem, owoce zerwano,
Spadły liście, a zatém o jabłoń nie dbano.
Widząc to, rzekła jodła: — „Sąsiadko zbyt harda,
Osądź! teraz, czy słuszną była twoja wzgarda?
O tém, co było zewnątrz, trzymałaś wysoce;
Nie ciebie ludzie czcili, lecz twoje owoce.“

Ig. Krasicki.

12. Przysłowia i maksymy.

Bez ochoty, niespore roboty.

Bliższa koszula ciała, niż suknia.

Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

Darowanemu koniowi nie zaglądają w zęby.

Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.

Jakie drzewo, takie owoce.

Im dalej w las, tém więcej drzew.

Każdy dudek, ma swój czubek.

Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje.

Lepszy rydz, niż nic.

Łacno o kij, kiedy kto chce psa uderzyć.

Mędrsze kurczęta, niż kokosz.

Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło.

Oko pańskie konia tuczy.

Psie głosy nie idą w niebiosy.

Słówko wróblem wyleci, a powróci wołem.

Trafił, jak kula w płot.

Wilk syty, a koza cała.

Zna się, jak koza na pieprzu.

Sześć rzeczy jest, których nienawidzi Pan, a siódmą brzydzi się dusza jego: oczu wyniosłych, języka kłamliwego, rąk przelewających krew niewinną, serca, wymyślającego myśli złośliwe, nóg prędkich na bieżenie ku złemu, świadka fałszywego, który mówi kłamstwo i tego, który sieje rozterki między bracią. Bojaźń pańska nienawidzi złości, i hardością, i drogą złą, i usty dwujęzycznymi brzydzi się.

Odpowiedź łagodna uśmierza gniew, ale mowa przykra pobudza.

Serce mądrego szuka nauki, a usta głupich karmią się nie-umiejętnością.

Cóż pomoże głupiemu, że ma bogactwa, gdy mądrości kupić nie może.

Kto się kocha w używaniu, w niedostatku będzie; kto miłuje wino i tłuste kąski, nie z bogaci się.

Czegoś w swjej młodości nie zgromadził, jakoż w swjej starości znajdziesz?

W młodym wieku czerstwość nas rzeźwi, w wieku podeszłym roztropność.

Bijon.

Światło zmysłowe oświeca ciało, nauka—duszę. Umysł nauką wsparty zdobi w szczęściu, cieszy w niedoli.—Pytany: co kłamca zyskuje? to, rzekł, iż choć prawdę mówi, nikt mu nie wierzy. *Arystoteles.*

Najlepsze takowe zbiory, których ogień pochłonać nie zdoła, woda zalać nie może, a człowiek wydrzeć nie potrafi. Kraj taki prawie ginać musi, gdzie pocziwych od łotrów rozeznąć nie można. *Antystenes.*

Młodzież powinna w domu starszych szanować, za domem szanować spotkanych, w osobności—siebie. *Demetryjusz z Falery.*

To bogów od ludzi różni, iż niczego nie potrzebują; to mądrego od głupich,—iż najmniej mu potrzeba. *Dyjogenes*

Największą jest słodyczą życia, przyjaciel wierny; znaleźć go,—największe szczęście. *Epikur.*

Nie wynoś się z tego, coś winien przypadkowi; gdyby koń mógł powiedzieć, że jest kształtnym, byłaby znośniejsza chluba jego; ale gdy ty się z jego kształtu chelpisz, z tego się wynosisz, co nie twoje. *Epiktet.*

Mądrość wszędzie rozpościła swoje światło, które nigdy nie gaśnie.

Nierównie trudniej jest nauczać kogo, aniżeli siebie samego uczyć. Z tego dzieci przekonać się mogą, jak wiele wdzięczności winni są tym, którzy mozołą się, ucząc ich.

Ten z ludzi jest najdoskonalszym, który dla ludzi jest najużytniejszym.

Staraj się więcej być kochanym, niż podziwianym.

W każdej rzeczy trzeba zważać, jaki będzie koniec.

Strzeż się sądzić ludzi z pozoru.

Gadulami nazywają tych, którzy długo mówią, a nie rozumnego nie powiedzą.

Człowiek zazdrosny podobny jest do żelaza, które się własną rdzą trawi.

Najnieszczęśliwszy z ludzi zazdrosny, którego i własna dolegliwość i cudze szczęście dręczy.

Przyjaciel w przygodzie skarbem jest nieoszacowanym, ale skarby takie trudne są do znalezienia.

Słowa powabne nie wiele znaczą; serce prawe, to grunt człowieka.

Znośniejszy takowy, który szczerze nienawidzi, nad tego, który oziębło kocha; ma on dwie dusze na jednym języku.

Do stołu, skoro go zastawisz, zlecają się jak pszczoły do miodu przyjaciele; a w przygodzie, jakbyś ich siarką podkurzył.

Gdy się dowiesz, iż kto źle o tobie mówi, niech cię to bynajmniej nie wzrusza, i owszem, powiedz, iż gorzejby jeszcze mówili o tobie, gdyby o wszystkich twoich wiedzano zdrożnościach.

Nie jest to żadna sztuka po rodzicach odziedziczyć majątek i go-dności; ale dojść do nich uczciwą pracą i cnotliwem życiem, to jest chlubą, to prawdziwym zaszczytem.

Nikt nie był prawdziwie szanowanym i kochanym dla samych pieniędzy, albowiem i góry czciłoby potrzeba, dlatego, że złoto w swych wnętrznościach posiadają.

Złoto nasycić nie może i owszem pragnienie zwiększa; po cóż to gromadzić, czego nigdy dosyć mieć nie można.

Najdoskonalszy człowiek jest ten, którego mądrość prowadzi w każdym działaniu i kroku, który wprzód uważa niż działa.

Dwa konie.

Dwa konie: gniady i siwy,
Jeden spokojny, a drugi brykliwy;
Zbożem ładowną ciągnęły raz furę.
Gdzie tylko było pod górę
Koń siwy ciągnąć przestawał;
Wierzgał, parskał, słupy dawał.
Więc dla spokoju świętego,
Gniady za siebie ciągnął i za niego.

Tę grzeczność, w przyjacielskim robioną sposobie,
Pan siwosz za powinność wytłomaczył sobie.
Już potem była droga równa jak po toku,
On nie chciał naprzód dać kroku.
—„Na co—rzekł—mamy oba się mordować,
Mogłeś ją jeden do góry windować,
Więc na równinie dla ciebie ta furka,
Lżejsza od piórka.“

— „O nie! rzekł tamten; przyjacielu miły,
Bardzo się w zdaniu mylicie;
Że raz ja brałem nad siły,
Mamże za ciebie ciągnąć całe życie?”

Antoni Gorecki.

13. Gra w piłkę.

Chwytką nazywała się piłka. O grze w piłkę mówią: Górnicki, Falibogowski, Budziński, Strykowski. Zygmunt III w piłkę grać lubił. Pierwsza to i najupodobańsza gra dziecienna, gra studencka; różne są jej gatunki: w ściankę, w kaszę, żydek, rzucanie piłki w górę, na odległość w palanta, podbijanka *), połączona gra piłki z bieganiem, czyli meta, pół mety, ekstramety, a dla dorosłych, rycerskich już osób, piłka z koni **), piłką zrucanie z ławy kamieni, albo żelaznych brył.

Gra w ścianę czyli w łapę. Ochotników zbiera się rzesza, u ścianki stawa który z niej dobrowolnie, albo się wkupuje. Wtenczas każdy w ściankę uderza i piłkę łapie, kto ją zgubi, albo też ostatni z uderzających, gdyby wszyscy ją schwycili, staje do celu z wyciągniętą ręką prawą. Czyli kto w dłoń trafił, czyli nie,—byle piłkę porwał, ma prawo uderzać znowu; kto upuścił, sam do ściany idzie i bije go najpierw poprzecznik jego, potem każdy, który piłkę złapie. Tak więc nieustannie wymienia się kolęj, aż zmordowani grą, dadzą pokój. Uderzenie w rękę nie w dłoń samę, od młodzieży krawcem nazywane, ściągają karę niezręczności, zastąpienie bitego u ścianki.

Gra w kaszę. Stają wkoło, pierwszy w ziemię uderza, odbitą piłkę kto zdoła, łapie, a ten, co ją otrzymał, bijącemu

*) Rodzaj to był podbijanki, gra, o której wspomina Rej w wizerunku, że piłę nadętą rękami i nogami popychano.

**) Gdy król był w Gdańsku, bywały zabawy królewskie, jako i gry na koniach, ciskania z koni piłkami glinianymi, wyjeżdżając jeden przeciw drugiemu z puklerzami, czém rączność koni była uznawana.

w obie dłonie nadstawione zadaje razy, póki piłki nie zgubi, lub nie zemknie jej kto inny. Gdy schwyci piłkę bity, na jego miejsce idzie bijący nią ostatni.

Żydek. Była to gra wyższej doskonałości, okazać mogąca zręczność grających i przekonać widzów, co z sobą i narzędziem tej zabawy zrobić mogą. Z różnych sztuk składała się gra pomieniona, sześć pierwszych było koniecznością, niejako i wkupieniem się do dalszych. Kto ich nie wybił z całą dokładnością, od początku zaczynać musiał, kto je przeszedł szczęśliwie, choć się pomylił dalej, już tylko od niedopiętej sztuki powtarzał i szedł w tym zakresie dalej, aż pokąd nie doścignął najwyższego doskonałości szczebla. 1) Było zręczności próbą, rzucić piłkę o podłogę tak, żeby się odbiła o ścianę i dopiero ją złapać. 2) Toż samo popod nogę. 3) Opiera się grający ręką o ścianę i pod nią rzuca o mur piłkę i łapie. 4) Sadło się spuszcza, do czego przystępując młodzian, opiera się, przechylając nieco w tył głowę o mur, rzuca nad sobą piłkę i łapie, nim spadnie na ziemię. 5) Podobnie chwytą się piłkę, po odbiciu jej wprzód o ziemię. 6) Pieczętka kładzie się na dłoni skupionej, to jest na wielkim palcu i następnym w kółko spojonym; piłka uderza w nią, wtenczas dłoń się usuwa i piłka odbita łapie się. Lecz każdą z tych sztuk nie raz tylko jeden zrobić należy, ale trzykroć, podobnie i następne, wyjąwszy, gdzie większa liczba zakreślona ustawami; raz bowiem trafić, mogłoby być dziełem wypadku, trzykroć powtórzyć a nie zmylić się, wprawdy dowodem; komu się nie udało, ten drugiemu swęj kolei ustępuje, sam ostatni z grających, nowe czyni usiłowania. Kto wkupne wybił, spoczywał, aż inni okazali; następnie wszystkim szła kolęj do sztuk dalszych. 7) Nowego zawodu rzucać piłkę, jak do kaszy i łapać ją z góry. 8) Chwytać z dołu. 9) Bochenek chleba; na kułaku piłka się uderza i łapie. 10) Półmisek na otwartej dłoni. Wszakże te dwie sztuki powtarzać się muszą tak i na odwrót, to jest, kułak i dłoń trzymając z wierzchu i obracając na drugą stronę. 11) Waza; na palcach w kształcie wazy podniesionych. 12) Nóż; na jednym palcu. 13) Widelec podwójny, potrójny, pochwór-

ny; na tyłuż palcach rozwartych. 14) Liczenie palców jednej ręki, czyli na każdym kłaść piłkę. 15) Puszczanie krwi; na zgięty łokieć z przegiętej dłoni mgnie się piłka i łapie z góry, albo 16) odbita o ziemię zdołu. 17) Przybija się do ściany dłonią zgóry i zpod spodu 24 razy. 18) Wprost podrzuca się piłka i podbija się raz dłonią, drugi raz przewracając rękę 48 razy. 19) Ubiera się grający, umywa, kładzie buty, spodnie, kamizelkę, frak, czesze się, to jest: nim piłka od ziemi podskoczy, to wszystko udać powinien i piłkę złapać, trzykroć znowu to samo powtarzając. 20) Spuszczanie wody pojedyncze, podwójne, aż do poszóstnego; do tego podrzuca się piłka do ściany, odbija o ziemię i łapie. 21) Klaskanka; rzuca się piłka do góry, trzy razy kłaśnie, z przodu, z tyłu i znowu z przodu. 22) Obertanka górna i dolna; rzucić o mur, obrócić się i złapać zgóry lub zdołu. 23) Raczka; tyłem do ściany obróciwszy się i zgiąwszy, ciska się piłka między nogi o ścianę, żeby na głowę spadała i potem była złapana. — Kto wszystko to dokazał, okrzyknięty królem, pieczętują dla niego przywilej, czyli palą go kolejną w łapę; jeśli który nie trafi, król go za to bije trzykroć monarszą swą dłonią. Rzadki się znajduje, coby królem został; jakieżże to wymagało wprawy, a najrzeczniejszemu nawet było trudno każdą z tych sztuk wybić. — Innym razem chodziło o to, kto wyżej piłkę rzuci z ręki, lub kto dalej na odległość ją ciśnie, podbiegając nieco dla zamachu lepszego.

Gra w palanta. Dzielono się na dwie bandy i rzucano ku sobie piłkę, nie już ręką lecz kijem w nią trafiając, wtenczas piłka bieg swój dobrze odprawuje, gdy między podawaczem a odbijającym taka jest miara, iż ten grzecznie podaje i tamten rozumnie odbija. — Niekiedy zamiast kija używano pilnika, piatyka, t. j. buławy żelaznej z krótką rękojeścią do uderzenia piły, co było trudniej daleko, albo rakieta; sobie piłkę podawano, żeby nie upadła.

Podbijanka. Stojąc w kole, jeden rzuca w górę piłkę, inni zamiast łapania, podbijać ją tylko powinni; to samo się robi i z pęcherzem.

Meta, pół mety tak się grały: Dzielono się na dwie równe gromady. Odległość była wymierzona i połowa jej oznaczona. Kiedy silniejsi rzucali piłkę ku przeciwniej stronie, tamci złapać ją byli powinni. Wraz z rzuceniem piłki ktoś wybiegał z młodszych w całkowitej mecie o trzy kroki od przeciwników, wpół mety—do połowy, nim wrócił, trzeba było ugodzić go zlaną piłką. Jeśli trafiony,—rannym się poczytywał i już więcej do gry nie należał; chybiony, do liczby zwycięzców przechodził; każdy kolejną powinien był ciskać piłkę, lub biegać; po obejściu całej kolei obliczano, przy kim przewaga i ta strona wygrywała. Tę zabawę nazywano zbijaniem. — Tak było w licznej gromadzie; jeśli trzech tylko chciało użyć tej rozrywki, stawał jeden wpół mety, dwaj inni po końcach; środkowy, widząc lecącą piłkę, która go ugodzić miała, uskokzyć mógł na jedną lub drugą stronę, lecz jedną nogą zawsze powinien byłna punkcie oznaczonym pozostać; kto go nie trafił, miejsce jego zastępował, i tak następnie.

Ekstrameta. Cztérech staje na oznaczonych miejscach lub kamieniach, a cztérech w pośrodku mety. Boczni, jeden ku drugiemu rzucają piłkę, za trzecim jej złapaniem wolno starać się ugodzić stojących we środku; gdy trafił, to ten którego uderzono,—jeśli chybił, sam idzie na bok; gdy jeden tylko zostaje, obiega wkoło mety od innych ścigany.

Piłką z koni ciskali ojcowie nasi. Za Władysława IV na ławie kładziono bryły żelazne, ołowiane lub prawdziwe kamienie, do tych ciskając piłką, ku brzegowi je posuwano, a ten, kto go zrucił, wygrywał.

Lukasz Gołębiowski.

Lew chory.

I panowie chorują, czemuż lwy nie mogą?

Boleścią srogą

Lew zdjęty ryczał; niebożęta

Drżały zwierzęta.

Te, co na dworze króla jegomości,

W żalości

Przymilały się panu. A że gdzie chory,
 Tam i doktóry,
 Niedźwiedź mimo powagę, wraz z lisem kolegą
 Natychmiast biegą
 W radę; niedźwiedź po prostu,
 Na niestrawność życzył postu,
 I zdławion za to.
 Lis przelekły zapłata,
 Kiedy go się pytano, co brać na chorobę,
 Rzekł: „Pan chory na wątrobę;
 Moja rada, o téj dobie podjąć sobie:
 Komu post miły, niech gryzie śledzia;
 Pan zje niedźwiedzia.“
 Nagrodzony obficie, że dogodnie życzył,
 Nowym kunsztem, chorego doktorem uleczył.

Ig. Krasicki.

14. Latarnik.

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinvall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść na sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia i został splukany przez balwan. Przypuszczenie to było tém prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jaknajprędzej obsadzić, ponieważ latarnia ma niemałe znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspę, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach, prawie nie podobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot

nie mały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin, powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem—nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na tę posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżnionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom południa. Latarnik jest niemal więzieniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinvall przywozi mu raz na tydzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem, przywożący oddalają się natychmiast; na całej zaś wysepce, mającej morzę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku, w dzień daje znaki przez wywieszanie różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać zdolu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet gorzej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic téż dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znaleźć stałego następcę po nieboszczyku i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tego samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmdziesiąt albo więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną jak u kreolów, ale, sądząc z niebieskich oczu, nie należał on do ludzi południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go wyegzaminować, w skutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?
- Polak jestem.
- Coście robili dotąd?
- Tułałem się.
- Latarnik powinien lubieć siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starzej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten, to legija francuska; ten otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów. Więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm! Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem?...

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codziennie wchodzić po kilka razy na wieżę.

Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą «pleny».

Plenami nazywają niezmierne stopy między New-Yorkiem a Kaliforniją.

— *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Probowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

— Taki los ...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy...

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem, jestem bardzo znudzony i skołatany. Dużo, widziecie, przeszedłem. Stary, potrzebuje spokoju! Potrzebuje sobie powiedzieć: tu będziesz siedział, to jest twój port! Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz, może się taka posada nie zdarzy.... Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatoni... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka sta-

rego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tulactwa!...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Folcombridge, który miał dobre proste serce, czuł się wzruszonym.

— *Well!* — rzekł. Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem. Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję!

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem: *Good bye!* Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyję.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczoru, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę miedzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik widocznie już był na swoim miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie tuż koło olbrzymich ognisk, podobny zdołu do małego czarnego punkciku. Probował zebrać myśli i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była zanadto pod naciskiem, aby mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiś niedostępną skałę, lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napępiało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skałe poprostu uragać dawnemu tulactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę, jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą, — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwaly się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się

rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, aby się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrwał kolki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiém, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata i na tulał próbowal niemal wszystkich zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii, lecz tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tulał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie w Arkanzas i—spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach Skalistych dostał się w ręce Indyjan i, cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku—oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie i został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na *vomito*. Wreszcie przybył do Aspinvall—i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło dościsnąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych. Zdawało się natomiast, że prześladowają go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że niema szczęścia—i tém objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę manijakiem. Wierzył, że jakaś mściwa a potężna ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tém mówić;—czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajem-

niczno na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd. Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwoździem w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indyjanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilka pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku i krzyknąć: „pardon!“ Tak samo i nie poddawał się nieszczęściu. Laź pod górę tak pracowicie, jak mrówka; zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony, Bóg wie, w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystkę swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy dla siebie ani grana. Było w niém jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekali ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy miały jedne za drugieimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się, począł tracić energiją. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się—i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w bekse, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszniejsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskólek, szarych ptaków, podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanój niegdyś... Nakoniec opanowała go jedna myśl:—myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tulać nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nie droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich

morzach i krajach, tak że prawie nie mógł tchu złapać; wyobrażał sobie, że największym szczęściem ludzkim jest—tylko nie tulać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tém, jak wogóle ludzie marzą, o czémś niedoścignioném. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic téż dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda i nie śmiał odpowiedzieć—tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzemyślnymi dowodami. Więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się здаwać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspanvallskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny—i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokat światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dał owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, polyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potém o uszy starca odbijało się kilka westchnień, potém jakieś łkania—i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynano dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, powieszanych do mastsztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się naprawo i nalewo.

Skawiński zeszedł do swój izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; — w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe „tik-tak!“ zegara kołysało utrudzonego starca, jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie.... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła na nich coś wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morską może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im kto bardziej zmęczony życiem, tém miłszemi mu są te nawoływania. Ale, aby ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odośabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego, nad podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik téż bywa zazwyczaj człowiekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko z czém styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych określonych kształtów. Niebo—to jeden ogół, woda—to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic—nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanem, brał posiłek, czy-

ścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem turkusowém tle widać stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugim, podobne do łańcucha mew albo albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróźnych i towary do Aspinvall, ciągnąc za sobą długi spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinvall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki, — nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się, jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku. Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina syjesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczém ciszy. Żółte piaski, z których odpływały fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarnęła jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale, że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że, jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tém przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem,

z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorami odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła; tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, — otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, a stary chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoje skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi tłustymi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się, jakby w przepyszne czubiaste bukiety tuż zaraz za domami Aspinvalla. Dalej między Aspinvall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc mieszał się czerwonawy opar wyziewów, las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplatany lijanami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzyć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp wielkich, marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliiska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, uśmiechniętą powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów; widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lijanów na drzewach, znał owe senne jeziora leśne, przepełnione dretwanami i rojące

się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w którym mrowią się krwiożerne moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał, to też tym większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe „matos“, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdział wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mléczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak Kreole mówili między sobą:

— Porządnego mamy latarnika.

— I nie heretyk, chociaż Yankee!

Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego „Herolda“, pożyczanego u Folcombridge’a i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli było jeszcze dla kraju.... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codziennie żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potém jednak widocznie już zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Uplywały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawianej na brzegu i światło latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zubożył dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyją. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył na jego wysepce. Żył się z tą myślą, że nie opuści wieży do śmierci i po prostu zapomniawszy, że jest jeszcze coś poza nią. Przytém

stał się mistykiem. Łagodne niebieskie jego oczy poczęły być, jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego, a wielkiego, zaczął stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tém, co go otaczało. Nie rozumował nad tém, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy — to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pograża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się i zapamiętał — i w tém ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tém półczuwaniu, półśnie, znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: „Skawiński Esq...“, wypisany na grubém żaglowém płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrział i położył na powrót, przyczém ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni, — książka była polska. Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniawszy widocznie, iż jeszcze na początku swój latarniczej karyjery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie“ o zawiązaniu się polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał towarzystwu połowę swój miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książ-

ki w Aspinvall, na jego wieży, wśród jego samotności — była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś technienie dawnych czasów — cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że, gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczą, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczém życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał polaków, a nigdy polskich książek. Z tém większą też skwapliwością i z tém żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyną się dzieć coś uroczystego. Jakoż, była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinvallskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławilo się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. Wdali śmiały się białe domy Aspinvallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczysto i cicho, i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał, głośno, aby siebie samego lepij zrozumieć:

„Litwo ojczyzno moja! ty jesteś, jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu, w piersi coś urwało się i szło naksztalt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze — opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy,
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu,
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu).
Tak nas powrócisz cudem na ojczyznę łono...”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju i, Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean, i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przeproszał tę ukochaną oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim tęsknota poczyniała zacięrać.

A teraz „wracal cudem“ — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą — on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swój żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wyplakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu

książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy, i staczało się zwolna za międzymorze ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.”

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie, zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas Ta, co jasnej broni Częstochowy, zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem.” Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabelkotwały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: pamiętasz? On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie. Ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyła się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ni matki, bo go odumarli dzieckiem. Ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze świetłkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie, — teraz ta przeszłość podstawią się nagle w szereg widzeń... Oto znowu jest ulanem i stoi na widecie, zdala karczma pogląda płonąciami oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. Uha! Uha! To ulany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną: teraz jak okiem sięgnąć mgła i mgła nieprzejrzana — opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś zupełny ocean. Ale to łąki: rychło czekać jak derkacz ozwie się

w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru, jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli; jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty, wraz i zórawie krzyczą gdzieś z wysoka. Ale już świta, świta! Noc blednie — z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewkana wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna, w różanych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna... Cicha! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Héj stary, wstawajcie. — Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki widzeń sennych walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął, inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł. Istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinvall do New-Yorku. Biedak stracił posadę.

Otwierały się przed nim nowe drogi tulactwa; wiatr porывał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił, oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, aby mu i ona nie zginęła...

H. Sienkiewicz.

Żrebiec i koń stary.

Gdy starszych przybierano w pozłacane rzędy,
Gniewał się młody żrebiec na takowe względy.
Przyszła kolej na niego, z początku był hardy:
Aż kiedy w pysku poczuł munsztuk nader twardy,
Gdy jeźdźca przyszło dźwigać, znosić rzemień tęgi,
Gdy go ścisnąć poczęły dychtowne popręgi,
W płacz nieborak; a stary: na co ten płacz zda się?
Chciałeś, cierpże. Żal próżny, kiedy poniewczasie.
Ignacy Krasicki.

Koń i wielbłąd.

Mało dla nas co mamy, więcéj chcemy jeszcze;
A że to prawda, powieść o koniu zmieszczę.
Skarżył się przed Jowiszem hardy i zuchwały,
Iż choć wspaniały,
Chociaż rzeźki, ozdobny,
Choć do skoków sposobny,
Chociaż stąd bywa powszechnie chwalonym;
Przecież się mniemał być upośledzonym.
W czémże to? rzekł mu Jowisz, mów na czém ci zbywa?
Oto kark niezbyt wzniosły, a zbyt gęsta grzywa,
Nogi nie dość wysokie,
Piersi nie dość szerokie.
Każesz nosić człowieka, a siodła nie dałeś.
Ujrysz co chciałeś,
Rzekł Jowisz; natychmiast postawił wielbłąda.
Koń gdy pogląda:
Oto masz, z małą grzywą, rzekł Jowisz, kark wzniosły,
Siodło, garb wyniosły,
Piersi jak chciałeś,
Nogi długie, jakich do chodu żądałeś.
Godzienbyś, za zuchwałość, porównany z bydłem,
Zostać straszylem;
Ale głupstwo wybaczam. Lecz na ukaranie,
Wielbłąd zostanie.
Jakoż, skoro go ujrzy, zdaleka, czy zbliska,
Drży zaraz koń ze strachu, rze, zżyma się, pryska.
Ig. Krasicki.

KONIEC.

